

Kontynuacja losów bohaterów  
*Wydzisz za mnie, kotku?* i *Będzie dobrze, kotku.*

# Wioletta Pawicka



Jeśli się odnajdziemy  
kotleu

Prószyński i S-ka

Wioletta Pawicka

Jeśli się odnajdziemy  
kotku

Prószyński i S-ka

## ROZDZIAŁ I

Dziecko Goški przyszło na świat cichutko. Wyślizgnęło się z niej bezgłośnie, jakby przepaszając, że pojawiło się za wcześnie, ponad miesiąc przed planowanym terminem. A może chciało przeprosić, że w ogóle się zjawilo? Zaniepokojona Anna nie odrywała oczu od położnej, która pospiesznie zawinęła sinoczerwone, nieruchome ciało w wielką chustę i poniosła w stronę inkubatora, sprowadzonego na porodówkę. Nikt nie położył noworodka matce na piersi. Nawet go jej nie pokazał. W kącie wykafelkowanej na niebiesko sali nad zawiniątkiem pochyliły się trzy postacie.

Krzężanina personelu, nerwowe polecenia, monotonna praca urzędów, metaliczny szcęk narzędzi – w rozświetlonej jarzeniówkami salce słycać było wszystko, prócz tego najważniejszego, wyczekiwanego odgłosu życia. Ręce Goški zaciskały się kurczowo na cienkim prześcieradle. Anna wbiła palce w skajowe obicie krzesła. Poczula na skórze lepka wilgoć.

– Dlaczego nie płacze? – zapytał głuchym głosem Witek.

W jego głosie i oczach był lęk. Twarz mu stęzała ze strachu. A jeszcze przed chwilą grały na niej wszystkie mięśnie, gdy nadymał policzki i wypuszczał ze świstem powietrze, oddychając razem z Gošką przy kolejnej fali skurczów. Marszczył się i napinał tak samo jak ona. Nawet bezwiednie stękał razem z nią, gdy resztką sił wypychała z siebie dziecko. Sprawiał wrażenie, że gdyby tylko mógł, urodziłby za nią. Dodawał jej otuchy, masował plecy i nie przestawał zapewniać, że jest dzielna i świetnie jej idzie. A teraz miętosił w garści swój lekarski kubrak i tkwił niczym posąg u wezglowia fotela porodowego.

Odpowiedzi nie było.

Goška zamknęła oczy i odwróciła głowę w stronę okna. Witek wbił spojrzenie w najważniejsze miejsce porodówki, tam, gdzie miał nastąpić cud. Patrzył przejmująco bezradnie, szepcząc coś, co Annie wydawało się modlitwą. Choć równie dobrze mogły to być przekleństwa.

Oddech Goški przyspieszył, ręce mocniej ścisnęły zielony materiał. Jej twarz, jeszcze przed chwilą czerwona z wysiłku, teraz była kredowoblada. Tak samo jak skóra pod przygryzionymi wargami. Sekundy wlokły się jak godziny, napięcie sięgało zenitu. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, odliczała w myślach Anna, wpatrzona w wielki zegar na ścianie. Na przemian rzucała nerwowe spojrzenia na przesuujące się wskazówki i w stronę nadal cichego maleństwa. Znieruchomiały dotąd Witek zdołał oderwać nogę od podłogi i zrobił pół kroku w kierunku tamtych trojga, gdy nagle z fałd chusty rozległo się skrzekliwe miauknięcie. A po nim jeszcze jedno.

– Jest! Mamy ją! – zawołała lekarka.

Przez salkę przetoczyło się zbiorowe westchnienie ulgi. Goška puściła prześcieradło i nieznacznie odetchnęła przez usta. Jej zaciśnięte powieki rozluźniły się, choć wciąż przysłaniały oczy. Tylko głowa nie drgnęła, cały czas odwrócona tyłem do maleństwa.

– Goška, mamy córeczkę! – Witek momentalnie odtajał.

Twarz mu pojaśniała, zakwitł na niej szeroki uśmiech. Wiedziony nagłym impulsem pochylił się nad łóżkiem i pocałował w czoło spoconą kobietę. Przyjęła to obojętnie.

– Trochę strachu nam napędziła ta wasza mała. – Marek Górny, który odbierał poród, przetań rękawem wilgotne czoło. – No, doktorze Brzeziński, to kiedy zapraszasz kumpli na pępkowe? – Zaśmiał się grubym głosem.

– Przyjdzie na to czas. Dajcie mi chociaż ją obejrzeć – odpowiedział i dwoma susami podskoczył do córeczki.

Anna słyszała z kąta jakieś fachowe pytania Witka, strzępy rozmowy o skali Apgar, braku widocznych cech wcześniactwa i coś o małej wadze dziewczynki. Nieważne, wszystko nieważne, grunt że oddycha, żyje, mówiła do siebie pełna radości.

– Gosia, kochana, już po wszystkim, nie musisz się bać. Otwórz oczy – wyszeptwała, pochylając się nad przyjaciółką.

Przetarła rącznikami jej mokre, krótkie włosy, pogładziła policzki. Tamta jednak pozostała nieruchoma jak kukła, niewrażliwa na wszystko, co działo się wokół.

Chwilę później kiedy poprzypinana do rurek dziewczynka leżała już w inkubatorze, starsza lekarka w okularach w złotych oprawkach, uczesana w gładki kok, podjechała z małą do Małgosi.

Anna odruchowo przyłożyła rękę do ust. Dziecko wyglądało jak bordowy patyczak z nienaturalnie cienutkimi kończynami. Przez prześwitującą skórę przebijała płatanina niebieskich żyłek. Chudziutkie ciało ginęło w ogromnym jak na nie pampersie. Główna nie była większa niż pomarańcza. A do tego wszystkiego igły, plastry, wężyki przyklejone do noska i rączek.

– Może jej pani dotknąć, coś do niej powiedzieć – zachęcała Małgosię lekarka. – Córeczka bardzo tego potrzebuje. Na razie tylko sześć punktów, ale nadrobi. Dzieciątko jest silne.

Cisza.

– Pani Małgosiu... – Lekarka spróbowała jeszcze raz.

– Zabierzcie ją. – Chłód głosu Goški ostro kontrastował z ciepłym tonem neonatolożki.

Nawet nie zerknęła na córeczkę. O nic nie zapytała. Zapanowała niezręczna cisza. Lekarka i dwie położne popatrzyły na siebie zaskoczone, ale żadna już się nie odezwała. Zabrały inkubator i zniknęły za drzwiami. Marek zaczekał, aż Goška urodzi łożysko. Zbadał ją jeszcze, po czym klepnął Witka w ramię wspierającym gestem i wyszedł z innymi.

– Ja też pójdę. – Anna podniosła się z krzesła. – Powinniście porozmawiać sami.

– Zostań! – Goška złapała ją za rękę i pociągnęła do siebie.

Mocny uścisk sprawił, że Anna usiadła ponownie, choć wolałaby wyjść. Przyjechała do szpitala na wyraźną prośbę przyjaciółki, po alarmującym telefonie Witka o piątej rano, że zaczął się poród i już nie można go zatrzymać. Jednak rozmowa, do której miało teraz dojść, nie wymagała jej obecności. W powietrzu ponownie zawisło napięcie. Za ścianą rozległ się przeciągły krzyk innej rodzącej. Witek pochylił się nad Małgošką.

– Spójrz na mnie – warknął. I głos, i oczy miał teraz stalowe. Zupełnie inne niż jeszcze przed chwilą. Zupełnie inne niż zwykle. – Co ty odwalasz?

Małgosia oblizwała spierzchnięte usta. Uwolniła rękę Anny i podciągnęła prześcieradło pod brodę.

– Nie chcę tego dziecka – oświadczyła. Już nie unikała spojrzenia Witka. Przeciwnie, patrzyła na niego tak samo pewnie, jak brzmiały jej słowa. – Nigdy nie twierdziłam inaczej.

– I nic cię przed chwilą nie ruszyło? Nic a nic? – spytał z niedowierzaniem. Usiadł przy niej i delikatnie ujął ją za ramiona. – Posłuchaj, nie kochamy się i nie musimy być razem. Nawet nie musimy ze sobą mieszkać, jeśli tego nie chcesz. Będę ci dawał pieniądze, dopóki sama nie staniesz na nogi. We wszystkim ci pomogę, ale razem musimy wziąć za nią odpowiedzialność.

Czy tego chcesz, czy nie, mamy wspólne dziecko. Nasza córka potrzebuje teraz przede wszystkim ciebie. Jest wcześniakiem, daj jej szansę na normalne życie. Chociaż tyle. Niczego więcej od ciebie nie oczekuję, tylko bądź dla niej matką.

– Nie będę jej matką. – Gośka pokręciła głową. – Wiedziałaś o tym od początku, więc nie udawaj teraz zaskoczonego.

– Liczyłem, że zmienisz zdanie. Przecież nie minął jeszcze tydzień, jak byliśmy razem w urzędzie, żebym ją uznał. Zrobię wszystko, co chcesz, ale nie podejmuj pochopnych decyzji, które zaważą na jej losie – starał się mówić spokojnie, choć był na granicy wybuchu. Mięśnie jego twarzy to napinały się, to kurczyły, błękitne oczy poszarzały.

– Potwierdziłam przed tym urzędnikiem że jesteś jej ojcem, właśnie po to, żeby miała normalne życie. Więcej nic dla twojego dziecka nie mogę zrobić. Moja rola skończona. I nie wpędzaj mnie w jeszcze większe poczucie winy. I tak je mam! – zakończyła stanowczym tonem, zrzucając z siebie ręce mężczyzny, z którym nie łączyło jej nic prócz dziecka.

– Dziewczyno, błagam, opamiętaj się! – Witek przyłożył dłonie do twarzy i na chwilę znieruchomiał.

– Powiedziałam, nie! – fuknęła.

Miała tyle zaciętości w oczach i w głosie, że Annę przeszedł dreszcz.

Witek zerwał się z łóżka jak podcięty batem.

– Kurwa mać! – zaklął i kopnął z rozmachem taboret, który potoczył się pod drzwi.

Anna podskoczyła na krześle. Nigdy nie widziała przyjaciela tak wzburzonego. Nawet kiedy przyłapał Beatę, swoją żonę, na zdradzie, nie wyglądał tak strasznie jak teraz. Zniknęła gdzieś jego łagodność i opanowanie. Takiego Witka Anna jeszcze nie знаła. Miotał się po salce, wczepiwszy palce we włosy. Jego oddech stał się ciężki i świszczący. Tylko Gośka wciąż sprawiała wrażenie niewzruszonej. Udaje czy rzeczywiście nic ją nie obchodzi, pomyślała Anna, patrząc na obojętność przyjaciółki.

– Nie mogę być matką dla twojego dziecka – powtórzyła tamta.

– Szkoda, że ja nie mogę ci teraz porządnie przypierdolić, żebyś oprzytomniała, ty cholerna egoistko! – krzyknął, nie panując nad językiem. Z ust strzelały mu kropelki śliny, od szyi aż do skroni wykwitły purpurowe plamy.

– Witek! – Anna też krzyknęła. – Opamiętaj się!

– Niech cię szlag, Gośka! Niech cię szlag! – Odepchnął drewnianym chodakiem taboret sprzed progu i wyszedł, trzaskając drzwiami. Anna wybiegła za nim. Dogoniła go na końcu korytarza, tuż przed wyjściem z oddziału położniczego.

– Jak mogłeś tak się zachować? – Szarpnęła go za biały rękaw uniformu. – Ona dopiero co urodziła. Może jest jeszcze w szoku, a ty jak prymityw...

– W szoku to jestem ja – przerwał ze złością. – Przysięgam, nigdy nie uderzyłem kobiety, ale Goškę mam ochotę po prostu zatłuc.

– Opanuj się, człowieku – wyszczała przez zęby.

Zerkała przez ramię na wyglądające z dyżurki pielęgniarki i jakieś zaciekawione sensacją położnice z gapiowato otwartymi ustami.

– Właśnie zamierzam. Idę na wódkę. – Odsunął ją na bok i wyszedł.

Anna chciała już wejść do Małgosi, gdy zza zamkniętych drzwi doleciał ją szloch przyjaciółki. Najpierw stłumiony, a potem głośniejszy i głośniejszy. Była świadkiem rozgrywającego się dramatu i nie chciała tego wszystkiego oglądać. Pożałowała, że w ogóle tu przyjechała. Nie w takim wydarzeniu pragnęła uczestniczyć. Ona też podświadomie liczyła, że Gośka, jak tylko zobaczy maleństwo, od razu zmieni zdanie. Że coś się w niej obudzi i pokocha córeczkę od pierwszego wejrzenia, mimo wcześniejszych deklaracji. Anna czuła, jak przygniata

ją nieszczęście, które rozgrywało się na jej oczach, a przecież miała swoje własne problemy. Cudze jej niepotrzebne. Za dużo jak na raz, za dużo, pomyślała przygnębiona i potarła ręką czoło. Stała chwilę przed drzwiami, wahając się, wejść czy też zostawić Goškę samą. W końcu zdecydowała się odejść, bo nie znalazła żadnych właściwych słów, którymi mogłaby ją wesprzeć. Może jutro czy pojutrze, ale nie dziś. Dziś musi stąd jak najszybciej uciec, zanim sama rozplacze się na środku korytarza.

Minęła szepczące po kątach pielęgniarki z porannej zmiany i ruszyła do windy. Na wprost niej znajdował się oddział noworodków. Gdzieś tam leżała córeczka Małgosi. Nagle Anna zapragnęła jeszcze raz zobaczyć to biedactwo, poprzipinane do rurek i urządzeń, witające samotnie świat pierwszego kwietnia. Kodowane wejście broniło dostępu na oddział. Nacisnęła dzwonek i po chwili zjawiła się ta sama lekarka, która reanimowała maleństwo. Wpuściła ją do środka, podała ochronne ubranie, wskazała salę wcześniaków i zniknęła w gabinecie.

Przy jednym z trzech inkubatorów w przeszklonym na wylot pomieszczeniu, pełnym aparatury medycznej, stał Witek. W tym inkubatorze nie było niebieskiego misia ani zaczeponiej z boku pozytywki. Skrzyżował ręce na piersi, jakby odgradzał się od problemu, z którym przyszło mu się zmierzyć, i patrzył na dziecko, leżące w samej pieluszcze. Anna podeszła bliżej.

– Nie poszedłeś jednak na wódkę – odezwała się półgłosem.

– Nie dam rady.

Wiedziała, że nie chodzi o wódkę.

– Myślałem, że Goška się opamięta. Że jeszcze zdołam ją przekonać.

– Tooo... co zrobisz? – spytała ostrożnie, kładąc dłoń na jego plecach.

Milczał.

– Witek...

– Nie poradzę sobie sam. – Pokręcił głową. – Mała jest wcześniakiem. Nie waży nawet dwóch kilogramów. Wymaga ustawicznej opieki, a ja nie mam o tym zielonego pojęcia. Muszę przecież pracować, bo jak inaczej nas utrzymam? Kto się nią wtedy zajmie?

– Może Goška jeszcze zmieni zdanie, jak dojdzie do siebie. Dla niej to też jest trudne. Jest taka... zagubiona – usiłowała tłumaczyć przyjaciółkę.

– Co za diabeł mnie podkusił, żeby brać ją do siebie? – jęknął z ręką uniesioną do czoła. Z całej jego postaci biło rozgoryczenie. – Niechby się zachłapała na śmierć. Dla wszystkich byłoby lepiej.

– Przestań. – Anna trąciła go w ramię. – Nie wolno ci tak mówić.

– Nie umoralniaj mnie – syknął poirytowany. – Wszystkie jesteście siebie warte. Tylko wy się liczycie. Wasze problemy, napięcia, dylematy, sraty-taty, a nam kopa w dupę, jak przyjdzie co do czego. Beata, Goška, a ty też nie jesteś lepsza! – Pochylił się nad Anną jak oskarżyciel nad podsądnym. – Sama rozpieprzasz rodzinę, więc nie mów teraz, co mi wolno, a czego nie. Patras od miesiąca chodzi przybity, aż żal dupę ścisnąć. Bo przecież ty się musisz zastanowić, czy warto z nim być, czy nie warto. Wasza babska solidarność jajników w tym temacie jest nie do pobicia – wypluwał z siebie jadowite słowa, pogardliwie krzywiąc usta.

Wylał na jej głowę całą frustrację, bo to ona, Anna, była pod ręką. Mogła przyjąć to obojętnie, ale też była podminowana. Dlatego postąpiła krok ku niemu i odpowiedziała równie zjadliwie, może nawet bardziej.

– Roztrząsas mi sumienie, kiedy tu leży twoja córka. Zamiast myśleć o niej, wolisz się użalać nad sobą. „Wezmę to na klatę” – ironizowała, powtarzając jego słowa sprzed kilku tygodni. – I co? Jak przyszło co do czego, to strach cię obleciał. Bo skończy się twoja wolność i przygodne panienki. Nie będzie już życia bez zobowiązań, które tak polubiłeś. Myślałam, że jesteś superfacetem, a z ciebie zwykły... tchórz. Ale wiesz co? W jednym masz rację. Nie

zamierzam cię już umoralniać. Sami z Goską pijcie piwo, którego nawarzyliście. Ja mam swoje problemy, a ją – wskazała na dziecko – oddajcie do adopcji. Im szybciej, tym lepiej. Niech znajdzie jakichś kochających rodziców, skoro jej się na nią wypieli. – Rzuciła fartuch na krzesło i wyszła w pośpiechu.

Ruszyła energicznie przez szpitalny hol, wyjątkowo rozdrażniona. Poły jasnego płaszcza trzepotały jak skrzydła ptaka. Rozpuszczone włosy kołysały się na plecach w rytm jej kroków. Nie zważała, że po drodze potrąca innych ludzi. Mamrotała pod nosem ostre słowa, żeby poczuć się choć trochę lepiej, ale nie pomogło. I nawet nie chodziło o to, że obrzucili się z Witkiem prawdą jak błotem, ale właśnie o tę prawdę. Bolesną, trudną do przyjęcia, ale prawdę.

Nie trzeba za nią przeproszać ani jej potępiać, przypomniawszy sobie słowa teścia, ale czuła, jak w niej samej narasta potępienie. Wobec decyzji Goški i tchórzostwa Witka. A także tego, co jej wygarnął.

Ja rozpieprzam rodzinę? Ja? – powtarzała w myślach, przystając przed automatem z napojami. To mnie zatruwano życie podejrzeniami, zazdrością, podłą intrygą! To ja jestem ofiarą! To ja wyplakiwałam oczy! To ja zostałam oszukana!

Wyłuskała z opakowania tabletkę na uspokojenie, popiła wodą mineralną z dystrybutora i wyszła w chłodną szarość dnia.

Mgła trochę się przerzedziła. Już było widać kontury wieżowców i samochody na parkingu. Powietrze pachniało zgnilizną resztek ubiegłorocznych liści, błotem i spalinami. Schodziła z wysokich stopni, kiedy ktoś za nią pchnął energicznie ciężkie szpitalne drzwi i zbiegł ze schodów.

– Cześć, kotku, już myślałem, że cię nie dogonię. – Zadyszany Patryk, chciał ją pocałować, ale odchyliła głowę. Był tylko w lekarskim ubraniu z krótkim rękawem, na szyi miał zawieszoną słuchawkę. Jego ramiona pokrywała gęsia skórka. – Nie mogłem wcześniej zejść z oddziału, bo kończyłem zabieg, a za chwilę mamy odprawę. Marek mówił, że Goška już urodziła.

– Dziewczynkę, której nie chce ani matka, ani ojciec. – Anna odsunęła się od niego o kilka kroków.

Patrzył na nią tęsknym wzrokiem. Wyraźnie zmizerniał. Kąciki ust mu opadały, cienie pod oczami się wyostrzyły. Ciemny zarost nie był już tak starannie przystrzyżony jak wcześniej, teraz sam torował sobie ścieżki na policzkach.

– Jakoś będą musieli z tym się uporać. – Patryk chwycił ją za nadgarstek i przycisnął do ust jej zaciśniętą w pięść dłoń. – My też musimy w końcu z czymś się uporać. Wróc do mnie, kotku. Tak bardzo cię potrzebuję. Teraz wszystko będzie inaczej, zobaczysz. Nie musisz już niczego się obawiać. Wiele zrozumiałem. Zaufaj mi, kochanie – przekonywał Annę enty raz. Robił to od miesiąca, za każdym razem kiedy się spotykali.

Nie mogła tego dłużej słuchać. Już kiedyś zapewniał ją w podobny sposób i naiwnie mu uwierzyła. Jego słowa były jak czek bez pokrycia. Teraz nie popełni tego samego błędu. Nie przyjmie suchych obietnic. Choćby kosztem potępienia, kosztem samotności i bezsennych nocy. A także mniej lub bardziej wyartykułowanych pretensji ze strony bliskich, oskarżających ją o egoizm i rozbicie rodziny. Zwłaszcza ze strony teściowej, ale to obchodziło Annę najmniej.

To wszystko wciąż jeszcze było zbyt świeże. Wciąż pamiętała swój strach przed mężem. Pamiętała jego obcość, chłód, a nawet wrogość, gdy zaślepiiony podejrzeniami przemienił ich życie w koszmar, pozostając głuchym na wszystko, co usiłowała mu wytłumaczyć. Wiedziała, że jeśli teraz mu ulegnie, to prędzej czy później sprawa się powtórzy. Dlatego wyrwała rękę i pobiegła do samochodu. Silnik zawył głośno, kiedy wrzucając wyższy bieg, odjechała pospiesznie spod szpitala, właściwie uciekła.

Przed niespełna miesiącem też tak uciekła. O to również miała do męża żal. Dlaczego nie mogła odejść w cywilizowany sposób, tylko musiała umykać ukradkiem pod jego chwilową nieobecność? Patryk wyszedł wtedy do sklepu. Na moment osłabła jego wyostrzona czujność, co Anna bezwzględnie wykorzystała. Majka była wówczas w szkole. Anna pospiesznie spakowała rzeczy swoje oraz synka i pognąła do samochodu.

Od rozmowy przy pomniku Kopernika, kiedy oświadczyła, że odchodzi, mąż nie opuszczał domu. Wziął zwolnienie na symulowaną chorobę i śledził każdy krok Anny. Zrywał się rano razem z nią, kiedy szła do pracy, i kładł spać, dopiero kiedy już spała. Budził się natychmiast, gdy wstawała w nocy do łazienki. Zawsze miał twardy sen, ale w tym czasie spał czujniej niż dziecko. Nie w bokserkach jak zwykle, tylko w dresach, na sofie w salonie. Gotów w każdej chwili stanąć w drzwiach, jeśli przyszyłoby jej do głowy wyprowadzać się nocą. Nawet na spacer z synkiem nie wychodziła sama, bo zawsze był z nimi. Wiedział, że bez dziecka nie odejdzie.

Cała ta sytuacja zakrawała na żalną groteskę, gdyby nie krył się pod tym dramat kobiety chcącej odejść i mężczyzny, który nie chciał do tego dopuścić. Trwało to przez tydzień, nim zdołała się uwolnić. Nigdy nie doświadczyła podobnego upokorzenia, jak tego dnia, kiedy zmuszona była uciekać właśnie w taki sposób. Patryk przyjechał na Narutowicza, ledwo Anna zdążyła postawić torbę w korytarzu. Odbili kolejną trudną rozmowę. Jeszcze trudniejszą niż wszystkie minione. Jednak tym razem Patryk się poddał. Czy chciał, czy nie, musiał w końcu pogodzić się z sytuacją.

Powiedział z rezygnacją w głosie owo „dobrze”, dając tym samym przyzwolenie na decyzję Anny. Od tego dnia nie minął jeszcze miesiąc. Choć mieszkali osobno, Patryk wciąż był obecny w jej życiu. Przychodził na Narutowicza, kiedy tylko miał wolne. Im bardziej bombardował ją wizytami, czułymi esemesami i kwiatami, tym bardziej czuła się osaczona. Bezwiednie wysuwała obronne kolce przed jego natarczywością. Spokój, którego potrzebowała, by się zastanowić, czy mimo wszystko mają jeszcze przed sobą jakąś wspólną przyszłość, na razie wydawał się bardzo odległy. Anna zastępowała go farmakologiczną namiastką, żeby móc jako tako funkcjonować.

Klepnęła ze złością w kierownicę, gdyż utknęła w korku na światłach w centrum miasta. Miasta, gdzie więcej było samochodów niż ulic, po których mogły jeździć. Irytowali ją ślamazarni kierowcy. Drażniły głupie primaaprilisowe dowcipy opowiadane w jej radiu.

Dochodziło wpół do ósmej. Za pół godziny powinna być w pracy. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że pod płaszczem ma na sobie stare spodnie i wymiętą koszulkę. Nie mogła tak się pokazać w firmie. Skręciła na Narutowicza, aby wraz ze służbowym strojem włożyć na siebie maskę profesjonalizmu. Wjechała w wąską dziurawą uliczkę przy wieżowcu matki i znowu ich zobaczyła.

Najpierw wielkiego psa, a potem jego właściciela, Andrzeja Bendorfa. Zasadzili się na nią pod klatką jak myśliwi na ofiarę. Pies siedział spokojnie, jego pan spacerował przy wejściu.

O nie! Tylko nie to! Nie dziś, powtarzała, dysząc z wściekłości. Wołała pojechać do radia w samych majtkach, niż choćby przejść obok człowieka, który mienił się jej ojcem. Człowieka, którym gardziła i którego nie chciała znać. Wrzuciła wsteczny bieg i odjechała z piskiem opon.



## ROZDZIAŁ II

Andrzej Bendorf otworzył na oścież drzwi na balkon i głęboko zaczerpnął powietrza. W tym małym mieszkaniu brakowało mu przestrzeni Bieszczadów. Tu, na jarockim osiedlu, gęsto pokrytym jednakowymi budynkami, stale miał klaustrofobię. Między ustawionymi jak kostki domina blokami plamą wydeptanej ziemi odznaczał się plac zabaw, teraz prawie opustoszały. Prócz grupki przeklinających małych dzieci przy huśtawkach nie było nikogo więcej.

Mieszkał tu od kilku miesięcy, a wciąż czuł się obcy. Nie znał nawet sąsiadów z przeciwka. I nie miał ochoty poznawać tych ludzi. Wystarczył mu ich jazgot, gdy czasem spotykali się w Biedronce. Chodził tam, bo było najbliżej. Nie musiał ściubić grosza do grosza, żeby przeżyć, miał pieniądze. Nawet bardzo duże, ale i tak czuł się uboższy od wszystkich obojętnych mu ludzi, których spotykał.

Małolaty z huśtawki przeniosły się na karuzelę i z wrzaskiem skakały po siedziskach, wyginając ich oparcia.

– Gówniarze, męskiej ręki im brak – mruknął pod nosem Bendorf.

Już chciał krzyknąć przez okno, aby przywołać młodocianych wandalów do porządku, ale jego uwagę przykuł pewien szczegół. Dopiero teraz dostrzegł, że krzeselka podwórkowej karuzeli są różowe. Tak samo jak kiedyś, przed prawie trzydziestu laty, koniki karuzeli w wesołym miasteczku w Toruniu. Przechodził akurat tamtędy z Anulką. Miała wtedy niewiele ponad rok, siedziała w wózek i klaskała w rączki wpatrzona w migoczące światełka. Bendorf wzruszył się, wspominając, jak córeczka pokazywała paluszkami koniki i mówiła w kółko: „Tata tam”. Tłumaczył jej, że jest za mała i jeszcze nie może się kręcić, bo rozboli ją główka. Obiecywał, że za rok na pewno pojeździ na karuzeli, i na otarcie łez kupił jej różowy wiatraczek. Nie przewidział, że nie uda mu się spełnić tej obietnicy. Tamto wspomnienie wracało za każdym razem, gdy wiele lat później, już w Kanadzie, chodził z młodszą córką, Jenny, do lunaparku. Starszej nie dane mu było nigdy zabrać na karuzelę.

Wandale, trzech chłopaków i dziewczyna, podnieśli z ziemi plecaki i kopiąc jakąś puszkę, zniknęli między blokami. Bendorf ponownie wciągnął głębiej powietrze. Niewielkie pieczenie w piersiach nie ustąpiło, a oddech wydawał się za krótki, ale mężczyzna nie przejął się tym. Nie miał zamiaru myśleć o swoim sercu, kiedy tak boleśnie zranił inne. Chętnie zawarłby pakt z samym diabłem, byle tylko córka mu wybaczyła. Potem niechby i piekło go pochłonęło. Nie mogło być gorszego niż to, które teraz czuł w sobie.

Przeczytał wszystkie listy córki. Te zapiski z granatowych pudełek stały się dlań bezcennym skarbem. Odnosił wrażenie, że jakimś niezrozumiałym zrzędzeniem losu przez ten cały czas był obecny w jej życiu. Pisała przecież do niego. Dzięki tym listom odbywał metafizyczną podróż w przeszłość. Poznawał koleżanki swojej Muszelki, szkolne sekrety, pierwsze miłości i tajemnice. Był świadkiem pączkującej przyjaźni z Małgosią, pokątnego popalania papierosów i nielegalnych piw na prywatkach. Całego tego dojrzewania, w którym uczestniczył spóźniony. Ale nie tylko zwierzenia go tak przyciągały. Z każdego napisanego zdania przebijała przeogromna tęsknota jego dziecka za ojcem. Za nim.

Wyczuwał ją wszystkimi zmysłami. Do łez wzruszały go uczucia, którymi Anna gotowa była go obdarzyć. Dopiero poznając jej myśli, zrozumiał, jak bardzo go potrzebowała. Kim mógłby dla niej być, gdyby znów nie popełnił błędu. Gdyby nie wyjechał wtedy, dawno temu, za granicę, bawiąc się w konspirację. Gdyby machnął na wszystko ręką i choćby ryzykując

więzienie, wrócił z tej Kanady, zamiast słać do Polski listy i miejscowych emisariuszy. Wreszcie gdyby nie jego pożałowania godny niedawny plan rozbicia jej małżeństwa i te przekłete prezenty, które posyłał jako anonimowy wielbiciel. Gdyby nie cała góra błędów, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Naprawić, za wszelką cenę trzeba naprawić, co tylko się da. Tylko jak? Jak przekonać do siebie córkę, której złamałem życie? Nie musiała nic mówić. Wystarczyło, że widział ją codziennie z daleka lub bliska. Zawsze smutną. Już zapomniał, jaki piękny miała uśmiech. Teraz rysy jej się wyostrzyły, policzki zapadły, a oczy straciły blask. I to wszystko przez niego. Miała prawo go nienawidzić i traktować jak powietrze.

Ktoś zapukał do drzwi i Bendorf drgnął zaskoczony. Rzadko kto go odwiedzał, odkąd przestała tu zaglądać Anna. Nie miał ochoty otwierać, ale pukanie zabrzmiało ponownie. Bandyta zawarczał pod drzwiami. Andrzej przepędził psa i otworzył zamek.

W progu stał Patryk z synem na rękach. Takich gości Bendorf się nie spodziewał. Uśmiechnął się, po raz pierwszy od miesiący, dokładnie od Wigilii, kiedy trzymał w ramionach córkę. Teraz uśmiechem powitał wnuka. Wnuk, mój wnuk. Dziecko mojego dziecka, powtarzał w myślach, czując delikatne ciepło w sercu.

– Możemy do ciebie na chwilę? – zapytał zięć.

Bendorf przepuścił ich w szeroko otwartych drzwiach. Od razu wyciągnął ręce do dziecka, ale chłopczyk odwrócił główkę i zaczął płakać.

– Spokojnie, synku. – Patryk rozwiązał mu czapeczkę. – Przyszliśmy do dziadka. Zobacz, jaki ładny piesek na ciebie patrzy.

Bendorf wyszedł do kuchni, aby bardziej nie rozdrażniać chłopczyka. Wstawił wodę na herbatę i zastanawiał się gorączkowo, czym poczęstować gości. W tym stanie zawieszenia, w którym tkwił, nie zawsze pamiętał, aby zrobić zakupy. Prócz starego sera i czerstwego chleba właściwie nic nie miał. Bo i więcej nie potrzebował.

Zagadywany przez ojca malec trochę się uspokoił. Bendorf przyniósł do pokoju herbatę. Nie tylko kulinarnie nie był przygotowany na taką wizytę. Z bałaganem też sobie nie radził. Porozwalane ubrania, gazety, kłęby sierści na podłodze i kurz wirujący w powietrzu wypełniały jego samotnię. Nie miał głowy do porządków. Adaś siedział na podłodze i pakował paluszki w psie futro. Pies obwąchiwał pyzată buzię malca.

– Bandi, bądź grzeczny – polecił mu na wszelki wypadek Andrzej, choć wiedział, że pies nie robi krzywdy dziecku. – Przepraszam, ale nie mam nic prócz herbaty. Nawet ciastek dla Adasia – tłumaczył się skrzepowany. Przeprosił za nieporządek.

– I tak nie dajemy mu ciastek – powiedział Patryk, nie odstępując syna. – Można zaufać temu psu? Nic mu nie robi?

– Nie obawiaj się, jest dobrze wyszkolony.

Patryk przeczucił kurtkę przez oparcie i zagłębił się w rozłożystym fotelu. Wystukiwał jakiś rytm na poręczy mebla. Andrzej zajął sąsiedni fotel, po drugiej stronie niewielkiego stolika. Przez chwilę prócz pisków Adasia, który obściskał psa, nic nie było słyhać. Patryk niby patrzył na syna, ale myślami wydawał się nieobecny. Bendorf obserwował zięcia nie bez pewnej satysfakcji. Już nie dostrzegał w nim tak drażniącej wcześniej butnej pewności siebie. Garniturowej sztywności i dumy kogoś, kto uważał się za lepszego od innych. Teraz naprzeciwko niego siedział zwykły facet w wytartych dżinsach i flanelowej koszuli. Nawet podobnej do tej, którą on sam miał na sobie. Tak samo wyblakły jak i on.

– Andrzej – Patryk odezwał się pierwszy – pomóż mi ją... odzyskać.

– Człowieku, oczekujesz cudów? – odpowiedział pytaniem.

Tamten uśmiechnął się krzywo.

– Zdaje się, że w styczniu odbyliśmy podobną rozmowę – przypomniał.

– Tylko wtedy byliśmy po innych stronach. – Bendorf odetchnął ciężiej, niż chciał.

– Chyba po raz pierwszy naprawdę nie wiem, co robić. – Patryk zaczął chodzić po pokoju, ręce wsunął w kieszenie dżinsów. – Anka ledwo mnie toleruje, kiedy przychodzę. Dobrze, że w ogóle pozwala mi jeszcze widywać Adasia.

– No to witaj w klubie, zięciu. – Bendorf klepnął się rękoma w uda. – Mnie w ogóle nie chce znać.

– Słaba to dla mnie pociecha – rzucił gorzko Patryk, przystając przed oknem. Odsłonił poźólkłą firankę i patrzył przed siebie przez zabrudzone szyby. Adaś przytulił się do jego nóg. Patryk wziął syna na ręce i zaczął wyskubywać resztki psiej sierści spomiędzy pulchnych paluszków malca. – Masz jakiś pomysł, jak to wszystko odkręcić? – zapytał zgnębiony. – W końcu to ty namieszaleś w naszym życiu najbardziej.

– To prawda – przyznał bez wahania Bendorf – ale niczego bym nie osiągnął, gdybym nie trafił na tak podatny grunt. To ty dręczyłeś moją córkę zazdrością, awanturami, pijaństwem. Mam wyliczać dalej? To mnie się wypłakiwała, kiedy ty nie chciałeś jej słuchać.

– Wiem – warknął rozeźlony Patryk. – Nie musisz mi tego przypominać. Pamiętam, co robiłem, i mam z tego powodu straszego moralniaka, i długo będę go jeszcze miał. Tak samo jak pewnie i ty, ale nie przyszedłem do ciebie, żeby się licytować na przewinienia, jakie wobec niej popełniliśmy, tylko żeby... – Zawahał się i nie dokończył myśli. – Zresztą sam nie wiem, po co przyszedłem. – Machnął ręką zrezygnowany. – Adasiu, musimy już wracać do mamusi na obiadek. – Postawił chłopca na podłodze i sięgnął po jego ubrania. – Jesteś głodny, synku?

– Ne – zaprzeczył Adaś, kręcąc główką. Szarpał paluszkami zapięcia bucików, które spieszenie zaciskał Patryk.

– Zaczekaj. – Bendorf chciał ich jeszcze zatrzymać. – Teraz nie ma znaczenia, który z nas więcej nagrzeszył. Jeśli w czymkolwiek mogłoby to pomóc, chętnie całą winę wziąłbym na siebie, ale to próżne gadanie. Mamy wspólny problem i musimy sobie jakoś z nim poradzić. Przynajmniej ja nie zrezygnuję. Nigdy – zapewnił, przyciskając rękę do piersi.

– Ja też nie – oświadczył zdecydowanym tonem Patryk. – Jeszcze mnie nie znasz.

Włożył synkowi kurteczkę, zawiązał troczki czapeczki. Andrzej sam miał wielką ochotę to zrobić, ale gdy tylko nachylił się nad malcem, ten krzywił buzię w podkówkę. Najchętniej nie wypuściłby stąd wnuka w ogóle. Choć czarne oczka i włoski odziedziczył po ojcu, to rysy twarzy miał takie jak jego Muszelka.

– A jak Maja? – zapytał, odprowadzając gości do drzwi. – Jeździ jeszcze konno?

– Tak, w Kortowie – potwierdził Patryk i w kilku słowach opowiedział o uniwersyteckiej stadninie. Po chwili twarz mu się nieco rozjaśniła. – Wiesz, Maja została ze mną. Zaskoczyła mnie tym, bo sądziłem, że Anka jest jej bliższa. Zawsze lepiej się dogadywały we dwie, a jednak została ze mną.

– Masz mądrą córkę i docień to. – Andrzej poklepał go po ramieniu. – Przyjdziecie jeszcze do mnie?

– Pewnie tak. A ty też powinienes przyjść. Do mnie, do szpitala. Na przykład jutro. Mam ranny dyżur, zaprowadzę cię na kardiologię. Nie lekceważ tego. – Patryk obrzucił go spojrzeniem lekarza. Teść był błydy, miał krótki oddech oraz duszności, które starał się ukrywać. – Nie wyglądasz mi zbyt dobrze, teściu.

– Ty też nie lepiej, zięciu.

Patryk nie wyglądał najlepiej i nie czuł się najlepiej. Praca, która jeszcze tak niedawno oferowała mu świetlaną przyszłość chirurga, teraz poszła w ką. Tak samo jak doktorat. W ogóle o nim nie pamiętał. Wszystkie jego myśli koncentrowały się wokół Anny. We dnie i w nocy. W pracy i po pracy. Nawet podczas operacji wymagających największego skupienia wciąż miał

ją przed oczami. Kiedy tylko mógł, włączał radio, licząc, że ją usłyszy. Co nie zdarzało się zbyt często, bo jako dyrektor firmy sporadycznie mówiła na antenie. Patryk nieustannie przeglądał jej zdjęcia w telefonie i w komputerze, snując wspomnienia. Za każdym razem odczuwał przytłaczający żal, że na własne życzenie wypuścił z rąk swoje największe szczęście. Brakowało mu jej obecności, ciepła, pocałunków, kochania się z nią. Teraz dręczyło go puste łóżko. Odliczał czas do spotkania z Anną. I od razu do niej tęsknił, gdy tylko wychodził z mieszkania przy Narutowicza.

Na Warmińską wracał niechętnie. Miał dość zboląłego głosu matki, przesiadującej tam codziennie. Gotowała, prała i robiła zamieszanie, a wszystko to razem go irytowało. Ojciec też go drażnił, bo choć stary doktor niczego nie komentował, jego oczy wyrażały więcej niż słowa, które nie padły. Tylko Majka sprawiała, że Patryk odzyskiwał względną równowagę. Odkrywał też, że teraz rozmawia z córką inaczej niż zwykle. Lubił te chwile, kiedy wreszcie zostawali sami i gadali o wszystkim i o niczym. Nawet żartowali. Zachowywali pozory normalności w nienormalnej sytuacji. Majka bardzo się starała, co też zauważał.

– Dlaczego ze mną zostałeś? – zapytał ją tego samego wieczoru, po wizycie u Bendorfa.

Oglądali telewizję w salonie. Z nogami na stoliku i prażoną kukurydzą do chrupania. Tak właśnie wyglądała większość ich wieczorów, kiedy nie miał dyżurów w szpitalu. Skakał po kanałach z pilotem w rękę, bez większego zainteresowania czymkolwiek.

– Bo tu jest większe mieszkanie – odpowiedziała, biorąc z miski garść kukurydzy. – Tata, włącz coś wreszcie, bo tylko w oczach mi miga.

– A tak poważnie? – spytał, po czym nastawił kanał Discovery.

– Bo umarłbyś z tęsknoty za mną – zachichotała z ustami pełnymi popcornu.

– Chodź do mnie, mała, przytul się. – Wyciągnął rękę w stronę córki.

– Tato, daj spokój, nie jestem już dzieckiem – jęknęła, ale zrobiła, co chciał.

Oparł brodę o czubek głowy córki, wtulonej w jego ramię. Majka pachniała szamponem oraz perfumami, których nie znał. Ciężki, orientalny zapach z nutką piżma i kamfory. Drapieżny, ale ciekawy.

– To od Marcina, ten zapach? – spytał zaciekawiony.

– Aha, Chloe. Podoba ci się?

– Ujdzie. Jak tam w szkole?

– Mam same pały, raczej nie zdam do klasy maturalnej. Ale i tak nie ma to znaczenia, bo dziś mnie wyrzucili za dragi i seks w szkolnej toalecie. Dlatego jesteś wzywany na dywanik do dyra. – Choć starała się mówić poważnie, to śmiech przykrył ostatnie zdanie. Patryk wiedział, dlaczego to robi. Chciała go rozbawić. Tak samo jak robiła to w minione wieczory.

– Aha, czyli w normie. – Pocałował ją w czoło.

Majka przestała chichotać i odsunęła się gwałtownie. Nawet w półmroku, rozświetlonym ekranem telewizora i słabą lampką, Patryk dostrzegł wyrzut w migdałowych oczach dziewczyny.

– Tato, obiecałeś. – W jej poważnym głosie zabrzmiała wyraźna nagana.

– Przepraszam, kwiatuśku. – Przesunął dłonią po policzku córki. – Wypiłem tylko dwa drinki.

To było jego panaceum na smutki. Nie pił dużo, ale pił, gdy tylko mógł sobie na to pozwolić. Z początku jawnie. Później, kiedy napotykał karcące spojrzenia Mai, robił to ukradkiem. Było mu nieswojo z tą infantylną konspiracją, ale nie mógł wyzbyć się swojej słabości. Ściślej, nie widział w niej nic złego. Trochę alkoholu na poprawę humoru, choć picie i tak nie pomagało. Może przez chwilę, kiedy paląca whisky, bez żadnych dodatków, przeciskała się przez gardło. Pił, aby się znieczulić i jakoś przetrwać ten czas, zanim wszystko wróci do normy, bo w to, że kiedyś wróci, zaczął maniackalnie wierzyć. Teraz kolejny raz został

przyłapany.

– Córcia, słowo, będę nad tym pracować. – Uniósł w górę dwa palce. – Zrobię to dla ciebie.

– Mylny trop, tato, zrób to dla siebie. – Majka pokręciła głową.

Długie włosy rozsypały jej się na ramionach, srebrne kolczyki w kształcie podłużnych łażek zadyndały synchronicznie w uszach. Tych kolczyków jeszcze nie widział. Pewnie kolejny prezent od Marcina, pomyślał mimochodem.

Odkąd Anna odeszła, chłopak Mai nie przychodził na Warmińską tak często jak wcześniej. Jednak na każdym kroku Patryk czuł jego obecność w życiu córki. Obecność w postaci podarunków, esemesów, telefonów, częstych wyjść Majki i późniejszych powrotów do domu. Nie wiedział, czy to na jej prośbę Marcin zrezygnował z codziennych wizyt, czy sam doszedł do tego wniosku. Najważniejsze, że wieczorami on mógł mieć córkę prawie na wyłączność. Gdyby z nim nie została, posypałby się jeszcze bardziej.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Majka poszła otworzyć. Kogo tam diabli niosą? Pewnie Marcin, Patryk skrzywił się niezadowolony. Po chwili wraz z charakterystycznym brzękiem butelek do pokoju wszedł Witek. Postawił na stole wypchaną po brzegi piwem torbę z logo Lidla. Mruknął coś na powitanie równie pośpiesznie jak wyglądał i rozchełstany zaległ na sofie. Miał na sobie wytartą skórzaną kurtkę i wyciągniętą koszulkę, wystającą niechlujnie z dżinsów. Przetluszczone włosy zlepiły mu się w strąki, na policzkach widać było niedogolony zarost.

– Napijesz się ze mną, Patras? – wymamrotał, już lekko wstawiony.

– Przy takiej okazji! – Patryk wyciągnął rękę do kumpla. – Gratuluję, stary. Wczoraj widziałem twoją małą. Słodziak z niej. Jak ma na imię?

– Daj mi spokój. – Tamten odtrącił jego rękę. – Lepiej przynieś szkło. Albo da radę i bez szkła.

Witek wyjął z siatki dwie butelki perły i otworzył je kapslem o kapsel. Piana pocięła mu po palcach aż na spodnie. Strzepnął na podłogę resztki z dłoni, otrząsnął nogawkę, przyłożył butelkę do ust i wlał w siebie połowę zawartości.

– Czyli pijemy na smutno. – Patryk sięgnął po drugą.

– Pijemy na ostro. Znajdź jakiś mecz. – Przyjaciół wskazał na telewizor.

– Na ostro nie da rady, kolego, rano idę do roboty. – Patryk nastawił kanał sportowy. – Ale ty, jak chcesz, to możesz na ostro. Jutro masz nockę. Najwyżej przekimasz się u nas. Jakaś zagrycha? Mogę zrobić kanapki. Z obiadu też coś jeszcze zostało. Chyba że zamówimy pizzę.

– Bez zagrychy. Zdrówko. – Stuknęli się butelkami przed ekranem.

– Tato... – Za ich plecami zabrzmiał ostrzegawczy głos Mai.

– Skarbie, no wiem – zaczął się tłumaczyć Patryk i znów dostrzegł jej karcące spojrzenie spod chmurnych brwi i zmarszczone czoło. Kolejny raz zrobiło mu się nieswojo. – To wyjątkowa okazja, bo jak wiesz, Witkowi urodziła się przedwczoraj córka, więc... – Nie dokończył, gdyż Witek eksplodował jak granat.

– Daj mi, do cholery, spokój z tą córką! Pojebało cię?! – Odstawił z trzaskiem butelkę na stolik i poderwał się na nogi. – To jeden wielki zafajdany błąd, a nie żadna córka! Wypadek przy pracy! Mogłem sobie zawiązać fiuta na supeł, zanim dotknąłem tej suki Goški! Kurwa, jak mogłem być takim idiotą?!

– Stary, opanuj się, co z tobą? Moje dziecko słucha – Patryk usiłował mitygować rozwścieczonego przyjaciela. Zszokowała go gwałtowna reakcja tamtego. – Maja, idź, proszę, do siebie – polecił, ale dziewczyna ani drgnęła. Obrzuciła Witka lodowatym spojrzeniem i odezwała się równie lodowato:

– Ja też jestem takim zafajdanym błędem, Witek, a moja matka to suka. Powiem ci tylko

tyle, że nawet taki pomiot ma uczucia. Coś o tym wiem, a teraz przepraszam, rzeczywiście pójde do siebie.

Zostali sami. Witek nadął policzki jak balony, brwi powędrowały mu do połowy czoła. Przysłonił twarz ręką.

– Chyba... przegiąłem? – spytał, wypuściwszy powietrze.

– Przegiąłeś, Brzeziński, ostro przegiąłeś.

## ROZDZIAŁ III

*...Mgła przykryła świat białą zasłoną. Zasłoniła przestrzeń nagich pól. W jej nieprzebranej gęstwinie słycać było tylko oddech i odgłos kroków na mokrej ziemi. Młoda kobieta biegła przez pole, rozgarniając mgłę jak firankę. Nie czuła zimna, choć ramiona miała obnażone, ani chłodu na bosych stopach, gdy tak brnęła po kostki w czarnym błocie. Czuła tylko strach. Wszeghorniająca trwoga zagubienia paraliżowała jej zmysły. Dlaczego biegnie boso, sama wśród mgły, dlaczego nic nie pamięta? Zupełnie jakby wymazano jej przeszłość. Upadła na kolana, zagarniając w dłonie mokrą ziemię. Błękitne oczy uniosła ku niebu. Rozpacz wypełniała jej serce. Wiedziała tylko, że kogoś szuka. Jeśli się odnajdziemy...*

To co? Anna zatrzymała ręce nad klawiaturą komputera. Co będzie dalej z tą kobietą, której nawet nie nadała imienia? Jest tylko wytworem jej wyobraźni. Wymyśloną postacią, która, choć kradnie noc, to pozwala przetrwać. Anna wstała i zaczęła spacerować po swoim dawnym pokoju, pogrążonym teraz w półmroku. Spółdzielcze dwanaście metrów zajmował niewielki regalik z szafą, mała rogówka i biurko pod oknem. Słabe światło lampki rzucało delikatną poświatę na twarz śpiącego dziecka. Obniżyła abażur, aby nie płoszyć lekkiego snu syna.

Odkąd wyprowadziła się z Warmińskiej, Adaś budził się w nocy częściej niż przedtem. Dlatego też spał w jej łóżku. Chciała mieć synka cały czas przy sobie, aby go utulić, kiedy szukał jej piersi, w której nie było już mleka. On też na swój niemowlęcy sposób przeżywał to, co zaszło. I Anna czuła się z tego powodu winna.

Tak samo jak czuła się winna za każdym razem, kiedy patrzyła w oczy córki. Maja przychodziła na Narutowicza dość często, jednak na ich dotychczasową zażyłość położył się wyraźny cień. Dziewczyna rozmawiała z nią, opowiadała o wydarzeniach ze szkoły czy z treningów, ale nie zwierzała się ze swoich sekretów tak jak dawniej.

Nocą Anna zostawała sama z własnymi myślami. Nie pozwalały zasnąć, były tak męczące i natarczywe, że musiała znaleźć dla nich ujście. Dlatego zaczęła powierzać je komputerowi. Odkryła, że pisanie jej pomaga, wycisza rozedrgane emocje. Przelewała więc kłębiące się chaotyczne myśli do laptopa aż po świt. Nie czuła zmęczenia, tylko ulgę. Wyimaginowany świat zaczynał interesować ją bardziej niż ten, w którym musiała żyć. Trudno było jej odejść, ale jeszcze trudniej ponosić konsekwencje odejścia.

Zabrała z biurka kilka wyschniętych kubków po smolistej kawie i ponownie pochyliła się nad komputerem. Delikatny dźwięk klawiszy tworzył dalszy ciąg historii, która powstawała w jej głowie. Dopiero po jakimś czasie spostrzegła, że bezimienna bohaterka tej opowieści przypomina ją samą. Miała jej lęki, obawy i rozdarte serce, czuła się zagubiona. Była nią, Anną, choć równie dobrze mogła być każdą kobietą na rozdrożu.

*Jeśli się odnajdziemy, posklejamy kawałki serca w całość i pozbieramy okruchy miłości, to...*

Pogrążona w pisaniu, nie spostrzegła, że od dobrych kilku chwil w otwartych drzwiach pokoju stoi matka.

– Aniu – szepnęła. – Jest piąta rano. Znowu nie zmrzyłaś oka.

Iwona Bendorf wróciła z Warszawy, gdy tylko dowiedziała się o przeprowadzce córki. Przeorganizowała pracę w stolicy, kierowanie firmą powierzyła tymczasowo koleżance, wzięła urlop i bez chwili namysłu przyjechała do Olsztyna. Nawet pączkujący związek ze Stefanem odsunęła na potem. Chciała być blisko córki, aby pomóc jej przynajmniej w opiece nad

dzieckiem. Nie czuła się uprawniona, by cokolwiek Annie sugerować czy radzić. Zwłaszcza że ta nie prosiła o radę.

– Nie pociągniesz na tym długo. – Matka wskazała na pełne fusów kubki i puste puszki po energetykach.

– Panuję nad sytuacją – odpowiedziała Anna, nie przerywając pisania.

– Chyba przestajesz panować. Nie chcę się wtrącać, ale...

– No to się nie wtrącaj – przerwała zniecierpliwiona Anna. Od jakiegoś czasu nawet tak niewinne uwagi wywoływały jej rozdrażnienie. Iwona wycofała się do kuchni.

Iwona też nie sypiała dobrze. I nie tylko Anna była tego powodem, ale również on, Andrzej. Od Wigilii, kiedy pojawił się w jej życiu niczym duch, nie zamienili ze sobą ani słowa. Nie zadzwonił do niej, nie przyszedł. Nie chciał rozmawiać o przeszłości, choć podświadomie liczyła, że przynajmniej będzie mogła spróbować mu coś wyjaśnić. Minęło prawie trzydzieści lat, odkąd ją zostawił, a nadal go kochała. Postarzał się, pomarszczył, posiwiał, ale dla niej wciąż był przystojny jak dawniej. Nawet bruzdy na policzkach ma takie piękne; rozmarzona Iwona przesunęła palcami po swojej zwiotczalej twarzy.

Widywała go przez okno, jak czekał na Annę. Odchodził natychmiast, kiedy ta przemykała obok niego obojętnie. Iwona stała wtedy za firanką, aby choć na niego patrzeć. Teraz też wyjrzała. Jeszcze go nie było. Umyła naczynia i z ostatnim papierosem wyszła na balkon.

– Mamo... – stanęła za nią Anna, owinięta cienkim pledem – przepraszam, że byłam niemila.

– Nie ma sprawy. – Iwona wciągnęła dym w płuca.

Stały zwrócone do siebie profilami, obie wsparte o żółte barierki. Niedzielny poranek leniwie budził się ze snu. Chłodny wietrzyk podrywał do tańca firankę, od północy nadszły deszczowe chmury. Anna owinięła się mocniej pledem. Iwona dopięła polar. Bez makijażu, z nieułożonymi włosami wyglądała starzej. Pasma siwizny przebijały na skroniach i czubku głowy. Anna zerknęła na nią z ukosa i zupełnie niespodziewanie dla siebie samej zapytała:

– Jaka ona była?

– Kto?

– Anna... moja matka. Masz jakieś jej zdjęcie?

– Nie. – Iwona nerwowo zgasła niedopałek, przyciskając go do barierki. – Dawno wszystkie zniszczyłam.

– Z nienawiści?

– Z nienawiści. Ale jeśli chcesz, to mogę ci o niej opowiedzieć.

– Nie, jednak nie. – Anna zamachała ręką. – Może kiedyś.

– Bardzo chciałabym ci pomóc. – Czułym gestem założyła córce włosy za ucho. – Nie wiem tylko jak.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Anna cofnęła głowę.

– Nie ze mną, prawda?

– Z nikim.

Była to prawda. Z nikim nie chciała dokonywać sekcji swojego małżeństwa. Tym razem sama chciała być dla siebie sędzią, adwokatem i prokuratorem. Nawet nie zastanawiała się, czy to słuszny wybór. Tak zdecydowała. Wiosenny chłód poranka sprawił, że przyszedł ją dreszcz. Cofnęła się do pokoju. Komórka zasygnalizowała nadejście wiadomości. Nawet nie musiała sprawdzać, od kogo. Wiedziała.

„Cześć, kotku, wyspałaś się? Ja już wstałem i szykuję śniadanie. O dziewiątej będę u Was. Pojedziemy na spacer do lasu. Maja do nas raczej nie dołączy, bo umówiła się z Marcinem. Ucałuj Adasia. Kocham Was. Patryk”.



– Mamo, jeśli nie masz pilnych tłumaczeń, to pojedę do pracy. Chcę też wpaść do Goški do szpitala. Patryk będzie o dziewiątej. Posiedzisz do tego czasu z Adasiem?

– Idziesz w niedzielę do pracy, bo przychodzi twój mąż? – Iwona bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Owszem – potwierdziła Anna i było to jedyne jawne wyznanie, na które sobie pozwoliła.

W drodze do radia zajechała do całodobowej apteki. Przy okazji wpadło jej do głowy spostrzeżenie, że Olsztyn stał się miastem aptek, banków, sklepów z chińszczyzną i dyskontów. Jakie czasy, takie sklepy, pomyślała, wciskając do torebki farmakologiczny erzac spokoju na nadchodzący tydzień. Tylko że dostępne bez recepty specyfiki i tak nie działały, choć próbowała wszystkich możliwych. Już dawno przestała wierzyć reklamom, zapewniającym, że nowa cudowna pigułka, która podobno ma to, czego nie mają inne, da jej cudowne wyciszenie, a nawet pozwoli odzyskać dawny optymizm, a jednak brała coraz więcej tych środków. Właściwie nie było dnia, by nie fundowała sobie owego koktajlu, aby jakoś wytrzymać i dotrwać do nocy, póki znów nie nadejdą kolejne kawałki jutra. Bo dla niej każde jutro składało się właśnie z kawałków. Coraz mniej było rzeczy, które ją cieszyły. Już nie pamiętała, kiedy tak naprawdę szczerze się uśmieła. Owszem, przyklejała na twarz sztuczny uśmiech, gdy Adaś robił zabawne minki przed lustrem albo się do niej przytulał, ale nic więcej. Dziś też zaraz oszuka duszę tabletkami, gdy tylko dojedzie do radia. Może tam, w prawie opustoszałym w niedzielny poranek budynku, zyska choć odrobinę ukojenia.

– Aniu – usłyszała za plecami jego głos, ledwo wysiadła z samochodu. – Porozmawiaj ze mną, córeczko. O nic więcej nie proszę.

– Człowieku! – Odwróciła się gwałtownie. Stał przed nią Bendorf, zmizerowany, wychudły, z nieodłącznym psem przy nodze i nadzieją w piwnych oczach. Mógł nawet wzbudzać litość, ale nie w niej. Co on tu w ogóle robi o tej porze?! Jasnowidz zakichany! Fałszywiec przebrzydły! – Jeśli jeszcze raz zobaczę cię na swojej drodze, to zawołam policję i powiem, że mnie prześladujesz! Daj mi spokój raz na zawsze!

Tak niezręcznie machnęła niezapiętą torebką, że cała zawartość wysypała się na chodnik. Bendorf rzucił się, by pomóc jej zebrać opakowania z lekarstwami.

– Jesteś chora? – spytał przejęty, czytając nazwy na pudełkach.

Wyrwała mu je z ręki i umknęła rozdygotana. Chciała jak najprędzej zaszyć się w ciszy swojego gabinetu. Uciec w wymaginowany świat, który opisywała. Wyłączyła też komórkę, aby nic nie płoszyło wymyślonej historii.

*...wzniesiemy się nad światem i polecimy ku wieczności. Poszybujemy w przestrzeniach chmur, silniejsi niż śmierć...*

Śmierć? Dlaczego śmierć przyszła jej do głowy? Boże, zaczynam chyba wariować, zreflektowała się, ale zostawiła ostatnie zdanie. Pograżona w ciszy pisała aż do czasu, gdy głowa zaczęła jej się kiwać nad komputerem, a powieki zrobiły się ciężkie. Ocknęła się przed dwunastą. Potrzebowała kilku sekund, żeby sobie przypomnieć, gdzie jest. Rozejrzała się po gabinecie, porządkując przebudzone myśli. Goška. Miała jechać do Goški. Potarła palcami skronie.

Nie kontaktowała się z przyjaciółką od dnia, gdy ta urodziła dziecko. Goška też nie dzwoniła. Dziś porozmawiam z nią jeszcze raz, postanowiła Anna. Może jak w końcu zobaczyła córeczkę, to zmiękła? Przecież to małeństwo jest takie bezbronne, tak potrzebuje miłości; rozczuliła się na wspomnienie dziewczynki w samym pampersie. Ubranka, zaświtała jej nagła myśl. Przecież mała potrzebuje ubranek. Po Adasiu zostało tyle rzeczy, że teraz może je nosić inne niemowlę.

Dlatego w drodze do szpitala zajechała na Warmińską. Od przeprowadzki była tu tylko

dwa razy. W pierwszym odruchu wyszperała z torebki klucze, lecz po chwili wahania nacisnęła dzwonek. Otworzyła jej Maja, w stroju do jazdy konnej. Chrupała jabłko.

– Cześć, Maju – przywitała ją ciepło Anna. – Przyjechałam po ubranka dla córeczki Małgosi.

– Nie musisz się tłumaczyć. – Dziewczyna przepuściła ją w drzwiach.

– Jesteś sama?

– Tak. Zaraz przyjdzie Marcin. I babcia Mira, żeby ugotować obiad.

– A może pojedziesz ze mną do szpitala? Zobaczysz malutką.

– Mam inne plany.

Anna weszła do sypialni. Wyczuła zapach perfum Patryka, zobaczyła krzywo zaścielone łóżko i coś ją zakłuło w serce na wspomnienie chwil dobrych oraz złych, które spędziła w tym miejscu. Pilnowała oczu, żeby nie rozglądać się po mieszkaniu. Skoncentrowała całą uwagę na segregowaniu ubranek z komody. Wszystkie były poprane i nadawały się idealnie dla następnego maluszka. Trzymała je z sentymentu. Maja stanęła przy niej, ale nic nie mówiła.

– Masz do mnie żal, prawda? – zapytała Anna z głową pochyloną nad ubrankami. Nie miała odwagi patrzeć na córkę.

– Nie, chyba nie żal, tylko... – odrzekła z namysłem dziewczyna – jestem trochę... rozczarowana, bo pozwoliłaś mi uwierzyć w coś, co trwało tak krótko.

Co mogła na to powiedzieć? Że przeprasza? Że jej przykro, że takie rzeczy się zdarzają? A może nie wystarczy jej argumentów, aby przekonać córkę do swoich racji? Może rzeczywiście, jak powiedziała Mira, jest wyrafinowaną egoistką? Rozstanie to nie tylko sprawa męża i żony. Dotyczy też dzieci i to jest w nim najtrudniejsze. Dużo trudniejsze, niż się wydawało. Westchnęła ciężko, wychodząc z mieszkania po chłodnym „cześć” rzuconym przez Maję. Przed wejściem do kamienicy wpadła na Mirę.

– No i cóż? – Teściowa automatycznie ściągnęła usta w ryjek. – Wytykałaś mi błędy, a sama niszczysz życie nie tylko mojemu synowi, ale też wnukom. Jesteś z siebie zadowolona? – zapytała jadowitym tonem.

– Przepraszam. – Wyminęła bokiem wyelegantowaną matkę Patryka. Cukierkowy róż kostiumiku teściowej nie pasował do zaciętego wyrazu twarzy Miry i niechęci w jej oczach.

Pojechała do szpitala z jeszcze większym poczuciem winy niż to, które i tak ją dręczyło.

Wczesnym popołudniem przez oddział położniczy przewalały się tłumy. Gwar rozmów, duchota, popłakiwanie dzieci i położne biegające między salami dopełniały zamieszania.

Anna weszła do żółtej sali, gdzie uprzednio leżała Małgosia, ale jej łóżko zajmowała już inna pacjentka. Karmiła noworodka piersią, a obok siedział grubawy mężczyzna. Zajrzała do sąsiedniej, pomalowanej na kolor wrzosu. Tam też nie znalazła Małgośki.

– Nie ma jej tu – usłyszała obok siebie głos teścia.

– Tato, co ty tu robisz? – spytała zaskoczona.

– Marek ma teraz pilne cięcie. Chodźmy do jego gabinetu. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać, bo tutaj jest zbyt głośno. – Profesor Terliński ujął Annę pod rękę i poprowadził do pokoju ordynatora na końcu korytarza. – Usiądź, proszę. – Wskazał niewielką sofę przy ścianie. Odcinała się czarną plamą na tle wszechobecnej bieli niewielkiego pomieszczenia. Usiadła, a ojciec Patryka zajął miejsce obok niej. Biały fartuch, biała koszula oraz posiwiałe włosy sprawiały, że wtapiał się w barwę ścian gabinetu. Anna tonęła w czerni na czarnej sofie. Profesor trzymał w ręku jakiś papier. – Przyjechałem, bo Marek mnie o to prosił. Jesteśmy w dość... niezręcznej sytuacji. – Zawiesił głos. – Otóż Małgosia wczoraj rano wypisała się ze szpitala na własną prośbę.

– Co?

– Zostawiła oświadczenie, w którym zrzekła się wszelkich praw do dziecka. Tu mam ten dokument. – Uniósł kartkę. – W takiej sytuacji szpital od razu powinien zawiadomić opiekę społeczną o porzuconym dziecku, aby dziewczynka mogła trafić do adopcji. Marek, na moją prośbę, jeszcze z tym zwleka, bo Witek jest jego, naszym – poprawił się – kolegą. Problem w tym, że od piątku nie ma z nim kontaktu. Wziął urlop na żądanie i zniknął. Możemy poczekać do poniedziałku, najdalej wtorku, ale nie dłużej. Dziecko musi mieć prawnych opiekunów, takie są procedury. – Rozłożył bezradnie ręce.

Anna przycisnęła dłonie do twarzy. Ciskała w myślach gromy na Małgoškę. W jednej chwili poczuła do niej odrazę. Wybór, którego dokonała przyjaciółka, stał się nagle w jej oczach nie aktem odwagi, ale zwyczajnym barbarzyństwem.

– Nie czekajcie do wtorku. – Anna wstała. – Witek też nie chce tego dziecka. Dlatego zwiął. Tak samo jak Goška.

Nie chciała tu dłużej zostać, bo i po co? Co jeszcze miała powiedzieć temu dobremu, serdecznemu człowiekowi, który teraz siedział zamyślony, podpierając policzek palcem. Przed drzwiami zatrzymała się jednak.

– Ty też mnie... potępiasz, że zostawiłam twojego syna? – zapytała zwrócona plecami do starego doktora.

Słyszała, jak ojciec Patryka wstał i ruszył w jej stronę.

– Nie, nie potępiam. – Objął ją ramieniem. – Ani ciebie, ani Małgosi, choć po ludzku trudno mi się z tym wszystkim pogodzić. Pogubiliście się, moi drodzy. Wszyscy się strasznie pogubiliście, ale tak to już jest, że podróże w głąb siebie bywają najtrudniejsze. Nie tylko dla tego, kto w nie wyrusza.

Co zyskam, kiedy odbędę tę podróż? Co będzie na końcu tej drogi? Spokój czy wieczna zgryzota? A co zyska Goška albo jej niechciane dziecko, myślała, idąc niespiesznie przez szpitalny hol. W powietrzu unosił się mdły zapach obiadu. Z poszczególnych sal dolatywały zachwyty rodzin nad tym czy innym noworodkiem. Jedno i drugie drażniło Annę. Ubranka. Przystanęła na schodach. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że w rękę trzyma siatkę. Zawróciła na oddział noworodków.

Przy inkubatorze dziewczynki zobaczyła pielęgniarkę, której nie знаła. Kobieta przełączała coś na monitorze. Córeczka Małgosi już nie leżała w samym pampersie. Na główce miała żółtą czapczkę, a na nóżkach zielone skarpetki, sięgające aż po kolanka. Z podwiniętych rękawków kaftanika wystawały zaciśnięte piąstki.

– Dzień dobry – Anna przywitała się półgłosem. – Przyniosłam ubranka dla malutkiej, ale, jak widzę, chyba niepotrzebnie.

– Dzień dobry – odpowiedziała czarnowłosa kobieta w różowym fartuchu, na oko starsza od Anny. – Pani jest kimś z rodziny?

– Nie, to znaczy tak jakby. Jej mama to moja przyjaciółka. Nazywam się Anna Terlińska.

– Aaaa, żona naszego doktora. Niech pani zostawi te ciuszki, przydadzą się. Jedna z dziewczyn od nas niedawno urodziła i przyniosła po swojej córce parę drobiazgów dla naszej Grażynki. – Pielęgniarka spojrzała z czułością na maleństwo.

– Grażynki? – zdziwiła się Anna.

– Tak ją tu nazywamy, bo urodziła się na Grażyny.

Nagle dziewczynka otworzyła oczka. Anna po raz pierwszy je zobaczyła, były granatowe i ogromne jak na maleńką buzię. Nie miała pewności, ale ich kształt przypominał oczy Witka. Za to ostrą, wykrojoną w serduszko bródkę odziedziczyła po Małgosi. Dopiero teraz zauważyła, że Grażynka ma jasne włoski, wystające spod czapczki. Skóra maleństwa nie była już tak żywoczerwona jak wtedy po porodzie. Pielęgniarka wyszła, mówiąc, że za chwilę wróci.

Grażynka ziewnęła. Wyglądała przy tym tak rozkosznie, że Anna zapragnęła jej dotknąć. Już wsuwała dłoń przez otwór inkubatora, kiedy usłyszała głos Witka.

– Umyłaś ręce?

– Znalazłeś się. – Odwróciła się w jego stronę.

Stał w drzwiach, na jego czarnej kurtce perlily się kropelki deszczu. Wilgoć posklejała mu końcówki włosów. Na zazwyczaj starannie wygolonej twarzy teraz miał kilkudniowy zarost. Jego oczy były wyraźnie przekrwione. Wyglądał, jakby od dawna nie spał ani się nie mył.

– Nigdzie się nie zgubiłem, tylko uciekłem. – Wzruszył ramionami.

– Wiesz już o Goście?

– Wiem.

Poszedł do inkubatora i przesunął palcem po karcie informacyjnej zaczepionej na ciepłarce, dokładnie po nazwisku „Gadomska”. Wyglądało to tak, jakby chciał je zmasać. Do sali wróciła pielęgniarka.

– Oooo, nasza Grażynka ma dziś gości – odezwała się zaskoczona. – Dzień dobry, panie doktorze.

– Jaka Grażynka? – zapytał tak samo zdziwiony jak kilka minut wcześniej Anna.

– Tak ją nazywamy, bo urodziła się na Grażyny – jeszcze raz wyjaśniła pielęgniarka.

– Amelka – oznajmił zdecydowanym tonem. – Moja córka nazywa się Amelka Brzezińska. Proszę dokonać zmiany w karcie.

Boże co za ulga! Anna przyłożyła rękę do piersi. Witek przykucnął obok inkubatora. Przycisnął rozpostarte palce do szyby na wysokości buzi córeczki. Twarz mu złagodniała i nawet zamajaczył na niej cień czułości.

– Może pan przez chwilę pokangurować córeczkę – zaproponowała pielęgniarka.

– Co zrobić? – spytał zdumiony.

– Położyć ją sobie na piersi – wyjaśniła, przykładając ręce do biustu. – Tak, żeby czuła ciepło pana skóry. Amelka bardzo tego potrzebuje, a piersi ojca jest tak samo ważna jak piersi matki.

Wstał z kucek i myślał nad czymś chwilę. Znów wyglądał jak dawny Witek. Nie tylko złagodniał, ale też jak gdyby w jednej chwili stał się młodszy. Przeczesał ręką włosy i pstryknął palcami; na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Potrzebuję łazienki, golarki, środka do dezynfekcji – wyliczał podekscytowany – zresztą dziewczyny z dyżurki mi pomogą. Zaraz wracam.

Rzeczywiście, nie trwało to dłużej niż chwilę, kiedy wrócił rozebrany od pasa w górę. Na obnażonym torsie widniała szeroka wstęga wygolonego owłosienia. Pielęgniarka zachichotała cichutko. Anna też tłumiała śmiech. Gdyby nie to, że należało tu zachować względną ciszę, roześmiałyby się w głos. Po raz pierwszy od tygodni miała ochotę się śmiać.

– No co? – rzucił przejęty. – Piersi kobiet są przecież gładkie. Amelka nie może się pokłuć o moją sierść.

Usiadł wygodnie na krześle, a pielęgniarka wyjęła dziecko. Było mniejsze niż przedramię Witka. Położyła mu zwiniętą w kuleczkę dziewczynkę na torsie, pokazała, jak ją trzymać, i wyszła.

Z początku siedział sztywno, kiedy trochę niezręcznie po raz pierwszy miał w ramionach swoją córeczkę. Mikroskopijny człowieczek na piersi rosnącego mężczyzny wyglądał tak rozbijająco, że Anna pstryknęła im obojgu zdjęcie komórki. Amelka miauknęła; leżała z główką przytuloną do wygolonego pasa na torsie Witka.

– O kurczę – szepnął poruszony. – Jakie to... miłe. – Powolutku zaczął się rozluźniać. Zbliżył usta do żółtej czapeczki i zsunął ją odrobinę, tak aby pocałować główkę dziecka. – Jak

ona ślicznie pachnie. W ogóle jest... śliczna. A jakie ma mikrusie paznokietki, popatrz, Anka. – Ujął delikatnie piąstkę małej. – Kiedyś będzie je malować. Cholera, chyba zaraz będę... ryczał. – Głos mu zadrżał niebezpiecznie.

– Nie przeklinaj przy dziecku, tatusiu – upomniała go żartobliwie Anna. Poglądziła ciepłą nóżkę dziewczynki. Była delikatniejsza niż aksamit, musiała ją pocałować.

– Powiedz jeszcze raz to „tatusiu”, żebyśmy się wczuli w rolę. – Witek zrobił rozanieloną minę.

– Romantyk. Pójdę już, nie będę wam przeszkadzać... tatusiu.

Była już na korytarzu, gdy usłyszała, jak Witek rozmawia z córeczką. Przystanęła przed drzwiami, ukryta za ścianą, żeby posłuchać.

– Wiesz, ciotka Anka ma rację. Majka zresztą też. Jestem gnojem... sorry, zapomniałem, że nie mogę przy tobie przeklinać. – Usłyszała cmoknięcie. – Jak zrobię to jeszcze raz, to możesz mnie strzelić w ucho. W każdym razie stchórzyłem i dałem nogę. A ty leżałaś tu sama. Strasznie mi... wstyd. Bardzo cię za to przepraszam, maleńka. Już nigdy nie zostaniesz sama. Będziesz miała mamę i tatę w jednym, ale to nic. Damy radę, zobaczysz, jaki duet z nas będzie. Ty i ja. Ja i ty. Prawda, że super? Hej, Ameluś... śpisz? Śpisz. No to miłych snów, mój kurczaczku, jeszcze chwilę cię potrzymam i trochę sobie pogadam. Jak podrośniesz, nauczę cię jeździć na rowerku, grać w piłkę albo w karty, albo w co tam będziesz chciała...

Nie słuchała więcej. Będziesz dobrym ojcem, nawet nie przypuszczasz jak dobrym, przyjacielu.

## ROZDZIAŁ IV

Gośka nie dawała znaku życia, zupełnie jak kiedyś. Za to Witek żył jak nakręcony. Latał po urzędach i załatwiał formalności, by uzyskać prawo do opieki nad dzieckiem. Każdą wolną chwilę spędzał z córeczką, w przerwach między zabiegami oddawał się kangurowaniu. Czekał tylko, aż mała przybierze na wadze, aby mógł zabrać ją do domu, co według ostrożnych opinii neonatologów miało nastąpić w połowie maja.

Tak jak u niego zmieniło się niemal wszystko, tak u Anny nic się nie działo.

Wciąż tkwiła w niemocy. W wypłataniu się z tego nie pomagał jej ani Bendorf, który wciąż krążył w pobliżu, ani Patryk, który nie zamierzał jej uwolnić od swojej obecności. Teraz też przyszedł na Narutowicza. Matka wyjechała na dzień do Warszawy, zapowiadając, że niedługo skończy jej się urlop i będzie musiała wrócić na dobre do stolicy. Adaś drzemał po obiedzie, a Patryk wymieniał uszczelkę w kranie, choć nikt go o to nie prosił.

– Wiesz – mówił znad skrzynki z narzędziami. – Witkowi zupełnie odwaliło. Tylko o Amelce gada w pracy. Wczoraj jak robiliśmy razem guza trzustki, to nawet już wakacje planował. Właściwie to my też powinniśmy pomyśleć o wakacjach, bo lipiec za pasem. Pojedziemy wszyscy do Włoch, tak jak chcieliśmy. Jutro poszukam jakichś ciekawych ofert. No i paszport Adasiowi musimy teraz wyrobić, bo potem będą kolejki. A w niedzielę porywam cię do teatru. Udało mi się zdobyć bilety na premierę. Umówiłem też przegląd twojej toyoty na jutro, bo sprawdziłem, że ten jest ważny jeszcze tylko przez tydzień. Odstawię ją na warsztat z samego rana. Jak chcesz, to możesz wziąć do pracy volvo, żebyś nie musiała jechać autobusem...

Mówił i mówił, zupełnie oderwany od rzeczywistości. Jakby prócz oddzielnego mieszkania nic się nie zmieniło w ich życiu. Boże, jak to możliwe, że on nadal niczego nie rozumie albo udaje, że nie rozumie, myślała skołowana. Siedziała na taborecie zapatrzona w kuchenne okno. Wychodziło na park. Przez mleczne chmury przebijało słońce, gdzieś tam zamajaczył kawałek błękitu. Przy parkowym stawku dreptało stado kaczek. Anna podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Jej wzrok powędrował do kolorowych tulipanów, które dziś przyniósł Patryk. Wczoraj dostała żonkile. Przedwczoraj przysłał do radia róże. Zaczęła ją dusić ta natrętna adoracja, chciała się wreszcie od niej uwolnić, zyskać swobodną przestrzeń, bo jeszcze chwila, a zwariuje.

– Nie przychodź tu więcej – przerwała wartki potok słów męża. Chrobot klucza o kran nagle ustał.

– Co? – spytał Patryk, jakby rzeczywiście nie zrozumiał.

– Mówię, żebyś tu więcej nie przychodził – powtórzyła dobitnie. – Nie zasypuj mnie kwiatami i telefonami. Nie planuj mojego życia, nie kontroluj mnie, bo to wszystko już było – mówiła, wciąż zapatrzona w okno.

Powoli usiadł na drugim taborecie. W jego ciemnych oczach odmalowało się niedowierzanie, usta miał półotwarte.

– Dlaczego nam to robisz? – wyszeptał. – Przecież obiecywałem ci, że się zmienię. Jak mam cię przekonać, żebyś wreszcie mi uwierzyła?

– Zatrueś naszą miłość nieufnością, więc nie oczekuj, że tak łatwo uwierzę w kolejne zapewnienia. Mam wrażenie, że ciągle oddycham tamtym powietrzem. Jak mogę w spokoju zastanowić się, co dalej, skoro nie dajesz mi na to żadnych szans?

– Kotku... zrobię wszystko, co chcesz, ale błagam, daj mi tę szansę. – Położył rękę na jej

splecionych dłoniach. – Nie wytrzymam bez ciebie dłużej.

– A ja nie wytrzymam dłużej twojego udawania, że nic się nie stało. – Anna cofnęła ręce i mówiła z oczami utkwionymi w okno: – Ciągniemy tę farsę od miesiąca i jestem już zmęczona. Dlatego od teraz będziemy się kontaktować tylko w sprawach dzieci, dopóki sama sobie wszystkiego nie poukładam. Możesz zabierać Adasia, kiedy chcesz, nawet na noc, ale nie przesiaduj tu pod byle pretekstem. Nie przysyłaj mi kwiatów, nie wysyłaj esemesów, bo tylko mnie dręczysz. Nie doprowadzaj do tego, żebyśmy musieli ustalać zasady separacji w sądzie, bo tak się to skończy. A teraz idź już. Daj mi wreszcie od siebie... naprawdę odpocząć.

Znieruchomiał na chwilę. Potem nagle wstał i wyszedł. Słyszała, jak tłukł się po dziennym pokoju matki. Szurał krzesłem, coś przekładał, czymś szeleścił. Wreszcie wrócił.

– Dobrze – powiedział zrezygnowany. Niedawno słyszała już owo „dobrze”, brzmiało dokładnie jak teraz. Drugie przyzwolenie na jej decyzję. – Skoro chcesz mnie objąć kwarantanną, to przeprowadzę się do Witka na jakiś tydzień, może dwa, chyba tyle czasu ci wystarczy? A ty wróć z Adasiem do domu. Nie zakłócaj dzieciom stabilizacji. Adaś nawet nie ma tu swojego łóżeczka.

– Bo nie pozwoliłeś go zabrać – wypomniała mu. – Nie pamiętasz już, jak musiałam wymykać się ukradkiem? Nie, Patryk, dłużej nie dam sobą sterować. Zostajemy tutaj. Idź już.

– Kotku... – Ujął oburącz jej twarz. – Błagam, wróć do mnie. Kocham cię do szaleństwa.

– Idź, bo zacznę krzyczeć.

Została sama. Połknęła tabletkę i aby uspokoić rozdygotane nerwy, wzięła się do roboty. Pucowała wyczyszczone przez matkę mieszkanie, aż do zmęczenia. Rozprawiła się też z praniem, prasowaniem i obiadami na kilka dni, które pomroziła. Dopiero kiedy usiadła przed komputerem, aby wrócić do swojej bezimiennej bohaterki, jako tako odzyskała wewnętrzną równowagę.

Tymczasem Patryk jechał do domu jak pijany. Dopiero teraz dotarło do niego to, przed czym z takim uporem bronił się od tygodni. Czego w ogóle do siebie nie dopuszczał. Zrozumiał, że naprawdę traci Annę. Potężny ryk wściekłości wypełnił wnętrze samochodu. Jakiś przechodzień na pasach, przed którymi stanął, musiał go usłyszeć, bo popukał się w głowę.

– Zjeżdżaj, palancie – warknął Patryk.

Ruszył gwałtownie, ledwo dostał zielone światło. Kusila go myśl, żeby pojechać do Andrzeja, zalać się jak świnia i paść pod stół. Ale Maja, w domu czeka Maja. Skręcił w Warmińską.

W domu, zamiast córki, zastał warczącą odkurzaczem matkę i ojca, który czytał coś, siedząc w fotelu. Przeciągłe wycie maszyny wwiercało się w mózg. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Patryka. Z impetem nadepnął wyłącznik odkurzacza.

– Czy za każdym razem, jak przychodzę do domu, to akurat musisz tu robić takie zamieszanie? – szorstko potraktował Mirę. – Sam potrafię odkurzać. Maja u siebie?

– Dzień dobry, syneczku. – Mira pogładziła go po policzku. Odchylił głowę. Nie znosił takich gestów ze strony matki. – Będzie ze dwie godziny, jak wyszli z Marcinem na konie. Wcześniej zjedli całą miskę pierożków z mięskiem. Możesz być dumny z Mai, poprawiła chemię na piątkę. A teraz odpocznij, synku, tobie też zaraz odgrzeję. – Mira zawróciła do kuchni, z furkotem rozkloszowanej spódnicy w pepitkę.

– Nie jestem głodny – burknął niegrzecznie.

Wyciągnął się na sofie w salonie, wpatrzony w sufit. Mało go obchodziło, że matka chyba wyczyściła ją jakimś środkiem na mokro, bo czuł wilgoć pod plecami. Irytowało go brzęczenie garnkami w kuchni i grający telewizor. Jazgotał serialem o jakiejś durnej modzie na sukces, który matka oglądała. Wyłączył odbiornik.

– A może choć zupki zjesz, synku? – zapytała z troską Mira. – Ugotowałam twój ulubiony krupnik.

– A może jeszcze pieluchę mi zmienisz? – spytał z ironią. – Przestań mnie wreszcie traktować jak dzieciaka! – wybuchnął rozsierdzony tym nadskakiwaniem.

Ojciec wciąż milczał. Z fotela, w którym siedział z nogą założoną na nogę, dochodził tylko szelest gazety.

– No widzisz, Pawle, widzisz? – Mira uderzyła w wysokie tony. – Do czego doprowadziła naszego syna twoja ukochana synowa! A tak zapewniała, że dla niej rodzina jest najważniejsza, i co? Sama ją rozbiła, fałszywa hipokrytka!

Profesor cmoknął z dezaprobatą, a Patryk wstał z kanapy i ostro osadził matkę.

– Jeżeli jeszcze raz powiesz coś takiego o Annie – cedził powoli z palcem przy twarzy Miry – to nigdy więcej nie będziesz miała wstępu do mojego domu.

– Ależ synku! – zapięła świętym oburzeniem i wyrecytowała z ręką przyciśniętą do różowej bluzki: – Mówię tylko prawdę. Ona nie jest ciebie warta, skoro nie doceniła, jaki skarb jej się trafił. Taki mężczyzna, jak ty, może mieć każdą kobietę...

– Ani słowa więcej! – przerwał matce. – Albo będziesz szanowała moją żonę, albo z nami koniec. I zacznij wreszcie żyć własnym życiem. Moim już wystarczająco się nażyłaś. Mam tego po grdykę! – Przesunął palcem po szyi. – A ty? No, powiedz to wreszcie! – zwrócił się do ojca. Jego stoicki spokój jeszcze bardziej go podkreślał. – Powiedz to przekłete: „a nie mówiłem”!

– Pawle! – Mira dołączyła się do syna. – Odłóż wreszcie tę gazetę! Czy nie widzisz, co się dzieje z naszym dzieckiem?!

– Nie widzę tu żadnego dziecka. – Niewzruszony ekspresją żony i syna profesor uniósł głowę znad płachty papieru. – Widzę trzydziestosiedmioletniego mężczyznę i nie mam zamiaru rozwiązywać za niego jego problemów. Chociaż... – Terliński senior myślał nad czymś przez chwilę, potem odłożył dziennik, wstał, wsunął za pasek wystającą koszulę. – Usiądź, proszę, synu. – Wskazał miejsce po sobie.

Patryk zdumiał się, ale usiadł. Ojciec stanął przed nim niczym nauczyciel przed uczniem. Nawet przybrał postawę mentorską, na zmianę unosił się i opadał na stopach. Patryk utkwiał wzrok gdzieś na wysokości jego kołnierzyka pod pasiastym krawatem. Ojciec wyglądał tak samo jak dawno temu, kiedy nie podnosząc głosu, nie mówiąc już o ręce, upominał go, gdy on, Patryk, coś przeskrobał.

– Ustaliliśmy kiedyś, że więcej podobnej rozmowy nie odbędziemy, ponieważ uwłaczałoby to nam obu – zaczął profesor, złączywszy ze sobą opuszki palców. – Jestem, jak wiesz, konsekwentny. Nie mam też zamiaru mówić ci „a nie mówiłem”. Gorzka satysfakcja to żadna satysfakcja. Dlatego oszczędzę nam tego. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to tylko to – dodał i... pogładził syna po głowie.

Najpierw delikatnie, a potem mocniej i mocniej. Od czoła aż po czubek głowy. Naciągał mu przy tym skórę, niemal do wytrzeszczu oczu jedynaka. Patryk uchylił się zniecierpliwiony.

– Co ty robisz? – Odepchnął rękę ojca. – Głaszczesz mnie?

– Tak. Nie podoba ci się to? – Stary doktor nie przerywał owej dziwnej pieśczoły, która jego żonę wprowadziła w zaskoczenie. Mira gapiowato rozchyliła wargi.

– Nie. Przestań, do licha! – Patryk jeszcze raz odtrącił upartą rękę ojca, wędrującą rytmicznie po jego głowie.

– Co czujesz? – zapytał pan Paweł.

– Wkurza mnie to – odpowiedział jego syn zgodnie z prawdą. – Kpisz sobie?

– Właśnie to usiłujesz zrobić z Anną. – Ojciec wyjaśnił mu cel swojego eksperymentu. – Chcesz ją zagłaskać, wbrew jej woli. Dalsze wnioski wyciągnij sam.



– Jak możesz stawać po jej stronie, Pawle?! – zawołała oburzona Mira.

– Idziemy do domu, moja droga. – Profesor podał żonie żakiet. – Nie pozwól, abym żałował, że przed laty nie zdobyłem się na krok, który poczyniła moja synowa. Widocznie byłem zbyt wygodny lub za mało odważny.

– No wiesz? – Oburzenie profesorowej nie mogło być większe. – Nie spodziewałam się tego usłyszeć od ciebie po czterdziestu latach małżeństwa!

Patryk nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ojciec potraktował go jak smarkacza. Kiedy został sam, nalał sobie whisky i wychylił całą porcję za jednym zamachem. W niespełną godzinę, po kilku dolewkach, był już wstawiony. Półożąc na kanapie przed wyłączonym telewizorem w ciemnym pokoju, zatopiony w czarnych myślach, nie usłyszał szeptów w korytarzu. Drgnął, dopiero gdy rozbłysło światło.

Wróciła Maja, a z nią... skrzywił się na widok chłopaka córki. Po jasny gwint przyłazł tu dziś ten... długopióry weterynarz. A nie, obciął włosy, dostrzegł zamglonym wzrokiem. Może mu ten orli nos zoperuję, bo wygląda jak... dziobak. Patryk usiadł, nie bez trudu, ale nie zdążył schować whisky. Majka od razu ją zobaczyła i sposepniała.

– Stajnia z wami przysłała – usiłował żartować, ale nie trafił, bo twarz córki nadal była pochmurna. – Chodźcie, dzieciaki. Jak wam dziś szło? Dopilnowałeś, żeby nie spadła z konia moja księżniczka?

– Dopilnowałem, panie doktorze – odpowiedział chłopak z wcale nie tak ogromnym nosem. Marcin stał w progu, niepewny, czy ma wejść, czy wyjść. To zsuwał z ramienia sportową torbę, to ją poprawiał. – Dostaje pod siodło spokojne konie. Dlatego przychodzimy wcześniej, żeby wybrać te najlepsze. Maja – zwrócił się ciszej do dziewczyny – ja już chyba będę leciał. Pogadamy z twoim tatą innym razem.

– Tak będzie lepiej – przyznała, nie odrywając wzroku od butelki. – Idź, zadzwonię jutro.

Idź, idź, nikt cię tu nie trzyma. Patryk ucieszył się w duchu, kiedy „dziobak” zniknął za drzwiami.

– Chodź do tatusia, księżniczko, przywitaj się ładnie. – Podeszedł do córki lekko chwiejnym krokiem, z rozłożonymi ramionami. A Maja rzuciła kurtkę na podłogę, przemknęła obok niego, wyjęła z barku drugą szklankę i nalała whisky.

– Twoje zdrowie, tato!

Nim zdążył zareagować, wypita do dna.

– Dzieciaku, co ty robisz?! – krzyknął głośniejszym głosem, niż zamierzał. – Odstaw to natychmiast!

– Nie mam zamiaru! – odparła wykrzywiona. Wzdrygała się przy tym raz po raz. – Od teraz będę piła razem z tobą! Jeszcze po jednej?

Patryk potrzebował chwili, by odzyskać władzę w nogach. Jednym skokiem znalazł się przy córce i zabrał jej danielsa.

– Jeśli zrobisz to jeszcze raz, to... – Nie dokończył formułować groźby, gdyż Maja przerwała mu rozwścieczona.

– To co?! No co mi zrobisz?! Nakrzyczysz na mnie?! Do kąta postawisz?! Klapsa przyłożysz?! Obiecywałeś, że nie będziesz pił, i co?! Ile są warte twoje obietnice?! Jedno wielkie nic! Wiem, że piłeś wcześniej, ale teraz przeginasz! Tato, ja już przez to przechodziłam! Przez tamte dwa lata w Poznaniu nie widziałam nic innego, tylko picie i bicie! Myślałam, że wreszcie się od tego uwolniłam! Że już nigdy więcej tego nie będzie, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma tu mamy, a ty... – Nie dała rady wykrzyczeć więcej, bo się rozplakała.

Wytrzeźwiał od razu. Poczul się, jakby ktoś przywalił mu lewym sierpowym prosto w głowę. To była kolejna lekcja, którą dziś dostał. W tym momencie coś w nim pękło. Zapragnął wziąć córkę w ramiona i za wszystko przeproszać, ale tak śmierdział wódą, że czym prędzej

wskoczył pod letni prysznic. Wymyty, a nawet przebrany w świeże ciuchy, dopiero ośmielił się do niej odezwać.

– Skarbie mój, przysięgam na wszystko, co dla mnie najważniejsze, że nigdy więcej nie zobaczysz mnie pijanego – zapewniał ją gorliwie. Obejmował przy tym córkę tak mocno, jakby chciał siłą uścisku podkreślić prawdziwość swojej przysięgi. – A teraz chodź.

– Dokąd? – zapytała z głową wciśniętą w jego pierś. – Trochę mi niedobrze.

– Tym bardziej potrzebny ci spacer. A przy okazji wyniesiemy na śmietnik całe to gówno z domu.

Dwie reklamówki pełnych butelek, powyciąganych z zakamarków mieszkania, pocieszyły pijaczków grzebiących w zasikany śmietniku. Patryk z Majką byli już na rogu ulicy, a jeszcze słyszeli chóralne podziękowania od obdarowanych.

Z początku nie rozmawiali, tylko szli bez celu przed siebie oświetlonymi latarniami uliczkami Starego Miasta. Z uchylonych okien kawiarni dolatywały dźwięki fortepianu. Kiedy mijali pomnik Kopernika, Patryk się wzdrygnął. Od tamtego dnia, gdy w tym miejscu usłyszał od Anny, że od niego odchodzi, kojarzył go z najczarniejszymi chwilami w życiu. I jak tylko mógł, omijał posąg szerokim łukiem. Skręcili do parku nad Łyną.

Maja szła po wąskim krawężniku, stawiając stopę za stopą. Rozłożyła ręce, aby zachować równowagę. Patryk zauważył, że odkąd zaczęła jeździć konno, przestała się garbić, nie pochylała głowy i zyskała płynność ruchów. Ale i tak teraz asekuracyjnie podtrzymywał ją za koniuszki palców.

– Córcia, co robiłaś, jak byłaś bardzo smutna?

– To, co zwykle robią dziewczyny. Płakałam. Dlaczego pytasz?

Jeszcze nigdy nie zwierzał się córce. Właściwie tak naprawdę to nikomu się nie zwierzał. Czasem, przy piwie, powiedział to czy owo Witkowi. Tak zwyczajnie, bez zastanawiania się nad sobą. Raczej informował kumpla o tym, co zaszło, aniżeli otwierał się przed nim. Mówienie o swoich myślach i uczuciach uważał za mało męskie i śmieszne, teraz chciał to zrobić. Otworzyć się właśnie przed córką, bo dostrzegł w niej partnera do takiej rozmowy.

– Mama to chyba tak prędko do nas nie wróci, o ile w ogóle... wróci – powiedział w końcu. – I nie bardzo umiem sobie z tym poradzić. Dlatego piłem, żeby odreagować, a dziś mi jeszcze powiedziała, żebym do niej nie przychodził, bo chce ode mnie odpocząć.

– No to jej posłuchaj – podsumowała, jak gdyby było to dla niej oczywiste.

Patryk aż się zatrzymał.

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz? – Patrzył na Majkę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. – Przecież nie pogrzebię ostatniej szansy, żeby wszystko naprawić. Bo to tylko moja wina i nikogo więcej. Nie słuchaj, co mówi babcia Mira. To ja sam wszystko spaprałem. Tylko ja i nikt więcej. Nawet Andrzej. Zresztą... chyba jednak nie powinienem cię obarczać swoimi sprawami. – Machnął ręką zrezygnowany.

– Tato, pomyśl, a może właśnie... dasz sobie tym szansę – tłumaczyła, stojąc na wprost niego. – Trochę cię znam i cierpliwość nie jest twoją mocną stroną.

– To teza, a wnioski?

– Jak przyszłam do was – powiedziała po chwili skupienia – mama na nic nie naciskała. To było dobre, bo mogłam sobie wszystko przeorganizować w głowie. Spójrzeć na pewne sprawy inaczej, niż dotąd je widziałam. Spróbuj zrobić teraz to samo. I wiesz, co jeszcze przyszło mi na myśl?

– No co?

– Że tak jak planowałeś, powinieneś wyjechać do tego profesora, do Katowic. Tego od doktoratu.

– A co mnie teraz obchodzi doktorat? Nigdzie nie mam zamiaru jechać. Badania potrważą kilka miesięcy. Przecież nie zostawię rozgrzebanych spraw na tak długo. Adasia, no i ciebie samej w domu.

– Jestem już dużą dziewczynką, a w dodatku za tydzień będę pełnoletnia, więc mogę zostać sama. A poza tym jest przecież mama, dziadkowie, no i Marcin.

– Maaaarcin – powtórzył przeciągle. – Niedługo otworzę lodówkę i wyskoczy z niej Marcin.

– Już tak nie udawaj. – Szturchnęła ojca w bok. – Przecież go polubiłeś.

– Minimalnie. – Oddał jej kuksańca. – A tak na marginesie, to podobno chcieliście o czymś ze mną porozmawiać. No to słucham.

Maja przygryzła dolną wargę, jak zwykle, gdy była zakłopotana. To po nim odziedziczyła ten odruch. On też w chwilach napięcia przygryzał wargę.

– No, śmiało, mała – zachęcił żartobliwie córkę, choć poczuł mikroskopijny niepokój, iż usłyszy coś nieoczekiwanego, zwłaszcza że córka miała niezbyt pewną minę. Przez mgnienie zaświtała mu myśl, że może... Nie, to przecież absurdalne, sam czym prędzej wyrzucił z głowy ten pomysł.

– Tato... – zaczęła na wdechu. – A wysłuchasz mnie spokojnie, zanim się zdenerwujesz? Bo wszystko da się ze sobą pogodzić. Już to obgadaliśmy z Marcinem.

– Maj-ka. – Choć nie chciał, to jej imię samo rozdzieliło mu się na sylaby, a przepłoszona przed sekundą myśl znów go dopadła i nabrała niebezpiecznie realnych kształtów.

Czyżby chciała mu powiedzieć, że... że... zostanie... dziadkiem??? O Boże?! Kolana mu zmiękły, jakby były z waty. Wiedział, że Maja z Marcinem raczej nie trzymają się tylko za ręce, ale jak większość rodziców nie dopuszczał jeszcze do siebie myśli o seksualności córki. Czasem w żartach coś tam padło na ten temat, ale żeby tak na poważnie? Nie był na to jeszcze gotowy. A jeśli i w tym córka powtórzy jego historię i będzie miała dziecko, nim sama przestanie nim być??? Niemożliwe, to po prostu niemożliwe! Kiedyś, tak. Za dziesięć, może piętnaście lat, ale jeszcze nie teraz. Myśli kłębiły mu się w głowie, serce dudniło w piersi jak dzwon. Nawet ręka mu zdrząła, gdy powolnym ruchem położył ją na ramieniu córki. Maja zachichotała cichutko.

– To nie to, o czym myślisz, tato – powiedziała szybko, z trudem opanowując rozbawienie.

– A skąd wiesz, o czym myślę? – wydusił, czując, jak w mgnieniu oka opuszcza go napięcie.

– Masz to wypisane na twarzy. Strasznie zbladłeś, ale nie obawiaj się, nie jestem w ciąży i długo nie zamierzam być. Mam inne plany na życie.

– Mała diablica. – Pociągnął ją pieszczotliwie za kosmyk włosów. – No to mów wreszcie, o co chodzi, póki jeszcze trzymam się na nogach.

– Marcin zaprosił mnie na całe wakacje do swoich rodziców do Włoch. Bardzo bym chciała pojechać. Trochę pracy przy koniach i trochę odpoczynku. Chcieliśmy cię prosić o zgodę.

– Maaaaja... – jęknął przeciągle, ale z ulgą, że chodzi tylko o wspólny wyjazd. Choć ten pomysł w ogóle nie przypadł mu do gustu. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Mam cię puścić z chłopakiem na dwa miesiące za granicę? Czy ty postradałaś zmysły?

– Tatusi, tylko posłuchaj. – Oparła mu ręce na piersi. – Przecież ufasz Marcinowi, sam tak mówiłeś. Jestem przy nim bezpieczna, pod każdym względem. Poza tym jedziemy do jego rodziców. Możesz wszystko z nimi ustalić. Będę miała odjazdowe wakacje, podciągnę włoski, trochę zarobię. Obiecuję, że wrócę do domu cała i zdrowa. To będzie najlepszy prezent na osiemnastkę, jaki mogłabym dostać. A ty w tym czasie możesz pojechać do Katowic. Zwłaszcza że Adaś i tak zostanie z mamą. Co będziesz robił sam w domu? Smutno ci będzie.

– Jak ty się o mnie troszczysz – ironizował. – A może ja też chciałbym te wakacje spędzić z tobą na przykład?

– Nie widzę problemu. Możemy przecież lecieć z Katowic albo z Krakowa. Zatrzymamy się na kilka dni u ciebie. Zauważ, że nie użyłam argumentu, że będę już wtedy pełnoletnia, więc...

– Chcesz powiedzieć, że nie będę miał już nic do gadania? – przerwał jej.

– Aż tak to nie, ale jesteś blisko – zaśmiała się. – Po prostu liczę na twoją zgodę i zaufanie. To jak będzie, tatuś? My do Włoch, a ty na Śląsk.

– Zobaczymy – rzekł ostrożnie. – A teraz wracamy, bo już bardzo późno.

Przez całą drogę do domu towarzyszyła mu myśl, że może rzeczywiście powinien wyjechać. Pomysł, który wpadł mu teraz do głowy, był ryzykowny, ale mógł okazać się skuteczny, skoro inne metody zawodziły. Postanowił spróbować i postawić wszystko na jedną kartę. Cokolwiek miałyby nastąpić.

## ROZDZIAŁ V

Skończył się kwiecień. Dni stawały się wyraźnie cieplejsze, słońce świeciło dłużej, niebo częściej było błękitne. Anna, tak jak chciała, zaczęła wieść życie prawie singielki i było jej z tym prawie dobrze. Patryk już nie przesiadywał na Narutowicza. Syna odbierał i przyprowadzał, kiedy jej nie było. Z telefonami też był powściągliwszy i rzeczywiście dzwonił tylko w sprawach dzieci. O tym, co między nimi, nie rozmawiali. Patryk ani razu nie wypadł z roli wyłącznie rodzica.

Spotkali się też ledwo parę razy. W przelocie w szpitalu, kiedy Anna była u Amelki, i przed kilkoma dniami, na osiemnastce Majki. Zjedli wówczas rodzinny obiad w restauracji, z zachowaniem pozorów. Nawet Mira udawała zadowoloną. Tylko jej oczy, zezujące na synową, wyrażały to, czego nie mówiły usta. Anna starała się nie dostrzegać tych spojrzeń, kłujących ją w samo serce.

Na zewnątrz udawała, że dobrze sobie radzi ze wszystkim, choć z panowaniem nad emocjami sobie nie radziła. Pierwsze otrzeźwienie przyszło pewnego czwartkowego poranka w pracy.

– Czy naprawdę nie potrafi pani przyciąć dokładnie prostego dźwięku? – zrugła młodą reporterkę w swoim gabinecie. – Tyle razy panią upominałam, że nie toleruję niechlujstwa. To nawet nie wymaga myślenia, tylko zwykłej staranności. Jaka to filozofia przesunąć kursor w komputerze, aby ostatnie słowo brzmiało „Do usłyszE NIA”, a nie „Do usłyszE N”!

– Bardzo przepraszam pani dyrektor.

Studentka o krótko obciętych ciemnych włosach i awangardowym wyglądzie tłumaczyła się zakłopotana. Wyłamywała sobie palce, stojąc na baczność przed biurkiem Anny. Miała długie i szczupłe dłonie, podobne do dłoni Małgośki. W ogóle cała była podobna do Małgośki. Nawet powłóczysta czarna sukienka do ciężkich sznurowanych butów za kostkę przypominała styl Gośki.

To też rozdrażniało Annę. Zwłaszcza że przyjaciółka nie dawała znaku życia. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała, ale tak naprawdę nikt nie usiłował niczego się dowiedzieć. Nawet ona, Anna. Była zła na Gośkę, że zniknęła w ten sposób. Niech teraz sama da znać, ja nie mam ochoty jej szukać, myślała, stukając długopisem w biurko. A teraz ta jakaś Ula, która dorabia sobie, przychodząc do radia, jest taka do niej podobna. Może tylko trochę wyższa niż Gośka i mniej pewna siebie.

– Pędziłam z materiałem, bo z emisji mnie ponaglali, dlatego niedokładnie przycięłam. To się więcej nie powtórzy.

– Nie powtórzy – przyznała Anna. – Bo następnym razem będzie pani musiała poszukać sobie innej pracy. Za dużo już tych błędów.

– Dopiero się uczę – pisnęła jak myszka. – Naprawdę przepraszam.

– To niech pani to robi w innej rozgłośni. Mniej prestiżowej. – Anna zauważyła, że zaczyna się pastwić nad dziewczyną, i ogarnęło ją zażenowanie. Podeszła skruszona do młodszej wersji Gośki. – Nie, to ja panią przepraszam. Mam ostatnio trochę rozchwiane nerwy. To mnie nie usprawiedliwia, ale proszę nie mieć mi za złe mojego zachowania. – Położyła rękę na ramieniu dziewczyny.

– Dziękuję. Nie mogę stracić tej pracy, bo samo stypendium nie wystarczy mi na utrzymanie. Kończę studia, a po pedagogice raczej nie dostanę zajęcia w swoim zawodzie.

Dlatego bardzo bym chciała zostać w radiu. Będę staranniejsza.

– To dobrze. Proszę wracać do pracy.

Dziewczyna wyszła. Anna łyknęła tabletkę persenu, już trzecią, bo dwie wzięła rankiem, i otworzyła na oścież okno. Pachnące wiosną powietrze wpadło do klimatyzowanego pomieszczenia. Odetchnęła głęboko kilka razy. Boże, co ja wyprawiam, myślała, opierając głowę o plastikową framugę. Jeżdżę po ludziach jak wiedźma, w końcu mnie znienawidzą. Tak dalej być nie może.

– Bożena. – Chwilę później zapukała do swojej szefowej. – Muszę wziąć urlop. Przynajmniej ze dwa tygodnie i najlepiej od razu. Chcę zabrać Adasia i gdzieś wyjechać, bo wysiadam. Nie mam energii, jeżdżę po ludziach za pierdoły. Muszę złapać dystans.

– Ty chyba zwariowałaś. – Prezes Padlewska klepnęła ręką w biurko. – Do września nie ma mowy o twoim urlopie. Siadaj. – Wskazała krzesło.

– Jak to do września? – spytała zaskoczona Anna. – Muszę jakoś zaplanować wakacje. Co mi po urlopie we wrześniu? Chcę zabrać gdzieś dzieci latem, bo ostatnio mało czasu im poświęcam.

– To twój prywatny problem. – Bożena cmoknęła zirytowana. – W pracy mamy dużo poważniejszy. W sierpniu właściciel naszej rozgłośni urządza wielką dwudniową imprezę w Mikołajkach. Zarząd, rada nadzorcza i cała reszta. Zażyczył sobie raportów finansowych i programowych z dwóch lat. Łącznie z wynikami słuchalności. Co więcej, musimy też przygotować strategię rozwoju firmy na najbliższe trzy lata. Więc rozumiesz, że nasze urlopy diabli wzięli.

– Rozumiem, ale tydzień czy dwa...

– To jeszcze nie wszystko – przerwała jej Bożena. – Teraz najważniejsze. Mniej więcej w czerwcu przyjdzie do nas nowy pracownik.

– No i co z tego?

– To, że zatrudnienie tego pana było propozycją z góry. Taką z gatunku nie do odrzucenia. Z samej góry, żebyś nie miała wątpliwości. Oczekujemy niejakiego Kosmy Kosmowskiego.

– To jakiś pseudonim?

– Skąd. Tak się naprawdę nazywa. I czuję przez skórę, że będzie to najważniejszy pracownik w tej firmie.

– Żartujesz?

– Czy wyglądam na kogoś, kto żartuje? – odpowiedziała pytaniem szefowa.

Rzeczywiście wyglądała na wyjątkowo spiętą. Przebierała palcami po biurku; w rytm ruchu karminowych paznokci, dobranych pod kolor garsonki, machała nogą w szpilce.

– To jakiś pociotek wiceministra finansów i ktoś z rodziny naszego przewodniczącego rady. Zrobiłam research. – Pani prezes sięgnęła po plik odręcznych notatek. – Mam przeczytać ci listę jego nagród za afery, które wytropił?

– Niekoniecznie – odparła obojętnie Anna. Najmniej obchodził ją teraz jakiś Kosma Kosmowski.

– Jak chcesz. – Bożena odłożyła kartki. – Dość, żebyś wiedziała, że pracował prawie wszędzie, łącznie z brukowcami. Nigdzie długo nie zagrzał miejsca, bo z tego co wiem, to kawał gnoja. A teraz oczekujemy go w naszym prowincjonalnym Olsztynie, więc nie mów mi o urlopie, tylko powiedz, po jaką cholere nam go wciskają?

– A skąd mam wiedzieć?

– Musimy się dowiedzieć, a tego Kosmę trzeba będzie mieć na oku. A ty zrób coś ze sobą, bo rzeczywiście ostatnio nie jesteś w formie. Rozstanie z mężem widocznie ci nie służy.

Podobno się rozwodziecie? – spytała na koniec.

Annę zamurowało. Nigdy nie opowiadała w pracy o swoich prywatnych problemach. Nawet przy Bożenie zachowywała powściągliwość. Zwłaszcza że nie były w przyjaźni. Skąd naraz to pytanie? Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale szefowa ją ubiegła.

– Dziwisz się, że wiem? Olsztyn to małe miasto. Ten zna tego, tamten tamtego i tak to leci. W dodatku ty też wyglądasz jak z krzyża zdjęta. Błada, bez makijażu, wory pod oczami. Poza tym przepelniasz kosze na śmieci puszkami po energetykach, opakowaniami po prochach, a i zużycie kawy mocno wzrosło w sekretariacie. Wystarczy połączyć kilka faktów. Rozpadasz się, koleżanko.

– Będziemy teraz roztrząsać moje problemy? – zapytała rozeźlona Anna.

– Nie, ale prywatne sprawy zostawiaj przed drzwiami radia. Tu masz być w pełnej formie i dyspozycyjności. Zwłaszcza teraz. Za to ci płacę. Dlatego widzę cię w poniedziałek w poprawionym wydaniu. Jakies pastelowe kostiumy też sobie zafunduj, bo ta ciągła czerń jest przygnębiająca. Od teraz masz wolne. Idź do kosmetyczki, fryzjera, dokądkolwiek i zrób ze sobą porządek. A jak przyłapię cię, że przysypiasz nad biurkiem przed prywatnym laptopem, o czym mi doniesiono, to wylecisz.

W pierwszej chwili Anna chciała powiedzieć, że sama składa wymówienie, powstrzymała się jednak. Potrzebowała tej pracy, bo ambitnie nie brała pieniędzy od Patryka. Odkąd mieszkali osobno, ze wspólnego konta, mimo protestów męża, nie wzięła nawet złotówki. Jeśli rzuci teraz pracę, to zanim znajdzie coś nowego, będzie zmuszona prosić go o pomoc, a tego nie chciała. Dlatego przełknęła gorzką pigułkę i wróciła do siebie jak zbity pies. Ja pojechałam po Uli, a Bożena po mnie, co za ironia, mruzczała. Rzeczywiście, tak ją pochłonęła historia, którą pisała, że zabierała komputer do pracy. Zanim go wyłączyła i schowała, odebrała jeszcze wiadomość od Witka.

„Cześć, Anka. Musimy pogadać. Masz dziś czas?”

Odpisała:

„Dziś nie mogę. Maja na mnie czeka. Wpadnę do Ciebie w sobotę z Adasiem”.

Cieszyła się na to popołudnie z córką. Zwłaszcza że Maja sama poprosiła o spotkanie. Annie brakowało zwierzeń dziewczyny i tej bliskości, która dotąd była między nimi. Boże, przecież ja zrobiłam podobnie jak Gośka. Jestem na nią zła, nie odzywam się, a sama w jakimś sensie zostawiłam córkę. Wiedziona tym odkryciem napisała mejla do przyjaciółki. Jedno zdanie.

*Gośka, daj znać, gdzie jesteś i co z Tobą.*

Znowu dopadło ją gorzkie poczucie winy, że wybierając siebie, skrzywdziła dzieci. Dziś będę tylko dla nich. Kosmetyczka i podobne bzdury poczekają. Pojechała do domu, zabrała synka i poszła spacerkiem na umówione spotkanie z Mają. Jedną ręką popychała spacerówkę, drugą prowadziła Adasia za rączkę. Chłopczyk ciągnął za sobą samochodzik na sznurku.

– Mama tam. – Pokazał paluszką mijane huśtawki.

– Dobrze, synekku, mamy jeszcze sporo czasu. Nim przyjdzie twoja siostra, możemy się pohuścić.

Anna usiadła na drewnianej bujawce, wzięła synka na kolana i otworzyła książeczkę. *Lokomotywa* była ulubionym wierszykiem Adasia. Stara, zaczytana książeczka miała pobazgrane długopisem kartki.

– Tata tu. – Synek klepnął rączką w okładkę.

– Tak, wiem, kochanie, że to książeczka tatusia i lubisz, jak ci ją czyta. Ale ja też się ładnie postaram. – Pocałowała czarne kędziorki malca. – Adasiu, jak robi lokomotywa?

– Buch! Buch! – Zaklaskał w rączki.

– A para w lokomotywie?

– Siiii! – Wyciągnął ramionka do góry.  
– Ślicznie, aniołku. – Wycalowała oliwkowe policzki dziecka. – Mamusia bardzo cię kocha.

– Kofa – powtórzył nowe słowo.

Czytała, tuląc do siebie synka, ciepły wietrzyk rozwiewał jej włosy, a słońce grzało w twarz. Coś niezwykłego było w tej zwykłej chwili. Ta prostota codzienności przyniosła Annie niespodziewane ukojenie. Chciała tak w nieskończoność trwać na tej huśtawce, tuląc do siebie dziecko. Bożena ma rację, muszę wziąć się w końcu w garść, pomyślała. I umocniona tym wewnętrznym postanowieniem ruszyła w stronę starówki. Na spotkanie z córką.

Zobaczyła Maję z daleka, jak siedziała na kamiennych schodkach przy fontannie i rzucała gołębiom okruszki. W modnie przetartych džinsach, z włosami ładnie zamotanymi w węzeł, w długim swetrze i ze sznurami różności na szyi. Maja też zaczynała przybierać artystyczny, nieco awangardowy styl. Moja śliczna dziewczynko z fotografii, tak za tobą... tęsknię; przyglądając się przybranej córce, Anna poczuła ukłucie żalu. Maja też ją dostrzegła i zamachała na powitanie ręką. A potem kucnęła i wyciągnęła ręce w stronę malucha. Adaś, uwolniony ze spacerówki, pobiegł do siostry.

– Mana! Mana! – wołał, co w jego języku oznaczało „Maja”.

– Nie widziałam cię dwa dni, a ty znowu jesteś większy. – Porwała brata w objęcia i zakręciła z nim kółko. – Jadłeś lody, łakomczuszk, a siostrze nie przyniosłeś. – Połaskotała chłopca w szyjkę. Adaś zaśmiał się głośno.

– Możemy zaraz to nadrobić. Tam są najlepsze. – Anna wskazała na cukiernię przy Kołłątaja. Przed niewielkim lokalem w starej kamieniczce ustawiono okrągłe stoliki z parasolami. Tylko przy jednym siedziała jakaś para.

– Cześć, mamó. – Dziewczyna przywitała ją całusem w policzek. Anna chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle po tym powitaniu.

– Dziękuję – szepnęła.

– Za co?

– Za to, że mimo wszystko wciąż nazywasz mnie mamą – odrzekła, kiedy trochę opanowała wzruszenie.

– Zawsze nią będziesz. Idziemy na lody.

Jedząc lody, rozmawiały o codziennych sprawach. Trochę o szkole, trochę o koniach. Śmiały się i żartowały. Dopiero kiedy Adaś przysnął ukołyszany jednostajnym ruchem wózka, Maja odezwała się poważnie. Były w tym samym miejscu nad rzeką, co przed rokiem, gdy Anna po raz pierwszy usłyszała o Marcinie.

– Chcę cię przeprosić, że byłam dla ciebie taka niemą. Ale byłam zła, że zostawiłaś tatę. Teraz wiem, że to głupie.

– Nie, Maju, wcale nie. To twój ojciec, miałaś prawo być na mnie zła.

– Kochasz go jeszcze?

To konkretne pytanie poruszyło Annę.

*Jeśli się odnajdziemy, posklejamy kawałki serca w całość, pozbieramy okruchy miłości, poszybujemy ku wieczności, silniejsi niż śmierć.*

Dlaczego to zdanie przyszło mi teraz do głowy? Po nim napisałam już setki innych, a zapamiętałam tylko to jedno. Czy to przeznaczenie? Czy tworząc fikcyjną historię, układam swoją przyszłość albo przyciągam los, którego w gruncie rzeczy pragnę? Tylko jak pokonać tę niewidzialną barierę lęku przed ponownym wejściem do tej samej rzeki, zastanawiała się wpatrzona w wyczekujące oczy pasierbicy.

– Nigdy nie przestałam – odpowiedziała zgodnie z prawdą.



Pełne napięcia wyczekiwanie na twarzy Mai ustąpiło miejsca odprężeniu.

– Tata bardzo to przeżywa, ale wiesz – wsunęła rękę pod ramię Anny – teraz jest jakiś... inny. Fajniejszy. Nigdy tak nie rozmawialiśmy ze sobą jak teraz, od niedawna. A wczoraj to przeszedł samego siebie. Zapytał mnie, czy się zabezpieczam – opowiadała na poły zażenowana, na poły rozbawiona. – Wyobrażasz sobie? Mój tata rozmawia ze mną o seksie. A żebyś widziała, jak z początku krążył koło tematu, nim przeszedł do konkretów. Dał mi taki wykład o antykoncepcji, jakbym sama nic nie wiedziała. Mało brakowało, a umówiłby mnie do ginekologa.

– To dobrze, że się dogadujecie, nawet w takich sprawach.

– Też tak myślę, ale najważniejsze, że przestał pić.

– A pił???

– I to często. Obiecał, że nie będzie, i na razie dotrzymuje słowa. No i już nie przypala jajecznicy. – Znowu się zaśmiała. – A teraz uważaj. Zgodził się na mój wyjazd z Marcinem do Włoch! Co prawda strasznie go obwarował, ale trudno. Mam dzwonić codziennie, nigdzie sama nie wychodzić, nie gadać z obcymi i takie tam. Zresztą wczoraj chyba z pół godziny rozmawiał o tym z mamą Marcina przez telefon. Sam też chyba wyjedzie na Śląsk.

– Tak? – spytała zaskoczona Anna.

To była nowość. O pomyśle włoskich wakacji i negocjacjach z Patrykiem słyszała podczas urodzinowego przyjęcia. Zresztą mąż nawet radził jej się w tej sprawie, a ona gorąco poparła ten wyjazd. O Śląsku nie wspominał jednak ani słowem. Zresztą od jakiegoś czasu Anna odnosiła wrażenie, że Patryk zaniechał pracy nad doktoratem, a tu nagle tak mu się zebrało na pisanie, że aż wyjeżdża do Katowic. Dziwne, stwierdziła w duchu. Maja zerknęła na zegarek.

– Już po trzeciej. Muszę lecieć, bo jeszcze nauka, a o szóstej mam konie. Tata wraca dopiero wieczorem. Obiecałam mu, że odrobię lekcje przed treningiem.

Anna już zamierzała zaproponować, że pojedą razem do stadniny, bo chciała przedłużyć popołudnie z dziećmi, ale Maja ją ubiegła.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Nabrała głęboko powietrza. – Nie wiem, czy wiesz, ale od tygodnia mam nowego trenera. Najlepszego ze wszystkich. Przygotowuje mnie do zawodów w skokach. Będą na początku września. I jeśli nie masz nic przeciwko, to bardzo bym chciała, żeby mnie trenował... bo to jest Chris... To znaczy Andrzej.

Anna łowiła ustami powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Kompletnie zaskoczyła ją ta wiadomość. A więc jednak się ode mnie nie odczepił, pomyślała ze złością, uznając, że to kolejny podstęp Bendorfa. Jednak gdy patrzyła w pełne nadziei, wyczekujące oczy Mai, jej negatywne odczucia osłabły. Ona nie może ponosić następnych kosztów moich wyborów, uznała, przytulając do siebie córkę.

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowiedziała. – Ja i on to jedna sprawa. A ty to zupełnie co innego. Niech cię trenuje, skoro jest najlepszy. Wygraj te zawody.

\*

Anna nie знаła ani trochę swojego ojca, jeśli choć przez chwilę mogła pomyśleć, że się od niej odczepił, bo nie widuje go już od jakiegoś czasu. Nie wiedziała, że upór w dążeniu do celu odziedziczyła właśnie po nim. Bendorf mógł zmienić taktykę, ale na pewno nie zrezygnował.

Skoro nie mógł widywać córki, chciał być obecny w życiu jej bliskich. Liczył, że w ten sposób prędzej czy później uzyska przebaczenie Anny. Dlatego poszedł do stadniny, gdzie jeździła Maja, i zaproponował szefostwu swoją pomoc. Po części trochę brakowało mu koni, a po części szczerze polubił czarnowłosą dziewczynę i chciał ją uczyć. Była przecież bliska

Annie, a to znaczyło, że była bliska i jemu. Prócz Mai i zięcia, który odwiedzał go z wnukiem od czasu do czasu, musiał pozyskać kogoś jeszcze.

Iwona, uporawszy się ze sprzątniem, nawijała włosy na wałki. Miała wolne popołudnie od opieki nad Adasiem. Chciała podgonić tłumaczenia, bo zalegała z robotą jak nigdy. Presja czasu i naciski Stefana, który chciał, żeby wróciła do Warszawy, działały paraliżująco. Dlatego, aby złapać chwilę relaksu przed pracą, rozsmarowała zieloną glinę na twarzy, włączyła kojącą płytę Cohena i z torebkami herbaty na oczach wyciągnęła się na kanapie. Nie leżała nawet pięciu minut z zaplanowanych dwudziestu, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wytarła papierowym ręcznikiem niezastygłą jeszcze maseczkę i poszła otworzyć.

Nogi się pod nią ugięły, a serce zabiło szybciej, kiedy w drzwiach zobaczyła JEGO. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wielokrotnie wyobrażała sobie, co zrobi, jeśli nadejdzie ta chwila, gdy Andrzej ją odwiedzi. Opracowała różne warianty, ale nie ten, że będzie stała jak kołek. W starych ciuchach do sprzątnia i w wałkach na głowie.

– Mogę wejść czy będziemy tak stać? – zapytał mężczyzna jej życia, a zarazem jej największe przekleństwo. Bez słowa wpuściła go do środka.

Bendorf rozejrzał się po mieszkaniu. Przesunął ręką po wiosennym płaszczu Anny w przedpokoju. Lustrował wzrokiem pokój, w którym mieszkała z Adasiem, a potem drugi, z wypchanym zabawkami koszem przy balkonie. Iwona nic nie mówiła, ciesząc się widokiem TEGO mężczyzny w tym miejscu. Powinna się przebrać, zdjęć lokówki, może jakiś tusz nałożyć, ale ogarnęła ją taka niemoc, że bezsilnie opadła na fotel. Nawet nie zaproponowała herbaty.

– Musimy porozmawiać – oznajmił Andrzej, siadając w drugim fotelu.

O czym? Chce mnie rozliczać, oskarżać, przeklinać? Jak zamknąć w jednej rozmowie minionych trzydzieści lat, myślała gorączkowo Iwona.

– Kochałam cię, Andrzeju – powiedziała wreszcie, nie do końca przytomnie. Sama nie rozumiała, dlaczego właśnie to wyznanie w tym momencie padło z jej ust.

– Neeee. – Pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się ironiczny grymas. Przydługie posiwiałe włosy opadły mu na kark. Kiedy go poznała, też miał długie włosy, jak większość młodych mężczyzn z pokolenia dzieci kwiatów. – Gdybyś mnie kochała, nie zrobiłabyś tego. Nie wykorzystalabyś mojej córki, aby szukać zemsty na mnie.

– Nie jesteś kobietą – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Nigdy nie pojmiesz tego, co czułam, kiedy mnie odrzuciłeś. Co takiego miała w sobie moja siostra, czego nie miałam ja? To, że grała na skrzypcach i bujała w obłokach? Dla ciebie gotowa byłam na wszystko, a ty mnie nie chciałeś. Przez cały ten czas zastanawiałam się, dlaczego... – ciągnęła wpatrzona we wzorzysty dywan.

Wepchnęła ręce pod pośladki, aby nawet przypadkiem nie sięgnęły do dłoni mężczyzny, leżącej na stoliku. Wystarczy, że wbrew zdrowemu rozsądkowi upokarza się tym wyznaniem. Znów, tak jak dawniej, zebrała o niemożliwe.

– Bo prawdziwa miłość zdarza się tylko raz – odpowiedział. – Jest silniejsza niż śmierć. A ciebie po prostu nie umiałem pokochać. To chyba nie zbrodnia.

– Zbrodnia, Andrzej. – Iwona przygryzła usta. – Dla mnie to była zbrodnia, bo, jak powiedziałeś, prawdziwa miłość zdarza się tylko raz, a ty moją pogardziłeś. Coś we mnie umarło na zawsze. Już nigdy nikogo nie pokochałam, nie wpuściłam do swojego życia. Straciłam najpiękniejsze lata, bo choć chciałam, to nie umiałam o tobie zapomnieć. Zabiłam dany mi czas, to twoja zbrodnia.

Andrzej wyszedł na balkon. Znów zaczęło go dławić w piersiach. Nie tylko od zapachu dymu z papierosów, ale bardziej od usłyszanych słów. Odetchnął kilka razy.

– Ani ty nie odkupisz swoich win, ani ja swoich – powiedział zwrócony plecami do byłej

żony. – Mogę cię tylko przeprosić, że przeze mnie zmarnowałaś życie.

– Miłosierny z ciebie samarytanin – zakpiła.

– Popelniliśmy za dużo błędów, ale czy tego chcemy, czy nie, łączy nas Anna. Ona jest dla mnie najważniejsza. Zrobię wszystko, aby ją odzyskać. Naprawić to, co zniszczyłem przez oszustwa, intrygi. Zaufała mi, a ja ją wykorzystałem dla własnych celów. Tak samo podle, jak ty mnie.

– To dlatego tak wciąż ucieka przed tobą – domyśliła się Iwona, choć córka nie wyjawiała jej szczegółów. Sama nie miała odwagi pytać, aby nie rozjrzeć rany.

– Dlatego – przyznał i ponownie usiadł w fotelu. – Przyszedłem, bo przypadkiem zobaczyłem, że Anna ma dużo różnych tabletek w torebce. Choruje na coś?

Na co może chorować kobieta, której zrujnowano marzenia; Iwona zacisnęła powieki. Sama kiedyś też tak przecież chorowała. Też szukała ukojenia w pigułkach, bo nie znalazła go w miłości.

– Na życie – odparła matowym głosem. – Tylko na życie, Andrzej.

– Jest bardzo wrażliwa, dlatego chcę cię prosić, abys była czujna. Wyjątkowo czujna, żeby nic głupiego nie strzeliło jej do głowy. Może jeszcze o jedno... – Związał w palcach róg serwetki. – Proszę, uszanuj pamięć swojej siostry. Niezależnie od tego, jak bardzo jej nienawidziłaś, nie mów o niej źle do Anny. To jej matka. Oddała za nią życie.

– Ja też jestem jej matką. – Iwona po raz pierwszy pewnie uniosła głowę. – Nie wiesz, co przeżywam, kiedy widzę, jaka jest przybita. Jak nie sypia nocami, faszkuje się prochami na uspokojenie albo napędza kofeiną, zamyka w sobie, popłakuje, więc nie pouczaj mnie, żebym była czujna!

– Nie pouczam, tylko proszę. Właśnie ze względu na Annę powinniśmy zapomnieć o tym, co było między nami, i spróbować znaleźć porozumienie, żeby jej pomóc.

– Jeśli naprawdę chcesz pomóc, to nie zadrażaj jej tym wystawianiem pod blokiem. Zwłaszcza teraz, kiedy nie wiadomo, co będzie z ich małżeństwem. To sprawa dużo ważniejsza niż twoje samopoczucie.

– Masz rację – przytaknął. – Dlatego, jeśli uznasz, że tak będzie lepiej, to nie wspominaj jej o mojej wizycie. Zaczekam na lepszy czas. Nigdzie mi się nie spieszy. A w razie potrzeby dzwoń. – Położył na stoliku karteluszek z numerem telefonu.

Płyta Cohena dawno się skończyła, włosy pod wałkami przeschły, a Iwona wciąż stała na balkonie. Patrzyła za jego samochodem, który dawno już odjechał w stronę osiedla na Jarotach. Zastanawiała się, czy zachować w sekrecie tę wizytę, czy też powiedzieć o niej córce? Zdecydowała, że będzie milczała. Dla dobra Anny.

## ROZDZIAŁ VI

Witek odwołał sobotnie spotkanie, bo Amelka złapała w szpitalu jakąś infekcję i chciał zostać przy małej. Anna miała więc czas, aby wypełnić polecenie Bożeny w sprawie poprawy wizerunku. Zostawiła Adasia z ojcem Patryka, ponieważ matka nadrabiała zaległości w tłumaczeniach, a sama wylądowała w salonie piękności. Ktoś mazał ją zimną papką po twarzy. Ktoś inny przyciemniał i podcinał włosy, piłował paznokcie. Średnio ją to interesowało. Przyszła tu tylko służbowo.

Ledwo fryzjerka wymodelowała skrócone do ramion włosy w odcieniu ciemny blond, zadzwonił Patryk. Krótko i konkretnie zapytał, czy mogłaby mu poświęcić dziś chwilę na rozmowę, bo ma ważną sprawę.

Ciekawe, co chce mi powiedzieć, zastanawiała się, jadąc do restauracji nad Jeziorem Krzywym. Tam, gdzie zawsze bywali, gdy coś ważnego działo się w ich życiu.

Dzień był pochmurny. Ołowiane wody jeziora rozhuśtał mocny wiatr. Stoliki na pomoście opustoszały. W środku stylizowanego na żeglarski styl lokalu też nie było zbyt wielu gości.

Patryk już na nią czekał. Siedział nad filiżanką kawy przy panoramicznym oknie z widokiem na jezioro. Dziś powrócił do swojego eleganckiego stylu. Popielaty garnitur, wrzosowa koszula, krawat w jaśniejszym odcieniu. Starannie wygolona twarz od połowy policzków odznaczała się lekkim cieniem. Kiedy ostatnio widziałam go bez zarostu, Anna zastanowiła się przez ułamek sekundy. Chyba wtedy, gdy go... poznałam. Wygląda teraz zupełnie inaczej, tak mniej znajomo. Włosy też skrócił, taksowała zmieniony wygląd męża. Nie pasuje do niego w takim stroju. Miała na sobie zwykłą bawełnianą bluzę, dzinsy i trampki. Do salonu piękności nie musiała przecież iść odstawiona.

– Cieszę się, że przyszłaś. – Patryk przywitał ją pocałunkiem w rękę. Odsunął krzesło, aby mogła usiąść, po czym wrócił na swoje miejsce. Zaproponował kawę. Wołała wodę z cytryną.

– Poprosiłem cię o spotkanie – zaczął, kiedy kelnerka odeszła – bo wyjeżdżam do Katowic. W związku z tym musimy omówić parę spraw.

– Wyjeżdżasz... – powtórzyła jak echo. Nie mogła teraz określić, czy ją ta wiadomość ucieszyła, czy zmartwiła.

– Tak, za cztery dni. Dziesiątego maja. Szef dopiero wczoraj znalazł chirurga na zastępstwo za mnie. Teraz, jak jeszcze niedługo odpadnie Witek, byłby spory kłopot z obsadą. Bo przecież Baški nie ma. A sami stażyści to za mało. Dlatego do wczoraj nie wiedziałem tak na pewno, czy uda mi się ostatecznie zorganizować ten wyjazd. Udało się też z mieszkaniem. Jeden z doktorantów może mi odnajdąć swoje.

– To dobrze, że ci się udało. – Anna upiła łyk wody.

– Nie wiem, czy dobrze, czy źle. – Patryk obracał w dłoniach filiżankę. Patrzył w jej zawartość, nie na Annę. – Nie potrafię tak dłużej, Aniu. Dlatego wolę wyjechać, zająć się pracą, skoro chcesz ode mnie odpocząć. Już nie będę więcej naciskał. Sama dasz mi znać, kiedy będziesz gotowa przyjąć mnie do swojego życia. Może nas to oddali od siebie, a może się odnajdziemy, nie wiem, czas pokaże. Oczywiście nie muszę ci mówić, że w każdej chwili możesz na mnie liczyć. Wystarczy, że zadzwonisz. Musimy też rozwiązać kwestię wakacji dzieci – mówił, ledwo ślizgając się po niej wzrokiem. Częściej patrzył w okno albo na stół. – Maja jedzie z Marcinem do Włoch. Wcześniej przyjadą do mnie. Chodzi o Adasia. Dobrze by było,

aby złapał trochę jodu nad morzem. Ja nie mam szans na urlop w wakacje, wchodzę tam na normalne dyżury. Będę też musiał podgonić badania, aby zamknąć je do końca września. Najdalej w październiku chcę wrócić do Olsztyna, bo Maja zaczyna przecież maturalną klasę. Jak z twoim urlopem?

– Niestety też dopiero wrzesień.

– Trudno. – Potarł ręką czoło. – Pogadam z ojcem, żeby sami zabrali Adasia nad morze. Chciałbym też, aby przyjechali z nim do mnie. Bo ja raczej nie będę mógł wpadać do Olsztyna. W soboty profesor prowadzi dla doktorantów seminaria, na które muszę chodzić.

– Adaś będzie za tobą tęsknił.

– Ja za nim też, dlatego jeśli nie sprawię ci kłopotu, to będę z nim często rozmawiał przez telefon, żeby przynajmniej mógł mnie usłyszeć. To ledwie namiastka, ale lepsze niż nic. Zresztą jest malutki, nie powinien za bardzo odczuć mojej nieobecności. To tylko parę miesięcy. Na pewno przyjadę na zawody Mai. Wiesz, że trenuje ją Andrzej?

– Wiem. Lepszego trenera nie mogła znaleźć.

– To dobrze, że tak do tego podchodzisz. – Odetchnął z nieznaczną ulgą. – Ja też czasem odwiedzałem Andrzeja z Adasiem, mówię o tym, bo nie chcę mieć przed tobą żadnych sekretów. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe? – spytał, unikając jej wzroku.

Miała za złe. Bardzo miała za złe, ale skoro Patryk wyjeżdża, to uznała temat za nieaktualny. Więcej odwiedzin i tak nie będzie. Ona z pewnością nie zamierza chodzić do Bendorfa. Zresztą i tak nie miała czego szukać w tej części miasta, gdzie mieszkał.

– Szkoda, że wcześniej mnie o to nie zapytałeś – odrzekła.

– Przepraszam, to wyszło tak spontanicznie. Chyba ja bardziej potrzebowałem tych wizyt niż Andrzej. Adaś też miał frajdę, bo trudno było go oderwać od Bandyty. To naprawdę wyjątkowy pies i Andrzej doskonale go wyszkolił. – Patryk dopił resztkę kawy. – Jeszcze jedna sprawa. Jeśli możesz, to miej oko na Maję, kiedy wyjadę. O szkołę się nie martwię. Zresztą i tak zaraz koniec, ale czasy są niebezpieczne. Wolałbym, aby nie chodziła sama po nocy czy coś takiego. Marcin solennie mi obiecał, że będzie o nią dbał, ale proszę, żebyś trzymała rękę na pulsie. Tobie ufam najbardziej. – Po raz pierwszy Patryk popatrzył na nią dłużej. Odniosła wrażenie, że ostatnie zdanie miało głębsze znaczenie niż tylko prośba o dozór nad Mają.

– Nie musisz o to prosić – zapewniła go cieplejszym tonem. – To tak samo moja córka i też się o nią martwię. A poza tym może się wprowadzić do mnie. Tak będzie chyba dla wszystkich najlepiej. Byłbyś spokojniejszy. Ja zresztą też.

– Wczoraj mieliśmy o to drobną wymianę zdań. – Patryk uniósł lewy kącik ust w półuśmiechu. – Prawie doszło do łez. Ubrdała sobie, że zostanie sama, bo przecież jest dorosła. Na szczęście wyperswadowałem jej ten pomysł. Moja matka przeprowadzi się na ten czas na Warmińską. Czyli opiekę do dzieci mamy zapewnioną.

Ustalili jeszcze parę szczegółów. Rozmawiali o pieniądzach, ostatnim zebraniu w szkole, dodatkowym szczepieniu dla Adasia, o tym, że Patryk zabierze go na noc. A kiedy wszystko zostało załatwione, Patryk zerknął na zegarek.

– Muszę już lecieć. Obiecałem wcześniej puścić Witka z dyżuru, bo Amelka zachorowała. To zwykła infekcja, ale u wcześniaków może być niebezpieczna i Brzeziński trochę wariuje.

– O tym też wiem, dzwonił do mnie. Rzeczywiście był zdenerwowany.

– A tak z ciekawości zapytam. Masz jakiś kontakt z Goską?

– Żadnego. Nawet mejla nie odebrała. Komórkę też ma wyłączoną. Zupełnie jak kiedyś.

– Może rzeczywiście pojechała do Szwecji – powiedział Patryk, wstając od stolika. – Do tej waszej koleżanki.

– Nie sądzę. Spaliła mosty u Abbasa. A z Magdą obie straciłyśmy kontakt, ale kto wie?

Patryk włożył banknot do okładki z rachunkiem, potem krótko pocałował ją w rękę i spotkanie było skończone. Anna patrzyła za nim, jak odchodził. Szedł szybko, nawet energicznie, wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. Nie pochylił się, nawet gdy powiał wiatr. Jeszcze poprawił coś przy wycieracze na szybie samochodu, po czym odjechał. Ani razu się nie odwrócił, choć wbijała mu oczy w plecy.

Przecież powinno mnie ucieszyć, że wyjeżdża. Dlaczego jest mi tak smutno, pytała sama siebie. Przecież robi tylko to, co chciałam, daje mi spokój, powinnam być zadowolona, a mam ochotę płakać.

Wyszła na pomost i objęła się rękami. Wiatr targał jej włosy, wyciskał łzy z oczu, niósł wspomnienia. Głównie tego dnia, kiedy urządzili tu przyjęcie po ślubie. Wtedy ufnie patrzyła w ich wspólną przyszłość, teraz zaczynała sobie uświadamiać, że bliżej im do tego, by stać się przeszłością. Ty też jesteś już przeszłością, wspomniała Maćka, kiedy przed dwoma laty, na tym samym pomoście, pozował z motorem do ich ślubnych zdjęć. Ogarnął ją tak przytłaczający żal, że czym prędzej uciekła z tego miejsca.

Wiedzioną wewnętrzną potrzebą pojechała na cmentarz. „Serce, jak Bóg, mówi w ciszy”, wspomniała słowa teścia. Lepszej ciszy niż tam nie znajdę, żeby usłyszeć wreszcie to, co chce mi powiedzieć. Kupiła u handlarki znicz, aby go zapalić Maćkowi. Dawno u niego nie była. Przykuta do szpitalnego łóżka ciężarna Gośka też nie mogła odwiedzać grobu zmarłego męża. Tylko na wizytę w USC dostała krótką przepustkę ze szpitala. Anna postawiła swoją lampkę obok już płonącej. To ją zastanowiło.

Kto u ciebie był? Przecież chyba nie Gośka i raczej nie starzy, schorowani rodzice, bo mieszkają w Giżycku. Siostra jest w Niemczech, może ktoś z kolegów, zastanawiała się Anna. Nie dawało jej to spokoju. Koledzy raczej nie wybraliby czerwonych zniczy w kształcie serca. Zerknęła przez otwór przykrywki. Lampka została całkiem niedawno zapalona. I jeszcze te... bzy, Anna utkwiała oczy w naręczu białych kwiatów na płycie. Były świeże, dopiero zerwane. Gośka lubi bez, skojarzyła. Może to jednak ona? Nie, to niemożliwe, odpędziła nierealne przypuszczenie. Gdyby to była ona, przecież dałaby mi znać. Popatrzyła wkoło, ale prócz kilku obcych osób w oddali nie dostrzegła nikogo znajomego. Mój teść ma rację, Maciek, wszyscy się pogubiliśmy. Tylko ty już jesteś wolny i nie musisz szukać drogi wyjścia. Szczęściarz z ciebie, gdziekolwiek teraz jesteś.

\*

– Tato, czy ja jestem zła? – zagadnęła Anna teścia kolejnego popołudnia. Karmiła Adasia, ale myślami błądziła gdzie indziej.

– Mama am. – Synek szeroko otworzył buzię.

– Przepraszam, kochanie, mamusia się zamyśliła. Proszę. – Podała mu kolejną łyżeczkę obiadu.

– Nasz mały pasibrzuszek ma dobry apetyt. – Teść pogłaskał wnuka po główce. Siedzieli we trójkę w kuchni. Iwona poszła do koleżanki. – Pod tym względem to nieodrodny syn swojego ojca. Dlaczego o to pytasz?

– Wiesz, dlaczego. Może naprawdę jestem egoistką? Zburzyłam coś, co powinno być trwałe, najważniejsze. Wybrałam siebie. Z początku wydawało mi się, że to odwaga. Teraz myślę, że to może jednak rzeczywiście egoizm. A ten jest zły, więc chyba i ja jestem zła.

Profesor sięgnął po papierową serwetkę i otarł wnukowi umorusaną buzię, ściszył radio.

– Schopenhauer twierdził, że człowiek jest z natury zły – zaczął po chwili namysłu. – Akurat w tym się z nim nie zgadzam. Uważam, że jesteśmy tym, czym nasiąkamy. Wychowani w miłości potrafimy kochać. W nienawiści, nienawidzić. Nie jesteś zła. – Poklepał ją po ręce. –

Teraz po prostu szukasz tej perspektywy, o której kiedyś rozmawialiśmy. Coś czułem, że wówczas to nie chodziło tylko o Małgosię.

– Patryk wyjeżdża – rzekła stłumionym głosem. Sam tak dziwnie zabrzmiał, choć starała się mówić normalnie.

– Wiem, był u nas wczoraj. Zajmiemy się z matką wnukami, a Adasia zabierzemy nad morze. I do Katowic, jeśli się zgodzisz.

– Kiedy mi o tym powiedział, to... – ciągnęła, oderwana od spraw organizacyjnych – część mnie chciała go zatrzymać, a część wciąż była spętana wątpliwościami. Nie wiem, co robić. To wszystko jest takie trudne. I chyba zaczyna mnie przerastać. – Pochyliła głowę na piersi.

– Chyba już sobie podjadłeś, Adasiu. – Profesor zsunął wnuka z kolan. – Postaw teraz dla dziadka dużą wieżę, a dziadek zrobi herbatkę i porozmawia z mamusią.

Chłopczyk pobiegł do pojemnika z zabawkami. Wysypał na środek pokoju klocki, gotów do budowania. Anna zwinęła się w rogu sofy, aby mieć synka na oku. Profesor przyniósł malinową herbatę dla nich obojga. Cały pokój wypełnił się mocnym aromatem, ale Annie nie poprawiło to nastroju.

– Posłuchaj, Aniu. – Teść usiadł obok niej. – Jestem z pokolenia, w którym zepsute rzeczy się naprawiało, a nie od razu wyrzucało, jak teraz. Czasem taką naprawą dla związku jest czasowe *separatio a toro et mensa*, czyli odstawienie od łoża i stołu. Jeśli ludzi łączy miłość, to przetrwają tę próbę, choć może być bardzo trudna. Może też się nie powieść. Wszystko zależy od tego, do czego oboje dążą. Jeśli ku byciu razem, lepszemu poznaniu, zrozumieniu tej drugiej połówki, to pokonają kryzys. Nawet największy.

– A jeśli nie? – Anna wcisnęła głowę w ramiona, a nogi podciągnęła pod brodę. – Jeśli miłość to za mało, aby być razem? Jeśli zatruje się ją zwątpieniem, popsuje podejrzeniami, to jak potem zbudować na tym coś trwałego? – zastanawiała się przygnębiona. Zaciskała palce na kolanach aż do białości. Ojciec Patryka przez chwilę nic nie mówił. Spojrzał na wnuka, podał Annie kubek z herbatą i sam upił łyk ze swojego.

– Wiem, że mój syn cię ranił – rzekł po chwili. – Nie mówiłaś o tym, ale nie jestem ślepy. Widziałem to i owo. Powiem ci więcej. Rozumiem twoje obawy przed wejściem do tej samej rzeki. Zauważ jednak, że rzeka nigdy nie jest taka sama. Wody w niej przecież ciągle płyną, zmieniają się, mieszają z innymi, choć koryto rzeczywiście wciąż jest to samo. Patryk chyba to pojął i mam głęboką nadzieję, że podola wyzwaniu. Nie chcę ci dawać żadnych rad, bo też nie jestem wolny od błędów. Musisz to sobie sama poukładać, posłuchać, co powie ci serce. Ono nigdy nie skłamię.

– Ty i błędy? – Anna pociągnęła nosem. – Ty jesteś chodzącym ideałem. Czasem aż nierealnym.

– Moja Aneczko! – Profesor roześmiał się w głos. – Tyle mi do ideału, co nie przymierzając Dodzie do Marii Callas.

– Wiesz, kto to Doda? – Tym razem Anna się uśmiechnęła.

– A pewnie. – Wypiął dumnie pierś. – W końcu mam wnuczkę, która trochę mnie podciąga z nowoczesnej muzyki, choć za Dodą nie przepada. Ty też powinnaś właściwie wykorzystać ten czas, podjąć nowe wyzwania. – Poglądził ją po włosach. – Kiedy zrzucisz z siebie smutek, oderwiesz się od tego, co było, wówczas raźniej spojrzysz na to, co jeszcze przed tobą. Może wcale nie będzie tak źle, jak nam się teraz wydaje. Życie jest nieprzewidywalne. Tym bardziej miłość. Tylko nie rób niczego z przymusu, jedynie dlatego, że tak wypada. To błędna droga. Dobry wybór to ten, którego jesteście pewni.

Anna chciała coś powiedzieć, ale z podłogi rozbrzmiało wołanie Adasia.

– Dada oć! Pać!

– Już dziadek do ciebie idzie i patrzy. – Profesor wstał. – Jaką wielką wieżę zbudowałeś! Brawo, Adasiu! – Nagroził oklaskami dzieło wnuka, pięć krzywo ułożonych klocków.

Rozmowa z profesorem dodała Annie otuchy, tak jak wszystkie poprzednie. Jeśli na świecie istnieją ideały, to ty jesteś nim dla mnie, myślała późnym wieczorem, zamykając drzwi za teściem. O swoim ojcu wspomniała tylko raz. W momencie kiedy w szafce z lekami znalazła karteczkę z zapisanym numerem jego telefonu. Znała go na pamięć z czasów, gdy uważała Bendorfa, wtedy jeszcze Chrisa, za przyjaciela.

– Był tu, prawda? – zapytała matkę na dobry wieczór.

– Był – potwierdziła Iwona. Odwiesiła torebkę, zsunęła ze stóp buty na obcasach i podeszła do córki. – Nie powiedziałam ci, żeby cię nie denerwować. Nie miej do mnie o to żalu. Chciał...

– Nie obchodzi mnie, czego chciał. – Anna zamachała ręką. – Nie mam żalu. Widocznie jedno miasto jest za ciasne dla dwojga ludzi takich jak ja i on.

– Aniu – matka ujęła jej dłonie – to wyjedźmy stąd. Mamy przecież te jego pieniądze. W końcu niech się na coś przydadzą. Na nowe życie na przykład. Kupimy mieszkanie w Warszawie, znajdziesz pracę, będę ci pomagać i wszystko się ułoży.

– Mam oderwać Adasia od ojca i wywieźć go na stałe dwieście kilometrów stąd? Zostawić córkę? Aż tak ich zawieść? Mamo, jak w ogóle mogło ci to przyjść do głowy? – pytała zszokowana taką propozycją. – Patrykowi i mnie może się nie udać, ale przenigdy dla własnego komfortu aż tak nie poświęcę dzieci. Nie skazę ich, zwłaszcza Adasia, bo Maja jest dorosła, na to, co sama przeżywałam. Jeśli to tylko możliwe, dzieci muszą mieć na co dzień oboje rodziców. I to jest świętość. Dlatego nigdzie się stąd nie ruszę. Nawet Bendorf mnie w tym nie złamię – zakończyła wyjątkowo stanowczym tonem.

Łyknęła coś na uspokojenie i otworzyła swoją powieść. Tak jej to weszło w krew, że pisała codziennie. Już nie były to pourywane, chaotyczne wątki, tylko przemyślana fabuła zarysu książki. Nawet podobało jej się to, co do tej pory stworzyła. Przeczytała kilka stron wstecz i pisała dalej.

*...Dom stanął w pożodze. Nie ognia, lecz zwątpienia we wszystko, co dotąd wydawało się niezachwiane. Złowrogie jęzory nieufności nie zdołały jeszcze zniszczyć nadziei...*

– Aniu – za jej plecami odezwała się matka. – Rzeczywiście zbyt pochopnie zaproponowałam ci to rozwiązanie. Chciałam dobrze.

– Rozumiem, mamo, przepraszam, że się uniosłam.

– Nie szkodzi. Co tak piszesz całymi nocami?

– Takie tam głupstwa, ale może kiedyś coś z tego będzie. To mi pomaga.

– To dobrze. – Matka pocałowała ją w głowę. – Córeczko, będę musiała wracać do Warszawy. Rozmawiałam ze Stefanem. Irena nie radzi sobie z obowiązkami. Chciałabym z tobą zostać, zwłaszcza że i Patryk wyjeżdża, ale nie przekonałam Stefana do bezpłatnego urlopu.

– Jedź. Nie możesz stracić pracy. Ja sobie poradzę.



## ROZDZIAŁ VII

Patryk wyjechał, a wkrótce po nim matka. Anna rzuciła się w wir pracy, trochę bardziej na pokaz niż z rzeczywistego zaangażowania. Śmieszyło ją napięte wyczekiwanie Bożeny na zapowiedzianego Kosmę Kosmowskiego, który jakoś nie zamierzał objawić się w realu. Jednak jego zdematerializowana postać jak widmo krążyła po radiowych korytarzach. Co mnie obchodzi jakiś Kosma, Anna wzruszała ramionami za każdym razem, gdy słyszała przejęte szepty pracowników. Ostatni korytarzowy news był taki, że Kosma wpadł na trop gigantycznej afery w olsztyńskim magistracie i rozpracowuje ją incognito. Po to, aby zrobić sobie wielkie wejście w nowej firmie. Pożyjemy, zobaczymy, mruzczała pochylona nad sprawozdaniami na sierpniową imprezę w Mikołajkach.

Zgodnie z radą teścia próbowała zrzucić z siebie smutek i poszukać nowych wyzwania. Takim była prośba Witka o pomoc przy Amelce.

W tych dniach miał wreszcie zabrać córeczkę do domu. Zapowiadana przez lekarzy połowa maja przeciągnęła się do czerwca. Dziewczynka przekroczyła już wymaganą do wypisu wagę, ale infekcja, którą przechodziła, okazała się dużo poważniejsza. Potem maleństwo miało problem z brzuszkiem i oczkami. Prerażony Witek nie miał głowy, aby zająć się wyprawką. Zaczął o tym myśleć dopiero, gdy stan córeczki znacząco się poprawił i zaczęto mówić o wypisie. W panice zadzwonił do Anny, traktując ją jako ostatnią deskę ratunku.

Spędzili na zakupach kilka popołudni. Witek testował każdą, nawet najmniejszą rzecz, zamęczał personel sklepów milionami pytań o atesty, jakość amortyzatorów w wózkach, normy bezpieczeństwa, wytrzymałość na udźwig, jakby w łóżeczku miał leżeć co najmniej stukilowy grubas, a nie ledwo dwukilogramowe dziecko. Nawet przy ciuszkach pytał o pochodzenie barwników, w których zostały ufarbowane, czy aby na pewno nie są z Chin. Jakby zapomniał, że teraz prawie wszystko sprowadzane jest z Chin.

Czasem udręczeni sprzedawcy brali ich za parę. Zwłaszcza kiedy na zakupach towarzyszył im Adaś. „Czy przy pierwszym dziecku pani mąż był tak samo dociekliwy?” Takie pytania padały kilka razy. Nie wyprowadzali nikogo z błędu. Zaczęło ich to nawet bawić.

Tego popołudnia, po ostatnich zakupach, siedzieli u Witka w ogrodzie, który teraz nie prezentował się najkorzystniej, bo trawa sięgała kostek, a niepodlewane kwiaty przywiędły. Dzień był bardzo ciepły. Adaś drzemał, osłonięty od czerwcowego słońca. Anna siedziała obok synka na huśtawce, kołysząc jego i przy okazji siebie. Witek kończył skręcać łóżeczko dla Amelki. Coś przy tym skoczego pogwizdywał.

– Ładnie ci w tych włosach – powiedział znienacka. Zebrała je dziś w wysoki koczek, tu i ówdzie subtelnie wystawały luźne pasemka. Wsuwała je pod okulary, które służyły za opaskę. – Zmieniłaś chyba kolor.

– Zauważyłeś – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. A Patryk nawet nie zauważył, pomyślała. Nie żeby jej to jakoś specjalnie ciążyło, ale zmarkotniała.

– A tak przy okazji, jeszcze cię nie przeprosiłem, że tak na ciebie napadłem, jak urodziła się Amelka. Wtedy, w szpitalu.

– W porządku. – Oparła głowę o poduszkę. – Powiedziałeś prawdę. Mój teść uważa, że nie trzeba za nią przeproszać.

– To mądry facet. A ja byłem wtedy zdrowo wkurw... – Zakrył ręką usta. – Wkurzony, chciałem powiedzieć. Muszę popracować nad słownictwem, żeby mi się przy córce nie

wymknęło jakieś paskudztwo. Dziś sam ją karmiłem butelką. Jak ona słodko ssie. I takiego dzióbka przy tym robi. – Ściągnął usta w ryjek i zacmokał kilka razy rozbawiony. Po chwili spowaźniał. – Wiesz, nigdy nie przypuszczałem, jak bardzo można się bać o dziecko. Wszystko, co dotąd przeżyłem, to przy tym mały pikuś. A jeszcze ten nowy, co przyszedł za Patrasa, jakiś jest niewydarzony. Pytam go, czy zmieni mnie wcześniej, bo chcę iść do małej, to zaczął kręcić, że pacjenci poumawiani, że dojeżdża z Morąga. No, ale od poniedziałku będę miał sto dwadzieścia legalnych dni wolnego. Wiwat macierzyński! – Pomachał wkrętarką.

– Raczej tacierzyński. Ciszej, bo obudzisz Adasia. – Anna wyjęła smoczek z półotwartej buzi synka.

– Sorry. – Znowu przyłożył rękę do ust. – W tym całym zamieszaniu zapomniałem ci powiedzieć, że wynająłem prawnika. Złożył do sądu wnioski o pozbawienie Gośki praw rodzicielskich. Bo to główniane oświadczenie, które zostawiła w szpitalu, to za mało. Nawet podobno nie trzeba ustalać, gdzie teraz jest, sąd może wydać wyrok zaocznie. No, gotowe. – Postawił skręcone łóżeczko na trawniku. – Podoba ci się?

– Nie rób tego.

– Czego? – Nie zrozumiał.

– Nie pozbawiaj Amelki matki – poprosiła, ignorując białe чудо. Witek ominął łóżeczko bokiem i podszedł do huśtawki.

– Amelka ma matkę. Właśnie przed tobą stoi – powiedział bez cienia wesołości.

– Witek, przestań. – Anna też wstała. – Możesz być najlepszym ojcem na świecie, jednak nie zastąpisz dziecku matki. Ja wiem, że to na razie źle wygląda, ale Gośka taka nie jest. Intuicja mi mówi, że...

– Nie obchodzi mnie, co mówi twoja intuicja – wszedł jej w słowo. Wyciągnął dłonie z rozcapierzonymi palcami i nieprzyjemnie napiął usta. – Gdzie była ta matka, kiedy Amelka walczyła o życie? Jak chorowała, leżała pod kropłówką? Dlaczego zamiast jej mleka dostaje mieszanki? Przecież ona nawet nie spojrzała na małą, gdy się urodziła! To jest matka?! Powiedz sama. Przyznaję, ja też nie jestem święty, wypiąłem się na własne dziecko i do końca życia będę miał moralnego kaca z tego powodu. Ale Gośka wybrała bilet w jedną stronę. Drogi powrotnej nie ma. I nigdy nie będzie.

– Witek, spokojnie. – Anna usiłowała załagodzić jego napięcie. – Kiedy ostatnio byłeś u Maćka na cmentarzu?

– Co mnie teraz obchodzi Maciek? – zapytał nasrożony. Zmrużył oczy bardziej z gniewu niż od słońca, które świeciło mu w twarz. – Nie pamiętam, ale dawno.

– A ja niedawno. – Opowiedziała mu o zniczu i bukicie. – Sądzę, że to mogła być Gośka. Jeśli nigdzie nie wyjechała, to znaczy, że Amelka jest dla niej ważna. Ja też jestem na nią wściekła, ale próbuję wierzyć, że Gośka jakoś się w tym prędzej czy później odnajdzie. Dlatego nie pozbawiaj jej tak drastycznie prawa do dziecka. Przypomnij sobie, jaka była przerażona, kiedy musieli reanimować małą tuż po urodzeniu. Potem płakała. Bardzo płakała.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – zaczął mówić powoli, zbliżając twarz do jej twarzy. – Jestem bardzo miłym i spokojnym facetem, do czasu kiedy naprawdę się zdenerwuję. Zdarza się to bardzo rzadko, ale wtedy przestaję być miły. Jeśli nie chcesz widzieć mnie w takim stanie, to nigdy więcej w mojej obecności nawet nie wypowiadaj jej imienia. Skrzywdziła moje dziecko, co oznacza, że dla mnie jest skończona. – Zabrzmiało to tak kategorycznie, że Anna już nie próbowała go przekonywać.

Przebudzony ich rozmową Adaś usiadł na huśtawce. Przetarł rączkami oczka i rozejrzał na boki.

– Taty ma? – spytał tak zawiedzionym głosem, że Annie ścisnęło się serce.

– Nie ma, syneczku. Tatuś jest daleko, pracuje. Pewnie ci się przyśnił. – Przytuliła do siebie rozspanego malca. – To wujek rozmawia z mamusią.

Witek kucnął przy huśtawce. Tak rozbawił chłopczyka różnymi minami, parszaniem i prychnaniem, że ten zapomniał o smutku i zaczął się śmiać. Witek kręcił nim potem samolociki, podrzucał go i laskotał. W końcu obaj poturlali się na trawie. Biała koszulka Witka w mig zzieleniała, tak samo jak jasne spodenki Adasia.

Anna położyła się na huśtawce, zapatrzona w mleczne chmury o przedziwnych kształtach, sunące leniwie po błękitnym niebie. Było jej tutaj tak dobrze w towarzystwie przyjaciela. Kiedy ostatnio czułam się tak przy Patryku? – usiłowała sobie przypomnieć. Chyba przed rokiem w Bieszczadach, kiedy oglądaliśmy chmury i puszczaaliśmy latawca. W naszą pierwszą rocznicę. I przed ostatnią Wigilią. Jak to możliwe, że teraz lepiej mi przy tym mężczyźnie, chociaż go przecież nie kocham, niż z tamtym, który obiecywał, że będę z nim szczęśliwa. Zatopiona w chmurnych myślach i ciszy ogrodu, zasnęła.

Obudziło ją basowe szczekanie psa, przeplecione nawoływaniem kilku głosów. Odrzuciła koc, który nie wiadomo skąd się na niej wziął. Patrzyła na obrazek przed sobą, nie do końca wierząc w to, co widzi. W ogrodzie Witka biegał z wywieszonym jęzorem... Bandyta. A za nim Maja, Witek, Adaś i Marcin. Na przemian rzucali psu piłeczkę.

– Cześć, strasznie długo spałaś. – Zadyszana Maja wskoczyła na huśtawkę obok Anny. – Ze dwie godziny, jak nie dłużej.

– I mam wrażenie, że jeszcze śpię.

– A ja dzisiaj śpię u ciebie. Tylko musisz zadzwonić do babci Miry i potwierdzić, bo podejrzewa, że mam zamiar nocować u Marcina – zachichotała.

– Zadzwonię. Cieszę się, że spędzimy ten wieczór razem. – Anna objęła dziewczynę. – Co wy tu robicie?

– Witek poprosił mnie o pomoc. Mam ozdobić malunkami pokój Amelki. Właśnie po wielkiej naradzie kolegiально wybraliśmy wzory. Stańto na Kubusiu Puchatku. Jutro zaczynam tworzyć. A Marcin przyjechał ze mną.

– A ten pies? – Wskazała na białego kudłacza, którego Adaś ciągnął akurat za ogon. Witek z Marcinem nie odstępowali malca na krok.

– Andrzej wyjechał na kilka dni z kierownikiem naszej stadniny, mają obejrzyć nowe konie, i poprosił Marcina, żeby zajął się Bandytą.

Cała trójka, łącznie z psem, podbiegła do huśtawki. Byli zasapani, spoceni, ale szczęśliwi. Bandyta ziajał potężnie. Wsadził pysk do miski i opróżnił ją, rozchlapując dookoła wodę.

– Dawno nie widziałem tak dobrze wyszkolonego psa. – Marcin potarł nos zwierzaka za uszami. – Jest bardzo groźny, ale do dzieci ma wyjątkową cierpliwość. Adaś może zrobić z nim prawie, co chce.

– Hau, hau. – Chłopczyk klepał rączkami psi grzbiet.

– Może lepiej niekoniecznie. – Anna przezornie wzięła synka na kolana.

Bandyta szturchnął łbem jej nogę. Z początku się odsuwała, bo kojarzyła go z konkretną postacią, jednak aby nie robić przykrości reszcie, ona też potarła grube futro. Pies zamierdał ogonem.

– Dzieciaki, na co czekacie? Ręce myć i nakrywać do stołu. – Witek zaklaskał. – Migiem. Nasza dama już wstała i pewnie jest głodna. Wujek też by coś zjadł. Nie po to nasmażyłem całą furę naleśników, żeby do reszty wystygły.

– Smażyłeś naleśniki??? – Anna zrobiła wielkie oczy.

– Jestem w tym niedościgniony – odparł nie bez dumy. – Mam też inne rozliczne talenty, o których jeszcze nie wiesz.

Jedli potem te naleśniki z apetytem, a dobry humor wszystkim dopisywał. Jako że wieczór był wyjątkowo ciepły, biesiadowali na tarasie. Płonące świece odstraszały roje komarów. Oczywiście głównym tematem rozmów była Amelka, urządzono nawet pokaz zakupionej wyprawki, od smoczka po łóżeczko. Potem rozmowa zesłała na konie, Włochy, szkołę i nawet egzaminy z końskiej chirurgii, które w letniej sesji miał zdawać Marcin. Przy pożegnaniu Witek zastrzelił Annę niespodziewaną propozycją.

– Anka, sprowadź się z Adasiem do mnie na trochę. Póki moja matka nie przyleci ze Stanów. Na dwa, góra trzy tygodnie, żebym nabrał trochę wprawy.

– Czyś ty zwariował? – Popukała się w czoło.

– Posłuchaj. – Poglądził ją po ramionach. – Ja tylko zgrywam takiego chojraka, w gruncie rzeczy strach mnie obleciał. W szpitalu to co innego, wszystko przy Amelce załatwiają pielęgniarki. A sam w domu nie poradzę sobie z tak maleńkim dzieckiem, przynajmniej na początku. Mogę ci w nagrodę codziennie smażyć naleśniki albo jajka na bekonie, albo...

– Przestań – przerwała jego zapędy. – Nie ma mowy. Mój teść nie będzie każdego ranka przebijał się przez całe miasto na Dajtki, żeby pilnować wnuka. Nie mam urlopu, a sam z dwójką dzieci sobie nie poradysz. Adasia nie można spuścić z oka, a wiem, ile roboty jest przy noworodku. Mogę przyjeżdżać po pracy i zostawać u was nawet do wieczora, ale nie przeprowadzę się, bo to nawet dla Adasia byłoby zamieszanie.

– Żadne zamieszanie – przekonywał niezniechęcony. – To wielki dom. Adasiowi możemy urządzić osobny pokój. Przywieź jego łóżeczko, zabawki, co tylko chcesz. Nawet basenik do ogrodu mu kupię. A z profesorem sam pogadam, żeby tu przyjeżdżał. Z Patrasem też wszystko załatwię, żeby Bóg wie co sobie nie pomyślał. Nie zostawiaj mnie. Przyjaciół nie opuszcza się w potrzebie.

Składał przed nią ręce jak do modlitwy. Robił prośące oczka psa Pluto, zajęcze łapki, ziajał jak szczeniak, gotów był nawet pokłony bić. Wyglądał przy tym tak rozbrajająco, że Anna zaczęła mięknąć.

\*

W piątek po południu, kiedy po ostatnich badaniach Witek mógł wreszcie zabrać córeczkę do domu, na Dajtkach zamieszkała też Anna. Pomysł, który jeszcze kilka dni wcześniej wydawał się absurdalny, wobec gorliwych próśb młodego ojca zyskał poparcie otoczenia. Najbardziej przyklasnął temu profesor Terliński. Jako położnik uwielbiał dzieci, a teraz mógł mieć na co dzień dwójkę.

Patryk również nie miał zastrzeżeń do tej decyzji. Annę nawet to zastanowiło. „To nasz przyjaciel, powinnaś mu pomóc, jeśli masz ochotę. Adaś też skorzysta, będzie dłużej na powietrzu” – stwierdził w krótkiej rozmowie przez telefon. Tylko Mira podchodziła do sprawy z rezerwą.

„Umyśliłaś sobie zamienić mojego syna na jego przyjaciela?” – spytała z ironią, kiedy Anna dzień wcześniej tuż po pracy przyszła na Warmińską, żeby zabrać letnie ciuchy. Puściła tę złośliwość mimo uszu, skupiając się na pakowaniu drobiazgów. Przy okazji zauważyła, że Mira co nieco pozmieniała w mieszkaniu po swojemu. Stojący dotąd przy ścianie stół teraz został wysunięty bliżej środka pokoju. Na półkach z książkami stały jakieś porcelanowe bibeloty, na komodach leżały dziergane szydełkiem serwetki, a skórzany fotel przy oknie, ulubione miejsce do czytania, osłaniała barwna narzuta. Niby nic, ale Annę w jakiś sposób to dotknęło. Teraz Mira jest panią tego domu, nie ja, pomyślała, zbierając się do wyjścia. Na pożegnanie teściowa oświadczyła: „Ja też będę wpadać do Witka”. „Zapraszam”, odpowiedziała Anna na komunikat, którego niewypowiedziany ciąg dalszy brzmiał ni mniej, ni więcej, jak „aby cię

obserwować”.

To było wczoraj. Dziś czekano na dziewczynkę w domu. Maja z Marcinem zaszyli się w pokoju Amelki i zaczepiali ostatnie baloniki. Anna zajrzała tam, kiedy skończyła układać rzeczy w sypialni, w której miała od teraz zamieszkać z synkiem.

Pokój Amelki, ozdobiony malunkami, wyglądał przepięknie. Widny, przestronny, z oknami na słoneczną stronę, tonął w bieli i różu. Nad łóżeczkiem z zasłoną wisiała pozytywka z pajacykami. Na białych regalikach piętrzyły się zabawki, które mogły się przydać nie wcześniej niż za rok. Do tego jakieś elektroniczne sprzęty. Prócz nawilżacza i wagi zastosowania innych Anna nie potrafiła odgadnąć. Kiedy on to wszystko kupił, zastanawiała się, z podziwem wodząc wzrokiem po całym wnętrzu.

Amelka będzie tu miała jak w raju, pomyślała. Zrobiło jej się żal, że Gośka z własnej woli zrezygnowała z tego wszystkiego. Nie z urzędzonego z takim rozmachem pokoju, ale z obecności w życiu córeczki. Komercyjny raj drogich zabawek i ubranek nie zastąpi przecież dziecku miłości matki. Gdzie ty jesteś, do diabła? Ja się pogubiłam w życiu, ale ty jeszcze bardziej, Gośka.

## ROZDZIAŁ VIII

Witek oszalał. Tylko tak Anna mogła określić stan psychiczny ich przyjaciela. I nie wiedziała, kto tu bardziej wymagał opieki, niemowlę czy jego nadwrażliwy tatuś. Zwłaszcza pierwsze dni Amelki w domu okazały się wyzwaniem. I to jakim! Maleństwo dużo spało, mało płakało, za to Witek przechodził samego siebie. Dociekliwość, jaką okazywał na zakupach, była niczym w porównaniu z tym, co wyprawiał teraz. Z jednej strony Annę to męczyło, z drugiej zaś odprężało, bo tłumilo jej własne rozterki. Czas miała wypełniony do ostatniej minuty. Przede wszystkim musiała pilnować Adasia, który traktował małą jak ciekawą zabawkę, którą należy dogłębnie poznać. Chciał ją testować tak jak wszystkie inne, gryzieniem, klepaniem, ugniataniem. Oprócz synka musiała uspokajać maksymalnie przejętego nową rolą Witka. Już przy pierwszej kąpieli przyjaciel miał dziwne wątpliwości.

– Muszę z tobą pogadać jak kobieta z kobietą – zagadnął Annę, trzymając córeczkę przytuloną do nagiego torsu. Teraz miał już nie tylko wygoloną ścieżkę na piersi, ale całkiem gładziutką skórę. Mała trochę się wierciła i kwękała. Nie pomagały sugestie Anny, aby choć na moment przełożył dziewczynkę do łóżeczka. Witek od razu wymieniał całą listę potencjalnych zagrożeń, jeśli na chwilę zostawiłby córkę samą. Mogła się przecież zachłysnąć, złapać bezdech, przestraszyć albo jeszcze coś ją ukąsi. Dlatego wołał nie wypuszczać dziecka z rąk. Anna karmiła w kuchni Adasia i przygotowywała mieszankę dla Amelki.

– Dobrze odmierzyłaś? – Witek zajrzał jej przez ramię. – Wiesz, żeby nie miała biegunki ani zaparcia. Te miarki w mieszankach mogą być niestandardowe.

– Wszystko zgodnie z instrukcją na pudełku – zapewniła go.

– A smoczek i butelkę wyparzyłaś?

– Tak.

– Ale wzięłaś ten z mniejszą dziurką? Wiesz, przeczytałem, że mleko nie powinno lecieć zbyt gwałtownie, bo dziecko może się zakrztusić albo dostać kolki, jak się nałyka powietrza. A wiesz, że taka kolka u niemowlaka to bolesna sprawa.

– Oczywiście. – Wzniosła oczy ku sufitowi. – O czym chciałeś pogadać, kobieto?

– Chodzi o kąpiel Amelki. – Witek podsunął wyżej córeczkę na ramieniu. Wyglądała jak laleczka w za dużym różowym ubranku. Smoczek przysłonił połowę maleńkiej i troszkę pełniejszej już buzi. Oczka dziewczynki, wcześniej granatowe, stały się teraz niebieskie.

– Ja ją wykąpię, a ty pobawisz się z Adasiem – zaproponowała, bo tak ją wzruszyło to maleństwo, że chciała choć na chwilę wziąć je na ręce. Jeszcze nigdy jej nie trzymała. Witek nie palił się, by przekazać Amelkę w ręce inne niż swoje.

– Nie, nie! – odmówił natychmiast i jeszcze mocniej przytulił córeczkę. – Ja mam pewniejszy chwyt. Sam ją wykąpię, tylko... no wiesz, czy uważasz, że... – zarumienił się lekko – no, czy powinienem ją tam... myć?

– Tam, czyli gdzie? – spytała rozbawiona, choć rozumiała, czego dotyczy jego pytanie.

– No... tam. – Wskazał oczami między swoje nogi. Wyglądało to tak komicznie, że Anna nie mogła opanować śmiechu.

– No co? – Zrobił obrażoną minę. – Nie wiem, czy powinienem jej tam dotykać. Nie ma przecież... ptaszka.

– Wituś, dziewczynki nie mają ptaszków – odrzekła ze śmiechem. – Jasne, że powinieneś ją TAM myć. A jak ją przewijasz, to też masz takie wątpliwości?

– Jeszcze jej nie przewijałem – odpowiedział przejęty. – Trochę się boję.

– Trzymasz ją od szpitala w tym samym pampersie?! – zawołała Anna. – O nie, przyjacielu. – Tak szybko zabrała mu małą, że nie zdążył zaprotestować. – Poprosiłeś mnie o pomoc, to będziesz ją miał. Dokarm Adasia, wymieszaj mleko, a ja ją przewinę. Czuję... – Pociągnęła nosem. – Oho, kupa jak nic. Ciocia się teraz tobą zajmie, aniołku. – Pocałowała Amelkę w główkę. – Tatus musi trochę ochłonąć.

Problemem stało się też spanie. Planując pokój dla córeczki, Witek nie pomyślał o łóżku dla siebie. Teraz zdecydował, że będzie spał na podłodze. Dopiero po namowach Anny, rad nie rad, przeniósł łóżeczko małej do swojej sypialni. Wcześniej wyszorował pokój na błysk, nie przepuszczając ani jednemu ewentualnemu siedlisku kurzu.

Trwało to dobrych kilka dni, nim jako tako okrzepł. Był niedospany, zmęczony nocnym noszeniem i karmieniem, ale mimo to zrywał się na najmniejszy ruch w łóżeczku. Czasem, co Anna widziała przez uchylone drzwi, siedział przy małej, choć Amelka dawno spała. Szeptał coś wtedy, pochylony nad córeczką, gładził jej główkę, całował, czasem nawet coś nucił. W takich momentach Anna lubiła patrzeć na nich oboje. Tak samo jak lubiła patrzeć, kiedy Patryk w podobny sposób okazywał miłość ich dzieciom. Jednak teraz wydawało jej się to tak odległe, jakby miało miejsce w innym życiu.

\*

Czerwiec zbliżał się do półmetka. Dni były wyjątkowo upalne, a noce parne. Świerszcze koncertowały, pachniała maciejka, a granat nieba rozświetliły miliony gwiazd. Sypialnia, w której Anna zamieszkała z Adasiem, miała wyjście na taras. Obok niego Anna urządziła sobie kącik do pracy. Przez szeroko otwarte drzwi do pokoju zaglądał Wielki Wóz.

„Którą gwiazdkę wybierasz?”

„Tę środkową, przy dyszlu”.

„Nazywa się Mizar. Jest twoja”.

Przypomniała sobie tamtą rozmowę w Niepamięci, kiedy leżeli pod nocnym niebem i Patryk „ofiarował” jej gwiazdę. Zakłuło ją serce na to wspomnienie. Wkrótce minie rok od życzeń, które wtedy wypowiedzieliśmy, pomyślała, snując się w upalną noc po tarasie. Nawet w krótkiej piżamce było jej za gorąco. Taaaak, marzeń nie należy wypowiadać na głos, bo się je płoszy. Potarła ręką szyję, jakby coś ją dławilo w krtani.

Na dworze już dniało. Rozkopany Adaś spał w łóżeczku z rączkami uniesionymi na poduszce. Anna nadstawiła ucha. Po sąsiedzku też było cicho. Amelka nie płakała.

– Mogę cię prosić na chwilę? – Po cichutkim pukaniu Witek uchylił drzwi sypialni Anny, ale nie zajrzał do środka. Mówił w szparę.

Wyszła na korytarz. Witek, w samych bokserkach, kręcił się niespokojnie, raz po raz zaglądając do córeczki.

– Co się stało? – spytała szeptem Anna.

– No właśnie nie wiem, dlatego zapukałem. Słyszałem, jak chodzisz po tarasie – odrzekł też szeptem. Rozcierał przy tym ręce tym charakterystycznym ruchem podenerwowania. – Mam wrażenie, że mała za długo śpi. Przespała karmienie. Nie wiem, czy ją budzić. Może jest chora, jak myślisz?

– Po pierwsze, myślę, że jest najedzona jak bąk, dlatego śpi. Nie przeszkadzaj jej. Sam odpocznij. Oczy masz jak szparki. Po drugie, myślę też, że naprawdę trochę... – Zawiesiła głos.

– Chcesz powiedzieć, że głupieję?

– Mniej więcej. Powinieneś wyluzować, bo do reszty zwariujesz, jak tak dalej pójdzie.

Poskrobał się po rozczochranej głowie. Pomyślał chwilę, potem zajrzał do jednego

dziecka, a następnie do drugiego. Z pokoju Amelki zabrał z półeczki czujnik elektronicznej niani, a później wziął Annę za rękę i poprowadził ją do kuchni. Posadził niemal z honorami na krześle, po czym wyjął z szafek mąkę i patelnię. Patrzyła na tę krzątanicę nieco oszołomiona. Przyjaciel zauważył jej pytające spojrzenie.

– Obiecałem ci naleśniki – wyjaśnił jak gdyby nigdy nic.

– Wituś, jest czwarta rano. – Wskazała na zegar. – Chcesz smażyć naleśniki o czwartej???

– Jasne. I tak nie śpimy. O szóstej następne karmienie, a przedtem obudzi się Adaś.

Mamy chwilę tylko dla dorosłych. Możemy sobie pojeść i pogadać. Jako matka karmiąca mam wilczy apetyt. Adaś też zje na śniadanie. Lubi z nutellą. A ty z czym chcesz?

– Z dżemem.

Smażył je sprawnie jak zawodowa kucharka. Nawet ciasto wyszło bez grudek, choć rozcierał je łyżką, aby warkot miksera nie obudził dzieci. Patelnia śmigła mu w rękach, kiedy podrzucał w górę złote krążki. Naleśniki były wyjątkowo udane. Anna, choć nie jadła śniadań o tej porze, tym razem nie mogła się temu oprzeć. Zjadła trzy trójkąty i miała ochotę na więcej.

– Mówiłam ci, że jesteś wyjątkowy. – Wzięła sobie następny. – Szczęśliwa kobieta, która na ciebie trafi. Do dziecka nie będzie musiała wstawać, naleśniki jej usmażysz, pranie zrobisz, tak jak wczoraj. Masz tyle zalet, że już ci podaruję to zafarbowanie mojej ulubionej bluzki.

– Odkupię ci ładniejszą, ta miała jakiś porąbany krój. A poza tym, nie kokietuj faceta nad ranem w tym półnagliżu, chociaż jest całkiem wskazany na te upały. – Obrzucił pełnym uznania wzrokiem jej postać w czarnej satynowej piżamce. – Bo to może być niebezpieczne.

– Ty też jesteś w samych majtkach, więc uważaj – zażartowała, mrugając do niego.

– Możesz mnie molestować, ile chcesz, bo przecież jestem śliczny. – Wdzięczył się przed nią jak panna na wydaniu, demonstrując wysportowane, jędrne ciało. – Ale nic z tego nie będzie, pani Terlińska. Kobieta, na której teraz najbardziej mi zależy, jeszcze robi w pieluchy.

– Dlaczego nie mieliście z Beatą dzieci? – zapytała odruchowo.

Witek spoważniał. Już nie krygował się przed nią żartobliwie, nie napinał mięśni. Odstawił patelnię i długo mył ręce pod zlewem. Tak jak robił to zawsze Patryk. Widocznie nawyk chirurgów. Potem równie starannie je wycierał. Nałożył sobie naleśniki i usiadł naprzeciwko Anny.

– Najpierw nie chcieliśmy – zaczął jej opowiadać. – Dopiero zaczynałem jako lekarz, więc co innego było ważniejsze. Beata też szukała miejsca dla siebie. Kończyliśmy remont tego domu, trochę podróżowaliśmy. Polecieliśmy razem do Stanów, bo matka załatwiła mi stypendium w Bostonie. Były ciekawsze zajęcia niż dziecko, tak wtedy myśleliśmy. A jak już chcieliśmy, to przyszły schody. Jedno poronienie, drugie, trzecie...

– Nie wiedziałam. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Nic nie mówiliście.

– Nie było się czym chwalić. Myślę, że to wtedy zaczęło się psuć między nami. Wniosek stąd taki, że ważnych spraw nie można odkładać na potem. Liczy się tylko „teraz”. Bo „potem” może ci pokazać. – Wysunął środkowy palec w górę. – Coś o tym wiem.

Ja chyba też, dopowiedziała w myślach, ale nie była gotowa na zwierzenia, choć widziała w oczach Witka oczekiwanie. Pokręciła przecząco głową. Nie nalegał, potarł ręką jej ramię przyjacielskim gestem. Umieeli porozumiewać się bez słów. Oboje na chwilę pogrążyli się w swoich myślach. Anna otrząsnęła się pierwsza.

– Witek, dzięki za śniadanie. – Zaczęła zbierać talerze ze stołu, ale ją powstrzymał. Sam powkładał naczynia do zmywarki. – Pójdę pod prysznic. Po pracy przyjadę po Adasia, bo jedziemy z Mają na ostatnie zakupy przed jej wyjazdem. To już niecały tydzień został.

– Po co masz go ciągać po sklepach w upały? Załatw wszystko z młodą, a maluchy zostaną z nami. Pójdziemy z profesorem na spacer nad jezioro. Wiesz, jak laski lecą na facetów



z wózkami? – Mrugnął do niej wesoło. – W życiu takiego brania nie miałem.

– Oj, Wituś, Wituś! – zaśmiała się. – Jesteś niepoprawny. W takim razie przed wyjściem przygotuję wam jakiś obiad.

– No wiesz – niemal się oburzył. – Jestem kobietą. Potrafię gotować. Sam coś upichcę, jak przyjdzie profesor. Szykuj się. Chcesz kawę?

Nim zdążyła odpowiedzieć, zapikowała jej komórka.

„Mam pewny cynk, że Kosma Kosmowski zjawi się dzisiaj. Bądź wcześniej. Bożena”.

– Cholera – mruknęła.

– Co jest?

– Dziś przychodzi do radia nowy człowiek. Podobno wredny typ.

– Z tą kobietą trochę przesadziłem. Właściwie to jestem supermenem. – Witek naprężył wcale nie małe mięśnie. – Jak ten nowy zacznie ci podskakiwać, to tylko zadzwoń, a od razu przylecę i skopię mu du... .

– Miałaś nie przeklinać. – Położyła mu palec na ustach. – Wiem, co mu skopiesz, supermenie. A kawę poproszę. Muszę sobie podnieść adrenalinę przed spotkaniem z tym panem.

Kosma przyjechał do radia z samego rana. Drogim samochodem i w drogich ciuchach. Lniane spodnie, dobra gatunkowo koszula, wszystko zagranicznej marki. Do tego skórzane buty, mniej więcej za połowę średniej radiowej pensji. Na tle dżinsów i zwykłych bawełnianych koszulek pracowników wyglądał jak prezes banku. Na pierwszy rzut oka wzbudził w Annie niechęć. Nie chodziło o wygląd, bo ten był korzystny. Średniego wzrostu szatyn przed czterdziestką, w okularach i z idealnie bielutkimi licówkami na zębach. Chodziło o narcystyczny styl i zadufanie kogoś, kto uważa się za lepszego niż inni.

Kosma kroczył przez korytarz w stronę sekretariatu, z miną typowego przedstawiciela „Warszawki”, któremu na prowincji powinni rozesłać czerwony dywan na powitanie. Anna ze zdumieniem obserwowała, jak jej zazwyczaj asertywna i bezkompromisowa szefowa jakby odrobinę zmalęła przy powitaniu z nowym pracownikiem.

– Jak się panu u nas podoba? – zagadnęła go Bożena. Rozmawiali w gabinecie pani prezes, która raz po raz sięgała po filiżankę z kawą. Kosma siedział sztywno, z wyższością patrząc na obie szefowe.

– Pytasz o Olsztyn czy radio? – Bez ceregieli przeszedł na „ty”. Bożena, która preferowała oficjalne formy kontaktu z pracownikami, teraz się dostosowała.

– Jeśli chodzi o radio, to zapewne jeszcze nie zdążyłeś zrobić rozeznania. Pytam raczej o Olsztyn – odparła. Anna milczała.

– Jestem profesjonalistą. Mam rozeznanie na temat tej firmy – stwierdził z wyższością. Strzepnął niedbałym ruchem jakiś niewidzialny pyłek ze spodni, po czym wyrecytował aktualne audycje, pory ich nadawania, słuchalność oraz notowania listy przebojów. – A jeśli chodzi o Olsztyn, to przyjemne miasto, tylko niewykorzystane. Aspiruje do miana turystycznej stolicy, a tymczasem turyści go omijają. Tu nie ma co robić, choć jest aż szesnaście jezior w granicach miasta. To ewenement. Poza tym brak mu charakteru. Ni to secesja, ni to nie wiadomo co. Obok stylizowanego ratusza stoi jakaś pokraka ze szkła i aluminium, a szkoda. O paskudnym dworcu kolejowym i krzywych chodnikach nie wspomnę. Nawet stadion budowany za Gierka wam się sypie. Sam uniwersytet i fabryka opon nie załatwią rozwoju miasta. I właśnie to są tematy dla dziennikarzy, sprawy, które trzeba wyciągać na światło dzienne. Wytykać urzędnikom ich opieszałość i błędne decyzje. Sumując, jak widzicie, jestem przygotowany, aby tu pracować – zakończył swoje exposé Kosma.

Ma dobry radiowy głos, choć mógłby popracować nad dykcją, zauważyła w myślach Anna, słuchając nowego pracownika. Kosmowski siedział niedbale w fotelu, z miną

najmądrzejszego z mądrych. Zobaczymy, czy w praktyce też będziesz taki hop do przodu, cwaniaczku. Niechęć Anny do przybysza wzrosła. Kosma wyjął z teczki kilka kartek w przezroczystej koszulce.

– Tu jest moje dossier i nagrody branżowe. – Popchnął dokumenty w stronę Anny. Podsunęła je Bożenie.

– Rzeczywiście imponujące. – Pani prezes z zainteresowaniem przeglądała dokonania nowego pracownika. – Tak samo jak twoja wiedza. Tym bardziej się cieszę, że dołączysz do naszego zespołu. Masz świeże spojrzenie na sprawy, które nam umykały.

– Nie przychodzę z niczym. – Kosma założył nogę na nogę. – Pracuję nad pewną sprawą. Nie zdradzę jeszcze szczegółów, ale wkrótce będzie bardzo głośno o tym mazurskim miasteczku.

– Warmińskim. – Anna po raz pierwszy od powitania zabrała głos. – Olsztyn leży na Warmii, nie na Mazurach, panie Kosmowski.

– Mało kto to rozróżnia. Drobiazg – zlekceważył swoją pomyłkę. – Mów mi po imieniu.

– Ale błąd. – Anna wstała. – A tych profesjonalści powinni unikać. I jeśli to panu nie sprawia różnicy, to wolę zostać przy oficjalnej formie. Chyba już nie będę potrzebna. Pójdę do siebie popracować nad sprawozdaniem.

– Potem do ciebie zajrzę. – Bożena kiwnęła głową.

Kosma pokazał wszystkie licówki, ale jego oczy za okularami nie uśmiechały się tak jak usta. Patrzyły wnikliwie szpiegowskim spojrzeniem.

Nie minęło pół dnia, a nowy pracownik albo zjednał, albo zniechęcił do siebie zespół. Wszędzie było go pełno. Dużo pytał, a jeszcze więcej słuchał. Niektórym imponował nagrodami i miejscami, w których pracował, innych odpychał źle ukrywaną wyższością. Anna zdecydowanie zaliczała się do tych drugich. W gruncie rzeczy co mnie on obchodzi, myślała. Niech sobie gwiazdorzy, jak chce. Wzruszała ramionami za każdym razem, kiedy mijali się na korytarzu bądź w pokojach redakcyjnych.

Pochylona nad raportami dojrzała do piętnastej. Pilnowała, aby głowa nie opadła jej na biurko. Bezsenne noce dawały o sobie znać w dzień. Nawet zwiększona dawka kofeiny nie pomagała. Ani upał, który nieznośnie oblepiał ciało wilgocią. Gdy Anna wyszła z pracy, gorące powietrze zatykało płuca. Z nagrzanego słońcem jej terenowej toyoty buchnęło upałem. Obok stał samochód Kosmy, wypolerowany do połysku czarny chrysler 300C, jak zdążyła przeczytać. Kosmowski też wietrzył auto, zerkając z ukosa na Annę.

– Chyba się nie polubimy – stwierdził na poły żartobliwie, na poły poważnie.

– Nie musimy – odparła obojętnie. – Wystarczy, jak będzie pan wykonywał moje polecenia. Będzie pan konsultował ze mną swoje tematy. Niczego nie może pan wyemitować bez mojej zgody – oświadczyła służbowym tonem, patrząc nowemu podwładnemu prosto w oczy.

Ten przygryzł wewnętrzną stronę policzka, a riposta, którą wygłosił, wbiła Annę w ziemię.

– Czy pani niechęć odnosi się tylko do mnie, czy też dotyczy ogółu mężczyzn? Rozwód to musi być dla pani trudny czas. W takim razie postaram się nie przysparzać dodatkowych problemów. – Skłonił przed nią głowę i wszedł do auta.

Anna jeszcze stała przy swoim, tak ją zaskoczyło to, co usłyszała. Skąd się dowiedział? Od Bożeny czy od kogoś innego? Co za bezczelny typ, kipiała ze złości. Ściany wszędzie mają uszy, a w tej plotkarskiej firmie szczególnie – obrzuciła niechętnym spojrzeniem nowoczesny budynek radia. Wsiadała do samochodu, kiedy komórka zasygnalizowała esemes.

„Odłóżmy zakupy, bo wszystko mam. Jeśli to dla Ciebie nie kłopot, to bardzo bym chciała, abyś przyjechała do stadniny. Testuję nowego konia. Musisz go koniecznie zobaczyć. Maja. PS. Andrzej też tu jest”.

Cholera, Anna walnęła zwiniętą pięścią w kierownicę. W pierwszym odruchu chciała odpisać, że nie przyjedzie, zaraz jednak ochłonęła. Ja i on to jedno. Maja i on to co innego. To tylko trener, trener, powtarzała, przedzierając się przez zakorkowane ulice w stronę wylotówki na Warszawę. Męczył ją wzmożony ruch zapowiadający nadejście wakacji, oślepiające słońce i lepkie od potu dłonie. Nim dojechała do Kortowa, gdzie mieściła się uniwersytecka stadnina, upłynęło pół godziny. Szukała wzrokiem Mai. Jakieś dziewczyny przy długich białych stajniach czyściły konie. Zwierzęta parskały i odganiały ogonami roje much. Kilka dziewczyn już kłusowało po piaszczystym placu. Anna poczuła w nosie pył spod końskich kopyt i odór świeżo wyrzuconego łajna. Przystanęła przy barierkach okalających duży plac.

Najpierw zobaczyła jego. Bendorf w swoim kowbojskim kapeluszu i spranej czarnej koszulce rozstawiał przeszkody na parkurze. On jej nie dostrzegł. Po chwili zza stajni wyłoniła się Maja. Prowadziła ku Annie osiodłanego konia. Wyglądał dziwnie znajomo. Siwy, o długich, smukłych nogach. Anna wytrzymała wzrok i osłoniła ręką oczy od słońca.

– Dobrze widzisz, mamo. – Maja przywitała ją całusem. – To Jenny, największa niespodzianka, jaką Andrzej mi sprawił. Do dzisiaj o niczym nie wiedziałam. Dlatego tak chciałam, żebyś przyszła, bo pamiętam, jak ją lubiłaś, kiedy byliśmy w Niepamięci.

– Lubiłam – odpowiedziała i nie mogła się powstrzymać, aby nie pogłodzić klaczki.

Chciała zapytać, skąd wziął się tu ten koń, ale Bendorf już do nich szedł, a raczej pędził przez plac, wzbijając pył nogami. Anna odwróciła głowę, żeby na niego nie patrzeć. To tylko trener mojej córki, nikt więcej, znów zaczęła sobie powtarzać w myślach, kiedy ojciec przed nią stanął. Udawała, że nie widzi niedowierzania i radości na jego twarzy. Nie patrzyła na niego. Patrzyła na konia, Maję, na stajnie, tylko nie na Andrzeja. Za to on nie odrywał od niej spojrzenia.

– Dzień dobry, Aniu. – Jego głos był cieplejszy niż powietrze dookoła. – Jenny trafiła do stadniny pod Warszawą. Przeczytałem przypadkiem w internecie, że jest na sprzedaż. A to skoczna klaczka, z dużymi możliwościami, więc namówiłem kierownika na kupno – wyjaśnił niepytany.

– Wystartuję na niej we wrześnie, prawda? – Maja cieszyła się jak dziecko. Mało brakowało, a podskakiwałaby z radości. Raz po raz klepała konia po szyi.

– Nie wiem, czy do tego czasu zdążysz się zgrać z Jenny, zwłaszcza że lada dzień wyjeżdżasz i długo cię nie będzie – odpowiedział. – A teraz idź, rozgrzej ją.

On też poklepał klaczkę w bok, tuż obok dłoni Anny. Musnął ją nawet niby przypadkiem. Cofnęła pośpiesznie rękę i mocniej zacisnęła zęby. Bendorf poprawił coś przy siodle. Maja zgrabnie dosiadła konia.

– Mamo, popatrzysz, jak jeżdżę? – zapytała z końskiego grzbietu.

– Z przyjemnością. A potem pojedziemy do Adasia. Zjemy razem kolację. Musimy dopiąć szczegóły twojego wyjazdu. Marcin przyjdzie?

– Nie, bo zakuwa do ostatniego egzaminu – wyjaśniła dziewczyna, po czym wjechała na plac.

– Aniu... – zaczął Bendorf, kiedy zostali sami, ale nie dopuściła go do głosu. Nie chciała słuchać tego, co ma jej do powiedzenia, ani dłużej przebywać w jego obecności. Dla niej był niewidzialny.

– Przyjechałam na trening Mai i w żadnym innym celu – zakomunikowała z wyższością, równą tej, którą rankiem zaprezentował Kosma.

Nawet nie zamierzała ukryć niechęci, jaką żywiła do Bendorfa. Na jego twarzy odmalował się zawód, ale Anny to nie obeszło. Usiadła na trybunie i skupiła się na oglądaniu jazdy.

Tak jak ona nie chciała widzieć ojca, tak on pochłaniał ją wzrokiem. Żal rozrywał mu serce, które znów trochę go kłuło. To nic, nic, pewnie przez ten upał, powtarzał sobie. Najważniejsze, że ona jest tu, blisko. Moje największe szczęście. Moja córeczka. Jest dobra, ciepła, taka jak Anula, tylko ukrywa to pod tą złością. Kiedyś mi wybaczy. Poczekam, mam czas. Nigdzie mi się nie spieszy, snuł wewnętrzny monolog, raz po raz zerkając ukradkiem w stronę trybun. Ładnie jej w tej kremowej garsonce, tylko wygląda na zmęczoną. Musi źle sypiać ta moja biedulka, i chyba jest przepracowana, rozczulał się przy każdym spojrzeniu na córkę.

Specjalnie przedłużał trening, aby na zapas cieszyć się jej widokiem. Bardzo długi zapas. Wiedział, że jak Maja wyjedzie, straci na długo choćby tę namiastkę kontaktu z Anną. Tak jak powiedział Iwonie, nie prześladował już więcej córki, nie nachodził jej, skoro tego nie chciała. On też wyjedzie. Do Torunia, do swojej Anuli. Odkąd przyjechał do Polski, jeszcze nie był u niej na cmentarzu. Zabrakło mu odwagi, by powrócić do miejsca początku i końca swoich marzeń. Teraz miał nowe marzenie, które dodawało mu siły. Kiedyś je spełni. Nie poddam się, krzychał w myślach głośniej niż ptaki krążące nad stajniami. Anna jednak słyszała tylko głosy ptaków.

## ROZDZIAŁ IX

W przeddzień wyjazdu Majki Mira urządziła na Warmińskiej pożegnalny obiad. Nie tylko Anna została na niego zaproszona, ale także Witek, który zgodził się bardzo chętnie, jako że sam też miał powody do radości. Jego adwokat okazał się tak skuteczny, że po krótkiej rozprawie Witold Brzeziński zyskał wyłączne prawo rodzicielskie do córeczki. Anna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zaproszenie Witka było podyktowane nie tyle względami przyjacielskimi, ile dociekliwością teściowej. Mira nawet nie ukrywała dwuznacznych spojrzeń, rzucanych to na synową, to na przyjaciela Patryka. Choć przy stole zachowywała się powściągliwie i z klasą, jej ściągnięte w znajomy ryjek usta były wyjątkowo wymowne.

Co więcej, od wyjazdu wnuczki starsza pani Terlińska nabrała zwyczaju niemal codziennego wpadania na Dajtki, niby pod pretekstem pomocy przy dzieciach, choć obaj panowie całkiem sprawnie radzili sobie z dwójką maluchów. Mira jednak wolała mieć oko na wszystko. Zazwyczaj brała Adasia za rączkę i udawali się na „zwiedzanie”. Raz Anna zauważyła, jak teściowa dyskretnie zaglądała do jej szuflady. Ciekawe, czego tam szuka, zastanawiała się, obserwując narastające wścibstwo matki Patryka. Teraz już wiadomo, po kim on odziedziczył tę swoją nieufność. Jednak nie przejmowała się specjalnie węszeniem Miry. Po pierwsze, nie miała nic do ukrycia, a po drugie, była tak zmęczona, że niewiele ją to obchodziło. Pracowała więcej niż zwykle, bo Bożena skręciła nogę i wzięła zwolnienie. Tak więc zarządzanie firmą spadło na głowę Anny. Prócz spraw bieżących przygotowywała również wymaganą strategię rozwoju, konsultując się telefonicznie z szefową.

Amelka przechodziła męczący okres kolek, toteż większość nocy mijała obojgu na uspokajaniu płaczącego dziecka. Anna nosiła małą na zmianę z Witkiem, który w takich wypadkach panikował zupełnie jak nie lekarz. Płacz maleństwa budził też Adasia. W tej sytuacji nie mogła poświęcić swojej pisaninie tyle czasu, ile by chciała. Zasnęła, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Patryk dzwonił często, ale był taki sam, jak wtedy w restauracji. Pytał o synka, o to, jak Anna sobie radzi na wspólnym gospodarstwie z Witkiem, jak w pracy, ale o tym, co było między nimi, nie wspominał. Tak jak zapowiedział, ani razu nie próbował wywierać na niej najmniejszej presji. I nawet jej to odpowiadało, choć po każdej rozmowie ogarniało ją dziwne przygnębienie.

Względną ulgę odczuwała w towarzystwie przyjaciela. Zwłaszcza wieczorami, kiedy teściowie już wyszli, dzieci zasnęły, a oni siedzieli sami w kuchni. Nie musieli nawet rozmawiać. Wystarczyło, że jedno czuło wsparcie drugiego. Czasem Witek smażył naleśniki, niekiedy Anna przygotowywała jakąś sałatkę albo kanapki. Było im dobrze razem, jak mężczyźnie z przeszłością i kobiecie na zakręcie. Tak właśnie się czuła. Wciąż jak na zakręcie. Zmęczenie nie mogło przepłoszyć jej ponurych myśli. Cały ich korowód krążył nieustannie wokół Patryka. Od niespokojnych po stęsknione, bo zaczynała do niego... tęsknić. Nie tylko duszą, ale też ciałem. Ostatni raz kochaliśmy się przecież... tak, to był schyłek zimy, a teraz już lato. Jak to było dawno, myślała pochylona nad żelazkiem.

Tak podzielili się z Witkiem pracą. Oprócz robienia zakupów on najczęściej gotował i prał, Anna zostawiła sobie porządki oraz prasowanie.

W późne piątkowe popołudnie rozstawiła deskę w salonie. Salon Witka był o wiele większy niż ich na Warmińskiej. Nowoczesny, z dominującą wszędzie bielą, od mebli aż po ściany, może nie wyglądał zbyt przytulnie, utrzymany w skandynawskim stylu, podobnie jak

i cały dom, ale nie był zagracony, a duże okna na dwie strony stwarzały wrażenie spokojnej harmonii.

Teściowie też jeszcze byli na Dajtkach. Profesor czytał coś Adasiowi, a Witek przewijał w sypialni córeczkę. Mira podtykała wnukowi truskawki, raz po raz zezując na Annę. Najpierw otaksowała wzrokiem jej skąpy strój: bose stopy, krótkie spodenki i koszulkę na ramiączkach.

– Żyjecie tu tak... rodzinnie – zauważyła oschle. – Prawie jak mąż i żona. Chodzisz przy nim roznegliżowana, nawet prasujesz jego rzeczy. – Wskazała na szarą koszulkę Witka, którą Anna wyciągnęła z kosza, skończywszy prasować ubranka dzieci.

– Po prostu dzielimy się pracą – odparła zgodnie z prawdą. – Nie warto doszukiwać się w tym niczego więcej.

– Ciekawe, kto prasuje mojemu synowi? – rzuciła w przestrzeń matka Patryka. – Skoro mieszkasz z innym mężczyzną, to nie dręcz dłużej tamtego. Weźcie w końcu rozwód i będziecie mogli w spokoju wic nowe gniazdko.

– Mirello, czasem mam wrażenie, że w twoich żyłach zamiast krwi płynie jad – odezwał się profesor, nim Anna zdołała otworzyć usta, aby odpowiedzieć Mirze na tę jawną insynuację. – Bądź łaskawa powściągnąć te komentarze, które służą wyłącznie jątrzeniu, a nie scalaniu – oświadczył autorytarnym tonem.

– No wiesz, Pawle – obruszyła się teściowa. – Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? Witold dobrze sobie radzi z Amelką. W tej sytuacji mam chyba prawo wyciągać wnioski, że obecność jeszcze żony naszego syna w tym domu jest co najmniej zastanawiająca.

– Pozwól, że sama będę o tym decydować – odrzekła lodowato Anna. – Skoro mój jeszcze mąż nie widzi w tym nic złego, to tym bardziej ty nie powinnaś dopatrywać się czegoś, czego nie ma.

– Otóż to – przytaknął profesor. – Przyjaźń, moja droga, jest najcenniejszym darem. Szczęśliwy, kto go posiada na dobre i złe.

– Oby tylko owa „przyjaźń” nie skończyła się w łóżku – palnęła Mira.

Anna tak się zatrzęsała po tych słowach, że nieopatrznie dotknęła ręką gorącego żelazka. Aż syknęła, gdy zapiekła ją oparzona skóra na nadgarstku.

– Miro! – Profesor podniósł głos.

Po raz pierwszy, odkąd Anna go знаła, aż do tego stopnia dał się opanować emocjom. Twarz mu stężała, ciemne oczy zwięzły się w szparki. Adaś drgnął na jego kolanach, przegryziona truskawka spłynęła mu po bródce. Teść zmiłygował się, ucałował główkę wnuka i dodał już spokojniej: – Twoje uwagi są wręcz żenujące. Doprawdy wstyd mi za ciebie.

– Pawle... – zaczęła trochę zmieszana profesorowa, ale mąż nie dał jej dokończyć.

– Zanim coś powiesz, przypomnij sobie, co mówił nasz syn o szacunku do jego żony. Jesteś wykształconą kobietą, ale też najbardziej niereformowalną, jaką znam. – Terliński senior zsunął wnuka kolan i z cichym westchnieniem wstał. – Pójdziemy już, Aniu, a tę rękę włóż pod zimną wodę. Pożegnaj od nas Witka.

Jeszcze długo wszystko się w niej gotowało. Wyszarpnęła z gniazdka sznur od żelazka, zabrała synka i poszła do kuchni. Włożyła piekący nadgarstek pod mocny strumień zimnej wody. Co za podła baba! Jakże ja gniazdko sobie wije? Co ta zołza sobie myśli?! Teść ma rację, w jej żyłach płynie jad, nie krew, myślała rozdrażniona. Nawet nie próbowała powstrzymać płynących łez.

– Terlińscy już poszli? – Witek z córeczką na ramieniu wszedł do kuchni. – Co ty, płaczesz?

– Oparzyłam się. – Pociągnęła nosem.

– Pokaż to. – Zakręcił kran i obejrzał jej rękę. Na wewnętrznej stronie nadgarstka widniał

czerwony ślad długości kilku centymetrów. – To drobiazg, nic ci nie będzie. Adasiu, podmuchaj na ranę mamusi, to przestanie ją boleć. – Wziął chłopca na drugą rękę i nachylił nad Anną. – Zobacz, o tak. – Sam zaczął dmuchać, a Adaś próbował robić to samo.

## ROZDZIAŁ X

W nocy Amelka dostała takiego ataku kolki, że darła się wniebogłosey. Przebudzony Adaś solidarnie płakał razem z małą. Witek jak zwykle panikował. Zdiagnozował u córeczki wszystkie najbardziej nieprawdopodobne dolegliwości. Gotów był nawet wzywać pogotowie. Kołysał wyjąca dziewczynkę na rękach i niemal sam z nią płakał.

– Witek, do cholery! – Anna zaczęła tracić cierpliwość. Ona nosiła Adasia. – Jesteś lekarzem, chirurgiem, a nie roztrzęsioną histeryczką. Pomasuj Meli brzuszek, a ja zrobię jej koperkową herbatkę.

– Maaaaamaaaa piiii... – wtórował chłopczyk.

– Zaraz mamusia da ci pić.

– Masować, dobrze, będę masować, a w którą stronę? – spytał przejęty Witek.

– W skuteczną.

Po koperku i masażu Amelka puściła bąka i błyskawicznie zasnęła. Witek padł jak nieżywy w poprzek łóżka, na brzuchu, z rękoma zsuniętymi ku podłodze. On też zasnął w mgnieniu oka, podobnie jak Adaś. Do Anny tym razem sen nie przyszedł tak prędko. Przewracała się z boku na bok w łóżku. Było wielkie i... puste. Odczuwała to coraz bardziej. Krople deszczu dzwoniły o szyby, w konarach drzew szumiał wiatr. Przypomniała sobie ten dzień, kiedy przed trzema laty w taką pogodę wybrali się z Patrykiem na Mazury. Kochali się wtedy jak szaleni na jachcie przycumowanym nad Niegocinem. Wiedziona nostalgią, zaczęła przeglądać zdjęcia w komórce. Najwięcej było tych z Bieszczad. Ostatnie pochodziło z pierwszych urodzin Adasia. Patryk w stożkowej czapeczce na głowie trzymał syna na kolanach. Przesunęła palcem po uśmiechniętych ustach męża i zrobiło jej się ciepło. Przecież nie wszystko między nimi było złe. Mieliśmy i cudowne chwile, szeptało w ciszy nocy jej serce. Ale złych też było dużo, nie zapominaj o nich, nie koloryzuj rzeczywistości, podpowiadał rozum. Serce mówiło jednak głośniej. Zasłuchana w siebie, zapadła w sen.

Było już jasno, kiedy owinięta szlafrokiem usiadła do pisania. Pracowała do chwili, gdy wypełniony pęcherz dał o sobie znać. Na palcach, aby nie budzić śpiących, przemknęła do łazienki. Wychodząc, zajrzała do sypialni Witka. Spał jak kamień, w niezmienionej pozycji, tak jak zostawiła go w nocy, w dzinsach i zaplamionej oliwką koszulce. Z łóżeczka Amelki dało się słyszeć stęknienie. Anna podeszła bliżej. Dziewczynka nie spała. Fikała nóżkami i uśmiechnęła się szeroko, ledwo Anna nachyliła się nad łóżeczkiem.

– Już nie śpisz, kochanie – szepnęła. – Ciocia się tobą zajmie, żeby tatuś porządnie odpoczął.

Tuliła do siebie córeczkę Gośki, czując wielki żal. Jak ona mogła cię nie chcieć? Jesteś taka słodka, taka bezbronna, tak potrzebujesz kochania, mówiła w myślach, całując główkę dziewczynki.

– Twoja mama, nie jest zła, Amelko – szepnęła do uszka małej. – Tylko się bała, że cię nie pokocha. Nie chciała cię skrzywdzić. Kiedyś ci o niej opowiem. Wiesz, to była moja najlepsza przyjaciółka. I zdolna malarka. Masz paluszki swojej mamy, tak samo długie. Może też będziesz malarką?

Dochodziła szósta rano. Anna, nakarmiwszy dwoje dzieci, leżała z nimi w łóżku. Witek wciąż spał.



– Mama siii buuuch. – Adaś podsuwał jej *Lokomotywę*.  
– Jeszcze ci się nie znudził ten wierszyk? – Pogłaskała synka po główce. – Gdybyś lepiej umiał mówić, już dawno recytowałbyś go na pamięć. Dobrze. Przeczytam jeszcze raz.

Ledwo przebrnęła przez pierwsze wersy, do pokoju wpadł rozespany Witek, przeciągając się w drzwiach.

– Tu jest moja córeczka. – Usiadł przy dzieciach i wycałował najpierw bosc stópki dziewczynki, a potem buzię chłopczyka. – A już myślałem, że ktoś ukradł słoneczko tatusia. Dzięki, Anka, że się nią zajęłaś. Długo spałem?

– Bite siedem godzin. Dzieci już jadły, a teraz mamy poranek z Tuwimem.

Leżeli we czwórkę w wielkim łóżku, jak szczęśliwa rodzina z dwójką dzieci w radosny poranek. Taka, jaką widuje się w telewizyjnych reklamach pościeli, płynów do płukania tkanin bądź mebli z Ikei. I stanowili razem całkiem ładny obrazek. Wtedy stało się coś, co wprawiło Annę w osłupienie. Adaś wgramolił się na Witka i powiedział:

– Tata maś. – I zaślinioną, otwartą buzią pocałował Witka w same usta.

– Adasiu, ja nie jestem twoim tatą, tylko wujkiem – próbował tłumaczyć dziecku, sam nie mniej zaskoczony niż Anna. Ta przygryzła wargi.

Boże, na co naraziłam własne dziecko? Czym prędzej sięgnęła po telefon. Wyszukała zdjęcie Patryka w urodzinowej czapeczce i pokazała chłopczykowi.

– Syneczku, to jest twój tatuś. – Podsunęła mu aparat. – Zobacz, jak cię przytula. Tatuś wyjechał na dłużej do pracy. Ale niedługo wróci, bo bardzo cię kocha.

– Kofa – powtórzył zgodnie malec.

– Zaraz do niego zadzwonimy i sobie porozmawiacie. – Jedną ręką tuliła synka, drugą wybrała numer Patryka. Nie odebrał.

– Może ma jakiś zabieg? – podsunął Witek.

– O szóstej rano?

– A co w tym dziwnego? Pacjenci nie chorują z zegarkiem w ręku. Spróbuj za chwilę. Przygotuję dla nas jakieś śniadanie, żebyś coś zjadła przed wyjściem. Zrobię ci też kanapki do pracy. Adaś, pomożesz wujkowi?

– Ta. – Kiwnął główką. – Oć tata. – Ciągnął Witka za nogawkę. Znów spojrzeli na siebie zakłopotani.

A jednak rozumie wybiórczo, analizowała Anna. Facet, z którym mieszka, to dla niego tata i koniec. Jego główka zakodowała to tak, a nie inaczej. Wzięła szybki prysznic, włożyła letnią garsonkę, zrobiła jakiś makijaż i była gotowa. Między myciem a ubieraniem próbowała dodzwonić się do Patryka, jednak wciąż nie odbierał.

– Anka, nie łam się tak. – Witek objął ją ramieniem, kiedy ponura siedziała przy śniadaniu. Cała kuchnia pachniała smażonym bekonem. – To małe dziecko. Mógł się pomylić. W ciągu dnia sam zadzwonię do Patrasa. Pogada sobie z synem i po sprawie.

– Albo i nie po sprawie. Przecież wczoraj rozmawiali, a jednak to ciebie nazywa tatą. Zrobiliśmy mu zamęt w głowie. Jak tylko przyjedzie twoja mama, znikamy stąd.

– Tak się przecież umawialiśmy.

– Zaraz siódma. Posłucham tylko wiadomości i jadę do radia.

Witek podkreślił odbiornik. Radiowy zegar wypikał siódmą. Krótki dynamiczny dzingiel, powitanie prowadzącego poranną audycję i wiadomości. Dyżur miał Bartek. Przyszedł do radia z końcem zeszłego roku. Jego wyraźny, dobrze brzmiący głos pasował idealnie do czytania dzienników. Anna pakowała do torebki przygotowane przez Witka kanapki, słuchając początku serwisu.

– Mieczysław Roman Gadowski, pełnomocnik do spraw kadrowych w olsztyńskim

urzędzie miasta, szantażował i wykorzystywał seksualnie podległe mu urzędniczki...

Znieruchomiała z otwartą torebką po pierwszym zdaniu newsa.

– O jasna cholera! – zaklęła głośno. – Co on pieprzy?

– Cicho, posłuchajmy. – Witek jeszcze głośniej podkręcił radio.

– Nasza redakcja pierwsza weszła w posiadanie relacji jednej z wykorzystanych kobiet oraz nagrania, którego dokonała telefonem komórkowym. W zapisie dźwiękowym słychać, jak inspektor Gadowski wymusza na niej wyuzdane usługi seksualne w zamian za zachowanie miejsca pracy. Jak twierdzi kobieta, której nazwiska nie ujawniamy, Gadowski w podobny sposób miał wykorzystywać inne podległe mu pracownice. Poszkodowane rozważają wniesienie sprawy do prokuratury. Według ich relacji, do których dotarł nasz reporter, Gadowski miał w zamian za seks załatwiać pracę w magistracie. Potem zaś szantażował kobiety i wymuszał na nich dalszą uległość. Mieczysław Roman Gadowski nie chciał z nami rozmawiać w tej sprawie. Powiedział jedynie, że to wszystko pomówienia. O rozwoju seksafery będziemy informować w kolejnych serwisach. Dalsze wiadomości...

Anna już ich nie słuchała. Jak strzała pomknęła do samochodu, aby jak najprędzej wyjaśnić ową rewelację, o której nie miała najmniejszego pojęcia. Nikt z firmy, choć należało to zrobić, nie skonsultował z nią zamieszczenia wiadomości tej rangi na antenie. Zaparkowała zbyt gwałtownie przed budynkiem radia. Pod spodem toyoty coś szurnęło o wysoki krawężnik, ale nie zwróciła na to uwagi. Potrafiła witającego ją ochroniarza, nie odpowiedziała na powitania pracowników, tylko pomknęła wściekła do redakcji wiadomości.

– Bartek, do jasnej cholery! – ryknęła na korpulentnego, niewysokiego dziennikarza. – Kto ci pozwolił to czytać bez konsultacji ze mną?! – pytała rozgniewana. Policzki jej płonęły z emocji.

– Paa-ani d-dyrektor – jąkał się młody dziennikarz. – Kosma ustalił wszystko z panią prezes.

– Przecież pani prezes jest na zwolnieniu do końca tygodnia – odparła już trochę spokojniej.

– Dzwonił do niej od szóstej rano. Tu, przy mnie, z tego telefonu. – Wskazał czerwony aparat na biurku. – Sam słyszałem. Pani prezes Padlewska zdecydowała o emisji, dlatego przeczytałem.

Pani prezes zdecydowała, powtórzyła w myślach. W takim razie od czego ja tu jestem? Zrobiło jej się nieswojo. Przeprosiła chłopaka za swój wybuch i poszła do sekretariatu. Siedział tam zadowolony Kosma. Pił kawę, gawędząc z sekretarką.

– No i jak podobał się pani dyrektor mój news? – zapytał z dumą. – Jesteśmy pierwsi. Zaraz pchniemy to na całą Polskę. Mówiłem, że niedługo będzie głośno o tym miasteczku.

– Pozwoli pan do mnie. – Anna otworzyła drzwi gabinetu. – Pani Ewo, poproszę o mocną kawę.

– Oczywiście, pani dyrektor.

Sekretarka przyniosła kawę, Kosma rozsiadał się w fotelu naprzeciwko biurka Anny. Był zadowolony z siebie, a jego mina wskazywała wyraźnie, że oczekiwał jeśli nie na niebotyczną pochwałę, to przynajmniej na uznanie. Anna nie skłaniała się ani do pierwszego, ani do drugiego. Nie żeby nie rozumiała, co znaczy taka bomba dla dziennikarza, ale było jej przykro, że pominięto ją w tej sprawie. Kosma chyba odczytał jej intencje, bo zaczął mówić pierwszy.

– Obiecałem, że nie będę sprawiał pani kłopotów. Zwłaszcza że ma pani prywatne problemy, dlatego skonsultowałem emisję z Bożeną. A zatem formalnie wszystko jest w najlepszym porządku.

Rozłożył ręce. Spod idealnie skrojonej marynarki wystawały idealnie białe mankiety

koszuli ze złotymi spinkami. Radiowi reporterzy nie ubierają się w ten sposób. Co chce tym zademonstrować, myślała Anna.

– Panie Kosmowski, czy zdaje pan sobie sprawę – zaczęła oficjalnie – że taka relacja, a nawet nagrane rozmowy mogą być sfinansowane? Dopóki sprawa nie trafiła na biurko prokuratora, my też powinniśmy o niej milczeć. A już na pewno nie ujawniać nazwiska Gadowskiego. To się nazywa profesjonalizm, któremu tu hołdujemy.

– Nie, pani dyrektor. – Zaprzeczył subtelnym ruchem ręki. – To się nazywa asekuranctwo. W naszej branży liczy się ten, kto pierwszy ogłosi takiego newsa. Zdumiewa mnie pani zachowawcze stanowisko. Pamiętam pani wywiad sprzed ponad dwóch lat, z ówczesnym ministrem zdrowia. Doprowadziła pani do tego, że stracił stanowisko. Proszę mi nie pozwolić sądzić, że w tak krótkim czasie wypaliła się pani zawodowo, a administrowanie stało się pani bliższe niż dziennikarstwo.

To była taka szpila, że Anna tylko przelknęła ślinę. Wciągnęła powietrze i oświadczyła sucho:

– Skoro prezes Padlewska nie widziała przeszkód do emisji, to pozostaje mi to zaakceptować. Dziękuję, jest pan wolny.

Kosma uśmiechnął się półgębkiem, skłonił elegancko i zniknął za drzwiami. Anna dopiła zimną kawę i łknęła dwa perseny, aby opanować emocje. Kosma z Bożeną odstawili mnie na bocznicy czy jak? Mogli mnie przynajmniej powiadomić, skoro sami podjęli decyzję. Niewiele myśląc, zadzwoniła do szefowej.

– Prawda, że jest świetny ten Kosma? – zaczęła Bożena, nim Anna zdążyła się przywitać. – A teraz mam gorącą linię z Warszawą. Wszyscy chcą od nas kupować ten materiał. Zwłaszcza że Gadowski jest na liście lewicy w najbliższych wyborach. Czy wiesz, jak nam wzrosnie słuchalność?! – zawołała entuzjastycznym tonem.

– Pewnie masz rację, ale mogłaś chociaż mnie powiadomić, że coś takiego szykujecie. Zrobiłam z siebie idiotkę i niepotrzebnie zrugalam Bartka.

– Nie było na to czasu, telefon nam się gotował. Najważniejsze, że mamy to! Supernews, od którego jeszcze długo będziemy odcinać kupony. Zobaczysz, jak nam wzrosną notowania u naszej wierchuszki. Już widzę, co się będzie działo w Mikołajkach. A jeszcze jak po tym wszystkim wpadną nam większe wpływy z reklam, to jesteśmy ustawieni na długo. Anka, w sobotę przyjeżdż do firmy, musimy poprawić strategię. Mam nowe przemyślenia.

– O nie, weekendy mam wolne – zaprotestowała Anna. – Wystarczy, że zaiwaniem tu od rana do wieczora. Adasia widuję tylko przez parę godzin w ciągu dnia. Załatwimy wszystko w poniedziałek, jak wrócisz.

– Anka. – Bożena zmieniła ton. – Ja ciebie nie proszę, tylko nakazuję, żebyś była w firmie w sobotę rano. Traktuj to jako polecenie służbowe.

– Dobrze. – Anna też zmieniła ton. – W takim razie daj mi to polecenie na piśmie. Może być mejlem. Liczę też na wynagrodzenie za nadgodziny. Mam to zapisane w kontrakcie.

– Jesteś cyniczna.

– Tylko konkretna.

Do popołudnia mejl nie przyszedł. W radiu nic nie było tak ważne tego dnia, jak seksafera w urzędzie. Kosma konsultował wszystkie posunięcia wyłącznie z Bożeną. W firmie aż wrzało. Sprośne teksty Gadowskiego, wydyszane pseudonamiętym głosem, zostały zamieszczone na antenie. Wywołały istne zatrzęsienie telefonów, nie tylko od słuchaczy, ale też dziennikarzy z konkurencyjnych redakcji. Kosmowski błyszczał. Paradował dumny jak paw, z komórką przy uchu. Annę jednak obchodziło to dużo mniej niż zagubienie synka, który wujka nazywał tatą. To jest dla mnie prawdziwy problem, a nie to, kogo zmusza Gadowski, jeśli w ogóle zmusza,

do rozkładania nóg na biurku. Taki z niego amant jak ze mnie zawodnik sumo, wspomniała niepozorną postać urzędnika z twarzą pokrytą bliznami po ospie.

Wyszła z pracy wcześniej niż zwykle. I tak nikt prawie nie zauważał jej obecności, tym bardziej nie zobaczył zniknięcia. Pojedzie do marketu, kupi jakiś drobiazg synkowi na pocieszenie, zabierze go gdzieś na wycieczkę. Tylko najpierw porozmawia z Patrykiem. Może wreszcie odbierze, myślała, kierując się w stronę nieodległego parku. Szpilki grzęzły jej w żwirze i trochę uwierały bosc stopy. Jakies dzieciaki hałasowały niemiłosiernie, chlapiąc się w fontannie. Z telefonem w ręku siadła na pierwszej wolnej ławce. Patryk odebrał po kilku sygnałach.

– Widziałem, że dzwoniłaś, ale zostawiłem komórkę w domu – zaczął pierwszy. – I dopiero co po nią wróciłem. Stało się coś? – zapytał w pośpiechu. Chyba gdzieś szedł, bo słyszała w tle szum ulicy.

– Adaś tęskni do ciebie. Może mógłbyś go odwiedzić w któryś weekend?

– Też do niego tęsknię, ale z przyjazdem będzie problem. Mam tu urwanie głowy, a w soboty te dodatkowe seminaria.

– Rozumiem, że jesteś zajęty, ale nasz syn do ciebie tęskni – powtórzyła z naciskiem Anna. – Jak tak dalej pójdzie, to o tobie zapomni. Dziś nazwał Witka tatą.

Cisza.

– Halo, Patryk, jesteś tam?

– Jestem. Trochę mnie zmroziło. Mówisz poważnie?

– To nie jest powód do żartów. Jak to usłyszałam, to mnie samą zmroziło. Musisz jakoś przeorganizować sobie pracę, żeby go odwiedzić. Nie widział cię dwa miesiące. Dla niego to epoka.

– Masz rację. – W jego głosie usłyszała zastanowienie. – Zrobimy tak. Zaraz pogadam z ojcem, żeby przywieźli go na trochę do Katowic. Nad morze i tak jadą dopiero w sierpniu. Jeśli się zgodzisz, oczywiście.

– Zgodzę.

– Super. Ojciec jest dobrym kierowcą, ale siedemdziesiątka na karku to nie żarty. Wolalbym, żeby mieli gdzieś nocleg po drodze. Może zagadaj z Iwoną, czy ich nie przygarnie do siebie?

– Zagadam. Raczej nie będzie problemu.

– Przepraszam cię, ale muszę kończyć. Zaraz zaczynam zabieg. Cześć.

Zabieg? Zaraz? Przecież szedł ulicą? Słyszała wyraźnie samochody. Chyba że pędził do szpitala, bo tak sapał. Nieważne, grunt, że Adaś niedługo zobaczy ojca. Zadzwoiła do matki.

– Właśnie o tobie myślałam. Jak sobie radzisz, córeczko?

– Dobrze. Przenocujesz u siebie Adasia z dziadkami? Zabierają go do Patryka.

– Z największą przyjemnością. Tak się stęskniłam za moim Adasinkiem. Dużo już mówi?

– Coraz więcej.

– A jak Maja w tych Włoszech? Przysłała mi zdjęcia. Prześlicznie tam.

– Też dobrze. Wczoraj rozmawiałyśmy dość długo. Jest zachwycona.

– To najważniejsze. Córeczko, przepraszam, ale robię przelew, bo to dziś dziesiąty lipca i płacimy tłumaczom za teksty. Zadzwoń, kiedy przyjadą Terlińscy, to się przygotuję, ale Mirze pościelę w piwnicy.

Anna nie zwróciła uwagi na żart matki. W głowie utknęła jej data. Dziesiąty lipca. Data ich ślubu. To nasza druga rocznica, o której Patryk chyba zapomniął. Właściwie to czemu się tak dziwię? Jeśli ludzie się rozstają, to nie muszą pamiętać o rocznicach. Tylko dlaczego to wciąż tak boli... Przyłożyła rękę do piersi. Na pierwszą dostałam od niego brylanty; dotknęła płatków uszu,

w których tkwiły rocznicowe koleczki od Patryka, na drugą – zapomnienie. Ciekawe, czy jest tak samo ciężko, kiedy ludzie rozstają się nie po dwóch, ale na przykład po dziesięciu latach? Albo po szczęściu, jak Beata z Witkiem? Zresztą czy upływem czasu można mierzyć intensywność przeżyć? A może lepiej przecierpieć wszystko wcześniej, aby kiedyś odzyskać siłę i spróbować zapomnieć lub ułożyć sobie życie na nowo? Zapomnieć o przeszłości i raźniej spojrzeć w przyszłość. Tylko skąd mam brać tę siłę, skoro teraz zaledwie wystarcza mi jej, by żyć, mówiła do siebie, wracając do samochodu. Tego dnia nawet jaskrawe słońce nie było w stanie choć odrobinę rozjaśnić ponurych myśli Anny.

Pod wieczór wybrali się z dziećmi na spacer do pobliskiego lasu. Anna popychała wózek ze śpiącą Amelką, Witek niósł na barana Adasia. Przechodzili obok starego dębu, rosnącego w otoczeniu świerczków. Anna zatrzymała się i rozgarnęła nogą zalegające na ścieżce szyszki.

– Wiesz, Maja nauczyła mnie, które drzewo daje siłę, które oswaja ze starością, a które odstresowuje. Nie powiedziała tylko, które daje zapomnienie – powiedziała do Witka, wodząc palcami po szorstkiej korze dębu. Ten olbrzym dawał siłę. Witek zdjął z pleców chrześniaka i wręczył mu plastikowe wiaderko.

– Nazbieraj dużo szyszek, Adasiu, to potem ułożymy z nich ludzika w ogródku – zachęcił go i wrzucił jedną do wiaderka. Chłopczyk zaczął podnosić szyszki, a oni mogli porozmawiać.

– Czasem sam chciałbym znaleźć takie drzewo zapomnienia – odezwał się po chwili Witek z nostalgią w głosie. Podobnie jak Anna, on też gładził dąb z drugiej strony.

– Wciąż ją kochasz. – Anna pomyślała o Beacie, byłej żonie przyjaciela.

– Nie, chyba już nie, ale łatwiej wyrwać ząb bez znieczulenia niż uczucie z serca – spuentował w zadumie. Jednak szybko się otrząsnął. – O rany, ale poleciałem sentymentalnym tekstem, jak z lichego romansu. Widocznie rzeczywiście jest we mnie coś z kobiety. To chyba źle, jak myślisz?

– Myślę, że po prostu jesteś wrażliwy, a to przecież nie wada. Szkoda, że Patryk ma tej cechy dużo mniej. Zapomniał o naszej rocznicy – wyznała ze smutkiem, bo mimo wszystko głęboko ją to dotknęło.

– Nie miej mu za złe. – Witek objął ją ramieniem. – Faceci nie przywiązują wagi do dat. Ja też nie zawsze pamiętałem o naszych rocznicach, jak byłem z Beatą. A poza tym Patras naprawdę jest zarobiony. Taki doktorat to nie przelewki, a jeszcze pracuje tam w pełnym wymiarze godzin. Zauważ też, że są już urlopy, więc i ludzi do roboty mniej, toteż Terliński zasuwa na podwójnych dyżurach. Ale jak chcesz, to możesz sobie przy mnie popłakać. Babom to podobno pomaga.

– Może potem. – Bezwiednie oparła czoło o pierś Witka. Też był wysoki, ale nie tak jak Patryk. I choć nie chciała, to mimo woli kilka jej łez zostało na jego koszulce. Musiał to wyczuć, bo przytulił ją na pocieszenie.

– No już, pani Terlińska. – Delikatnie poklepał ją po plecach. – Nie płacz, bo sam się rozbeczę. A jak jeszcze dołączą do nas dzieciaki, to zrobimy tu prawdziwą wyjąca syrenę.

– Przepraszam, trochę się rozkleiłam, ale miałam ciężki dzień. – Anna wysunęła się z jego ramion i kucnęła przy synku, zaglądając do wiaderka. – Ale znalazłeś dużo szyszek, kochanie, brawo. – Pocałowała go w główkę. – Wracajmy do domu, bo dzieci pewnie zaraz będą głodne.

– Wytrzymają. Nie chcesz się przejść kawałek dalej?

– Trochę bolą mnie nogi. – Wskazała na stopy w tenisówkach. – Od tych służbowych obcasów, które noszę w pracy, potem odechciewa mi się spacerów.

– W takim razie jak wrócimy, służę profesjonalnym masażem.

– Nie obiecuj, bo potraktuję to poważnie.

Wieczorem, kiedy dzieci już spały, a Anna siedziała przed TVN 24, gdzie śledziła

wiadomości o Gadowskim, Witek przyniósł miskę z wodą. Na ramieniu miał ręcznik, a pod pachą oliwkę dla niemowląt. Mimo protestów Anny zapakował jej stopy do ciepłej, lekko spienionej kąpieli. Podał jej jeszcze kieliszek czerwonego wina i podsunął truskawki. Jadła owoce, piła wino, bez szczególnego zainteresowania patrzyła w telewizor i chlupała delikatnie wodą w misce. Ciepła kąpiel usuwała zmęczenie z nóg. Trwało to chwilę, a potem Witek usiadł naprzeciwko i zaczął osuszać ręcznikiem jej lewą stopę. Jakoś przetrzymała łaskotki. Dopiero jak wcierał oliwkę w skórę, nie wytrzymała. Chichotała i tak wierzgnęła nogą, że mało nie trafiła masażysty w zęby. Kazał jej się rozluźnić i myśleć o czymś przyjemnym.

Ułożył kciuki pod stopą, a resztę palców nad nią i ugniatał skórę zdecydowanymi, kolistymi ruchami. Poczula odprężający relaks. Zsunęła się niżej na sofie i przymknęła oczy. Witek mówił coś, że kilka lat temu chodził na kurs masażu, ale Anna nie słuchała. Zaczęła sobie wyobrazać, że to Patryk masuje jej stopę. Narastało w niej podniecenie. Masująca ręka wędrowała wyżej, wzdłuż jej łydki, ku zagłębieniu pod kolanem. Dotyk stał się łagodniejszy. Kciuk muskał jej skórę od wewnętrznej strony uda. I wciąż przesunął się w górę, i górę. Potem męska ręka wsunęła się w nogawkę jej krótkich spodenek. Anna poczuła ciepło na policzkach. Nagły żar rozlał się w jej podbrzuszu, pulsując wilgotnym gorącem. Przygryzła wargę, aby stłumić jęk, który jeszcze chwila, a wydobyłby się z jej ust. Otworzyła oczy.

Ręce Witka były tam, gdzie na początku. Tylko na stopie. Ani na centymetr nie przesunęły się nad kostkę. Przetrwała masaż drugiej stopy. Tym razem nie zamykała oczu. Czula wyłącznie relaks i trochę łaskotek.

## ROZDZIAŁ XI

Tuż po wyjeździe Adasia do Katowic do Olsztyna przyjechała Helen Brzezinsky, matka Witka. Anna ślęczała z Bożeną, dopinając strategię firmy, gdy komórka zasygnalizowała nadejście wiadomości od Witka.

„Nie uwierzysz. Moja matka już jest. Przyjechała taksówką z lotniska z Warszawy! Niezły suprajścik, co?”

Odpisała:

„W takim razie zanocuję u siebie. Nie będę Wam przeszkadzać”.

Witek odpowiedział natychmiast:

„Coś Ty! Ona bardzo chce Cię poznać. Mówi, że nie może już się doczekać. Przyjeżdżaj po pracy. Zrobimy grilla”.

– Anka – Bożena z dezaprobatą zerknęła na podwładną – znowu się rozpraszasz. Tyle razy cię upominałam, żebyś sprawy prywatne zostawiała przed drzwiami radia.

– Odpisałam tylko na esemes – broniła się Anna. Zauważyła, że od jakiegoś czasu, dokładnie od przyjscia Kosmy, Bożena wobec niej była dziwnie ostra. Nie tylko miała coraz więcej zastrzeżeń, ale i krytykowała przygotowane przez Annę założenia strategii. Annę zaczęło to zastanawiać.

– Nawet Kosma uważa, że twoje zaangażowanie w pracę jest mniejsze, niż wymaga tego stanowisko dyrektora do spraw programowych. Poza tym...

– Posłuchaj, Bożena – przerwała jej Anna. – Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale moim zdaniem niczego nie zaniedbuję. To ja pracowałam dwa razy więcej nad dokumentacją, kiedy ty miałaś zwolnienie. Pilnowałam też bieżących spraw. Nie zrobiłam nic takiego, co mogłabym sobie zarzucić. A jeśli chodzi o Kosmę i jego rewelacje, to przypominam ci, że prokuratura jeszcze nawet nie wszczęła śledztwa przeciwko Gadowskiemu. Prowadzi dopiero postępowanie w sprawie, więc byłabym ostrożniejsza w odtrąbieniu sukcesu, dopóki tamten nie zostanie prawomocnie skazany. Jeśli to w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

– Ale dzięki swoim kontaktom Kosma włożył kij w mrowisko i wywłókł na światło dzienne sprawę, która umknęła dziennikarzom pracującym w tej firmie! – Bożena uderzyła ręką w biurko. – Za których pracę odpowiadasz ty. Dlatego bądź łaskawa tak dopracować strategię, aby w niedalekiej przyszłości nasi ludzie pracowali efektywniej i docierali do tego typu sensacji. To dla nas zła wizytówka, kiedy nowy pracownik wpada na trop teraz już ogólnopolskiej afery, przegapionej przez pracujących tutaj reporterów.

– Obyśmy tylko nie musieli niczego odszczekiwać, jeśli owa afera okaże się wyłącznie zwykłą prowokacją polityczną przed wyborami – mruknęła Anna, zbierając notatki z biurka.

– Czy to nie zawieść? – Bożena uniosła wyregulowane brwi.

– Tylko ostrożność.

Anna zaczynała czuć się w firmie nie tylko źle, ale też wydawało jej się, że jest tu jakby nieco zbędna. Praca, z którą całkiem niedawno wiązała duże nadzieje, teraz coraz bardziej jej ciążyła. Dostrzegła, że dużo lepiej się czuje przy pisaniu swojej powieści niż przy snuciu wizji rozwoju olsztyńskiego radia. Pisanie sprawiało jej o wiele większą satysfakcję. Nie dawało jednak pieniędzy, dlatego rada nie rada zaciskała zęby, przyjmując kolejny pstryczek od szefowej. Jakoś to przetrzyma. Pojedzie na Dajtki, przywita się z matką Witka, zabierze komputer, podręczne drobiazgi i wróci do siebie. Tylko gdzie jest to „do siebie”?

Mieszkanie na Warmińskiej, w którym teraz rozpanoszyła się Mira, formalnie należało do Patryka. U matki, na Narutowicza, też przecież nie jestem tak naprawdę u siebie, więc gdzie jest to moje najważniejsze miejsce na ziemi? Miejsce, o którym mogłabym powiedzieć „mój dom”, zastanawiała się, wychodząc z pracy. Zmrużyła oczy przed ostrym słońcem. Dlatego w pierwszym momencie nie zauważyła, że przed budynkiem radia siedzi... Bandyta. Dokładnie w tym miejscu, gdzie wiele dni wcześniej wystawał jego pan.

Rozejrzała się, szukając właściciela psa, ale nigdzie go nie dostrzegła. Zwierzak był brudny i wyglądał na spragnionego. Widać było, że męczy go upał. Ziajał potężnie z wywieszonym na wierzchu ozorem. Anna chciała go przepędzić, bo nieuwiązany wzbudzał strach wśród przemykających obok niego przechodniów.

– Uciekaj stąd. – Machnęła torebką w stronę owczarka. Ten wstał i otarł się o nogi Anny. Zaskomlał przy tym cicho.

– Wczoraj też tu siedział – usłyszała obok siebie głos Uli. – Zna pani tego psa?

– Nie, skąd – skłamała Anna. – Był sam czy z kimś?

– Sam – odpowiedziała tamta i wyciągnęła rękę w stronę zwierzaka. Pies zawarczał groźnie. Dziewczyna odskoczyła.

Odjeżdżając spod firmy, Anna raz po raz zerknęła we wsteczne lusterko. Widziała, jak pies biegnie za samochodem. Przyspieszyła. Zgubiła go dopiero na drugich światłach. Emisariusza sobie znalazł podły intrygant! Przez całą drogę na Dajtki słała pod adresem ojca niepochlebne komentarze.

– Hi, darling! Witold tyle mi o tobie opowiadał! – Helen Brzezinsky, czyli Helena Brzezińska, wylewnie powitała Annę, ledwo ta postawiła nogę za furtką. Matka Witka rozłożyła szeroko ramiona do powitania. – Mów mi Helen! – Wyściskała entuzjastycznie Annę, jakby znały się od dawna, a nie zobaczyły pierwszy raz w życiu. Była przy tym tak naturalna i bezpośrednia, że nie minęło wiele czasu, a Anna nabrała przekonania, że rzeczywiście znają się od dawna.

Helen była nie tylko otwarta i pełna ekspresji, ale też mimo przekroczonej sześćdziesiątki jeszcze całkiem atrakcyjna. Patrząc na nią, Anna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta kobieta jest niemal klonem Agnieszki Perepeczko. Podobnie wyeksponowana dość pełna figura, dopasowana bluzeczka z mocnym dekoltem i opięte dzinsy. Do tego nieschodzący z twarzy uśmiech, uszmkowane na krwistą czerwień usta i kasztanowe włosy do ramion. W połączeniu z bezpośrednim stylem bycia wszystko to stanowiło intrygującą mieszankę. Prócz tego, że jest okulistką, miała kilku mężów i od dwunastu lat mieszka w Bostonie, Anna nie wiedziała o Helen wiele więcej. Tymczasem ta nie przestawała mówić. Siedzieli razem w ogrodzie przy grillu, Amelka spała w wózeczku obok babci.

– Jak dawno nie byłam w Olsztynie. Ostatni raz to chyba z siedem lat temu. Musicie mi jutro koniecznie pokazać miasto. Witku – zwróciła się do syna. – Zamówisz stolik w najlepszej restauracji. Zapraszam was na wystawny obiad.

– Mamo! – jęknął. – Amelka jest za mała, żeby ją brać do restauracji. Jeszcze wirusa jakiegoś tam złapie i nieszczęście gotowe.

– Jesteś taki sam jak twój ojciec, dzielisz włos na czworo, zamartwiając się na zapas. Nie wiem, czy słyszałaś, darling – Helen uśmiechnęła się czarująco do Anny, ukazując idealnie zadbane uzębienie – mimo różnych przywar to był najlepszy z moich mężów, bo po nim miałam jeszcze trzech. Jednak Franciszek, notabene wyjątkowo uzdolniony architekt, najbardziej pasował do mojej osobowości. Długo nie mogłam się pogodzić z jego nagłą śmiercią.

– Czy ja wiem... – Witek zrobił sceptyczną minę. – Chyba nie tak długo, bo dwa lata później wyszłaś za Ludwika.



– Ktoś musiał mnie pocieszać – wyznała otwarcie Helen. – Monogamia nie leży w ludzkiej naturze. Przynajmniej nie w mojej.

– Maaaamo. – Witek znowu jęknął.

– Wiiiitku – odpowiedziała w podobny sposób. – Pruderia jest szkodliwa. Mam rację, Aniu?

– Nie wiem, ale nigdy nie słyszałam, aby męża dopasowywać do osobowości.

– Bo kobieta powinna wybierać mężczyznę jak garsonkę, na miarę. Inaczej źle leży i może popękać w szwach. Dlatego puściłam wolno pozostałych trzech, kiedy zaczęli mnie uwierać. Tylko Franciszek mnie rozumiał, dlatego z szacunku zachowałam jego nazwisko, choć nieco zamerykanizowane, ale tak lepiej wygląda na pieczętkach. A jeśli chodzi o mężczyzn, to aktualnie jestem poszukująca – zachichotała jak nastolatka.

Mimo całej ekscentryczności Helen była przemiła. Za każdym razem, kiedy patrzyła na syna czy wnuczkę, w jej oczach Anna dostrzegała nieprzebrane pokłady ciepła. Podobną czułość okazywała w gestach, kiedy co jakiś czas klepała Witka po plecach czy czochrała mu włosy. A gdy obudziła się Amelka, Helen nikogo do niej nie dopuściła. Było już późno, gdy Anna po obfitej kolacji i przegadaniu kilku godzin zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Aniu, już idziesz? – zapytała nie bez żalu pani Brzezińska.

– Skoro przyjechałaś, to moja pomoc już nie będzie Witkowi potrzebna. Zresztą sam sobie coraz lepiej radzi.

– Akurat. – Witek objął ją serdecznie. – Gdyby nie ty, to razem z Amelką zginęlibyśmy pierwszego dnia.

– Może zostać jeszcze jakiś czas, aby mała mogła mnie lepiej poznać – namawiała ją Helen, kierując wzrok to na Witka, to na nią. Ścisłej na rękę syna, spoczywającą na ramieniu kobiety, którą polubiła od pierwszego wejrzenia. A że jako okulistka miała bystry wzrok, dostrzegła coś, czego tamta dwójka jeszcze, jej zdaniem, nie widziała. Oczy starszej kobiety niemal się zaśmiały, gdy syn pocałował młodszą w skroń.

– Nie mogę. – Anna pokręciła głową. – Zabiorę tylko parę rzeczy i już mnie nie ma. Potem przyjadę po resztę. Do kiedy zostaniesz w Olsztynie, Helen?

– Niestety, tylko do października – odpowiedziała matka Witka. – Muszę wracać do pracy. Ale zanim wyjadę, zrobimy casting na opiekunkę dla mojej wnusi. Wybierzemy najlepszą. I mam nadzieję, że nam pomożesz.

– Z przyjemnością – zapewniła ją Anna. – Pójdę się spakować.

– Na szafce położyłem ci nową bluzkę – wtrącił znieacka Witek, zatrzymując Annę przed progiem. – Kupiłem ją w zeszłym tygodniu, ale na śmierć zapomniałem ci dać. Mam nadzieję, że będzie pasowała.

– Na pewno, ale nie musiałeś. – Anna uśmiechnęła się przez ramię. – Zaraz wracam.

W czasie gdy Anna upychała do toreb rzeczy swoje i Adasia, matka Witka przechadzała się po tarasie z wnuczką w ramionach. Coś do niej zagadywała, coś nucila, ale też zerkala w stronę okna, za którym krzątała się Anna. Witek zbierał naczynia ze stołu.

– To czarująca dziewczyna – stwierdziła zgodnie z prawdą. – I jak zdążyłam zauważyć, jest ci bliska. Kupujesz jej nawet bluzki, choć ja na twoim miejscu stawiałbym raczej na gustowną bieliznę lub jakąś biżuterię.

– Mamo, o czym ty mówisz? – spytał zaskoczony. – Z Anką tylko się przyjaźnimy i w takim sensie rzeczywiście jest mi bardzo bliska. A bluzkę odkupiłem, bo poprzednią jej zafarbowałem w praniu. Popraw czapeczkę Meli, bo jeszcze ją przewieje. – Wskazał głową na odsłonięte uszko córeczki.

– Przecież wieczór jest ciepły. – Helen ucałowała różowy płatek. – Naprawdę jesteś

śliczna, kochanie. Babcia będzie cię strasznie rozpieszczać – zaszczębiotała czule do małej i zaraz, jednak zupełnie innym tonem, odezwała się do syna: – Przyjaźń między ludźmi może być wyłącznie jedнопłciowa. Czas, abyś już zapomniał o Beacie, chyba że masz jakieś plany związane z matką Amelki – podsumowała.

Ta niewinna uwaga wywołała napięcie na twarzy Witka. Samo wspomnienie Małgoški wprawilo go w rozdrażnienie. Odstawił talerze i przybliżył się do Helen.

– Po pierwsze, rozdział matki Amelki jest zamknięty na zawsze i nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać. – Zdecydowanym ruchem ręki przeciął powietrze. – Po drugie, nie myślę już o Beacie, a po trzecie, Anka jest żoną mojego najlepszego kumpla i to wszystko, co mam w tej kwestii do powiedzenia – zakończył, jeszcze bardziej zaskoczony sugestią matki.

– Mówiłeś, że są w separacji.

– Zaraz tam w separacji. – Niedbale wzruszył ramionami. – Dogadają się i będzie po sprawie.

– Nie jestem tego taka pewna. – Helen nie dawała za wygraną. – Miłość się kończy, kiedy stygnie łóżko po kochankach. Ich jest już raczej zimne. A ty i ona pasujecie do siebie.

– Mamo, daj już spokój. – Zniecierpliwiony Witek przesunął ręką po włosach. – Między nami nie ma chemii. Anka jest dla mnie jak siostra.

– Chyba przepiszę ci okulary, bo widziałam co innego. Nawet jeśli Anna jeszcze kocha tego Patryka, to ta miłość umiera. A klinem na odchodzącą miłość jest nowa miłość. Bądź tym klinem.

– Przyjechałaś, żeby pomóc przy Amelce, a nie pierwszego dnia szukać mi kobiety – odparł zirytowany. – Jak będę chciał, sam sobie jakąś fajną znajdę. Nie jestem takim oferumą, za jakiego mnie uważasz.

– Ależ nie uważam cię za oferumą, synu. – Helen uniosła brwi. – Jesteś atrakcyjny pod każdym względem niczym młody bóg. W końcu płynie w tobie moja krew. Chcę tylko, żebyś dostrzegł, że wcale nie musisz zbyt daleko szukać. Najlepsze masz najbliżej. I to dosłownie na wyciągnięcie ręki. Tylko spójrz. – Wskazała głową w stronę salonu, skąd nadchodziła Anna z torbą przewieszoną przez ramię.

Mimo usilnych namów pani Brzezińskiej wykręciła się od wspólnego zwiedzania miasta i wystawnego obiadu. Chciała pobyć sama. Została zupełnie sama po raz pierwszy od dawna. Dziwny był ten stan, gdy siedziała w opustoszałym mieszkaniu na Narutowicza. Przekładała rzeczy z kąta w kąt, nie mogąc się skupić na żadnej czynności. Trochę słuchała muzyki, trochę czytała. Wyjątkowo nie chciało jej się pisać. Znów dopadła ją tęsknota. Za dziećmi i za... Patrykiem. Odkąd miał przy sobie Adasia, dzwonił rzadziej. Ona telefonowała częściej, by zapytać o synka. Dolatująca z radia piosenka przykuła uwagę Anny. Podkreśliła głośniki.

*Trudno tak razem być nam ze sobą,*

*bez siebie nie jest łżej.*

*Ulice odbijają szary smutek nieba,*

*w sercu czuję chłód samotnej nocy,*

*zapach czarnej kawy,*

*filizanki ciepło,*

*jak przystań, gdy wokół*

*burzy się szaleństwo...*

Boże, przecież to o nas... Przycisnęła palce do skroni, zasłuchana w duet Krawczyk – Bartosiewicz. Bez siebie nie jest źle. Ani trochę źle, myślała. Minęło już tyle czasu, a ona wciąż nie mogła wyjść z poczekalni, w której znajdowało się jej małżeństwo. Co musi się wydarzyć, aby się nie bała albo wrócić na dobre, albo odejść na zawsze? Czasem miała wrażenie, że coś zgubiła, ale niczego jeszcze nie znalazła. To rozdarcie paliło jej duszę. Tak samo płonęła zagubiona dusza jej bohaterki. Już nie tylko tamta kobieta była nią, Anną, ale i bohater tej opowieści stawał się kimś bardzo konkretnym. Podeszła do okna, za którym rozbłysły latarnie. W ich świetle ujrzała siedzącego na chodniku psa. Tego, którego przepędziła sprzed radia. Był sam.

## ROZDZIAŁ XII

Przez kilka kolejnych dni Bandyta albo siedział przed radiem, albo przed wieżowcem matki. Anna przeganiała go za każdym razem, jednak zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie ma jego pana. Gdy w piątkowe popołudnie wychodziła z pracy, pies też siedział przed budynkiem.

– Trzeba powiadomić straż miejską, żeby zrobiła porządek z tym potworem – odezwał się Kosma. W nienagannym lnianym garniturze polerował lusterko swojego gangsterskiego samochodu. – Jeszcze ludzi pogryzie. Zjeżdżaj stąd, kundlu. – Kopnął powietrze w pobliżu psa.

Bandyta zawarczał groźnie i pokazał zęby. Kosmowski drgnął przestraszony. Dobrze ci tak, ucieszyła się Anna.

– Taki pan strachliwy? – spytała nie bez satysfakcji. A potem coś ją podkusiło. – Wygląda na miłego pieska. Musiał się komuś zgubić. Słyszałam, że zwierzęta mają specjalny instynkt i wyczuwają, kto jest kim.

– Co pani ma na myśli? – Spojrzał na nią podejrzliwie.

– To, co powiedziałam. Jesteś głodny, piesku? – Wyjęła z torebki ostatnią kanapkę i podała psu. Ten pożarł ją w mgnieniu oka. – Widzi pan, mnie polubił.

– Gratuluję – burknął Kosma i wszedł do auta. – Na tym polu osiągnęła pani rzeczywiście sukces. Czekamy na następne.

– Co za złośliwiec – prychnęła, patrząc za znikającym samochodem.

Kosma nie pełnił w firmie żadnej kierowniczej funkcji, ale zadzierał nosa niczym główny szef. Nawet, o czym doniesiono Annie z obozu niechętnych nowemu pracownikowi, podważał kompetencje tego czy innego dziennikarza lub kierownika redakcji. Bożena pozostawała ślepa na poczynania gwiazdy. Chodziła dziwnie spięta i jeszcze bardziej podkreślała wszystkim śrubę. Atmosfera w pracy zaskakująco gęstniała.

Anna odjechała sprzed rozgłośni. Po chwili znów zerknęła we wsteczne lusterko. I znów pies biegł za autem. Zatrzymała się na końcu uliczki. Nie chciała, aby ktokolwiek z radia wiedział, że zna przeganianego przez wszystkich psa.

– Wskakuj, potworze. – Otworzyła bagażnik, a Bandyta momentalnie znalazł się w środku i ziajał zmachany. Odkręciła butelkę z wodą, rozglądając się, do czego jej nalać. Ostatecznie za miskę posłużyła jej dłoń, którą pies wylizał co do kropelki. Musiała zrobić kilka dolewek. – Będziesz szorował samochód, brudasie jeden. Faj, ale ty się ślinisz i śmierdzisz. – Wzdrygnęła się ze wstrętem. – I co ja mam z tobą zrobić? Gdybyś nie postraszył Kosmy, tobym cię nie zabrała. Zgubiłeś się czy jak?

Choć bardzo tego nie chciała, musiała zadzwonić do Bendorfa. W końcu to jego pies, niech go lepiej pilnuje. Wybrała numer w komórce, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Spróbowała jeszcze raz. Znowu nic. Trudno, zawiozę cię do niego, powiedziała w myślach do psa.

Pojechała na Jaroty. Odkąd przestała odwiedzać wtedy jeszcze Chrisa, to znaczy od zimy, nie była tutaj. Zrobiło jej się nieswojo, gdy zaparkowała przed znajomym blokiem przy Kanta. Już nie tylko Andrzej Bendorf przywoływał bolesne wspomnienia, ale i Małgosia. Co się z tobą, do diabła, dzieje, pomyślała mimochodem o przyjaciółce. Spojrzała w górę na okno trzeciego piętra. Żaluzje w mieszkaniu Bendorfa były zasłonięte. Zawahała się tylko przez moment, nim nacisnęła guzik domofonu. Nikt nie otworzył. Jeszcze raz spróbowała zatelefonować. Znowu włączyła się poczta. Drugi w kolejce był Patryk. Skoro utrzymują kontakty, to może on coś wie,

pomyślała, wybierając w komórce telefon męża. Odebrał po kilku sygnałach.

– Mów szybciej, bo wyszedłem ze spotkania – rzucił przyciszonym głosem.

– Jak Adaś?

– Wszystko gra, ale tylko naleśniki by jadł. – Patryk roześmiał się w słuchawkę. – Za parę dni wracają. Stało się coś?

– Nic, tylko wiesz może, co się dzieje z... Bendorfem? Jestem u niego pod blokiem, bo chyba pies mu się zgubił.

– Nic nie wiem o Andrzeju. Napisałem do niego esemesa parę dni temu, ale jeszcze nie odpisał – wyjaśniał pospiesznie, a w tle słychać było jakiś nawołujący głos, jednak Anna nie potrafiła rozróżnić, męski czy damski. – Przepraszam cię, muszę wracać na spotkanie.

Znowu zastanowił ją jego zbywający ton. Po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że Patryk jest jakiś inny. Bandyta zaskomlał w bagażniku.

– Trudno, poczekasz na swojego pana tutaj. – Wypuściła psa z auta. Do drzwi klatki schodowej Bendorfa podeszła jakaś starsza, tęga kobieta z wypchanymi siatkami. Miała siwe, przetłuszczone włosy, zwinięte w niedbały koczek. Jej czerwone z wysiłku czoło było mokre od potu. Ze zmęczenia z trudem łąpała powietrze. Postawiła siatki na ganku i odetchnęła z ulgą.

– O, znalazłeś się wreszcie, ty zgryzoto – powiedziała skrzeczącym głosem. Spojrzała przy tym na podhalana z wyraźną niechęcią na pucułowatej twarzy.

– Pani go zna? – zapytała Anna.

– Skaranie boskie z tym psem – wysapała nieznajoma, dzwoniąc kluczami. – Ja już nie chcę ani tych pieniędzy, ani tego psa! Tylko kłopot na głowę człowiek sobie wziął – fuknęła rozgniewana. – Gdybym wiedziała, że tak będzie, w życiu bym się tego nie podjęła. A pani to kto? – Popatrzyła podejrzliwie na Annę i psa, który ocierał się o jej nogi.

– Jestem... – Anna się zawahała – znajomą właściciela psa. Znalazłam Bandytę, jak błąkał się po mieście, więc go przywiozłam. Czy pan Bendorf jest w domu?

– Będzie ponad tydzień, jak wyjechał – zaczęła wyjaśniać jej rozmówczyni. – Miało go nie być tylko dwa dni, a to już z osiem się zrobiło. Prosił mnie, żebym się zajęła jego psem. Wie pani, z samej emerytury ciężko teraz wyżyć, dlatego się zgodziłam, bo pan Andrzej dużo zapłacił. Ale już nie chcę ani tych pieniędzy, ani tego kłopotu. – Wskazała na Bandytę. – Wielkie to, a jakie silne! Jak mnie ostatnio pociągnął na smyczy, to mało ducha nie wyzionęłam. Zerwał się i uciekł. Niech go pani zabiera, bo ja już go nie wezmę. Oddam sąsiadowi pieniądze, jeszcze z nawiązką.

– Ale ja nie mogę – broniła się Anna.

– A ja tym bardziej! – Kobieta podniosła głos. – Pani jest młoda, zdrowa, ma samochód. Najlepiej niech go pani do schroniska zawiezie. A sąsiad, jak wróci, to go sobie odbierze. Do widzenia. – Podniosła siatki i czym prędzej weszła do domu.

W pierwszej chwili Anna rzeczywiście chciała tak zrobić. Już nawet gwizdnęła na Bandytę, który obsikiwał krzaki, ale coś ją powstrzymało. W schronisku dla zwierząt była tylko raz, w czasach, gdy pracowała w radiu jako reporter. Ogłoszono wtedy akcję adopcji psów. Pojechała z mikrofonem, aby zachęcać ludzi do przygarnięcia pupila. Mimo ładnej lokalizacji schroniska, bo naokoło otaczał je las, i troski wolontariuszy o zwierzęta Annę uderzyło coś przygnębiającego. Przejmująca samotność, którą tam dostrzegła. Większość z tych bezpańskich i bezrasowych czworonogów skazana była na dożywotnie oczekiwanie na nowy dom, w tych kojcach z drucianą siatką. Jakoś nie mogła nawet na chwilę zostawić tam Bandyty. W końcu tego psa lubią moje dzieci. Spojrzała w czarne oczy futrzaka, który łąsił się do jej nóg. Ja sama zresztą też go trochę lubię. Pogłaskała psi łeb i niewiele myśląc, zabrała Bandytę do domu. Po drodze kupiła karmę, taką, jaką widziała kiedyś u Chrisa, a także miskę i smycz.

Zdziwiła się, kiedy wieczorem wyszła z Bandytą na spacer. Pies ani jej nie ciągnął, ani nie szarpał. Szedł grzecznie przy nodze, jakby to ona, Anna, od zawsze była jego panią. Po spacerze, kiedy usiadła do komputera, aby popracować nad strategią, a następnie z rozkoszą powrócić do swojej powieści, Bandyta położył się u jej stóp. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, ale obecność zwierzaka działała na nią kojąco. Nawet podzieliła się tym spostrzeżeniem z Mają podczas wieczornej rozmowy.

– Jak tam, Maju, u ciebie? Wszystko w porządku? Niczego ci nie brak? – wypytywała ją po matczynemu.

– W idealnym porządku, tylko potwornie gorąco i ciężko się jeździ. Marcin mnie trenuje, ale coś słabo to idzie, bo te konie tutaj są jakieś narwane. Wolałabym wrócić trochę wcześniej, żeby pojeździć na Jenny.

– Przecież możesz wrócić, kiedy tylko chcesz.

– Niby tak, ale trochę mi też żal stąd wyjeżdżać, bo jest naprawdę super. Szkoda że ty, mamo, musisz się kisić w Olsztynie w czasie wakacji. I fajnie, że nie oddałaś Bandyty do schroniska. A Andrzej to chyba pojechał do Torunia. Przynajmniej tak planował, jak się zegnaliśmy.

Do Torunia, powtórzyła w myślach Anna. Pojechał do Anuli. Do mojej... matki. I w tym momencie w jej sercu pojawił się cień ni to podziwu, ni to szacunku dla tego mężczyzny. Nie do ojca, ale do mężczyzny, który kochał ponad trzydzieści lat jedną kobietę, mimo że tak dawno umarła.

\*

Andrzej Bendorf niedbałym ruchem cisnął plik kartek na tylny fotel dżipa. Pierwsze ostrzeżenie, że musi na siebie uważać. Tak właśnie powiedział lekarz, kiedy Bendorf opuszczał toruński szpital. Lekki stan przedzawałowy, parę badań, trochę zaleceń, jakieś tabletki i skierowanie na kontrolę do kardiologa, razem kupa bzdur, którymi nie zamierzał się przejmować. Przynajmniej dopóki nie dopnie swego. Potem niech się dzieje, co chce. I tak zmarnował parę cennych dni, leżąc w toruńskim szpitalu. Tam, w Olsztynie, przynajmniej mógł oddychać tym samym powietrzem, co jego córka. Chodzić w te same miejsca, obserwować ją z ukrycia. Nawet się nie zorientowała, że był jej cieniem. Musiał chociaż na nią patrzeć. W Toruniu już nie miał na kogo popatrzeć. Może tylko na ponemiecką willę na Bydgoskim Przedmieściu, w której mieszkał kiedyś u teściów. Ewentualnie na park, do którego chodził z wózkiem.

Jednak ta sentymentalna podróż, powrót do początku i kresu jego marzeń, nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia. Wspomnienia wryte w sercu były trwalsze niż nieistniejące ślady jego stóp na dawno wymienionych chodnikach. Tylko wizyta na cmentarzu przy Grudziądzkiej naprawdę go poruszyła. Tę zostawił sobie na koniec. Nawet nie zdążył się pomodlić na grobie żony, nim zapadł w ciemność. Tak nim wstrząsnęło to, co zobaczył. Ta cholerna tabliczka! Bendorf zacisnął zęby. Nawet do tego się posunęli. Aż tak perfekcyjnie zatarli ślady tej parszywej mistyfikacji. Ciekawe, które z nich było tak przebiegłe? Jego teść, teściowa czy może Iwona? Nawet nie ów stary nagrobek w cieniu wielkiego drzewa tak nim wstrząsnął, lecz właśnie te dwie tabliczki. Pierwszą znał. Sam ją zamawiał u kamieniarza przed trzydziestu laty. Wtedy była moda na zdjęcia na nagrobkach; natomiast on chciał wryć skrzypce, tuż obok nazwiska „Anna Bendorf” z datą urodzin i śmierci. Niżej ktoś umieścił inną tabliczkę, także z napisem: „Anulka Bendorf. Żyła 10 lat”. Wtedy poczuł palący ból w piersiach i nic już więcej nie pamiętał. Ocknął się dopiero w karetce. A potem spędził parę samotnych dni w szpitalu. Był chyba jedynym pacjentem, którego nikt nie odwiedzał, do którego nawet nikt nie

zadzwoił.

Bendorf wyjął z kieszeni dzinsów komórkę i rzucił ją na fotel obok. Zresztą i tak, gdyby ktoś dzwonił, to bateria przestała działać. Nie przypuszczał, że trafi do szpitala, nie zabrał ze sobą do Torunia ładowarki. Zatrzymał się przed Brodnicą na krótki odpoczynek przy kawie, której podobno też nie mógł pić, a następnie pojechał dalej. Byle szybciej do miejsca, gdzie jest jego największy skarb. Do córki. Dziś niedziela, więc nie pracuje. Pewnie jest u tego kolegi, zaraz, Witek mu chyba na imię. Odbierze psa od sąsiadki, a potem pojedzie na Dajtki, Bendorf układał w głowie plan. Stanie, jak zwykle, przy domu obok, ukryty za żywopłotem, i będzie na nią patrzył. Może Muszelka wyjdzie od ogrodu albo na taras?

Zmierzchało już, gdy zaparkował pod swoim domem. Wszedł do dusznego mieszkania. Nawet się nie zdziwił, nie znalazłszy tam Bandyty. Pewnie jest na spacerze z sąsiadką, pomyślał. Wziął szybki prysznic, zmienił przesiąknięte szpitalem i potem ubranie. Wypił kolejną kawę, a potem podłączył telefon i... nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zobaczył kilka nieodebranych połączeń z numeru, który wrył mu się w pamięć. Serce mu zatrzepotało z radości. Moja córeczka dzwoniła do mnie dwa dni temu, cieszył się jak wariat. Oddzwonił natychmiast.

– Mam twojego psa – usłyszał jej głos, zanim zdążył się przywitać. – Pilnuj go lepiej, bo drugi raz go nie przycarnę.

– Przepraszam, że sprawiłem ci kłopot, ale byłem... – Mógł powiedzieć, że leżał w szpitalu, jednak tego nie zrobił. Nie chciał litości. Pragnął szczerego wybaczenia, z serca, ale nie z litości. Tej by nie zniósł. – W Toruniu i trochę przedłużył mi się ten wyjazd.

– Na przyszłość planuj swoje podróże lepiej, bo twój pies przez kilka dni wałęsał się po mieście.

– Sąsiadka miała się nim zajmować. Zaraz go odbiorę. Powiedz tylko, skąd?

– Z Narutowicza.

Od razu rzucił się do drzwi. Błogosławił sąsiadkę za zagubienie psa, bo zyskał tym samym możliwość rozmowy z córką. Może wreszcie Anna zechce go wysłuchać? Może go zaprosi do domu? Może wypiją razem herbatę jak dawniej? Nie mogą pójść do niej z pustymi rękami, zreflektował się po drodze. Zajechał do Tortexu, na szczęście był jeszcze otwarty. Kupił bakaliowy torcik i bukiet róż w kwaciarni obok. Też była jeszcze czynna. Widocznie los zaczął mu sprzyjać. Bendorf prawie unosił się nad ziemią, gdy z lekkością młodzieńca biegł z samochodu do klatki schodowej. Jeszcze tylko winda, zbyt powolna na jego niecierpliwość, dzwonek i... w progu stała Anna. Bandyta rzucił się na niego przednimi łapami. Szczekał, piszczał, kręcił kółka z radości, mało nie wytrącił tortu z ręki. Córka stała jak głaz. Schyliła się, wyciągnęła zza drzwi worek z karmą i postawiła za progiem.

– Tu są rzeczy psa, a tu smycz. – Zdjęła czarny pasek z wieszaka i przypięła do obroży.

Chciał podziękować, poprosić o rozmowę, ale nie zdążył. Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem.

Na co liczyłeś, stary idioto, urągał sobie w myślach. Że przyjmie cię z otwartymi ramionami? Zapyta, co słyhać? Zaproponuje wieczór wspomnień? Narastał w nim ból połączony ze złością. Na siebie, że tak bardzo skrzywdził własne dziecko. To wszystko jego wina, tylko jego, powtarzał, idąc krok za krokiem, do wyjścia. Teraz pokutuje i będzie pokutował do śmierci. Wyrzucił do śmietnika upominki i przybity ciężarem odpowiedzialności za to wszystko, do czego doprowadził, pojechał do domu.

## ROZDZIAŁ XIII

– Adasiu, mamusia tak za tobą tęskniła. – Anna przytuliła do siebie synka, ledwo teść wniósł rozespanego malca do mieszkania. Za nim wkroczyła Mira, wyniosła i sztywna jak zwykle.

– Alnie ziałem – zaszcebiotał chłopczyk i zakaszłał.

– Chciał powiedzieć, że widział kopalnię – wyjaśnił profesor i dotknął ręką buzi maluszka. – Troszkę nam się przeziębili, Patryk włączył mu leki.

– Mój kochany, maleńki. Przeziębiles się? – Jeszcze mocniej przytuliła synka. – Patryk nic mi nie mówił, że Adaś zachorował.

– Widocznie nie chciał cię martwić – powiedziała sucho Mira, rozglądając się po mieszkaniu. Lustrowała wzrokiem porozrzucane po pokoju ubrania i stosy papierów na biurku. – Jak widzę, już nie mieszkasz u swojego przyjaciela. – Wskazała na łóżeczko Adasia, które przedwczoraj przywiózł Witek. – Skąd tutaj tyle tej sierści? – Wygarnęła stopą kłaki Bandyty spod stołu.

– Nie mieszkam u Witka, bo jest już jego mama – zaczęła wyjaśniać Anna, trochę skrępowana tym, że nie sprzątnęła mieszkania. Teściowie przyjechali parę godzin wcześniej, niż zapowiedzieli. Zdążyła przygotować jedynie późny obiad, na resztę zabrakło jej czasu. – Przygarnęłam na trochę zagubionego psa, stąd ta sierść.

Od tamtego dnia nie spotkała ani Bandyty, ani Bendorfa. Za psem może trochę tęskniła, bo przekonała się, że fajnie mieć takiego zwierzaka w domu, ale o jego panu nie pomyślała ani razu. Zamknęła się na niego, tak samo jak zamknęła mu drzwi przed nosem. I tak będzie zmuszona znosić jego obecność, jak wróci Maja. Przecież te zawody, spojrzęła na ścienny kalendarz. Dopiero pierwszy sierpnia, więc jeszcze ponad miesiąc spokoju od tego prześladowcy. Ale za miesiąc przyjedzie też... Patryk, uświadomiła sobie. Przecież zapewniał ją, że będzie na zawodach. Jakieś ciepło rozlało się w jej sercu na tę myśl.

– A jak tam Patryk sobie radzi? – zagadnęła teściów, kiedy siedzieli przy obiedzie. Chciała przynajmniej tak podziękować im obojgu za opiekę nad Adasiem. Co prawda nie miała specjalnej ochoty na goszczenie teściowej, ale bądź co bądź ta kobieta zajmowała się jej dzieckiem, dlatego z chłodną grzecznością musiała ją tolerować.

Matka Patryka, która od przyjazdu zachowywała powściągliwy dystans wobec synowej, po tym pytaniu momentalnie się rozjaśniła.

– Muszę ci powiedzieć, Anno – zaczęła, przełknąwszy kęs mielonego – że bardzo służy mu ten wyjazd. To zupełnie inny mężczyzna, niż kiedy go widziałam na początku maja. Wystarczyło, że na parę miesięcy zmienił klimat, a znów tryska humorem i energią. Codziennie biega albo pływa. Dba o siebie. Już nie nosi tych nijakich ubrań, tylko wreszcie wrócił do klasycznej elegancji, w której najbardziej mu do twarzy. Po prostu zaczął wreszcie żyć. A jak wyprzystojniał! Choć i tak wcześniej, jak sama wiesz, niczego mu nie brakowało, ale teraz to ledwo go poznałam. Wprost wylewają się z niego siły vitalne. No mówię ci, Anno, Patryk po prostu odmłodził o kilka lat! – Ostatnie zdanie wypowiedziała wręcz entuzjastycznym tonem.

– Skoro tak, to też się z tego cieszę. – Kawałek ziemniaka z trudem precisnęła się przez jej gardło.

Mira dalej ekscytowała się przemianą syna.

– Każda matka się cieszy, gdy jej dziecko, niezależnie od tego, ile ma lat, dźwiga się



w końcu z nieszczęść, które go dopadły i tak długo trzymały w potrzasku – kontynuowała, niezrażona milczeniem męża ani synowej.

– Rozumiem, że to ja jestem owym nieszczęściem. – Anna wzięła puentę teściowej bezpośrednio do siebie. Mira rozciągnęła wąskie usta w wymownym uśmiechu.

– Hmm – chrząknęła, przykładając do warg chusteczkę. – No cóż, nie miałam personalnie nikogo na myśli, tylko raczej ogólną... sytuację – starała się dyplomatycznie przemycić kolejną złośliwość pod adresem Anny. – Udały ci się te kotlety, moja droga – pochwaliła synową, odsuwając talerz z ledwo dziobniętym mielonym.

Anna podziękowała jej ruchem głowy. Przynajmniej w tej chwili nie miała najmniejszej ochoty na dalszą rozmowę z teściową. Ani jednego słowa więcej. Profesor wciąż się nie odzywał, skupiony na jedzeniu. W końcu podziękował i wstał od stołu.

– Będziemy się już zbierać, córuchna, jestem trochę zmęczony. To była dość długa podróż i odrobinę rozboleła mnie głowa. Połóż spać Adasia i sama odpocznij. Ty też potrzebujesz dużo siły – zakończył, odwracając spojrzenie od synowej. Jednak ta, pochłonięta zabawą z Adasiem, nie zauważyła przygnębienia starszego pana.

Pewnie, że potrzebowała dużo siły. I to jeszcze jak! A także czasu, aby nacieszyć się synkiem. Wyprosiła nawet u pediatry zwolnienie na chore dziecko, aby choć przez kilka dni malec miał ją na wyłączność. Chodziła z nim na spacer, czytała bajki i wznosiła z klocków konstrukcje znacznie wyższe od chłopczyka. Przez kilka dni starała się żyć tylko obecną chwilą, nie myśląc o tym, co było, a co dopiero nastąpi. Nawet zdawkowe rozmowy telefoniczne z mężem, na temat codziennych spraw, jakoś jej nie przeszkadzały. Rozmawiali krótko, co u dzieci, jak się czuje Adaś i na tym koniec, bo każdemu było spieszo do swoich obowiązków.

Tymczasem Adaś kaszlał coraz głośniejsze, dlatego Anna uległa namowom teścia, by przyspieszyć wyjazd do Łeby. Zwłaszcza że zwolnił się wcześniej domek, który zarezerwowali. A i pogoda nad morzem była lepsza niż ta dżdżysta, która nastąpiła w Olsztynie. Ponieważ synek dzielnie zniósł wcześniejszą rozłękę, i tym razem Anna powierzyła go bez obaw dziadkom. Z tym, że na nieco dłużej, bo zamierzali wrócić w drugiej połowie sierpnia, aby mały zdążył powdychać morskiego powietrza i nabrać sił.

Anna też chciała nabrać sił, zwłaszcza że ostatnie miesiące mocno nadszarpnęły jej stan fizyczny. Niedospanie, stres, kofeina i tabletki nie wpływały też korzystnie na wygląd młodej kobiety. Chciała coś ze sobą zrobić. Skoro Patryk odmłodził, to i ona powinna, myślała za każdym razem, kiedy patrzyła w lustro. Widok, który miała przed sobą, nie był najkorzystniejszy. Ziemista cera, zaostrome rysy, zmęczenie, cienie pod oczami. Rozważała sport i odnowę biologiczną, ale na chęciach się kończyło. Zwłaszcza że w firmie nastąpił wyjątkowo nerwowy okres i Anna zmuszona była pracować dłużej. Wszyscy w radiu żyli wielką imprezą w Mikołajkach, do której pozostały tylko niecałe dwa tygodnie. Razem z Bożeną dopinały ostatecznie wizję rozwoju firmy. Najważniejszym założeniem był wzrost słuchalności i wykreowanie lokalnej rozgłośni na skalę ogólnopolską. Za tym miały iść większe pieniądze od sponsorów i reklamodawców. Anna utwierdzała się w przekonaniu, jak niewiele ją to wszystko obchodzi. Bardziej interesował ją konkurs na debiut literacki, ogłoszony przez jedno z wydawnictw. Nieśmiało zaczęła myśleć, aby wysłać tam swoją książkę. Jeszcze jej, co prawda, nie skończyła, ale do końca października, bo taki był termin nadsyłania prac, zdąży.

Interesowały ją też plotki, które krążyły w radiowych korytarzach. Ostatnia była taka, że ktoś podobno widział w mieście Bożenę i Kosmę w dwuznacznym tête-à-tête, a zapowiedziane spotkanie głównego szefostwa ze wszystkimi pracownikami jakoś dziwnie śmierdzi. Pożyjemy, zobaczymy, mruzczała, słysząc owe rewelacje. Zwłaszcza że radiowe romanse nie były niczym nowym w firmie. Sama przed dwoma laty odkryła przecież taki romans żony Witka z ówczesnym

naczelnym.

– Można do ciebie, darling? – Po krótkim pukaniu do gabinetu weszła Helen. Anna rozsyłała właśnie pracownikom mejle z zaproszeniami do Mikołajek.

– Tak, bardzo proszę, wejdź. – Zaskoczona wskazała gościowi fotel.

Z matką Witka nie widziała się od dnia jej przyjazdu. Nie chciała prowadzić na Dajtki zaziębionego Adasia, aby chłopiec nie zaraził Amelki, a także nie miała specjalnej ochoty na kontakty towarzyskie.

– Chciałabym z tobą porozmawiać. – Helen usiadła z gracją, przy okazji prezentując zgrabne nogi pod szarą, ołówkową spódnicą. Jej odcień pasował idealnie do chabrowej, dopasowanej bluzki. – Chodzi o Witka. Bardzo się o niego martwię.

– Co z nim? – zaniepokoiła się Anna. – Z tego co wiem, dziś miał jechać z Amelką na badania.

– I pojechał, dlatego do ciebie przyszedłam, ale to nie jest miejsce na spokojną rozmowę, bo przecież pracujesz. Może zaczekam w sekretariacie, aż skończysz, i pójdziemy gdzieś na kawę?

– Właściwie to na dziś już skończyłam. – Anna zamknęła komputer. – Możemy gdzieś pójść.

Helen zasugerowała kawiarnię Staromiejską, bo miała do niej sentyment. Anna kiedyś też miała sentyment do tego miejsca, ale zbyt blisko znajdował się pomnik Kopernika. A jej kiedyś ulubiony posąg teraz budził przykre wspomnienia. Starala się go omijać, tak samo jak i Jaroty. Robi się coraz więcej tych miejsc, które zaczynam omijać, zauważyła w duchu. Ostatecznie zostawiły samochód pod teatrem i przeszły spacerkiem do koktajlu. Anna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś za nimi idzie. I choć było to irracjonalne, wyraźnie czuła czyjaś obecność za plecami. Nawet odwróciła się przez ramię, ale nie zobaczyła nikogo podejrzanego. Chyba rzeczywiście zmęczenie rozstraja jej nerwy. Ciasniej owinęła apaszką szyję, bo pochmurne popołudnie było dość chłodne. Na szczęście w zatłoczonym zazwyczaj koktajlu teraz było raczej pusto. Helen zamówiła dwie kawy i ponczówki.

– Dlaczego martwisz się o Witka? – zapytała Anna, gdy jego matka powolnym ruchem zamieszała cukier w filiżance.

– O nim za chwilę. – Helen położyła rękę na jej dłoni i długo patrzyła Annie w oczy. Była skupiona. – Teraz chciałabym się czegoś dowiedzieć o matce Amelki. Próbowalam pytać o to Witka, ale trafiłam na gruby mur. Znam mojego syna, to dobry i łagodny chłopak. Musiało wydarzyć się coś okropnego, że aż tak się na nią zdenerwował.

– Helen, ja nie wiem, czy powinnam... – broniła się Anna. – Skoro Witek nie chce o niej rozmawiać, to...

– Powinnaś, kochanie. – Matka Witka uśmiechnęła się do niej ciepło. – Gdzie ona teraz jest?

– Nawet nie wiesz, ile bym dała, żeby się tego dowiedzieć. – Na samo wspomnienie Małgosi Annie łzy napłynęły do oczu. Przycisnęła je powiekami. – To była, to znaczy jest – poprawiła się natychmiast – moja najlepsza przyjaciółka. Prawie siostra. Obie byłyśmy jedyńcami. Ale Gośka miała gorzej.

– Gorzej?

– Była późnym dzieckiem. Jej ojciec zmarł, jak kończyła podstawówkę, a tuż przed maturą zmarła matka i Małgosia została sama, ale się nie poddała. Wyjechała do Gdańska na ASP studiować malarstwo. Sama się utrzymywała. Była kelnerką, sprzątaczką, nianią, nawet malowała mieszkania. Radziła sobie we wszystkim. Myślałam, że nic nie jest w stanie jej złamać. A jednak nie wytrzymała śmierci Maćka.

– To był ktoś jej bliski?

– Najbliższy. Jej mąż. Zginął w wypadku rok temu. Byli szczęśliwym małżeństwem przez sześć lat i tak bardzo chcieli mieć dziecko. Gośka dostawała bzika na tym punkcie. Strasznie chciała zostać mamą. Po wypadku Maćka całkiem się rozsypała. Witek chciał jej pomóc, bo dużo piła i w ogóle bardzo ciężko to wszystko przeżywała. Zabrał ją do siebie, no i... Stało się.

– Ale chyba nie doszło do tego wbrew woli Małgosi? – W pytaniu Helen zabrzmiał niepokój. – Witek nie jest tego typu mężczyzną, nie wykorzystalby w ten sposób kobiety. Nie chce wyjść na zaślepioną matkę, ale to naprawdę wrażliwy i odpowiedzialny mężczyzna.

– Nie musisz mnie o tym przekonywać. Oboje mieli wtedy pijaną wolę. Ale nie myśl źle o Małgosi. Ona chyba po prostu nie dała rady tego wszystkiego udźwignąć. Dlatego zostawiła małą. Bała się, że nie będzie dobrą matką. Nie chciała jej skrzywdzić, choć Witek uważa inaczej.

– Nie myślę o niej źle. – Helen ujęła dłonie Anny. – Bardzo jej współczuję. A jeśli chodzi o Witka, nie wiem, czy ci mówił, że on i Beata też chcieli mieć dzieci.

– Wspominał.

– No właśnie, ale się nie powiodło. On też bardzo przeżył i te poronienia, i rozstanie z Beatą. Dlatego teraz tak bardzo drży o Amelkę. Nawet mnie niechętnie do niej dopuszcza. Obawiam się, że mój syn zaczyna wariować.

– Coś o tym wiem.

– Zasypia na stojąco, ale twardo wstaje do małej, choć ja jestem za ścianą. Chce być samowystarczalny. Trudno mi ocenić, ile w tym męskiej ambicji, a ile obsesji, ale musi odpocząć. Dlatego – Helen sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kopertę – wpadłam na pewien pomysł, właściwie częściowo go już zrealizowałam i liczę, że ci się spodoba. Wykupiłam wam weekendowy pakiet w spa w Pluskach – oświadczyła zadowolona.

– Nam??? – spytała Anna, mrugając gwałtownie. Dawno nic jej tak nie zaskoczyło jak ta propozycja.

– Kochanie, nie odmawiaj. – Helen znowu pogładziła jej rękę. – Przynajmniej tak mogę ci się odwdzięczyć za pomoc dla mojego syna i wnuczki. Nie obraż się, ale ty też wyglądasz na przemęczoną. Przyda wam się chwila oddechu. Baseny, sauna, masaże.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? – Anna pokręciła głową.

Ona z Witkiem w spa? Razem? Tylko we dwoje? Niby po co? W jej oczach pojawiły się wielkie znaki zapytania. Helen musiała je dostrzec, bo wyjaśniła jak gdyby nigdy nic:

– Najprościej na świecie. Wzięłam wam osobne pokoje, więc i chwile samotności, jeśli ich będziecie potrzebowali, macie zapewnione. Jedzicie w piątek.

W pierwszej chwili Anna chciała zdecydowanie odmówić, ale coś ją wstrzymywało. Przecież sama myślała o jakiejś odnowie biologicznej, więc dlaczego nie? Już dawno nie była w takim miejscu. Właściwie to nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miała trochę czasu tylko na własne przyjemności. Prócz tamtej majowej wizyty w salonie piękności nic takiego nie przychodziło jej na myśl. W tym roku nawet nie znalazła wolnej chwili, aby wyskoczyć na plażę. A w końcu jej, Annie, też coś od życia się należy. Przynajmniej weekend w spa.

## ROZDZIAŁ XIV

Kameralny hotel w Pluskach z rozbudowanym aquaparkiem znajdował się blisko lasu, nad jeziorem. Pojechali tam samochodem Witka, gdy Anna wyszła z pracy. Żartowali, że zostali zesłani na wygnanie. Tym bardziej że Helen zarekwirowała komórkę syna, aby przypadkiem nie wydzwaniał co chwilę z pytaniami o córeczkę. A Witek, ledwo Anna wsiadła do samochodu, zabrał jej telefon, żeby było sprawiedliwie. Trochę protestowała, bo wołała mieć kontakt z dziećmi, ale skoro ma być sprawiedliwie, to sprawiedliwie. Hotel, pomimo środka sezonu, był wyjątkowo opustoszały. Tylko gdzieś tam parkowały samochody, głównie z warszawską i rosyjską rejestracją. Annie to nawet odpowiadało. Nie lubiła tłoku w takich miejscach.

W recepcji spotkała ich niespodzianka. Okazało się, że nastąpiła jakaś pomyłka i zamiast pojedynczych pokoi zarezerwowano im wspólny. Podobno wszystkie jedyńki zostały wcześniej zajęte, tylko system komputerowy nie wychwycił błędu na czas. Cóż mieli robić, wzięli ten wspólny, z wielkim małżeńskim łóżem. Mięisty materac wymiarami przypominał małe lotnisko. Z powodzeniem mógł pomieścić nie dwie, ale cztery osoby i co tu dużo mówić, po prostu zachęcał, aby się na nim wyciągnąć. Anna ostrożnie przysiadła na skraju łóżka, myśląc, że w tej chwili o niczym tak nie marzy, jak o zagrzebaniu się w śnieżnobiałej, pachnącej pościeli i nieprzerwanym śnie do rana. Zsunęła ze stóp szpilki i zanurzyła bose nogi w puszystej, chabrowej wykładzinie podłogi. Jak będziemy tu spać, gorączkowała się w myślach. Witek rozwiązał problem, bo wskazał na niewielką sofę przy ścianie, oznajmiając, że zajmuje ją na tę noc, a potem się zamienia. Anna przyjęła to z aprobatą. Nie zdążyli nawet dobrze się rozejrzeć po eleganckim pokoju z widokiem na jezioro, kiedy zapukał ktoś z obsługi z wiadomością, że stolik na uroczystą kolację dla dwojga już czeka.

Wszystko razem zaczęło wyglądać podejrzanie. Nawet nie mieli za bardzo w co się przebrać na tę uroczystą kolację, bo takowej nie było w planach. Anna została w swojej czarnej sukience, którą włożyła rano do pracy, a Witek w dzinsowej koszuli.

Jakiś dziwny nastrój wkraśl się między nich, kiedy po pośpiesznym odświeżeniu usiedli w klimatycznej restauracji. Grała muzyka, na stoliku płonęły świeczki, w metalowym wiaderku, zanurzony w kostkach lodu, chłodził się szampan. Kelner przyniósł przystawki. Jakąś sałatkę z oliwkami i fetą.

– Zdaje się, że chyba jesteś na randce. – Witek odezwał się pierwszy.

– Tak, chyba... tak.

– Co ty na to?

– Nie wiem.

Przez chwilę nic nie mówili, tylko patrzyli na siebie. Inaczej niż zwykle. Nie jak przyjaciele, tylko jak mężczyzna i kobieta. Anna spoglądała w błękitne jak majowe niebo oczy Witka. Regularne rysy twarzy, mocno zarysowane usta i zwichrzone gęste włosy, opadające nierównymi kosmykami na czoło – dla takiego mężczyzny można stracić głowę, przyznała w duchu, po raz pierwszy oceniając przyjaciela w ten sposób. Witek splótł swoje palce z jej palcami. Ten uścisk też był inny niż wszystkie przyjacielskie gesty, jakie dotąd im się zdarzały. Podobnie jak poważne spojrzenie Witka i jego miękki, ciepły głos.

– Jesteś naprawdę wyjątkowa. Nie tylko piękna, ale właśnie wyjątkowa albo, jak wolisz, niepowtarzalna – powiedział, wciąż trzymając ją za rękę. Kciukiem zataczał kółeczka na spodzie dłoni Anny. Ona też wodziła opuszkami palców po jego ręce. – I mogłoby nam się nawet udać.

Może bylibyśmy i szczęśliwi, gdybyśmy się spotkali... – Przerwał.

– W innym miejscu, w innym czasie i w innej rzeczywistości – dokończyła jego myśl.

– Tak, właśnie tak. – Przycisnął jej rękę do ust. – Nie mógłbym być z kobietą, która tak kocha innego faceta. Patryk zawsze stałby między nami.

– Skąd wiesz, że go jeszcze Kocham?

– Lekka depresja, bezsenność, środki uspokajające w dość dużych ilościach. Masz szczęście, że tylko ziołowe. – Pogroził jej palcem. – Inaczej dawno bym ci głowę zmył.

– Kiedy zdążyłeś to wszystko zauważyć, zakręcony tatusiu?

– Może i zakręcony, ale też spostrzegawczy. I jeszcze... – Zawahał się przez moment.

– Co jeszcze?

– A nie będziesz na mnie zła?

– To zależy.

– Jak mieszkałaś u mnie, potrzebowałem kiedyś komputera. Mój się zawiesił, więc skorzystałem z twojego. Zostawiłaś go na czuwaniu, dlatego od razu włączyło mi się to, co pisałaś. Najpierw tylko rzuciłem okiem, ale tak się wciągnąłem, że przeczytałem całość. Od razu załapałem, że ten Piotr to wypisz, wymaluj Patras, a Agnieszka to ty.

– Witek... – jęknęła zawstydzona, że poznał jej najskrytsze myśli, których na razie nie zdradziła nikomu.

– Kurczę, nie sądziłem, że tak umiesz pisać – mówił wyraźnie podekscytowany. – Może niektóre zdania zbyt kwieciste jak na mój gust, ale całość naprawdę niezła. Powinnaś to gdzieś wysłać. Mam nawet tytuł: *Jeśli się odnajdziemy*. Fajny, co?

– A jeśli się nie odnajdą? – zapytała, bo jeszcze nie doszła do końca powieści. Zresztą tak naprawdę nie chodziło przecież o powieść. – Dużo złego się między nimi wydarzyło.

– Ale i trochę dobrego – odparł ze śmiechem. – Poza tym jeśli nie spróbują, to się nie odnajdą. Dlatego przestań odgrywać wierszyk o żurawiu i czapli, tylko jedź teraz do niego.

– Kiedy mam jechać? – spytała zaskoczona.

– Teraz – powtórzył i zerknął na zegarek. – Dopiero piąta, alkoholu nie piłaś, więc jak się pośpieszysz, to o dziewiątej wieczorem będziesz w Warszawie. Przenocujesz u matki, a rano pojedziesz do Katowic. Bierz mój samochód i śmigaj.

– Ty chyba zwariowałaś. – Tak ją zaskoczył ten pomysł, że aż się odchyliła na krześle. Choć z drugiej strony, już jej się to zaczynało podobać.

– A ty zwariujesz, jak nie pojedziesz. Pogadacie sobie, wyjaśnicie to i owo, a w niedzielę wrócisz.

– Nie mam nawet odpowiednich ubrań. – Pośpiesznie przeanalizowała w myślach zawartość małej torby. Piżama, strój kąpielowy, kosmetyki, bielizna i to wszystko.

– Raczej nie będą wam potrzebne ubrania. – Witek mrugnął do niej wesoło. – Tylko jak choć draśniesz mój samochód, to nie chciałbym być w twojej skórze. – Znów jej pogroził żartobliwie.

– Witek, ja nigdy nie byłam w Katowicach. Nie mam pojęcia, jak się tam jeździ. Poblądzę gdzieś albo rzeczywiście uszkodzę ci auto, a poza tym, co z tobą? Nie, to jakieś szaleństwo.

– Po pierwsze, mam w samochodzie nawigację. Zresztą możesz zadziałać jak rasowa blondynka. Zostawisz nissana na jakiejś stacji przed wjazdem do miasta i dalej weźmiesz taksówkę. Potem Patras cię zholuje. Mam pełen pakiet ubezpieczenia, więc w razie jakiegś szkody też nie będzie problemu. A mną się nie przejmuj. Przynajmniej wyśpię się za wszystkie czasy. Moja sprytna mamuska nie musi o wszystkim wiedzieć. Wrócę taksówką do Olsztyna.

Anna broniła się jeszcze trochę, ale z coraz mniejszym przekonaniem.

Nie minęło pół godziny, kiedy po pospiesznym instruktazu obsługi przycisków

w samochodzie Witka, wyściskana przez przyjaciela, ruszyła do Warszawy. Na odjeźdnym jeszcze raz go objęła.

- Wituś, to nie ja jestem wyjątkowa, tylko ty.
- Myślisz, że o tym nie wiem? Jedź ostrożnie. Trzymam kciuki.
- Dziękuję.

Z każdym pokonywanym kilometrem jej radość rosła. Oto robi pierwszy krok ku wspólnemu życiu. Spróbuje jeszcze raz, bo choć razem trudno im być ze sobą, to bez siebie nie jest lżej. Przecież to ona, Anna, miała mu dać znać, kiedy będzie gotowa wpuścić go do swojego życia. I teraz właśnie jest gotowa. Coraz wyraźniej słyszała głos swojego serca. Już nie broniła się przed tą prawdą, że bardzo tęskni za Patrykiem. I że go potrzebuje. Nawet jeśli działa pochopnie i popełnia kolejny błąd, to nic. Wszystko było nieważne w obliczu tego, że miłość do męża okazała się silniejsza od racjonalnego myślenia.

– Wreszcie dojrzałam do tego, aby dać nam jeszcze jedną szansę – wyjaśniła matce, kiedy grubo po dwudziestej drugiej zjawiała się na Grójeckiej. Jechała wolniej niż zwykle, bo nie знаła auta Witka. I jeszcze pogubiła się w Warszawie, pomimo nawigacji. Iwona nie posiadała się ze zdumienia, kiedy zobaczyła w drzwiach córkę.

– Aniu – przytuliła ją mocno – nie pamiętam, kiedy ostatnio tak ci się śmiały oczy. Bardzo bym chciała, żebyś wreszcie była szczęśliwa.

– Będę, mamó, jestem pewna, że będę. Ojciec Patryka kiedyś mi powiedział, że dobry wybór to taki, którego jesteśmy pewni. A ja jestem pewna, że robię dobrze.

– Mówią, że do trzech razy sztuka. Nie ma nic złego w tym, że chcesz ratować małżeństwo.

– Potrzebowałam czasu, żeby do tego dojrzeć.

– Teraz potrzebujesz czasu, aby się wyspać. Pościelę ci łóżko. Chyba że jeszcze chcesz dokładkę. – Iwona wskazała na pusty talerz po omlecie z szynką.

Ale Anna była tak rozemocjonowana, że więcej nie dała rady przelknąć. Nie mogła też zasnąć. Przewracała się w pościeli z boku na bok. W końcu, ledwo zaczęło dzień, zerwała się z łóżka, by ruszyć w dalszą drogę. Niestety jazda trwała bardzo długo. Nie dość, że katowicka trasa wypełniona była samochodami, to jeszcze co chwila trafiały się roboty drogowe i ruch wahadłowy. A przed Częstochową doszło do wypadku, co opóźniło przejazd co najmniej o godzinę. Dopiero przed południem wjechała na obrzeża Katowic i zwątpiła.

Nie dam rady sama przejechać przez to miasto, pomyślała. Zgodnie z radą Witka zostawiła samochód na stacji benzynowej i zamówiła taksówkę. Zrobię Patrykowi niespodziankę, cieszyła się jak dziecko. Pojechała do kliniki. Kierowca, młody chłopak, uparł się, by zabawić ją rozmową. Słuchała jednym uchem. Najczęściej potakiwała na odczepnego. Skupiona na własnych myślach nawet nieszczególnie zwracała uwagę na widoki za oknem. Przeczesała włosy, przypudrowała twarz, machnęła tuszem rzęsy, bo rano o tym zapomniała. Jeszcze błyszczczyk, kropla perfum i była gotowa.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszała, gdy podjechali pod szpital przy Francuskiej.

Budynek z zewnątrz przypominał Annie olsztyński urząd marszałkowski. Też był zabytkowy, z czerwonej cegły, tylko ornamentów miał dużo mniej niż olsztyński.

Przed kliniką stał sznur samochodów. Wypatrzyła wśród nich volvo Patryka. A więc jest w pracy; serce Anny podskoczyło z radości. Wyjmowała z portmonetki pieniądze, kiedy w drzwiach szpitala stanął... jej mąż.

Przecież to jakaś intuicja! Musiał wyczuć, że tu jestem, i dlatego przyszedł! Jak pięknie wygląda. Spoglądała na niego przez chwilę oniemiała ze wzruszenia. Nie nosi zarostu, marynarkę też ma chyba nową. Dobrze mu w tym kremowym odcieniu. I fason taki sportowy. Kupił mi

kwiaty – zobaczyła spory bukiet białych róż w ręku męża. Widocznie Witek albo matka się wygadali, że przyjeżdżam. Patryk rozejrzał się dookoła i skręcił w przeciwną do volvo stronę. Anna wyskoczyła z taksówki.

– Pat... – zaczęła głośno, a skończyła szeptem: – ...ryk.

Jej mąż się uśmiechał, ale nie do niej. Jej mąż szedł, aby kogoś przywitać, ale nie ją. Zobaczyła, jak pomachał kwiatami do zmierzającej ku niemu kobiety w szarej garsonce. Tamta też do niego pomachała ręką, cała rozpromieniona. Anna mocniej chwyciła się otwartych drzwi taksówki. Patryk pocałował kobietę w rękę, potem w policzek, jeden i drugi, wręczył jej kwiaty, a ona, roześmiana, pogładziła go po klapie marynarki i wsunęła rękę pod jego ramię. Skupieni na sobie, nawet nie zauważyli Anny, choć była zaledwie parę metrów od nich. Prawie wyczuła perfumy tamtej kobiety, której Patryk otwierał teraz drzwi swojego volvo. Jej mąż promieniał. Annę ogarnęła ciemność. Poczua się, jakby z wysoka spadła na beton.

– Za tamtym samochodem – wydusiła do kierowcy.

Nie poznała własnego głosu. Serce waliło w niej jak oszalałe. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w tylne światła volvo Patryka, który kluczył ulicami, a po kwadransie zaparkował przed długą, niewysoką kamienicą. Zadowolony, z niegasnącym uśmiechem aż do górnych ósemek, otworzył kobiecie drzwi auta, prawie unosząc się nad chodnikiem. Z każdego jego gestu biło przeogromne podekscytowanie. Tamta zalotnie, jak wydawało się Annie, odrzuciła do tyłu rude włosy do ramion i wysiadła. Coś do niego powiedziała z nosem wsuniętym w białe róże. Miała ładną twarz, była niewysoka i niebezpiecznie atrakcyjna, w wieku koło czterdziestki. Patryk nachylił się ku niej, a wtedy nieznajoma poklepała go po policzku. W końcu, zwróceniu ku sobie, pograżeni w cichej rozmowie, weszli do kamienicy.

Czy tak właśnie wygląda koniec świata? Kiedy nagle odechciewa się żyć? Gdy nadzieje umierają szybciej, niż zdołały się narodzić? Anna stała przy taksówce jak sparaliżowana. Kierowca podsunął jej papierosy. Nie zareagowała, tylko wciąż wpatrywała się w odrapane brązowe drzwi, które zatrzasnęły jej iluzję miłości, niczym wieko trumny.

\*

W czasie gdy przepelniona rozpaczą Anna wracała do Olsztyna, Patryk jadł kolację z profesorem Teofilem Baranem. Profesor, zwany w klinice Teosiem, był mężczyzną około sześćdziesiątki, niskim, grubawym, z wielkimi zakolami łysiny. Słynął nie tylko z dowcipu i pewnej rubasności, ale też z tego, że miał w zwyczaju zapraszać swoich doktorantów na takie właśnie kolacyjki, przy których obficie raczył się nie tylko śląską kuchnią, ale i winem.

– Pan nie pije, panie kolego? – zagadnął Patryka i dołał sobie czerwonego trunku.

– Nie, dziękuję, panie profesorze.

– To rzadkie w naszym fachu – przyznał promotor. – Miał mi pan na wczoraj przygotować analizę posiewów bakteriologicznych. Dotąd jej nie dostałem.

– Przepraszam, ale... – Patryk nie dokończył, bo w kieszeni zawibrowała mu komórka. Nie odebrał, choć chciał. – Przedłużył się zabieg resekcji żołądka, przy którym asystowałem, dlatego nie zdążyłem. Na jutro będzie gotowa.

– Jest pan świetnym fachowcem, o niezwykle pewnej ręce, dużej intuicji i doświadczeniu, mimo dość młodego wieku. To pożądane cechy u chirurga i takich nam tu trzeba, ale liczyłem na nieco większe zaangażowanie naukowe z pańskiej strony. Jeśli jest pan rzeczywiście zainteresowany doktoratem, to nalegam, aby pełniej wykorzystywał pan swoje możliwości.

Patryk niczym nie był tak zainteresowany w tej chwili, jak odebraniem telefonu, który znów zadzwijał w kieszeni marynarki.

– Proszę, niech pan odbierze. – Profesor zrobił przyzwalający ruch ręką. – Nie jesteśmy

w kościele.

Patryk odwrócił się bokiem do niego, by mieć choć namiastkę prywatności podczas rozmowy.

– Dobry wieczór, Joasiu. – Przyciszył głos i słuchał w napięciu. – No trudno – westchnął zawiedziony – skoro jutro jednak nie możesz... tak... będę u ciebie pojutrze... dobrze, o dwudziestej pierwszej. Przepraszam. – Ostatnie słowo skierował do promotora.

– Kobieta – Teofil przeciągnął znacząco słowo. – Nie traci pan czasu, panie kolego. Minęły niespełna trzy miesiące, a pan już znalazł zastępstwo. Pan jest, zdaje się, żonaty. – Wskazał na obrączkę.

– Tak, ale nie widzę związku. To tylko znajoma. – Patryk chrząknął zmieszany.

– Jak to mówią, czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. – Starszy mężczyzna mrugnął porozumiewawczo do młodszego. – Niech pan używa do woli, to zawsze odpręża, oby tylko nie przeszkadzało panu w badaniach. Mój czas jest cenny.

– Rozumiem – rzucił krótko Patryk.

Nie chciał wdawać się w dalszą dyskusję z lekko już podpitym promotorem. Sam rzeczywiście nie pił. Od tamtej rozmowy z córką ani razu nie skusił go alkohol. Odkąd mieszkał w Katowicach, nic go nie kusilo, poza spotkaniami z Joanną. Była jego ucieczką, odreagowaniem, nadzieją na nowe życie, wszystkim naraz. Ze spotkań z nią wychodził jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa. Na kolejne leciał jak na skrzydłach. Odpowiadała mu jej bezpośredniość i bezkompromisowość. Obnażała go bez oporów, wywlekała na wierzch nieznane dotąd jego własne emocje, burzyła krew, zmysły, przewartościowała uczucia. Przy niej poznawał innego siebie. W dużo krótszym czasie, niż mógł przypuszczać, Joanna stała się najważniejszym powodem jego pobytu w Katowicach. Chodził do niej prawie codziennie. Raz rano, raz wieczorem, w zależności od dyżurów. Bez problemu mógł zdążyć z tymi posiewami, lecz jak zwykle zasiedziały się u niej. Nawet wizyty dzieci, najpierw Mai, a później Adasia, nie przeszkodziły mu w częstych spotkaniach z Joanną. Robił jednak wszystko, aby utrzymać je w tajemnicy. Zajęta chłopakiem córka nie zwracała uwagi, gdy wychodził z domu. Bardziej musiał kombinować przy ojcu, który zerkał na niego podejrzliwie. Nawet próbował pytać o to i owo, ale jakoś udało mu się wywieść go w pole. Tylko matka o nic nie pytała i cieszyła się z jego częstych wyjść. Musiał utrzymać wszystko w sekrecie. Jeszcze nie nadszedł czas, jeszcze nie był gotów wyłożyć kart na stół.

Joannę poznał przypadkiem w klinice. Przyszła z bólem brzucha. To była banalna niestrawność. Trafiała na jego dyżur w tydzień po tym, jak przyjechał z Olsztyna. W pierwszym momencie chciał ją odesłać do lekarza rodzinnego, bo ostry dyżur na chirurgii nie jest od takich dupereli. Miał dość roboty z pokiereszowanymi, zasikanyymi pijakami, najczęstszymi pacjentami na ostrym dyżurach. Nawet burknął coś do niej wtedy niegrzecznie.

Nie był wówczas w najlepszej formie. Rozpamiętywał przeszłość, dokuczała mu samotność. W ponurym wynajętym dwupokojowym mieszkaniu w wysokim bloku na Giszowcu też nie czuł się najlepiej. Co prawda las był niedaleko, ale i tak dławilo go tutejsze ciężkie powietrze. Praca w klinice, choć wyposażenie było lepsze niż w jego szpitalu, również nie wypełniała pustki, którą czuł w sobie. Nie pomagał ani codzienny poranny jogging, ani czytanie książek innych niż medyczne. Wewnętrzne odrętwienie narastało w tempie piorunującym.

Nawet się nie zorientował, jak podczas badania Joanna wyciągnęła z niego prawie wszystko, co w nim tkwiło. Sama zaproponowała spotkanie na innym gruncie. Ścisłej – u niej, w familoku na Nikiszowcu.

Z początku się wahał, ale poszedł, no bo co miał do stracenia? Najwyżej kolejny jałowy samotny wieczór na skrzypiącej wersalce. Jednak już po pierwszej wizycie u Joanny wiedział, że



było warto. Nie potrzebował wiele czasu, aby się od niej uzależnić.

A teraz miał czekać aż dwie doby do następnego spotkania, choć od ostatniego minęło ledwie parę godzin. Joanna podśmiewała się nawet, że takiego narwańca jak on dawno nie spotkała.

Pożegnał profesora Barana i jak niepyszny pojechał do domu. Z braku lepszych zajęć zabrał się do posiewów. Z przerwą na rozmowę z Mają.

– Córca, mam wrażenie, że jesteś jakaś przygaszona. Wszystko u ciebie w porządku?

– No co ty, tato? Wszystko super, tylko jestem potwornie przejeżdżona. Coś ty nagadał mamie Marcina, że tuczy mnie jak gęś hodowlaną?

– Niech tuczy, bo sama skóra i kości z ciebie zostały, kwiatuszku. – Patryk roześmiał się w słuchawkę.

– A jak Jenny mnie nie udźwignie, bo przytyję, to będzie twoja wina. Chciałabym już na niej skakać. To świetny koń. Najlepszy ze wszystkich, na których jeździłam.

– Ty mała wredoto – zażartował. – Tęsknisz za koniem, a nie za tatusiem. Andrzej chyba specjalnie sprowadził tę Jenny, żebyś szybciej wróciła do domu.

– Bardzo bym chciała wygrać te zawody.

– Jak chcesz, to wygrasz.

– A jak nie dam rady?

– To też dziury w niebie nie będzie. Uważaj na siebie, kochanie, i śpij dobrze. Pozdrów Marcina i jego rodziców. Karaluchy pod poduchy.

– A szczypawki do zabawki. Pozdrowię. Do jutra, tato.

Zadzwoił jeszcze do ojca, aby zapytać o synka. Wysłuchał relacji o tym, że Adaś kaszle coraz mniej. Nie tęskni, trochę się opalił i całe dnie spędza na plaży.

– Obawiam się, że popełniasz wielki błąd, synu – powiedział na koniec ojciec. – Wiesz, o czym mówię.

– Obawiam się, że wyciągasz błędne wnioski – odparł Patryk.

Zatelefonował jeszcze do Anny. Nie rozmawiał z nią od dwóch dni. Nie odebrała, chociaż odczekał do końca sygnałów. Wrócił do posiewów. Przed północą spróbował ponownie zadzwonić. Komórka żony wciąż milczała. Patryk poczuł pewien niepokój.

## ROZDZIAŁ XV

Srebrny nissan mknął siódmką przez szarzejącą noc. Anna chciała jak najprędzej zostawić za sobą miejsce, które wypaliło dziurę w jej sercu. Nie zatrzymała się nawet u matki w Warszawie. I tak dopiero późnym popołudniem była w stanie wyjechać z Katowic, zdrętwiała po swoim odkryciu. Słyszała, jak dzwoni jej komórka. Wiedziała, kto to. Miała ustawiony specjalny sygnał tylko dla jednego człowieka, o którym teraz chciała jak najszybciej zapomnieć. Boże, jakie to typowe – wygięła pogardliwie usta. Tak szybko się pocieszył! To dlatego był taki inny! To dlatego nie miał czasu, żeby przyjechać do syna! To dlatego odmłodził! Wyprzystojniał! Przez tego rudzielca! I to dlatego ojciec był taki nieswój. Dopiero teraz skojarzyła sobie dziwne zachowanie teścia. Nawet kiedy wyjeżdżali do Łeby, to cały czas był jakby przygaszony. Wiedział! Musiał wiedzieć! Tak samo, jak wiedziała Mira! To dlatego tak się cieszyła, że syn tryska energią! Zmiana klimatu nazywa się KOCHANKA! Myśli kłębiły jej się w głowie. Zaczęło ją dławić w gardle, serce tłukło się w piersi jak oszalałe, tak że musiała zjechać na pobocze.

Nad łąkami unosiła się poranna mgła. Gdzieś już widziałam podobną scenerię, pomyślała. Prawda, przecież sama opisałam podobny widok. Tylko że ja nie będę padać na ziemię jak moja bohaterka! Już nie! Zapłacisz mi za to, Patryk, nawet nie wiesz, jak drogo zapłacisz! Szarpnęła obrączkę, ale nie mogła jej zdjąć z opuchniętego palca. Napluła na rękę, ściągnęła śliski złoty krążek i z obrzydzeniem cisnęła przed siebie. Widziała, jak obrączka wpada do krowiego placka. Symbol gównianych uczuć trafił tam, gdzie jego miejsce, do gówna, pomyślała z gorzką satysfakcją.

W domu odespała zmęczenie i koło południa wysłała wiadomość Witkowi.

„Wróciłam, przyjedź po samochód”.

Odpowiedź przyszła po chwili.

„Będę za godzinę”.

Miała czas. Wypiła lampkę wina, potem następną i jeszcze następną. Zrobiła sobie relaksującą kąpiel w pianie. Wtarała w skórę pachnący balsam, który niby miał ją wygładzić. Zrobiła staranny makijaż, nie zapomniała także o zmysłowych perfumach. Przeciągnęła krwistoczerwonym lakierem paznokcie u rąk i nóg. Wzburzyła kaskadę włosów na głowie. Potem włożyła krótki satynowy szlafroczek na nagie ciało, włączyła nastrojową muzykę, zapaliła kadzidelko zapachowe wyszperane u matki, opuściła wszystkie żaluzje w oknach i czekała, popijając kolejną lampkę wina.

Witek przyjechał spóźniony.

– Sorry, ale Amelka trochę marudziła i nie mogłem jej uspokoić. – Cmoknął ją na powitanie w policzek. – Opowiadaj, jak było. Mogę już puścić kciuki? – spytał zaciekawiony i usiadł w fotelu. – Widziałem, że mój samochodzik też jest cały, więc masz szczęście. Co u ciebie tak ciemno? – Rozejrzał się po pokoju.

Anna nie odpowiedziała. Podkreśliła muzykę i usiadła na poręczy fotela, obok Witka. Krótki szlafroczek odsłonił prawie całą nogę. Wsunęła rękę we włosy Witka ruchem, który mógł oznaczać tylko jedno. Widziała, że zaczynał być spięty. Przesunęła dłoń z włosów na kark i pomasaowała delikatnie. Nachyliła się nad nim, tak by czuł jej oddech i zobaczył nagie piersi pod szlafrokiem. Siedział sztywno jak na szpilkach. Jego policzki przybrały kolor ceglastej koszuli, którą miał na sobie. Widziała, jak pod cienkim materiałem bije mu serce i napinają się

mięśnie.

– Anka... co robisz? – odezwał się zduszonym szeptem, gdy rozpięła jego koszulę. Zarzuciła mu nogę na kolano i wodziła stopą po wewnętrznej stronie jego ud, aż do krocza. Tam przytrzymała ją dłużej. Potem zsunęła szlafrok i stanęła przed nim naga. Witek odwrócił wzrok; oddech jeszcze bardziej mu przyspieszył, gdy powoli wstał z fotela.

– Kochaj się ze mną – szepnęła i przywarła wargami do jego ust. Pozostały zamknięte, choć go całowała. Były ciepłe, miękkie, ale wciąż niedostępne. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Czowała, jak wali mu serce. Jej galopowało równie szybko.

– Przestań – zdołał tylko wykrztusić, nim zamknęła mu usta pocałunkiem. Bez wzajemności. Brnęła ślepo ku finałowi, ale nie było to pożądanie, ale pragnienie zemsty. Zsunęła ręce niżej, rozpięła pasek spodni, zamek dzinsów i wsunęła dłoń pod bokserki Witka.

– Błagam... przestań... zanim będzie za późno.

Słyszała jego urywany, proszący szept, ale nie przerywała pieszczot.

– Nie jestem z... kamienia – wyjąkał między pocałunkami.

Już teraz ją całował. Z początku nieśmiało, a po chwili pewniej, tylko ręce miał wciąż opuszczone wzdłuż ciała. Jej ręce ściągały z niego ubranie.

– Chcę tego... – Prawie wgrzyła się w jego usta.

Pchnęła go na kanapę. Już nie mogli powstrzymać lawiny szaleństwa, przed którym nie było odwrotu. Ogarnięta gwałtownym pragnieniem, nie miłości, ale wyrachowanego odwetu, przejęła zupełne panowanie nad mężczyzną, który bezwolnie poddawał się jej zabiegom. Wzięła do ust jego penis, niemal doprowadzając Witka do obłędu, a potem dosiadła go okrakiem, głucha na wszystko, w co dotąd niezachwianie wierzyła. Złapała go za włosy, odciągnęła mu głowę do tyłu i całowała zachłannie.

Z całą premedytacją brała rewanż, tak jak zaplanowała. Liczyła się tylko ta chwila, kiedy niekochany mężczyzna wypełniał ją sobą, bo tego chciała. Wznosiła się na nim i opadała coraz szybciej i mocniej, aż do bólu. Upajała się tym biologicznym aktem splecionych ciasno ciał. Widziała, jak Witek dochodzi do orgazmu. W końcu jęknął potężnie i znieruchomiał, z rękoma zaciśniętymi na jej pośladkach. Ona nie poczuła nic, prócz obrzydzenia do samej siebie.

Wysunęła się z niego i oparła o kanapę. Siedzieli obok siebie, patrząc gdzieś na wprost. Żadne nie miało odwagi spojrzeć drugiemu w oczy, oboje jednakowo skrzepowani. Witek wyrównywał oddech. Trwało to jakiś czas, wreszcie podciągnął spodnie, wstał, podniósł z podłogi szlafrok i przykrył nim Annę. Wciąż odwracał od niej oczy. Podeszedł do okna, wkładając na siebie koszulę.

– Wykorzystałaś mnie – odezwał się w końcu, odwrócony do Anny plecami.

– Tak. – Znów nie poznała swojego głosu, tak jak nie poznała samej siebie.

– A ja na to pozwoliłem. – Zabębnił palcami o szybę. – Co teraz?

– Chcę zostać sama.

Wyszedł bez słowa, a ona poczuła się jeszcze bardziej obrzydliwie. Chyba dopiero teraz zrozumiała, jak mogła czuć się Małgosia po tamtej nocy z Witkiem. I nie chodziło o niego, tylko o przekroczenie granicy własnej godności. Wstręt do siebie sprawił, że zbierało jej się na wymioty. Zapiła go winem. Tak, wykorzystałam uczciwego faceta jak ostatnia dziwka, aby zemścić się na draniu. Boże, jestem potworem. Szorowała gąbką ciało pod prysznicem, wypłukiwała z siebie ślady mężczyzny, którego uwiodła bez skrpułów, nie licząc się z jego uczuciami. To wszystko przez ciebie, Patryk! Przez ciebie! Dopija resztkę wina i dopadła do komputera. Zaznaczyła na niebiesko tekst swojej powieści i jednym naciśnięciem klawisza wykasowała całość.

Już się nie odnajdziemy! Już nigdy się nie odnajdziemy! Nie mamy po co! Wszystko to

jedno wielkie gówno! Nasza miłość, ty i ta pieprzona powieść! Wnętrznosci podchodziły jej do gardła, kiedy zalana łzami i własnym wstydem wisiała głową nad sedesem, pijana rozpaczą zmieszaną z winem.

– Było otwarte, więc weszłam.

Usłyszała znajomy głos. Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na postać w drzwiach łazienki. Zawirowało jej w głowie. Objęła mocniej muszlę i osunęła się na zimne kafelki.

Zapadła w coś w rodzaju letargu. Z początku spała mocno, niewrażliwa na to, co działo się wokół. Potem jak przez ścianę słyszała dzwoniące telefony. Tylko nie mogła skojarzyć, czy dzwonią naprawdę, czy rozdzwoniły się w jej głowie. Docierał do niej jakiś kobiecy głos. Raczej go znała, tylko skąd? Też nie mogła sobie przypomnieć. Czuła, że dotykają ją czyjeś ręce, kładą okład na czoło. Chciała wykonać jakiś ruch, ale dziwny bezwład ogarnął jej ciało. Tętniący ból głowy rozsadzał czaszkę. Zamiast kafelków Anna namacała ręką łóżko. Wszędzie panował mrok. Nagle rozblęsyło światło. Otworzyła oczy i popatrzyła przytomniej. Przy łóżku siedziała blada, wychudzona postać w czerni, w ręku miała kubek z kawą.

– Jesteś zjawą czy to naprawdę ty? – zapytała Anna, z trudem podciągając bezwładne ciało, by usiąść na łóżku.

– Ja. – Małgosia podała jej kawę. – Wypij, poczujesz się lepiej.

Nie miała siły wziąć od niej kubka. Tylko uniosła rękę w stronę przyjaciółki. Małgosia zamknęła ją w ramionach.

– Wiedziałam, że to ty byłeś na cmentarzu – wyszeptała Anna w jej szyję. – Nigdzie nie wyjechałeś, prawda?

– Nie wyjechałam. – Małgosia gładziła ją po plecach.

– Gdzie byłeś?

– Powiem ci, tylko najpierw pooddzwaniaj do ludzi, bo miałeś dużo telefonów. I wypij tę kawę. Posprzątam w łazience, bo trochę się schlałaś.

Małgosia wyszła. Anna ściągnęła drętwe ciało z łóżka. Wyluskała z opakowania tabletkę od bólu głowy i popiła gorzką kawę. Otworzyła na oścież okno. Chłodne, nocne powietrze trochę ją orzeźwiło. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta, tylko nie mogła skojarzyć, jaki jest dzień. Potrzebowała chwili, aby sobie uzmysłowić, że wciąż jest niedziela. Kolejna czarna niedziela, o której chciała zapomnieć. Ale nie zapomni. Nigdy nie zapomni. Tak samo jak o tamtej niedzieli, kiedy przy pomniku Kopernika chciała dać czas miłości. Nie ma już miłości. To twoja wina, Patryk; zacisnęła zęby, widząc kilka nieodebranych połączeń od męża. Teraz już byłego. Odpowiedziała na wiadomość od Mai. Bożena też dzwoniła. Ciekawe, czego chciała w niedzielę. Nie mam ochoty na radiowe przepychanki. Anna napisała szefowej krótką informację, że bierze natychmiastowy urlop na żądanie, co ma zagwarantowane w kontrakcie.

„Proszę bardzo. Znaj moje dobre serce. Masz wolne do piątku. W sobotę widzimy się w Mikołajkach. Bożena”.

Z kuchni dochodził brzęk naczyń. Anna narzuciła koc na ramiona i poszła w tamtą stronę. Małgosia szykowała kolację. Zupełnie jak dawniej, kiedy jeszcze nie wydarzyło się to, co się wydarzyło.

– Jak ma na imię? – spytała przyjaciółka pochylona nad deską. Nóż zadrżał w jej dłoni, gdy zbliżała ostrze do pomidora. Anna utkwiała oczy w zabliznionych nadgarstkach Gośki.

– Amelka.

– Jest zdrowa? – Tamta jeszcze niżej pochyliła się nad stołem. Ramiona jej drżały. Zacisnęła mocniej dłoń na nożu. Anna wyjęła go z ręki Małgosi.

– Zdrowa i śliczna.

Teraz to ona obejmowała przyjaciółkę, która płakała w jej ramionach. Pod palcami

wyczuwała wystające kości Małgosi. Dawno nie widziała jej tak wychudzonej, tak przybitej. Stały w tej kuchni, ściskając się nawzajem, przytłoczone każda swoim nieszczęściem. Anna modliła się w duchu, aby Małgośka o nic jej nie pytała. O nic, co się zdarzyło parę godzin temu. Nie chciała kłamać, a prawda nie przeszłaby jej przez usta. Dzięki jakiemś niewytłumaczalnemu porozumieniu dusz Małgosi odczytała jej intencje, kiedy patrzyły sobie w oczy. Dopiero teraz Anna dostrzegła, że Gośka postarzała się o parę lat. Miała dopiero trzydziestkę, a twarz starej kobiety. I usta wykrzywione ku dołowi. Na skroniach przebijały pierwsze pasma siwizny. I ta czerń sukienki dodatkowo przydawała jej lat.

– Gdzie byłaś? – zapytała Anna, gdy chwilę później siedziały w jej pokoju. Wołała zagracone meblami dwanaście metrów niż pokój dzienny, który był świadkiem jej podłości.

– Blisko. U Karmelitanek w Spręcowie – odpowiedziała Małgosia.

– Wstąpiłaś do klasztoru?

– Nie, tylko tam mieszkam. Mają pokoje za „co łaska” – dla takich zagubionych jak ja. Przyjęły mnie bez pieniędzy. Piszę ikony, które sprzedają, aby choć tak im się odwdziżyć.

– Dlaczego się nie odzywałaś? Długo tam jesteś?

– Od samego początku. – Głos Małgosi zdrżał. – Chciałam... wyjechać do Szwecji, ale nie mogłam. Coś mnie powstrzymywało. Wtedy w szpitalu nie chciałam na nią spojrzeć, bo bałam się, że jej nie pokocham tak naprawdę, tak jak matka kocha dziecko, że tylko ulegnę jakiejś chwilowej emocji. Dlatego uciekłam. Nie przed Amelką, tylko przed sobą. Przed swoim strachem. Teraz wiem, że bardzo się myliłam.

Po jej zapadniętych policzkach płynęły łzy.

– Czy myślisz, że... – spojrzała na Annę z nadzieją i z lękiem – mam prawo wrócić do Amelki, po tym, co jej zrobiłam?

– Myślę, że nie masz prawa nie spróbować. Tylko, pewnie nie wiesz, ale... – Anna urwała. Wiedziała, że zaraz wbije Małgosi nóż w serce. – Witek pozbawił cię w sądzie wszystkich praw do niej i nie chce cię znać.

Gośka zbladła jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. Przygryzła mocno usta i kurczowo zacisnęła złożone przed sobą ręce. Jej rozpacza przytłaczała i Annę.

– Zasłużyłam na to – wyszeptala prawie bezgłośnie. – Ale choćbym miała do końca życia niczego innego nie robić, to będę go błagać, aby pozwolił mi stać się mamą dla Amelki. Tak mi jej brak. Nie myślałam, że to może aż tak boleć.

– Wierzę, że ci się uda. Nie wiem, czy od razu, ale próbuj. – Anna uściśnęła złożone ręce przyjaciółki. Były zimne jak lód. – Przyjechała jego matka. Pytała mnie o ciebie. Ona cię nie potępia.

– A ty?

– Nie, teraz już nie, ale wcześniej tak. – Sięgnęła po komórkę i odszukała zdjęcie Amelki. To, które zrobiła w szpitalu. – Zobacz, to twoja córeczka. – Podsunęła aparat Małgosi.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zobaczyła uśmiech na twarzy przyjaciółki. Gosia długo patrzyła na fotografię, a potem przyłożyła usta do wyświetlacza. Anna wyjęła z torebki klucze i plik banknotów.

– Jutro jadę na kilka dni do Adasia, do Łeby, a ty zostań tutaj. Tak długo, jak będziesz chciała. Tu masz klucze i pieniądze. Stąd będzie ci bliżej do celu niż ze Spręcowa.

– Dziękuję – szepnęła Małgosia.

– Nie, to ja dziękuję, że o nic nie pytałaś. – Teraz to Anna schyliła głowę.

– Nie musiałam. Widziałam, jak od ciebie wychodził. Reszty się domyśliłam.

## ROZDZIAŁ XVI

Zemsta w chwili dokonania smakuje jak cukierek, ale potem trzeba spojrzeć w lustro. Anna nie mogła patrzeć na swoje odbicie, gdy rankiem szykowała się do wyjazdu. Zamiast znajomej od trzydziestu lat twarzy widziała jeden wielki wyrzut sumienia. Znow zbierało jej się na wymioty. Jesteś zimną, wyrachowaną suką, ty tam, w lustrze. Przykryła ręką swoje odbicie. To wszystko twoja wina, Patryk! To ty mnie do tego popchnąłeś. Zazgrzytała zębami, widząc kolejne nieodebrane połączenie od męża. Nie miała zamiaru oddzwaniać. Teraz nie mają sobie nic do powiedzenia, a w sprawach dzieci była na bieżąco. A co jej mam odpisać, zastanawiała się, czytając wiadomość do matki.

„No jak tam, córeczko? Powiodły się Twoje zamiary?”

Odpisała:

„Tak, doszłam do celu”.

Do rozwodu, dopowiedziała sama sobie. Zajmie się tym zaraz po Mikołajkach, teraz jedzie do synka. Doprowadziła się jako tako do porządku. Spakowała małą walizkę, nawet nie patrząc, co do niej wrzuca, po czym ciężkim krokiem ruszyła do windy. Na korytarzu włożyła ciemne okulary. Nie potrzebowała ich, aby chronić się przed słońcem, tylko by się za nimi ukryć.

– Myślałaś, że tak łatwo uciekniesz? – Usłyszała za sobą to pytanie, gdy chowała walizkę do bagażnika. Walizka wysunęła jej się z rąk i oparła na haku holowniczym. Anna wyczuła zapach papierosów. Witek nie palił, odkąd urodziła się Amelka. Teraz Anna miała na plecach jego śmierdzący dymem oddech. Zażenowanie nie pozwoliło jej się odwrócić. Nerwowym ruchem poprawiła walizkę.

– Nie uciekam. – Usiłowała nadać głosowi obojętne brzmienie, ale bez skutku. – Tylko jadę odwiedzić Adasia.

– Popatrz na mnie – powiedział, przystając tuż za nią.

Odwracała się powoli. Jej oczy, ukryte za ciemnymi szklami, zatrzymywały się po drodze na wszystkim, byle tylko odsunąć chwilę, gdy zmuszona będzie spojrzeć w oczy Witkowi. Patrzyła na śmietnik, zaparkowane ciasno jeden obok drugiego samochody pod wieżowcem, kogoś rozklejającego ogłoszenia na drzwiach klatki schodowej, na kilka chmurek na niebie i słońce. Trwało to, póki nie napotkała jego wzroku.

– Zdejmij – rzucił krótko. Było w jego głosie coś takiego, że Anna od razu posłuchała i lekko drżącą ręką zsunęła szkła z nosa. Zmusił ją, by patrzyła na niego bez osłony. Przerażająco jawnie. Aż się skurczyła pod wpływem jego spojrzenia. Prawie przeszywał ją na wskroś. Marzyła, by móc zapaść się pod ziemię. Policzki jej płonęły, w gardle zaschło. Ręce miała mokre od potu, otarła je o dzinsy. Witek przydeptał niedopałek i podszedł jeszcze bliżej. Anna oparła się o zimną blachę samochodu.

– Byłem dla ciebie erzacem, bo chyba nie wyszło ci z Patrykiem. Mam rację?

Milczała.

– Gdybym chciał, powstrzymałbym cię jednym ruchem ręki, o tak. – Pochwyił w dłoń oba jej nadgarstki i unieruchomił w kleszczowym uścisku. Palce miał jak ze stali. – Ale... nie zrobiłem tego. Teraz mam o to do siebie żal. Widocznie samczy popęd był silniejszy od zdrowego rozsądku. I czuję się z tym paskudnie.

– Przepraszam – wyszeptała z pochyloną głową.

– Wsadź sobie swoje przepraszam – powiedział z taką odrazą, że Anna odczuła to jak

policzek.

Może nawet wolałaby policzek zamiast widoku tych oczu, których wyrazu nie mogła znieść. Tak samo jak brzmienia jego głosu.

– Nie wiem, czy powiesz o wszystkim Patrasowi, ale wiem, że żaden facet tego nie zniesie. Ja też mam moralniaka. Pozwoliłem się uwieść żonie mojego najlepszego kumpla! Jak mam mu teraz spojrzeć w oczy? Jak będziemy dalej razem pracować? Przyjaźnić się? Pomyślałaś o tym choć przez chwilę? Pomyślałaś o mnie? O moich uczuciach? – Każde z tych pełnych goryczy pytań sprawiało, że poczucie winy Anny rosło.

Nagle zmienił się na twarzy. Rozgoryczenie przeszło w gniew: Witek zacisnął usta i wpatrywał się w coś gdzieś ponad jej ramieniem. Usłyszała ciche szuranie na chodniku. Odwróciła się w tamtą stronę. Powoli zbliżała się ku nim Małgosia. Ostre słońce jeszcze bardziej rozjaśniło jej blade, zapadnięte policzki. Wyglądała jak duch ubrany na czarno.

– Widziałam cię z okna – odezwała się cichym głosem. Patrzyła tylko na Witka i do niego tylko mówiła. – Możemy porozmawiać?

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia – odparł twardo.

– Wiem, popełniłam błąd, ale teraz niczego tak nie pragnę, jak tego, aby wrócić do mojej córeczki.

– Twojej córeczki! – powtórzył ironicznym tonem. – Mogłaś mieć córeczkę. Sama z niej zrezygnowałaś, choć błagałem cię, żebyś tego nie robiła. Powiem więcej, mogłaś mieć wszystko. Dziecko, dom, a nawet rodzinę. Proponowałem ci to dziesiątki razy. Już nie pamiętasz?

– Tak, ale... – Głos Małgosi zadrżał.

– Nie ma żadnego ale, Gośka. Nie ma już dla ciebie miejsca w życiu mojego dziecka. Tylko mojego, mam na to wszystkie papiery. Wracaj tam, skąd przyszłaś. – Witek lekceważąco machnął ręką. Chciał odejść, ale Małgosia uczepliła się jego dłoni.

– Pozwól mi ją chociaż zobaczyć – prosiła przez łzy. Jej błagalny ton sprawił, że Annie ścisnęło się serce.

– To nie małpka w cyrku. Nigdy jej nie zobaczysz. – Wyszarpnął rękę. – Tak wybrałaś. Jeszcze wczoraj się wahałem, ale teraz podjąłem decyzję. Wyjeżdżam z małą do Stanów, jak tylko dostanę dokumenty i wizy.

– Nie możesz! – Małgosia niemal krzyknęła.

– Udowodnię ci że mogę – syknął jej prosto w twarz.

– Witek... – Małgosia skuliła się na chodniku. Nie zwrócił na to uwagi. Odjechał tak szybko, że żadna z nich nie zdążyła już nic powiedzieć. A może i nie miały co powiedzieć.

Anna nie pojechała do Łeby. Nie chciała zostawiać Gośki samej. Sama też wolała się zaszyć choćby w mysiej dziurze. Po rozmowie z Witkiem jej obrzydzenie do siebie wzrosło do monstualnych rozmiarów. Mira będzie miała satysfakcję. Nasza przyjaźń skończyła się w łóżku; za każdym razem wdrygała się na samo wspomnienie tego, czego nie mogła już cofnąć.

Wolne dni spędziła w domu. Nawet żaluzji nie odsłaniała, pogrążona w apatii. Odbierała tylko te telefony, które odebrać musiała. Tych od Patryka ani razu. Wszystko już przecież minęło. Tak samo dla mnie, jak i dla Gośki.

Małgosia codziennie chodziła na Dajtki i codziennie wracała smutniejsza. Witek ani razu jej nie otworzył. Zaciął się, tak jak ona, Anna, w stosunku do Bendorfa. Siedziały we dwie w małym mieszkaniu, każda w swoim pokoju. Nawet rozmawiać nie musiały. Wystarczyła im milcząca obecność tej drugiej. Anna najczęściej uciekała w sen, sprowadzany tabletkami. Chciała przespać ten czas, zanim wymyśli, jak poukłada sobie życie bez człowieka, który obiecywał, że zrobi wszystko, aby była z nim szczęśliwa. Już nie będzie słuchać tego fałszywego „Wróć

do mnie, kotku”. Żyj sobie ze swoim nowym „kotkiem” – przyłożyła rękę do piersi, aby przykryć nią trzepot serca. Znów przyszedł jakiś esemes.

„Aniu, czy wszystko w porządku? Bo Patryk się niepokoi, że nie odbierasz telefonów” – odczytała wiadomość od teścia. Odpisała:

„Wiedziałaś, że on kogoś ma, prawda?”.

Odpowiedź przyszła po dłuższej chwili:

„Nie miałem pewności, ale domyślałem się. Mogę Cię tylko przeprosić za mojego syna. Rozmówię się z nim, jak wrócimy”.

Anna odpisała szybko:

„Nie, już nie trzeba. Widzisz, to wciąż ta sama rzeka. Ucałuj Adasia”.

Wielkie rzeczy rodzą się w bólach, ale w jeszcze większych umiera miłość. Otarła łzy wierzchem kołdry. Bolało ją wszystko, od głowy po serce i pełną żalu duszę.

W takim stanie trwała do soboty. Choć nie chciała, musiała jednak pojechać do tych Mikołajek. Trudno, odbębni służbowe spotkanie, weźmie urlop, wynajmie dobrego adwokata i raz na zawsze skończy ze złudzeniami. Może potem uda jej się w spokoju spojrzeć w lustro. I to wszystko przez ciebie, Patryk! Tylko przez ciebie! Trzęsła się cała, wkładając na siebie oficjalną garsonkę. Równie czarną, jak jej myśli. Wrzuciła do torby parę podręcznych drobiazgów na dwa dni i była gotowa wrócić do życia. Przynajmniej służbowo.

Właśnie wychodziła z bloku, gdy od strony parkingu podbiegł ku niej Patryk. Nic nie mogło bardziej jej zaskoczyć niż jego obecność tutaj. Nie potrafiła tylko określić, które odczucie było silniejsze, wściekłość czy wstręt na widok męża.

– Mało nie zwariowałem ze strachu, że coś ci się stało – usłyszała na powitanie jego pełen napięcia głos.

Patryk przeskoczył trzy stopnie ganku i stanął przed nią zdenerwowany. Był w tej samej marynarce, w której spotkał się z tamtą kobietą. Anna wyczuła nawet jej perfumy.

– Dopiero wczoraj udało mi się wyrwać kilka wolnych dni, by przyjechać do ciebie. Dlaczego nie odbierasz telefonów ode mnie? – spytał z wyrzutem. Wyciągnął ręce, aby ją objąć, ale cofnęła się o krok.

– Dlatego. – Zamachnęła się i z całej siły walnęła go w twarz, aż zapiekła ją ręka. Głowa Patryka odskoczyła w bok. Na wygolonym policzku odcisnęły się cztery palce Anny. Patrzył na nią zszokowany. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale odjęło mu mowę, a usta miał jeszcze na wpół otwarte.

– Byłam w Katowicach – wycedziła przez zęby. – Widziałam was.

– Kiedy? O czym ty mówisz? – W jego pytaniu nie mogło już być więcej niedowierzania. I jeszcze te czarne oczy niewinnego baranka. Anna nie dała się nabrać na tę komedię.

– O tobie i twojej rudej kochance, której dawałeś kwiaty przed szpitalem – rzuciła z pogardą. Ominęła go i spieszenie ruszyła do samochodu. Patryk potrzebował chwili, aby ogarnąć to, co powiedziała.

– Wszystko ci wyjaśnię! – zawołał, biegnąc za nią.

– W sądzie będziesz wyjaśniał! To koniec, Patryk! – odkrzyknęła przez uchylone okno samochodu i zablokowała drzwi od środka.

A potem wszystko stało się w ułamkach sekund. Samochód Patryka stał kilka metrów za toyotą. Anna wrzuciła wsteczny bieg i z impetem wjechała w czarne volvo. Słyszała, jak jej hak wbija się w przód mężowskiego auta. Trochę cię to będzie kosztowało, nim znów będziesz woził swoją rudą flamę, pomyślała z dziką satysfakcją. We wstecznym lusterku widziała, jak zdeorientowany Patryk stoi na chodniku, bezradnie opuściwszy ręce. Patrzył to na plamę pod swoim samochodem, to na odjeżdżającą Annę. Dobrze ci tak, draniu, cieszyła się w duchu.



\*

Radiowa impreza w Mikołajkach miała się odbyć z wielką pompą. Najpierw część oficjalna, potem bankiet. I to nie było takie, bo w najbardziej reprezentacyjnym hotelu miasteczka, czyli w Gołębiowskim. Anna nie miała ochoty ani na oficjałki, ani na popijawę, która, jak znała radiowe realia, skończy się nad ranem stanem totalnego „zejścia” obecnych. Jednak z racji pełnionej funkcji musiała uczestniczyć tak w jednym, jak i w drugim. Siedziała w zatłoczonej sali konferencyjnej, udając, że słucha z zainteresowaniem przydługiego wystąpienia przewodniczącego rady nadzorczej. Nie zwracała uwagi na dziwne podenerwowanie Bożeny ani na tryumfalny uśmieszek Kosmy, kiedy prelegent chwalił wytropienie afery, dzięki czemu rozgłosnia w krótkim czasie zyskała sławę w środowisku mediów, a cała sprawa lada moment miała znaleźć finał w sądzie. Ożywiła się dopiero, gdy przewodniczący, starszy nadęty facet, zaczął mówić o ich nowej strategii, nad którą pracowała przez kilka miesięcy.

– Rada jest zadowolona z przedstawionego programu rozwoju – oświadczył, przekładając w rękach plik kartek. – Jednak lepsze wypiera dobre. Dlatego, aby skuteczniej wdrożyć opracowany plan, zdecydowaliśmy o pewnych zmianach kadrowych. Pozwolą państwo, że dziś, przy tej okazji, przedstawimy nasze decyzje. Z początkiem września dotychczasową prezes, panią Bożenę Padlewską, zastąpi pan Kosma Kosmowski...

Co???

Anna otworzyła usta ze zdumienia. W pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała, ale niezadowolone pomruki części pracowników nie pozostawiały złudzeń. W sali rozległy się słabe oklaski, gdy Kosma wstał, by się uklonić. Bożena jeszcze niżej schyliła głowę. Tymczasem przewodniczący kontynuował:

– Pani Padlewska, której wkład pracy w rozwój radia jest nie do przecenienia, obejmie stanowisko dyrektora do spraw programowych...

Moje stanowisko??? Moje??? Nie wierzę! Do cholery, własnym uszom nie wierzę! Zdezorientowana Anna uciskała palcami skronie. Słyszała, jak przewodniczący dziękuje jej, Annie, za poświęcenie, ale na tym koniec. I to wszystko? Naprawdę to wszystko? – powtarzała w myślach zszokowana tą niespodziewaną degradacją.

Nie chciała zostać tutaj ani chwili dłużej. Na szczęście siedziała blisko drzwi i mogła dyskretnie wyjść bez zbędnych demonstracji. Zwłaszcza że i tak niektórzy z obecnych zaczęli wstawać, aby złożyć gratulacje nowemu szefowi. A więc tak to sobie zaplanowali! Tak mnie wygryźli z posady! Wszystko było zaplanowane z góry! Powinni przynajmniej ją uprzedzić o swoich zamiarach, a nie fundować taką niespodziankę. Rozjuszona Anna pomaszerowała szybkim krokiem do pokoju. Zabierze swoje rzeczy i znikną stąd od razu.

– Mam gdzieś ten bankiet i tę firmę – mamrotała pod nosem.

– Anka, zaczekaj! – wołała za nią Bożena. Próbowwała ją dogonić, ale w wąziutkiej spódnicy mogła tylko robić małe, śmieszne kroczyki. – Wiem, głupio trochę wyszło.

– Od kiedy wiedziałas?

– Właściwie to... prawie od początku. – Policzki dawnej koleżanki pokrył rumieniec zażenowania. – Doszło do mnie, że wpuścili Kosmę jako kreta, żeby zrobił wewnętrzne rozeznanie w radiu, zanim wprowadzi swoje porządki.

– To dlatego wskoczyłaś mu do łóżka, o czym słyszałam tu i ówdzie. Załatwiłaś sobie moje stanowisko – sztychła Anna.

– Zrozum, mam kredyty. – Bożena złożyła przed nią ręce jak do modlitwy. – A także spore długi do spłacenia. Muszę dobrze zarabiać, aby jakoś to regulować, bo inaczej zje mnie komornik.

– I ty mi mówiłaś o lojalności, kręgosłupie moralnym. – Głęboka ironia w głosie Anny towarzyszyła pogardliwemu spojrzeniu, którym taksowała Bożenę z góry na dół.

– Anka, przecież najważniejsze, że zostajesz w radiu. Będziesz miała pracę. Na razie jako dziennikarka. Z czasem, jak zrobię Kosmę, zrobię z ciebie kierownika redakcji.

– Pieprz się, Bożena – rzuciła ze wzgardą. – Zapłacicie mi trzymiesięczną odprawę, bo mam to w kontrakcie. Nie potrzebuję waszej łaski. A jeśli będziecie robić jakieś numery z wypłatą kasy, to pójdę na zwolnienie. Nawet na rok. Mogę to sobie załatwić, dobrze wiesz. I będziecie bulić na mnie jeszcze dłużej. A od dziś jestem na urlopie. – Odwróciła się na pięcie. Nie mogła już dłużej patrzeć na swoją szefową.

– Anka, nie miej żalu, że tak się stało... – mówiła do jej pleców Bożena.

– Fuck off. – Anna, nie odwracając się, pokazała jej uniesiony w górę środkowy palec.

Dopiero w pokoju zeszło z niej napięcie i rozkleiła się zupełnie. Zdruzgotana runęła do łóżka.

Boże, ile jeszcze mogę znieść, myślała, szlochając w poduszkę. Straciłam męża, straciłam przyjaciela, straciłam pracę, co jeszcze mogę stracić? Nawet godności już nie mam. Przehandlowałam ją na zemstę.

Cisnęła pantoflem o podłogę. A potem zaczęła się histerycznie śmiać, aż łzy poleciały jej z oczu. Pieprzone prawo serii, myślała, wycierając mokre policzki. Jak się wali, to na całej linii, ale mam to w dupie! Co mnie nie zabije, to wzmocni! Czuję się wystarczająco wzmocniona, przynajmniej w tej chwili, przekonywała sama siebie. Poradzę sobie. Znajdę ciekawszą pracę. I tak przecież ostatnio wcale mi na tej robocie nie zależało. Wzruszyła ramionami, przemyła ubrudzoną tuszem twarz i zaczęła pakować rzeczy do torby. Jednak nie mogła opanować drżenia, a nogi miała dziwnie miękkie. Nagle rozległo się pukanie i w progu stanął Patryk. Na jego widok znów wszystko się w niej zagotowało. Wszedł niepewnie do środka.

– Gośka powiedziała mi, gdzie jesteś. Aniu, proszę, wysłuchaj mnie... – zaczął błagalnie.

– Nie masz mi nic do powiedzenia! – przerwała mu rozemocjonowana. – Wszystko już wiem! To koniec między nami! Spadaj stąd, ale już! – Zamaszystym ruchem wskazała palcem drzwi.

– Skarbie...

– Nie masz prawa tak do mnie mówić! Już nie! Pędziłam do ciebie pięćset kilometrów jak idiotka. Bo chciałam porozmawiać o nas, może dać nam kolejną szansę, a ty?! Szybko się pocieszyłeś, nie ma co! Wiesz, co czułam, kiedy zobaczyłam, jak obejmowałeś tamtą babę?! Jak na nią patrzyłeś! Daweś jej kwiaty! Całowałeś, a potem poszłście do...

– Pozwól mi wyjaśnić... – Patryk uniósł przed sobą ręce.

– Nie masz głosu! – Pchnęła go w stronę drzwi. – Już teraz rozumiem, dlaczego tak odmłodniałeś, z czego cieszyła się twoja matka! Dlaczego tak chłodno ze mną rozmawiałeś, kiedy dzwoniłeś! Dlaczego zasłaniałeś się pracą! Nawet o naszej rocznicy zapominałeś! Bo zagarnąłeś do łóżka tamtego rudzielca! To teraz żyj z nią sobie! Nawet możesz jej dać moją obrączkę, jeśli wygrzebiez ją gdzieś z krowiego gówna przy siódemce, bo tam ją wyrzuciłam! – Wypluwała z siebie potoki oskarżycielskich słów, bez chwili na oddech. – A teraz wynoś się stąd, zanim...

– To była moja terapeutka! – Patrykowi wreszcie udało się przebić przez jej rozwścieczony słowotok.

– Co? – W pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Moja terapeutka – powtórzył. – Joanna Derda. Specjalista od takich popaprańców jak ja.

– Kłamiesz, jeszcze beczelnie teraz kłamiesz! Tak się nie obejmuje terapeutki! Nie daje się takich kwiatów, nie całuje i nie znika z nią gdzieś w familoku!

– Przysięgam, że mówię prawdę! – Patryk przyłożył rękę do piersi. – Fakt, metody ma trochę niekonwencjonalne, ale może właśnie to pozwoliło mi się przed nią otworzyć. Przez tę jej bezpośredniość. Pocałowałem Joannę, bo składałem jej życzenia. Tego dnia, kiedy dawałem jej kwiaty przed kliniką, obchodziła czterdzieste piąte urodziny. A w familoku ma gabinet w prywatnym mieszkaniu. Sama mnie zapytała, czy może się ze mną zabrać, bo zostawiła auto w warsztacie, dlatego przyszła pod szpital, gdzie nas prawdopodobnie widziałaś. Możesz do niej w każdej chwili zadzwonić i o wszystko zapytać, jeśli mi nie wierzysz, ale nie okłamuję cię. Mogę ci przysiąc, na co tylko chcesz, że nawet w myślach cię nie zdradziłem. – Wyjął z kieszeni marynarki komórkę. – Proszę, to numer Joanny. – Z najniewinniejszą na świecie miną podał Annie swój telefon. Opadła bezwładnie na łóżko i przez chwilę siedziała na nim sztywno, jakby kij połknęła.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz... terapeutkę? – zapytała głosem jak z podziemi.

– Bo chciałem ci zrobić niespodziankę – wyjaśnił, siadając obok niej. – Chciałem stanąć przed tobą odmieniony. Inny niż ten drań, którego znałaś. Dzięki Joannie uświadomiłem sobie, że od takiego faceta jak ja każda kobieta powinna od razu uciekać. Ale zrozumiałem też, że mam szansę się zmienić, jeśli naprawdę będę się starał. A ja chcę tego dla ciebie i dla siebie. Dla nas. Ogarnęła mnie jakaś obsesja, żeby jak najszybciej osiągnąć cel. Dlatego spotykałem się z nią prawie codziennie. Sam na to nalegałem. Puściłem sporo kasy, ale wiem, że warto było. Jestem dopiero na początku drogi i uwierz mi, to nic przyjemnego wyrzucić tak siebie na lewą stronę. To, co już w sobie zobaczyłem, naprawdę mnie zszokowało. Jestem chyba jakimś błędem genetycznym, bo tak mało mam z ojca, a tak dużo z matki! – Zaśmiał się sarkastycznie. – Kotku, dla ciebie jestem gotów na wszystko. Nie masz pojęcia, jak ciężko mi było udawać obojętność i rozmawiać tylko o dzieciach, ale taki sobie wymyśliłem plan. Zagrałem ryzykownie, usuwając się z twojego życia. Zrobiłem to, bo liczyłem, że sama za mną zatęsknisz, tak jak ja tęskniłem za tobą. I nadal tęsknię tak, że aż boli. Aniu, jesteś moim światem, wszystkim, co mam. Tylko ty nadajesz mojemu życiu sens. – Podniósł jej rękę do ust.

Ten pocałunek zapiekł ją żywym ogniem. Z każdym słowem wypowiedanym przez Patryka czuła się jeszcze bardziej winna. W głowie Anny wybuchł wulkan wyrzutów sumienia. To on z miłości do niej próbuje się zmienić, a ona zdradziła go z najlepszym przyjacielem, bo opacznie wszystko rozumiała. Chciała uciec z tego pokoju gdzie tylko oczy poniosą, ale coś spętało jej nogi.

– O naszej rocznicy też nie zapomniałem – szepnął jej do ucha. – Życzeń ci nie wysłałem, bo obawiałem się, że uznasz to za presję z mojej strony. Poza tym wiedziałem, że jak tylko trochę odpuszczę z tej obojętności, to zwyczajnie się wygadam, że chodzę na terapię, a naprawdę chciałem zrobić ci niespodziankę. Pocięczałem się tylko, że jak zobaczysz mnie innego, to do mnie wrócisz. To miała być moja nagroda. Może było to trochę naiwne, ale tak sobie wymyśliłem. A rocznicowy prezent mam dla ciebie od dawna. Zaraz go przyniosę, jest w torbie w samochodzie. Chciałem dać ci go sam, jak już będę w wersji poprawionej.

– Nie... – Ledwo mogła wydobyć głos z gardła. Wbiła wzrok w jeden punkt na wykładzinie. Szumiało jej w uszach, pulsowało w skroniach, a przed oczami latały czarne plamy.

– Przepraszam, zapomniałem, że masz służbową imprezę, a ja tu gadam i gadam. – Patryk się zreflektował. – Powiem tylko Andrzejowi, żeby na mnie nie czekał, i jeśli pozwolisz, to zostanę jeszcze z tobą.

– Andrzejowi?

– Przywiózł mnie do Mikołajek, bo... Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale rozwaliałaś chłodnicę w moim samochodzie. – W głosie Patryka usłyszała nutę rozbawienia. – Andrzej czeka

w recepcji. Może chciałabyś się z nim przywitać?

W tym momencie znów ktoś zapukał do drzwi.

– Bardzo przepraszam, że państwa niepokoję – odezwał się podenerwowany mężczyzna z obsługi hotelowej – ale ten pan, z którym pan przyjechał, stracił przytomność na dole. Wezwaliśmy karetkę.

## ROZDZIAŁ XVII

Anna jak przez mgłę pamiętała resztę wydarzeń z tamtego wieczoru. Przed jej oczami przewijały się chaotyczne obrazy. Nieprzytomny Bendorf leżał na podłodze przy recepcji. Zdenerwowany Patryk reanimował go, nim przyjechała karetka. Potem do piersi Andrzeja przykładano elektrody i raz po raz następowały wstrząsy. Wszyscy obserwowali w napięciu zieloną ciągłą kreskę na monitorze. Słyszała jakieś pospiesznie rzucane przez ratowników słowa: migotanie komórek, a może komór, asystoria czy jakoś tak, odsunąć się, strzelam i jeszcze cała masa komend, aż wreszcie ciągła linia na monitorze zaczęła się załamywać. Potem rozległ się warkot helikoptera, gdy przekładano wciąż nieprzytomnego Bendorfa na nosze.

Nie pamiętała, jak dojechali do Olsztyna. Pędzili krętą niczym serpentyna drogą z Mikołajek. Prowadził Patryk. Anna pamiętała tylko swój paniczny strach o ojca. Potem, już w szpitalu, słyszała kolejne stwierdzenia lekarzy, ale prawie nic nie rozumiała. Rozległy zawał jakiejś ściany, chyba dolnej, nawet nie wiedziała, że serce ma ściany, częstoskurcz, hemodynamika. Tamci gdzieś go zabrali, a ona stała przyklejona do zamkniętych drzwi, za którymi odchodził ktoś, komu nie chciała wybaczyć, zapiekła w swojej nienawiści.

Dopiero teraz dotarło do niej, jaka była bezwzględna i okrutna. Dopiero widmo jego śmierci stopiło w jej sercu lód. Przerazenie, że nie zdąży naprawić błędów, paraliżowało jej zmysły. I za co tak się na niego zawzięła? Za tych kilka głupich intryg? A ona niby jest lepsza? Ojciec przynajmniej miał odwagę przyznać się do wszystkiego i prosić o wybaczenie, a ona? Czy będzie miała odwagę przyznać się do swojego czynu? Dużo bardziej podłego. Na miłość męża odpowiedziała zdradą. Na miłość ojca nienawiścią, na przyjaźń Witka wykorzystaniem. Boże, czy można jeszcze niżej upaść? Czy właśnie tak wygląda wewnętrzne piekło? Anna robiła rachunek sumienia, oczekując na wiadomości z za zamkniętych drzwi. Sytuacja była poważna. Bendorf żył, ale miny lekarzy nie skłaniały do optymizmu.

Mijała druga doba od zawału, a on wciąż nie odzyskiwał przytomności. Leżał na OIOM-ie podłączony do całej masy aparatury. Anna, osłonięta od stóp po czubek głowy ochronnym ubraniem, nie odstępowała od jego łóżka. To Patryk załatwił z kolegami, by wbrew procedurom mogła tu zostać. A nawet gdyby nie mogła, to prędzej zabarykadowałaby drzwi, niż dała się stąd usunąć. To Patryk był przy wszystkich zabiegach, którym poddawano jej ojca. Życzyła sobie tego, bo tylko jego oczom, rękom i wiedzy ufała. Nikomu więcej. To przecież on uratował go w hotelu, gdy serce ojca na chwilę stanęło. Teraz już biło, ale tak, jakby uchodziło z niego życie. Ojciec miał sine usta, bladą skórę i wciąż zamknięte powieki.

– Tato... otwórz oczy... jestem tutaj, to ja, twoja Muszelka – szeptała z policzkiem przyciśniętym do dłoni ojca. Oczy miała czerwone od płaczu. – Nie możesz teraz odejść. Musisz nauczyć mnie jeździć konno i grać na skrzypcach. Pamiętasz ten kawałek Mozarta, który grałeś w Niepamięci? To było chyba tak: – zaczęła nucić ulubioną melodię ojca. – Pam, pam, pam, pa rappapappam... Słyszysz mnie, tato?

– Myślę, że słyszysz. – Patryk położył dłoń na ramieniu Anny. – Twoja mama czeka na zewnątrz. Pójdź do niej na chwilę.

W niewielkim korytarzyku przed OIOM-em na drewnianej ławeczce pod ścianą siedziała Iwona. W dłoniach kurczowo ścisnęła torebkę

– To przeze mnie umiera – zaszlochała w jej objęciach Anna.

– Uspokój się, córeczko. – Matka pogładziła ją po plecach. Anna wyczuła, jak drżały jej

dłonie. – On jeszcze nie umarł – dokończyła ciszej.

– To nie twoja wina, kotku – tłumaczył Patryk, obejmując ją także. Bolały ją te jego czule gesty i ciepłe słowa. Uciekła wzrokiem przed troskliwym spojrzeniem męża. – Miał chore serce, nie chciał się leczyć. To musiało tak się skończyć.

– Nie musiało. – Anna pokręciła głową. – Nie musiało, gdybym ja nie była dla niego taka okrutna. Podle okrutna. I nie tylko dla niego zresztą. Zabijałam go każdego dnia, a teraz zrobiłabym wszystko, byle tylko przeżył. Może... – nagle zaświtała jej w głowie myśl, której kurczowo się uczepiła – ...przeszczep? Tak, przeszczep go uratuje. Mamo, ile tego tam jest z tych pieniędzy, o których mówiłaś? Wystarczy na przeszczep? Może w Zabrze albo nie wiem, Patryk, gdzie jest najlepsza klinika? W Szwajcarii czy w Niemczech? Możemy przecież to załatwić, prawda? Pieniądze nie mają znaczenia. Ja też mam oszczędności. Może jakiegoś konsultanta od kardiologii trzeba wezwać? – pytała chaotycznie, szukając potwierdzenia u Patryka.

– Kochanie. – Położył ręce na jej ramionach. – Gdyby można było kupić serce w sklepie, dawno bym je kupił. Musimy wierzyć, że Andrzej z tego wyjdzie. Ja wierzę. A teraz powinnaś pojechać do domu. Odpocząć, zjeść coś, chyba załatwić urlop w pracy.

– Nie mam już pracy. Zostanę tutaj. – Anna zrobiła krok w tył, ale matka ją powstrzymała.

– Aniu, Patryk dobrze radzi. Jedźmy do domu. Ojciec nie powinien cię zobaczyć w takim stanie, jak odzyska przytomność. Poza tym chyba trzeba się zająć psem.

Pies, zupełnie zapomniałam o psie, Anna patrzyła to na drzwi intensywnej terapii, to na Iwonę, niepewna, co zrobić.

– Jedź, kotku, ja tu zostanę z Andrzejem.

– Nie musisz wracać do Katowic? – zapytała.

– Nie przejmuj się mną. Idź. – Delikatnie skierował Annę w stronę wyjścia, a matka ujęła ją pod ramię.

Na zewnątrz mocno świeciło słońce. W połowie sierpnia, po deszczowym i zimnym początku miesiąca, znów powróciło lato. Anna wolałaby deszcz i chłód. Lepiej pasowałyby do jej stanu ducha. Wiedziała, że niczym nie zmaże swoich przewin. Nigdzie przed nimi nie ucieknie, bo nie można uciec przed sumieniem. To będzie moje więzienie bez krat, myślała, kopiąc jakąś puszkę na chodniku.

Szły pieszo, bo matka namówiła ją na spacer. Anna nie chciała spaceru ani obiadu, który postawiła przed nią Iwona. Pragnęła tylko choć iskiere nadziei, że jeszcze zdąży coś naprawić. Przynajmniej jeśli chodzi o ojca, bo z Patrykiem już nie może zostać. Nie po tym, co mu zrobiła.

Anna nerwowym ruchem zapięła Bandyce smycz, by go wyprowadzić. Małgosia zaczęła sprzątać zasikane przez psa mieszkanie.

Pojechały tam razem. Obie tak samo niepewnie wchodziły do środka. Każda zostawiła na tych czterdziestu metrach część siebie. Małgosia niczym ślepiec dotykała palcami ścian swojego dawnego domu, znajomych mebli, zasłon, których Bendorf nie zmienił. Jednak było w tym więcej nostalgii niż przygnębienia.

– Już nie chcę żyć przeszłością – powiedziała, patrząc na portret Maćka, gdy jakiś czas później siedziały w pokoju, a nakarmiony Bandyta spał przy nogach Anny. – Nie przestanę się ludzi, że mam jeszcze jakąś przyszłość.

– Widziałaś Amelkę?

Przyjaciółka pokręciła głową.

– Byłam tam w niedzielę, ale dom zamknięty na trzy spusty – odrzekła głuchym głosem.

– Anka, czy myślisz, że Witek już ją wywiózł? – W jej głosie zabrzmiała obawa.

– Przecież nie załatwił dokumentów tak szybko. Może pojechali gdzieś na wakacje? Albo

na weekend? Dziś niedziela. Powiedz, Gosia, kiedy będą te nasze lepsze niedziele?

– Mogłabym cię zapytać o to samo. – Małgosia rysowała palcem kółka na stole. Chwilę nic nie mówiła, skupiona na swoich myślach. – Wracam do Spręcowa. Nie będę przeszkadzać twojej mamie. A ty powinnaś wrócić do domu, niezależnie od wszystkiego. Bo jeszcze masz dom. Ja też mogłam go mieć. Witek jest dobry. Nawet proponował mi ślub. Gdybym tylko zechciała go wtedy posłuchać, teraz wszystko wyglądałoby inaczej. A tak mam tylko siebie, a to całe nic.

– Jak chcesz, to zostań tutaj, dopóki ojciec jest w szpitalu. – Anna wstała, chciała już wracać na oddział.

– Tutaj?

– Ktoś musi się zająć psem, a ja chcę być przy ojcu.

– Skoro tak – twarz Małgosi rozjaśnił blady uśmiech – przynajmniej psu będę potrzebna.

Powinnaś trochę pospać, zanim tam pójdziesz.

Pospała, ale dużo później, z głową wspartą o szpitalne łóżko. Nie chciała przegapić chwili, gdy ojciec odzyska przytomność, bo zaczęła wręcz obsesyjnie wierzyć, że tak się stanie. Zwłaszcza że jakieś parametry się poprawiały, co gruntownie wyjaśniał jej Patryk. Z plątaniny medycznych terminów wyłowiła tylko ten najważniejszy – że jest lepiej. Nie przestawała mówić do Andrzeja. Opowiadała mu o wszystkim i niczym, byle tylko mówić, byle słyszał, że ona tu jest. Wierzyła, że ją słyszy, bo Patryk tak twierdził, gdy siedział przy nim, prawie przez cały czas. Nie wyszedł ze szpitala nawet na moment. Wspierał ją nie tylko zapewnieniami, że kryzys wkrótce minie, ale także kawą i kanapkami, które przynosił z bufetu, i nakłaniał Annę, by cokolwiek przelknęła. Tkwił przy niej niczym Anioł Stróż, sam wyczerpany do granic.

Czy osłabło napięcie, które trzymało ją od dwóch dni, czy sprawiło to zmęczenie, ale sama nie wiedziała, kiedy zapadła w drzemkę, ukołysana jednostajnym dźwiękiem aparatury, z czołem przyciśniętym do bezwładnej ręki ojca.

Nagle przez sen poczuła czyjś delikatny dotyk na włosach i głos słabszy od dotyku.

– Muszelka? – usłyszała niedowierzający szept.

Zerwała się z krzesła i nachyliła nad łóżkiem. Ojciec miał otwarte oczy.

– Obudziłeś się... wreszcie się obudziłeś. – Poglądziła dłonią jego szorstki policzek. Wypełniła ją przeogromna ulga. Poczuła się, jakby ktoś zdjął z jej pleców ciężki gład. Ojciec spojrzał na nią przytomniej. Widziała w jego oczach wyraźne powątpiewanie. Nawet mrugnął dwa razy, aby się upewnić, czy to wszystko jest naprawdę.

– Jestem w... niebie? – spytał silniejszym głosem, choć wciąż z nutą niedowierzania.

– Nie, tatusiu, w szpitalu – wyjaśniła najcieplej, jak umiała. Ścisnęła w dłoniach jego rękę z przypiętym pulsometrem na palcu. – Miałeś lekki zawał, ale to nic poważnego. Już jest dużo lepiej. Patryk, powiedz, że mam rację. – Odwróciła się i spojrzała do góry na stojącego z tyłu męża.

– Masz rację. Jest dużo lepiej. Nie daliśmy ci się wymknąć, Andrzej. – Patryk mrugnął do niego nad głową Anny. – Jak się czujesz?

Bendorf przymknął powieki na znak, że dobrze.

– Zawołam kardiologa.

Gdy wyszedł, przysunęła stół jeszcze bliżej łóżka. Ojciec uśmiechnął się do niej. Osłabienie, które jeszcze przed chwilą słychać było w jego głosie, teraz ustępowało miejsca sile. Coraz mocniej ścisnął dłoń Anny.

– Gdybym wiedział, że tak... będzie... chciałbym mieć ten zawał dużo wcześniej.

– Ciiii... – Położyła mu palec na ustach. – Nie mów tyle, to może cię męczyć – szepnęła, nawet nie starając się powstrzymać łez radości. – Tato, przepraszam, za wszystko cię

przepraszam.

– Ciiii... – usłyszała tylko. Nie musiał mówić nic więcej. W jego oczach widziała wyłącznie miłość.

\*

Zbliżał się wieczór, gdy na zdecydowane polecenie lekarzy, że pacjent naprawdę musi teraz odpocząć, Anna wyszła ze szpitala. I tak dwa razy wracała, aby zapewnić ojca, że przyjdzie jutro, i spytać, czy czegoś mu nie trzeba. Aż ją mdliło od tego lukru, który sączył się z jej ust. Choć wszystko, co robiła i mówiła, było szczere, jednak wciąż nie mogła sobie darować, że robi to tak późno. Ojciec musiał prawie umrzeć, aby jej złość na niego zniknęła. I jeszcze wybaczył wszystko od razu, a ona nosiła w sobie nienawiść przez pół roku. Boże, co ze mnie za człowiek, Anna nie przestawała robić sobie wyrzutów.

Patryk siedł obok niej. Mimo zapadającego zmroku widziała, jaki był zmęczony. A przecież dwa dni temu jechał z Katowic. Do mnie, aby wypowiedzieć najpiękniejsze słowa o miłości, jakie słyszałam, a ja... Zacisnęła oczy.

Jaka skrucha może zmasać moją zdradę? Jestem zerem, zerem, zerem, powtarzała sobie w myślach w rytm własnych kroków. Pojedzie teraz do matki, włoży głowę pod kołdrę jak struś w piach i jakoś przeczeka do rana, postanowiła. Podchodzili do toyoty, gdy zadzwoniła komórka Patryka. Rozmawiał z kimś chwilę, a potem powiedział:

– Kotku, dzwonił mój ojciec. Dzieci już przyjechały. Wszyscy są na Warmińskiej. – Był tak rozpromieniony, że całe jego zmęczenie znikło.

– Dzieci? – zdumiała się, bo przecież Adaś miał wrócić dopiero w sobotę, a Maja jeszcze później.

– Maja, jak tylko jej powiedziałem, co się stało, od razu chciała, żebym jej zarezerwował samolot. Przyleciała dziś sama do Gdańska, bo Marcin ma jakieś zobowiązania w pracy. A rodzice też zdecydowali się wracać w tej sytuacji. Odebrali ją z lotniska i są u nas. W trudnych chwilach rodzina musi się trzymać razem. To co, jedziemy do dzieci czy wolisz wrócić... – Nie dokończył, patrzył na nią w napięciu. Wiedziała, o co chciał zapytać.

– Do dzieci – zdecydowała od razu.

Już z pierwszego piętra Anna słyszała dochodzący z mieszkania śmiech Adasia. Beztronski głosik synka dodał jej skrzydeł. Przeskakiwała po dwa stopnie, aby jak najprędzej porwać w ramiona swój skarb. Dwa skarby, bo za Mają tęskniła równie mocno. Patryk też nie szczędził powitalnych czułości synowi i córce. Do przedpokoju przyszła teściowa, a za nią profesor Terliński. Mira przywitała się ciepło z Patrykiem, a chłodniej z Anną. Cmoknęła powietrze w okolicach policzka synowej.

– Zdążyłam przygotować kolację, bo zapewne w szpitalu nie myśleliście o jedzeniu. Zjesz z nami, moja droga? – zaproponowała, ale zabrzmiało to ni mniej, ni więcej, jak: „równie dobrze możesz stąd wyjść”.

– Mira, nie zadawaj zbędnych pytań, tylko nakrywaj do stołu, skoro już zaczęłaś – polecił profesor. Najpierw przytulił na powitanie Annę, potem uściśnął rękę syna. – Witajcie, dzieci. Jak się czuje twój ojciec, córuchna?

– No właśnie, co z Andrzejem? – spytała niespokojnie Maja.

– Już jest lepiej, ale... – zaczęła Anna – Patryk wszystko wam wyjaśni. Przepraszam, muszę umyć ręce.

Zamknęła się w łazience i oparła się o umywalkę. Nie miała odwagi spojrzeć w lustro. Zaraz zje kolację, a potem... co potem? Ma zabrać Adasia i wrócić do matki czy zostać tutaj? I spać na sofie, bo przecież nie z Patrykiem w ich sypialni. Tego by nie zniosła. Jeszcze czuję



na sobie ręce innego mężczyzny. Jeszcze nim pachnę. Mam go wrytego na ciele jak piętno, myślała, łowiąc uchem krzątaninę za drzwiami.

Podczas kolacji Anna siedziała jak na szpilkach. Słuchała opowieści z Włoch i z Łeby, kiedy już Patryk wyczerpał temat stanu ojca, gdy Mira nagle zapytała:

– A ty i Witek, Anno? Wciąż tak się angażujesz w pomoc przyjacielowi? – Zaakcentowała mocniej ostatnie słowo.

Policzki Anny poczerwieniały bardziej niż pomidor na jej talerzu. Ona wie! Musi coś wyczuwać kobiecą intuicją! Albo mam to wypisane na twarzy! O Jezu, wpadała w coraz większy popłoch. Oczy wbiła w talerz. Wybawił ją Patryk.

– Mamo, daj już spokój z tymi pytaniami – rzucił stanowczym tonem. – Nie widzisz, że Ania ledwo trzyma się na nogach?

Kiedy zostali tylko we czwórkę, Patryk rozejrzał się po mieszkaniu. Najpierw przesunął stół na dawne miejsce, żeby Adaś, który sięgał już główką do blatu, przypadkiem się nie uderzył. Potem pochował do szuflady serwetki i porcelanowe bibeloty Miry, pod pretekstem że są tylko siedliskiem kurzu i wątpliwą ozdobą. Nawet narzutę ściągnął z fotela, bo miała, jak to określił, drażniąco krzykliwe kolory.

Anna wiedziała, dlaczego to zrobił. Doprowadzał mieszkanie do takiego stanu, w jakim ona je zostawiła. Ręce jej się trzęsły, gdy sprzątała po kolacji. Patryk skończył przemeblowanie i już szedł do niej. Z tym swoim uśmiechem i ciepłem w oczach, którego unikała, jak mogła. Zaraz mnie obejmie, może pocałuje, chyba będzie chciał czegoś więcej, a ja nie mogę... nie mogę... choć pragnę. Drogę zastąpił mu Adaś z ulubioną książeczką w pulchnej łapce.

– Tata, sitaj. – Podniósł ku niemu główkę.

– A pewnie, że poczytam, syneczku. – Patryk wziął chłopczyka na ręce. – Tatuś bardzo za tobą tęsknił. I za twoją siostrzyczką, i mamusią. A może jakąś inną książeczkę chcesz?

– Ne. – Malec pokręcił główką w marynarskiej czapce, której nie zdejmował od przyjazdu.

– Ja też posłucham. – Z łazienki wyszła Maja. Owinięta w szlafrok, wycierała ręcznikiem mokre włosy. – Mamo, a ty?

Anna kiwnęła głową. Policzyła do dziesięciu, by uspokoić emocje, i niemal na palcach weszła do sypialni. Patryk leżał na łóżku, z Adasiem u boku. Z drugiej strony ułożyła się Maja. Anna przycupnęła na brzegu łóżka, w nogach. Siedziała jak na rozżarzonych węglach. Patryk modulował głos, syczał i buchał niczym lokomotywa, rozśmieszając dzieci. Musiał czytać trzy razy. W końcu jednak język zaczął mu się płątać. Ziewnął kilka razy.

– Jest zupełnie tak jak kiedyś – powiedziała Maja.

Jest zupełnie inaczej niż kiedyś, odpowiedziała jej w myślach Anna. Już nigdy nie będzie jak kiedyś, bo sama się o to postarałam i wszystko zniszczyłam. Adaś zaczął przysypiać na łóżku. Patryk go gładził po pleckach, aż synek mocno zasnął.

– Słuchajcie, dziewczyny – odezwał się, gdy przeszli do salonu. Anna zajęła najdalszy róg kanapy i pociągnęła Maję obok siebie. – Ponieważ Andrzej czuje się lepiej, mogę już wrócić do Katowic, aby pozamykać sprawy. Gdzieś na tydzień, nie dłużej. Pojadę jutro, tylko wpadnę do Andrzeja. Może pożycz mi swój samochód, to odbiorę go z Mikołajek, a stamtąd polecę bezpośrednio na Śląsk.

– A co z twoim samochodem? – zainteresowała się Maja.

– Miałem małą stłuczkę. – Patryk lekceważąco machnął ręką. – Nic poważnego. Odstawię go na warsztat z samego rana. Kotku, właśnie, a co z twoją pracą? Jak to, nie masz nic do roboty?

– Zwolnili mnie – wyjaśniała i wzdrygnęła się na czułe „kotku”. Teraz do mnie bardziej pasuje „dziwka”, „zdzira” czy „lafirynda”, myślała, pozornie skupiona na wyskubywaniu resztek

psiej sierści z czarnej spódnicy, której nie zdejmowała od przyjazdu z Mikołajek.

– Zwolnili? – zapytał przejęty Patryk. – Ciebie? Przecież tak tam zasuwałaś. Odwołaj się do sądu pracy, walcz, nie odpuść im.

Anna tylko pomachała ręką na znak, że niewiele ją to obchodzi.

– Nie martw się, znajdziesz coś ciekawszego. – Kucnął przy niej i wziął ją za rękę.

Chciała je wyszarpnąć, ale powstrzymała się ze względu na Majkę. Tylko bez demonstracji, tłumaczyła sama sobie.

– Będziesz miała teraz więcej czasu dla ojca.

– No i dla nas. – Maja przytuliła się do jej ramienia.

Teraz miała dobry pretekst, żeby wyswobodzić rękę z uścisku męża i objąć córkę. Choć chciałyby przytulić oboje, gdyby nie było tego, co było.

– Mamo, zostaniesz już z nami? Bez ciebie jest zupełnie inaczej.

To proste pytanie wpędziło Annę w głęboką rozterkę. Boże, co jej teraz powiedzieć? Co im powiedzieć? Nie mogła znieść napiętego oczekiwania na ich twarzach. Nie mogła znieść nadziei w oczach Patryka, gdy wciąż tkwił przed nią w kuckach niemal na klęczkach. I wyczekiwania Mai wtulonej w jej ramię. Co robić, co robić, co robić, powtarzała sobie w myślach w rytm szybkich uderzeń serca. Odwlec, jeszcze trochę to odwlec, tchórzostwo wzięło w niej górę nad chęcią ujawnienia prawdy.

– Zostanę – odpowiedziała po długiej ciszy. Dopóki nie znajdę w sobie siły, aby powiedzieć mu wszystko, a potem... Nawet w myślach nie mogła dokończyć, co będzie potem. Zobaczyła taki zachwyt w oczach ich obojga, że odwróciła głowę.

– Pora spać. – Patryk ziewnął przeciągle. – Pościelę sobie w salonie, bo we trójkę z Adasiem w jednym łóżku będzie nam niewygodnie, a naprawdę muszę się porządnie wyspać przed drogą.

Mówił jeszcze coś o Katowicach, ale nie słuchała. Najmniej chodziło mu o wygodę, od razu odgadła intencje męża. Widział jej wahanie, chce jej dać czas. Jest lepszy od niej. Dużo lepszy, pomimo wszystko. Dała się zwieść pozorom i popełniła niewybaczalny błąd, a przecież on jesienią też dał się zwieść pozorom. Teraz już wiedziała, co czuł, gdy przychodziły te przesyłki. To samo, co ona w Katowicach, ślepą zazdrość. Tylko że ona zdecydowała się na bezlitosną zemstę, on zaś podjął walkę z samym sobą. Dla niej. Annie zrobiło się niedobrze.

Późno w nocy, gdy Anna przebudziła się dręczona jakimś sennym koszmarem, zobaczyła Patryka siedzącego na brzegu łóżka.

– Nie chciałem cię zbudzić – szepnął. – Dziękuję, że zostałam. Wiem, że bardzo cię krzywdziłem. Dlatego nie będę na nic nalegał, możesz być spokojna. Zaczekam, aż będziesz gotowa mi zaufać i wrócić do mnie naprawdę. A teraz śpij, jesteś zmęczona. – Pocałował ją w czoło i wyszedł.

Dziękowała Bogu, że w sypialni było ciemno i nie zauważył purpurowych rumieńców upokorzenia na jej policzkach.

## ROZDZIAŁ XVIII

Andrzej Bendorf wracał do zdrowia tak szybko, że po kilku dniach przeniesiono go z intensywnej terapii na oddział kardiologii. Zupełnie tak, jakby przeszedł banalny katar, a nie ciężki zawał. Nabral kolorów, żartował i zaczynał przypominać Annie tamtego kowboja, który ze zwinnością akrobaty dosiadał konia w Niepamięci. Anna dbała o ojca, jak tylko mogła. Przynosiła kompoty gotowane z jabłek i aronii, morskie ryby pieczone w folii, wszystko, co powinno mieć korzystny wpływ na serce. I sama przed sobą przyznawała, że tą nadmierną troską okazywaną ojcu chciała zmyć odrazę, jaką do siebie czuła, albo przynajmniej ją zagłuszyć. Ale nie zagłuszyła.

Najgorzej było przed wyjazdem Patryka, gdy wręczył jej rocznicowy upominek. W czerwonym pudełeczku była brylantowa zawieszka na złotym łańcuszku. Dławiła ją także jego radość, z jaką ustawiał łóżeczko Adasia, gdy przywiózł je z Narutowicza. Nie mogła słuchać tych jego ustawicznych przeprosin, że tyle musiała przez niego wycierpieć.

I zapewnień, że będzie kontynuował terapię, aby tylko nie bała się wpuścić go do swojego życia. To była jej kara. Tylko przy ojcu starała się maskować i przywoływała na twarz uśmiech, aby nie przysparzać mu stresu, bo tego musiał unikać.

Teraz też siedziała przy jego łóżku w dwuosobowej salce. Łóżko obok było wolne. Maja przyszła razem z nią. Rozwinęła z folii pieczone jabłko.

– Moje kochane dziewczynki, tak o mnie dbacie – rozrzewnił się nie wiadomo który raz Andrzej. Na wpół siedział, obłożony czasopismami, które przynosiła Anna.

– Tato, zjedz, póki ciepłe. – Podsunęła mu owoc. – Maja upiekła specjalnie dla ciebie.

– Dodałam trochę cynamonu, tylko nie wiem, czy możesz go jeść – zreflektowała się dziewczyna. – Moja babcia zawsze takie piekła.

– Zjem z przyjemnością, jeśli zdołam jeszcze coś w siebie wcisnąć po tym wyśmienitym dorszu. – Andrzej poklepał się po zapadniętym brzuchu. – Maja, a właściwie to co ty tu jeszcze robisz? Dawno powinnaś zacząć trenować, jeśli chcesz wygrać. Do zawodów zostało mało czasu. Ledwie tydzień.

– Nie myślę teraz o zawodach. – Maja założyła włosy za ucho. – Zresztą jesteś chory, więc i tak nie miałby mnie kto trenować, bo Marcin został we Włoszech.

– Trener zawsze się znajdzie w stadninie. Poza tym twój koń nie może tak długo stać niejeżdżony. – Odstawił talerzyk z jabłkiem i uniósł się na łokciu. – Czekałem z tym na właściwy moment, ale myślę, że już nadszedł. Maju, Jenny należy do ciebie.

– Do mnie??? – W głosie i oczach Mai pojawiło się ogromne niedowierzanie. Anna była nie mniej zaskoczona.

– Do ciebie – potwierdził i pogładził włosy dziewczyny. – Nie mogłem przegapić takiej okazji, a nasza stadnina nie miała pieniędzy na dodatkowego konia. Dlatego kupiłem ją sam. Miała być nagrodą za zawody. Dlatego nie trać czasu i biegnij na trening. Chcę zobaczyć, jak sobie radzi moja wnuczka ze skokami przez przeszkody. Chyba mogę tak do ciebie mówić?

– Jasne, dziadku. – Rozpromieniona Majka wyściskała go entuzjastycznie, jak to tylko było możliwe w jego stanie. – Dziękuję, naprawdę dziękuję. Nie spodziewałam się. Mamo, to ja już polecę, co? – spytała ogromnie podekscytowana. – Wpadnę tylko do domu po strój. Może babcia Iwona i Adaś też będą chcieli ze mną pojechać? O rany, no nie wierzę, że mam konia! – zawołała i aż zaklaskała z radości.

– Leć, tylko uważaj na siebie. – Annie udzielił się entuzjazm dziewczyny. – Jak babcia będzie chciała jechać, to niech weźmie Adasiowi kurteczkę, bo trochę dziś wieje.

Maja pożegnała się i już jej nie było. Anna chciała delikatnie złożyć ojca za tak drogi prezent, którego utrzymanie będzie sporo kosztowało. A teraz, kiedy nie miała pracy i nie wiadomo, kiedy i jaką znajdzie, taka rozrzutność była niewskazana. Już otwierała usta, ale ojciec odgadł jej myśli.

– Pieniądze mają wtedy wartość, jeśli dzięki nim można spełniać marzenia albo sprawiać innym radość. Inaczej nic nie znaczą – oświadczył, gładząc ją po policzku. – Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że tym koniem zamierzałem wkraść się w twoje łaski, przekupując Maję. Dlatego trzymałem wszystko w sekrecie. Po prostu postanowiłem sprawić radość swojej uczennicy. A za utrzymanie Jenny będę płacił sam. – Uniósł w górę palec wskazujący, gdy Anna chciała zaprotestować. – To już postanowione. A teraz powiedz mi, dlaczego jesteś taka smutna?

– Ja? – Udała zdziwioną. – Zdaje ci się, tato.

– Kłamczucha. Chodzi o Patryka?

– Dzwonił rano, prosił, żeby cię pozdrowić.

– Dziękuję. Wróciliście do siebie?

– Tato, ta rozmowa cię męczy.

– Męczył mnie brak rozmowy – odparł poważnie. – Nie mam prawa ingerować w twoje życie, ale muszę ci powiedzieć, że bardzo się myliłem co do twojego męża. Nie podejrzewałem go o taką wrażliwość. To dobry chłopak, choć wcześniej miałem o nim inne zdanie. Dzięki niemu na przykład poznałem ciebie z tych twoich listów. Ale za te papierosy w piątej klasie – pogroził jej żartobliwie – należała ci się solidna kara. Gdybym cię wtedy przyłapał, to pewnie dostałabyś w tyłek.

– Akurat ci wierzę, a karę i tak miałam. – Anna uśmiechnęła się na wspomnienie wypalonych z Małgosią gdzieś w piwnicy, podprowadzonych matce papierosów. – Rzygałam potem cały dzień. Tato, proszę odpocznij już – nalegała, chcąc przerwać rozmowę o Patryku.

Bała się, że zaraz po prostu rozplynie się z żalu albo spali na popiół ze wstydu, albo serce popęka jej na kawałeczki. Nigdy nie doświadczyła podobnej nieprzerwanej udręki, jak od tamtego dnia w Mikołajkach aż do dzisiaj.

– Jesteś tak samo uparta jak ja. – Ojciec poklepał ją po dłoni. – Tym razem ci ustąpię, bo za chwilę i tak będą mnie męczyły pielęgniarki. Córeczko – zmienił ton – bardzo dobrze zrobiłaś, że namówiłaś Małgosię, aby u mnie mieszkała. Może zostać tak długo, jak tylko chce. Ale skoro zajmuje się Bandytą, to nie może tego robić za darmo. Ona gdzieś pracuje?

– Nie.

– W szufladzie pod telewizorem leżą pieniądze. Daj jej, proszę, tyle, ile uważasz za stosowne.

– Dobrze, ale nie wiem, czy weźmie.

– Twoja głowa w tym, żeby wzięła. I jeszcze jedno, poproś Iwonę, aby jutro do mnie przysłała.

\*

Czego on ode mnie chce? Iwona Bendorf nie mogła znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Z emocji nie mogła spać prawie całą noc, po tym, jak się dowiedziała, że Andrzej chciałby z nią porozmawiać. Od tamtego dnia, gdy przyjechała go w walkach, ani razu się nie widzieli. Na OIOM też nie mogła wejść, choć bardzo chciała. Tak samo jak córka przeżywała jego zawał. Stan Andrzeja obchodził ją dużo bardziej niż niedawna propozycja Stefana, który poprosił, żeby za niego wyszła. Już prawie była gotowa się zgodzić, ale znów odżyły w niej głupie nadzieje, że

może teraz, po zawale, Andrzej będzie jej potrzebował. Przynajmniej jakiejś pomocy w domu czy zakupach. No bo w takim razie po co by chciał, żeby do niego przyszła, zastanawiała się nieprzerwanie.

Trzy razy zmieniała sukienkę, aby wyglądać jak najlepiej, po tamtej wałkowej wpadce. Zdjęła z siebie zieloną, bo miała w niej oponkę na brzuchu. Przymierzyła czarną. Nie, przecież to nie pogrzeb, uznała i rzuciła kieckę na fotel. Może ta szara? Zdjęła z wieszaka trzecią, do kolan, lekko rozkloszowaną na dole. Była w sam raz. Wcześniej podekscytowana Iwona wzięła długą pachnącą kąpiel, by zmyć z siebie wciąż wyczuwalny jej zdaniem, zapach stadniny.

Kupił Mai konia, uśmiechnęła się blado. Tak, zawsze miał gest, to trzeba przyznać, mówiła sama do siebie. Przełała do słoika świeżo ugotowany rosół, taki, jak gotowała mu dawno temu. Z przypalaną cebulą, lubczykiem i na mięsie z kury, cudem zdobytym na bazarku. Nawet kluski sama zagniotła, aby choć tak pokazać, że wciąż jest dla niej ważny, pomimo wszystko. Pomimo trzydziestu lat zapomnienia. Może choć teraz zacznie mnie dostrzegać, myślała z nieśmiałą nadzieją, oglądając się w lustrze przed wyjściem. Młodość miała już za sobą, ale „zrobiona”, mogła jeszcze uchodzić za atrakcyjną. Włożyła sandały na platformie, zabrała siatkę z rosółem i z lekkością młodej dziewczyny pomknęła do szpitala.

Pogoda jej nie sprzyjała. Mocny wiatr siekł drobnym deszczem. Ułożone idealnie włosy Iwony zaczęły opadać, a tusz rozmazywał się na oczach. Z Narutowicza na Żołnierską, do szpitala, zdołałaby przebiec przez park w ciągu kwadransa, ale nie mogła przecież wyglądać jak zmokła kura. Zadzwoiła po taksówkę.

– Podobno chciałeś mnie widzieć. – Lekkim krokiem weszła do sali Andrzeja. Wcześniej w szpitalnej łazience jako tako doprowadziła się do porządku. Za dużo tych perfum, zgaśniła się w myślach, gdy mocny zapach wypełnił duszny pokoik.

Andrzej niemal siedział na uniesionym łóżku, czytając gazetę; głowę miał zwróconą w stronę okna. Nawet w piżamie wyglądał dobrze. Tak dobrze, że Iwonę zakłuło w sercu. Był od niej rok młodszy, ale nawet po zawale mógł sobie śmiało odjąć jeszcze z pięć lat.

– Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. – Odwrócił się do niej, ale z jego obojętnej twarzy niczego nie mogła wyczytać. – Dziękuję, że przyszłaś. Usiądź, proszę. – Wskazał taboret. – Musimy porozmawiać.

– Przyniosłam ci rosół. – Iwona wyjęła słoik z siatki. – Taki, jak lubiłeś.

– Nie musiałaś, ale to miłe, a teraz słuchaj. – Odłożył gazetę na parapet i usiadł wygodniej. Przez chwilę bez słowa przypatrywał się byleż żonie, nim zaczął mówić. – Poprosiłem cię, żebyś przyszła, ponieważ jesteś mi coś winna. Dlatego teraz zrobisz wszystko, co powiem, i tak, jak powiem. Przejdę od razu do konkretów i proszę cię, żadnych łez – dodał kategorycznie. – Przede wszystkim z grobu twojej siostry ma zniknąć tabliczka, ta druga. Wiesz, którą mam na myśli. Nie będę teraz wnikał, czyj to był pomysł, aby ją tam umieścić, ale moja... nasza – poprawił się po chwili wahania – córka nie może jej zobaczyć. Potem zamówisz u kamieniarza inną tabliczkę. Z takim napisem. – Andrzej wyjął z szufladki kartkę i podał ją Iwonie. – Dokładnie takim. I ma to zrobić od ręki. Zorientujesz się też, czy polskie prawo dopuszcza otworzenie grobu po trzydziestu latach. Później pójdziesz do mojego banku...

Mówił dalej, a Iwona patrzyła na niego oszołomiona. Każde jego słowo raniło ją jak cierń. Nie po to tu przyszła! Nie to chciała usłyszeć! Próbowała mu przerwać, ale nie pozwolił jej nawet otworzyć ust. Nie mogła dłużej słuchać, jak ze spokojem wydaje jej kolejne polecenia. Wiedziała, że Andrzej nie udaje. Podeszła do okna i przyłożyła czoło do szyby. Na dworze zagrzmiało i lunął deszcz. Nawet niebo płakało nad tym, co mówił do jej pleców. Na koniec zapytał, czy wszystko zapamiętała. Skinęła głową. Wymógł jeszcze na niej, by zachowała tajemnicę, nim przyjdzie czas, a potem ją pożegnał.

Iwona wyszła ze szpitala jak ogłuszona. Na ołowianym niebie pojawiła się tęcza. Spojrzała na kolorowy łuk i nigdy wcześniej nie wydał jej się tak przerażająco ponury jak dziś. Jego już nie ma, nie ma, powtarzała, idąc w dół Żołnierską. Ktoś ją potrafił, ktoś przepłoszył rowerowym dzwonkiem, ktoś zatrafił, gdy pogrążona w ołowianych myślach za wcześnie weszła na pasy. Nie dam rady, nie dam rady; ta myśl towarzyszyła jej w drodze do córki. A jednak muszę. Obiecałam mu, że będę chronić przede wszystkim Annę. Dlatego zanim weszła na drugie piętro, przypudrowała twarz, aby zatuszować smugi łez na policzkach, wzięła parę głębszych oddechów i jak gdyby nic nacisnęła dzwonek w drzwiach.

– Baba opa. – Adaś wyciągnął rączki do powitania. Iwona ukryła twarz we włosach wnuka. Zyskała parę sekund, nim zobaczy ją córka. Kolejne sekundy zajęło uściskanie Mai.

– Babciu, dziś nie zabieram cię ze sobą do stadniny – zakomunikowała dziewczyna, prawie gotowa do wyjścia.

– To jakaś kara dla babci? – Anna wyjrzała z kuchni. – Cześć, mamó.

– Nie, tylko wczoraj zsunęłam się trochę z Jenny i babcia tak krzyknęła ze strachu, że inny koń się spłoszył. Będę później, bo potem wpadnę do dziadka do szpitala. Pa. – Machnęła ręką z korytarza i już jej nie było.

Iwona od razu zauważyła zmianę wyrazu twarzy córki, ledwo zamknęły się drzwi za Mają. Anna spochmurniała, zgarbiła się i umilkła. Ożywiała się tylko wtedy, gdy Adaś czegoś chciał. Iwona też starała się nadrabiać miną, ale nie wychodziło jej to zbyt dobrze. Sztuczna radość i udawana serdeczność nie mogły ukryć dziwnego napięcia ani matki, ani córki. Krzątały się razem w kuchni przy obiedzie. Potem Iwona zajęła się sprzątaniami, a Anna rozwiesiła pranie, coś tam przy tym opowiadając synkowi, który nie odstępował jej na krok. Na zewnątrz trochę się przejaśniło i mogły wyjść na spacer z dzieckiem. Dopiero w parku, gdy Adaś, zmęczony biegiem, przysnął w wózku, Anna zapytała:

– Jak to jest, kochać kogoś tak, jak ty kochałaś mojego ojca, a żyć samotnie?

– Chyba nie ma większej udręki niż kochanie w jedną stronę – odpowiedziała z namysłem Iwona. – Kobiety, które kochają za bardzo, tak jak ja, same siebie skazują na wegetację. To zarazem żalodne i tragiczne. Jednak, jak widzisz na załączonym obrazku – wskazała ręką siebie – i tak czasem się uda.

Mnie też czeka taka wegetacja, choć kochamy w dwie strony, Anna zakołysała wózkiem. Matka jakoś przeżyła, to i ja przeżyję. Będę musiała przeżyć.

– Dlaczego o to pytasz? – W głosie Iwony dał się słyszeć niepokój. – U was chyba wszystko się wyprostowało? Wróciłaś do domu.

– Nie wróciłam. – Odpowiedź Anny stłumił wrzask dzieciaków na boisku. Piłka do koszykówki potoczyła jej się pod nogi. Anna kopnęła ją z rozmachem w stronę grających. Choć tak minimalnie wyładowała napięcie. – Jak Patryk przyjedzie, wystąpię o rozwód, ale zachowaj to na razie dla siebie.

– Dziecko, co ty mówisz??? – Iwona aż się zatrzymała, ale po minie córki widziała, że żadnych zwierzeń nie będzie. Od tamtej Wigilii, gdy wyszła na jaw pilnie strzeżona tajemnica, coś w ich relacjach nieodwracalnie się zmieniło. – Masz jeszcze do mnie żal za tamto, prawda?

– Nie mam. – Anna pokręciła głową. – Przekonałam się, że nie wolno go w sobie pielęgnować, ale nie chcę teraz mówić o moim małżeństwie. To sprawa tylko między mną a Patrykiem. I moim sumieniem – dokończyła ledwo słyszalnie. – Wraca za kilka dni, wtedy się tym zajmę.

– Aniu...

– Czego chciał od ciebie ojciec? – Anna ucięła dalszą rozmowę o Patryku. I tak nie mogła przestać o nim myśleć.

– Nic wielkiego, zwykła kurtuazyjna wizyta – odpowiedziała lekkim tonem Iwona, ale Anna wyczuła coś niepokojącego w tym z pozoru obojętnym stwierdzeniu.

A może mam tak napięte nerwy, że teraz wszystko wyolbrzymiam? Grunt, że ojciec czuje się lepiej. Przynajmniej jedno uda mi się naprawić, pomyślała. Głośno zaś powiedziała:

– Jak wróci Maja, pójdę go odwiedzić. Szkoda, że nie mogę zabrać na oddział Adasia. Tata chciałby go zobaczyć. Wyjdzie ze szpitala przed zawodami Mai. A po zawodach zabiorę gdzieś ich obu i pojedziemy na długi wypoczynek. Tata powinien solidnie się wzmocnić. Mamo, posiedzisz jutro trochę dłużej z Adasiem? Po szpitalu pojedę do Małgosi.

– Oczywiście, że posiedzę, ale potem też będę musiała załatwić parę spraw. A co u niej?

– Niestety, bez zmian.

## ROZDZIAŁ XIX

Helen od godziny nie mogła uspokoić wnuczki. Nie pierwszy raz została z nią sama w domu, ale po raz pierwszy była zupełnie bezradna. Dziewczynka wciąż płakała. Babcia próbowała ją karmić, kołysać, tulić, nucić, ale bez skutku. Helen zbadła brzusek i gardelko małej, jednak nie znalazła nic niepokojącego. Sama nalegała, by Witek nie ciągał dziecka po urzędach, gdy załatwiał potrzebne dokumenty przed wyjazdem do Stanów. Jego nagła decyzja zaskoczyła Helen. Co prawda, kilka lat wcześniej sama namawiała syna na ten krok, ale za każdym razem ją zbywał. A teraz nagle chce wyjechać? Od razu zauważyła, że od powrotu ze spa Witek jest jakiś nieswój. Wypytywała go na różne sposoby, ale nabrał wody w usta. Jednak intuicja podpowiadała Helen, że między nim a Anną musiało coś się wydarzyć. Chyba raczej złego, skoro i ona nie przychodzi, myślała.

Zbliżało się południe, gdy cudem uspiła małeństwo. Osłoniła wózek moskitierą i z książką w rękę usiadła na leżaku. Przeczytała zaledwie kilka kartek, kiedy usłyszała, jak przy ich posesji zatrzymał się jakiś samochód. Wychyliła się z leżaka i przez szparę w żywopłocie zobaczyła znajomą terenową toyotę.

Anna wyłączyła silnik i w samochodzie zapanowała cisza. Nie chciała tu przyjeżdżać. Nie chciała widzieć Witka. Wołała go unikać, przynajmniej na razie. To Małgosia wymogła na niej, aby przyjechały tu razem, ledwo Anna po wizycie u ojca dotarła na Jaroty. Tylko ten jeden, jedyny raz, błagała przyjaciółka. W jej głosie było tyle smutku i bezsilności, że Anna, choć bardzo się wzbraniała, nie potrafiła odmówić.

– Wczoraj też mi nie otworzył – mówiła Małgosia, trzymając się kurczowo fotela. – A widziałam go w ogrodzie. Wołałam, ale nie odpowiedział. Czy myślisz, że kiedyś mi się uda? Zobaczą ją wreszcie?

– Mam ci powiedzieć, że tak? Że dziś ją zobaczysz? – odparła zirytowana Anna. – Chodźmy już wreszcie. – Wyszarpnęła kluczyk ze stacyjki.

Ze złością trzasnęła drzwiami auta. Wszystko ją drażniło. Dolatujący z osiedla domków smród spalenizny, roje meszek przed nosem, posępna twarz Małgośki, jej czarna sukienka i mina pokutnicy. A najbardziej to, że ona sama zaraz będzie musiała stanąć oko w oko z Witkiem. Tymczasem zamiast Witka szła ku nim spieszenie przez ogród Helen, machając z daleka ręką.

– Dawno cię u nas nie było. – Matka Witka uścisnęła Annę, a potem przez chwilę przyglądała się Małgosi. – Ty jesteś mamą Amelki, prawda?

Gośka w milczeniu kiwnęła głową. Poruszyła bezgłośnie wargami, ale żadne słowo nie wyszło z jej ust. Jak zakłętą patrzyła w stronę tarasu, tam, gdzie stał dziecięcy wózek.

– Jest może Witek? – Anna chrząknęła.

– Nie ma, ale za godzinę, dwie powinien wrócić. Pojechał do miasta – wyjaśniła jego matka. Z tarasu doleciał płacz Amelki.

– Czy mogłabym... mogłabym... pójść – zaczęła nieskładnie Gośka, wyciągając rękę w stronę wózka. Głos jej się łamał, oczy zaszkliły.

– Nie powinnam być niełojalna wobec mojego syna. – Helen położyła rękę na plecach Małgosi. – Jednak nie mogę postąpić inaczej. Amelka jest dziś wyjątkowo rozdrażniona. Kto wie, może wyczuła ciebie? Idź do niej, dziecko.

Małgosia nie poszła, ale pomknęła. Jej stopy ledwie dotykały ziemi, gdy sunęła przez trawę, zaczepiając długą sukienką o kolorowe astry. Wydawało się, że wstąpiło w nią nowe



życie, gdy po raz pierwszy wzięła córeczkę na ręce. Zupełnie jakby ktoś dotknął jej czarodziejską różdżką. Wręcz jaśniała, tuląc do siebie maleństwo owinięte w różowy kocyk. Nie odrywała ust od czółka dziewczynki. I, o dziwo, Amelka zaczęła się uspokajać. Głośny przed kilkoma sekundami płacz przeszedł w cichutkie pochlipywanie, a po chwili ustał zupełnie. Niebieskie oczka małej wpatrywały się w piwne oczy Małgosi. Te, dotąd puste i martwe, teraz przepelniało szczęście.

– Naprawdę wyczuła matkę – odezwała się cicho Helen. – To aż nieprawdopodobne.

– Ale tak jest – potwierdziła Anna.

Sama była poruszona tym widokiem. Każdy gest Małgosi, każdy dotyk małych paluszków, stópek, każdy pocałunek, których nie szczędziła córeczce, był pełen miłości i tęsknoty. I ty mówiłaś, że jej nie pokochasz, Anna wspomniała dramatyczne słowa przyjaciółki wypowiedziane w szpitalu. Miała być twoim wyrzutem sumienia i co? Teraz nie możesz się od niej oderwać, tak jak wcześniej nie mogłaś się oderwać od Adasia. Anna posłała Małgosi ciepły uśmiech. Z ruchu warg przyjaciółki odczytała jedno słowo: „Dziękuję”.

– Zostawmy je same, przygotujemy coś do picia. Mam też świeże ciasto. – Helen wzięła Annę pod ramię i z tarasu poprowadziła do kuchni.

Postawiła wodę na gazie, wyjęła ciasto z szafki i wtedy jak gdyby podjęła decyzję. Odsunęła talerzyki i usiadła przy stole naprzeciwko Anny.

– Wybacz, że zapytam o to wprost, ale jak wiesz, jestem bezpośrednia. Może czasem aż nazbyt, jednak ta sprawa nie daje mi spokoju. Aniu, czy między tobą a Witkiem coś się... wydarzyło?

– Nie, skąd ten pomysł? – Anna zamachała ręką.

I ten gest, i odpowiedź były zbyt gwałtowne, aby Helen mogła w nie uwierzyć.

– Nie traktuj tego jako wścibstwa. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Po prostu zauważyłam, że Witek jest jakiś zmieniony, a i ty do nas nie przychodzisz.

– Mój ojciec miał zawał – zaczęła wyjaśniać, jakby to wszystko tłumaczyło. – Już jest lepiej, ale prawie całe dni spędzam w szpitalu. A jeśli chodzi o Witka, to chyba przeżywa, że Małgosia pojawiła się tu tak nagle. Wciąż jest na nią zły.

– Skoro tak uważasz. – Matka Witka dała za wygraną. – Niemniej jeśli wychyliłam się z czymś, co opacznie pojęłam, to nie miej mi tego za złe.

– Nie wiem, co masz na myśli, Helen, i niczego nie mam ci za złe. Mogę ci tylko podziękować w imieniu Gośki, że pozwoliłaś jej zobaczyć Amelkę.

– Przecież to jej matka. Jak mogłabym nie pozwolić? – Helen wstała od stołu. Zalała wrzątkiem kawę i zaczęła szykować mleko dla wnuczki. – Amelka pewnie zaraz będzie chciała obiadek, a potrafi wyjątkowo głośno się upominać – zażartowała.

Jakby na potwierdzenie tych słów do kuchni weszła Małgosia z córeczką w ramionach. Amelka ssała piąstkę, ale nie płakała. Przeciwnie, buzia dziewczynki, choć osłonięta rączką, była pogodna, tak samo jak twarz przyjaciółki.

– Chyba jest głodna – powiedziała miękko Małgosia. – Czy pozwoli mi pani ją nakarmić?

– Nie mów do mnie „pani”, jestem Helen. Oczywiście, że możesz ją nakarmić, Małgosiu, właśnie przygotowałam mleko.

– Może najpierw mnie o to zapytasz? – Za plecami Małgosi jak duch pojawił się Witek. Odrzucił plecak w kąt, zabrał córeczkę od Małgosi i oddał matce.

– Zabierz małą na górę. Tam ją nakarm.

Helen chciała zaprotestować, ale widząc minę syna, wzięła wnuczkę, butelkę i wyszła z kuchni. Zostali we trójkę. Witek stał oparty o szafki, ręce miał skrzyżowane na piersiach, chmurny jak burza gradowa. Zmrużył oczy i patrzył to na jedną, to na drugą. Nawet nie musiał

nic mówić. Jego spojrzenie wyrażało więcej niż słowa. Anna poczuła palący wstyd, tak samo jak wtedy, gdy spotkali się przed domem matki. Małgosia odezwała się pierwsza. Znow mówiła tym cierpiennym tonem, który tak drażnił Annę.

– Witek, przepraszam, że cię nachodzę, ale chciałam tylko ją zobaczyć i wszystko ci wyjaśnić. Proszę, porozmawiajmy spokojnie. Tak bardzo żałuję tego, co zrobiłam.

– Nie wiem, czemu ma służyć ta wizyta, ale nie mamy sobie nic do wyjaśnienia i trochę za późno na jakieś chciejstwo czy też skruchę – oświadczył twardo. – Na mnie to już nie działa. I nie dam sobie wmówić, że jestem bezwzględny albo nieczuły. Wystarczająco długo dałem sobą pogrywać. Nie pamiętam, czy ktokolwiek kiedyś tak wykorzystał moje dobre intencje oraz mnie. Nie jestem główniarzem, aby pozwolić tak bezkarnie szastać moimi uczuciami, bo też je mam.

Mówił niby do Gośki, ale Anna wiedziała, że chodzi o nią. Każde jego słowo było jak bat przecinający ze świstem powietrze. Nie dała rady znieść prawdy, która padła z ust Witka. Tym bardziej dotkliwej, że wypowiedzianej bez emocji, na zimno, z ironicznym grymasem, prosto w twarz. Bolało, bolało tak bardzo, że zerwała się z miejsca, bąknęła niewyraźne „przepraszam”, zostawiła Gośkę i czym prędzej uciekła do samochodu.

To ja jestem bezwzględna, tak samo jak ona. A teraz obie będziemy pokutować, zaśmiała się gorzko, jadąc ulicami szybciej niż zwykle. Na co my, idiotki, liczyłyśmy? Że przyjmie nas z otwartymi ramionami i powie, że nic się nie stało? A Patryk? Co powie Patryk, gdy dowie się prawdy? Otworzy ramiona czy rzuci we mnie kamieniem; struchlała na tę myśl. Nie on, to ona rzuci w niego prawdą jak kamieniem.

Potrzebowała choć namiastki rozgrzeszenia bez wyznawania winy. Słów wsparcia, czegokolwiek, co mogłoby odrobinę uśmierzyć ból serca. Dlatego drugi raz tego dnia pojechała do ojca.

– Dziecko. – Spojrzał na nią zaskoczony, gdy weszła. – Czy ty nie masz innych zajęć, tylko odwiedzać mnie dwa razy dziennie?

– Chciałam trochę przy tobie posiedzieć, tato. – Anna przycupnęła na brzegu łóżka.

Ojciec tulił ją do siebie, gładził po włosach. Nic nie mówił, tylko ją obejmował. I było jej z nim dobrze. Tak dobrze, że prawie błogo. Słyszała, jak bije mu serce. Spokojnie i równo. Tylko dla niej, tak jak o tym marzyła dawno, bardzo dawno temu. Poczuli się jak mała dziewczynka, bez trosk i zmartwień, bezpieczna w silnych ramionach ojca. Po raz pierwszy Anna miała wrażenie, że na tę jedną chwilę czas stanął w miejscu.

A potem przyspieszy jak torpeda i zmiecie wszystko za sobą, gdy wyjawię prawdę, myślała w drodze do domu. Chciałam dać czas miłości, a zamiast tego już niedługo zyskam samotność. Prawda was wyzwoli, Anna przypomniała sobie gdzieś zasłyszane słowa. Akurat, prychnęła ironicznie, ona nas pogrąży i nikomu nie przyniesie to ulgi. Ale jeszcze nie teraz, potem, niech choć przez chwilę wydaje mi się, że znow mam dom. To złudzenie musi mi wystarczyć na bardzo długo, myślała. Podjechała pod kamienicę przy Warmińskiej, gdy przyszła wiadomość od Małgosi.

„Nie udało się. Witek nie chce mnie znać. Tylko w Helen moja nadzieja. Powiedziała, że spróbuje mi pomóc. Dziękuję, że ze mną poszłaś. Wiem, że dla Ciebie też nie było to łatwe”.

– Ano nie było – mruknęła pod nosem, idąc po schodach do domu.

Spod drzwi mieszkania dolatywały radosne okrzyki, znajome głosy. Weszła cicho do środka i przez chwilę, niezauważona przez nikogo, przypatrywała się zabawie w salonie. Patryk, w szarej koszulce oraz szarych spodniach od dresów w odcieniu prawie maści Jenny, chodził na czworakach po podłodze, a na nim siedział zadowolony Adaś w kasku jeździeckim Mai, wczepiony rączkami w koszulkę ojca.

– Adaś, musisz szturchnąć Jenny nóżkami, to pogalopuje szybciej – podpuszczała malca

roześmiana Maja. – Jak chcesz, to mogę ci pokazać.

– Mała, tylko bez takich – zaprotestował Patryk. – Konik przygalopował tu do was ciągiem z Katowic i ma już trochę zmęczone kopyta. Dwójki nie udźwignie, ale jak chcesz, to włącz – stęknął.

– Dzieci, dajcie już tatusiowi odpocząć. – Mira chciała zdjąć chłopczyka, ale ten tylko podskoczył na plecach Patryka.

– Neeeeee – zapiszczał. – Dada pać! Iha, iha! – prychnął jak konik.

– Patrzę, Adasiu, patrzę i nawet zdjęcie dziadek wam zrobi. – Profesor przykucnął z aparatem fotograficznym w rękę.

Ta prosta zabawa ścisnęła Annie serce z żalu. Szczęście takich rodzinnych chwil dla niej było już tak odległe, że prawie nieosiągalne. Zniszczone jej ponurą tajemnicą. Patryk, wciąż na czworakach, odwrócił się w stronę wejścia. Dopiero teraz dostrzegł Annę.

– Ooo, cześć, kotku, nie słyszałem, kiedy weszłaś. – Zdjął z siebie synka i podskoczył do niej. Tak ją podniósł w uścisku, że stopy zawisły jej nad podłogą. Nastąpiła fala powitań i jeszcze większy rejwach.

Mira też była dla niej jakaś ludzka. Bez tej chłodnej wyniosłości, której Annie ostatnio nie oszczędzała. I złośliwości starała się powściągnąć, co też nie umknęło Annie. Przy kolacji wypytywała o ojca, Iwonę, która nagle musiała gdzieś wyjść, dlatego zadzwoniła po nich, nawet o pracę, czy już jakiejś szuka, ale na Annie nie robiło to większego wrażenia, choć ta nagła zmiana zachowania teściowej była zastanawiająca.

– Bo moja żona jest jak przyływy i odpływy oceanu. – Profesor przed wyjściem dyskretnie odciągnął Annę na stronę. – Przyciąga ją wszystko, co jest związane ze szczęściem Patryka. Inaczej... odpływa. Ale wiesz – profesor zniżył głos – oboje się pomyliliśmy co do niego. Posądzaaliśmy go o romans, a on rozpoczął terapię. Dziś się dowiedziałem. Popatrz, córuchna, jestem taki stary, a jednak i mnie można jeszcze czymś zaskoczyć.

Nie tylko tym będziesz niedługo zaskoczony, pomyślała, zamykając drzwi za teściem. Jak mogła, tak przeciągała ten wieczór we czwórkę, aby odwlec moment, kiedy zostaną tylko we dwoje. Ona w sypialni, a Patryk na sofie w salonie. I choć całe jej stęsknione ciało niczego tak nie pragnęło jak miłości z nim, po tylu miesiącach przerwy, to nie mogła, po prostu nie mogła aż tak go zranić. Dać złudzenie szczęścia, aby potem powiedzieć, że odchodzi. O Jezu, co ja zrobiłam, co ja najlepszego zrobiłam... Tak trzęsły jej się ręce, że stłukła szklankę.

– To na szczęście, kotku. – Z łazienki wyszedł Patryk z wykąpanym Adasiem, owiniętym w gruby ręcznik.

– Daj, mamó, ja posprzątam. – Maja zaczęła wybierać odłamki szkła ze zlewu. – Pewnie miałaś ciężki dzień, a ja w niczym ci nie pomagam, ale obiecuję, że wszystko się zmieni po zawodach. Bardzo chciałabym wygrać. Teraz, jak dziadek kupił mi Jenny, to nie mogę go zawieść.

– Nie zawiedziesz, Maju. – Anna drżącą ręką pogładziła córkę po plecach. „Po zawodach” – nagle ją olśniło. Odłoży wszystko na „po zawodach”, niech to dziecko ma teraz spokój, bo i ją potem zrani. Potwornie zrani. Anna, odwrócona plecami do Patryka, mocno zacisnęła oczy. Patryk usiadł przy stole z Adasiem na kolanach.

– Jeszcze nie mogę uwierzyć, że Andrzej kupił ci konia. Ciekawe tylko, kto będzie na tego konika zarabiał? – zapytał w żartach.

– Kochany tatuś. – Maja zatrzepotała rękami, robiąc przymilną minkę.

– Tak myślałem. – Westchnął ciężko. – Ale wobec tego piszę się na pierwszą lekcję jazdy. A potem będziemy uczyć Adasia, jak trochę podrośnie. A może i nasza mamusia będzie chciała spróbować. Kotku, co ty na to?

– Tak, raczej tak. – Anna próbowała zapanować nad drżeniem głosu. – A za Jenny będzie płacił mój ojciec, tak zdecydował. Położę spać Adasia. Chodź, syneczku. – Wzięła ziewającego malucha na rękę.

– Nie, to zły pomysł, żeby Andrzej płacił. – Patryk pokręcił głową. – Teraz będzie potrzebował kasy, bo po takim zawale długo nie powinien pracować. Weźmiemy to na siebie. Rozmawiałem dziś z kardiologiem, w tym tygodniu chcę go już wypisać. Słuchajcie, mam pewien pomysł. Jutro ostatni dzień wakacji. Może pożegnamy je wszyscy u Witka?

– Nie! – prawie krzyknęła Anna, ale nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy, nim ochłonęła i dokończyła w miarę spokojnie: – Byłam dziś u niego z Goską, iiii... nie była to miła wizyta. Wolę poczekać do następnej, aż sprawy jakoś się poukładają.

– Ja też nie mogę, choć chciałabym zobaczyć Amelkę – włączyła się Maja. – O szóstej rano zaczynam trening, później jadę do dziadka do szpitala, a potem idziemy żegnać wakacje z dziewczynami gdzieś w mieście. – Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Trudno. – Patryk zrobił zawieszoną minę. – Sam go odwiedzę. Trzeba wspierać przyjaciela.

Taaak, już ja zadbałam, żebyś miał przyjaciela, Annę znów ogarnęła wściekłość na samą siebie. Długo opowiadała Adasiowi bajkę przed snem. Synek już spał, a ona wciąż opowiadała. Potem zmieniła pościel w łóżku, choć tamta nie miała jeszcze tygodnia. Poskładała ciuchy w garderobie, schowała ubranka Adasia, wyrównała na półce jego zabawki, kilka czynności niepotrzebnych w tym momencie, byle tylko odwlec wieczór „we dwoje”.

Przez zamknięte drzwi sypialni słyszała, jak Patryk rozmawia z Mają, a potem z kimś przez telefon, chyba właśnie z Witkiem. W końcu Maja poszła spać, a Patryk zaczął rozkładać dla siebie kanapę w salonie. Najchętniej nie wychodziłaby wcale z sypialni, bo bała się, że nie wytrzyma jego spojrzeń, głosu, widoku, zapachu i albo rzuci się na niego, albo wyrzuci z siebie wszystko od razu.

Nie! Dostyc! Trzeba raz na zawsze przerwać tę mistyfikację! Dłużej nie da rady! Trudno, co ma być, to będzie! Powie mu teraz! Nie po zawodach, tylko teraz, bo zwariuje! Zaraz! Już! Wyszła z sypialni. Patryk oglądał telewizję. Zamknęła drzwi od salonu, zebrała w sobie całą odwagę, nabrała powietrza aż do bólu w płucach i usiadła na brzegu kanapy.

– Patryk, muszę ci o czymś powiedzieć...

– Co, kotku ? – zapytał czule z tym nieszczęsnym „kotkiem” na dodatek i tym spojrzeniem pełnym miłości, że wraz z wypuszczanym powietrzem uchodziła z niej odwaga.

– Chodzi o to, że ja... ja... – Brakowało jej powietrza, jeszcze chwila, a zacznie się dusić.

– Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć. – Wsunął rękę w jej włosy. Miliony mrówek rozbiegły się po jej ciele pod wpływem tego dotyku. – Zauważyłem od razu, że nie jesteś jeszcze gotowa przyjąć mnie na dobre. Zaczekam, nigdzie mi się nie spieszy. Tak jak ci zresztą obiecałem. Dla mnie najważniejsze, że jesteś tu blisko, za ścianą, że mogę na ciebie patrzeć, być przy tobie, rozmawiać. Miłość to przecież coś znacznie więcej niż seks, choć nie ukrywam – chrząknął – że bardzo mi tego brakuje, ale jakoś sobie radzę. – Rzucił jej lekki uśmiešek. – I choćbym miał czekać jeszcze długo, to na ciebie warto. Tym większa będzie później nagroda, bo liczę, że kiedyś będzie...

Z resztek odwagi, którą w sobie zbierała, teraz pozostał tylko pył. Czują na policzku ciepły dotyk jego dłoni, a w środku cała płonęła.

– Wróciłem wcześniej – mówił dalej Patryk – bo nie mogłem wytrzymać ani dnia dłużej bez ciebie. Załatwiłem wszystko z profesorem Baranem i od września wracam do swojej pracy. Spróbuję jutro wycisnąć ze starego urlop, w końcu obiecał mi na wrzesień. I Joanna ma mi poszukać jakiejś dobrej terapeutki, gdzieś bliżej, żeby nie musiał co tydzień jeździć

do Katowic.

– A twój doktorat? – zapytała nie do końca swoim głosem.

– Na razie zawiesiłem. Nie ucieknie. – Machnął lekceważąco ręką. – Czy zrobię go teraz, czy potem, to nie ma znaczenia. Liczy się coś zupełnie innego. Wiesz, ojciec powiedział mi rok temu, że mogę zdobyć wszystkie możliwe tytuły naukowe, ale nic mi to nie da, dopóki nie zmienię siebie. I miał rację, cholernie miał rację. Aniu, mogę cię o coś poprosić?

Kiwnęła głową.

– Jeśli nie jesteś zmęczona, to czy obejrzysz ze mną film? Żeby tak choć posiedzieć razem.

Znów kiwnęła głową.

## ROZDZIAŁ XX

Zaczął się wrzesień. Patryk dostał urlop prawie do końca miesiąca. Jak nigdy przedtem, teraz rwał się do obowiązków domowych. Robił zakupy, sprzątał, organizował czas synkowi. Najczęściej jeździł z malcem do stadniny, gdzie Maja spędzała każdą wolną chwilę po szkole. Po jednym z takich treningów odwiedzili Witka. „Rzeczywiście Brzezińskiego siekła ta sprawa z Goską. To nie ten sam facet. I jeszcze wymyślił, że do Stanów jedzie. Muszę go od tego odwieść, bo gdzie znajdę lepszego kumpla”, opowiadał Patryk Annie wyraźnie zmartwiony. Odwróciła głowę, aby niczym się nie zdradzić, i choć złorzeczyła sobie w myślach, to nie potrafiła jeszcze przyznać się do zdrady. Spychała prawdę na „po zawodach”.

Zaplanowano je na pierwszą sobotę września. Dwa dni wcześniej odebrali ojca ze szpitala.

– Tato, a może jednak z tobą zostanę? – nalegała Anna, gdy Andrzej uparcie odprawiał ją do domu. Nie chciał jechać na Warmińską, dokąd od razu zamierzali go zabrać na powitalny obiad. Kazał się odwieźć na Jaroty. Małgosi nie było. Anna wiedziała, że przyjaciółka umówiła się z Helen w mieście. Zastali za to wysprzątane idealnie mieszkanie, wymyte okna, zrobione zakupy, ugotowany obiad i chyba nawet wykapanego Bandytę.

– Nie. – Ojciec podrzucał na kolanach Adasia. – Dziadek za tobą bardzo, bardzo tęsknił. Jak twój tatuś wróci z apteki, to zabierzesz mamusię do domku, zgoda?

– Ta. – Malec kiwnął główką. Zsunął się z kolan dziadka i pobiegł do psa. Bandyta leżał na grzbiecie z łapami uniesionymi w górę. Adaś klepał go po brzuchu i coś tam powiedział mu po swojemu.

– Tato, ale dlaczego nie chcesz, żebyśmy zostali, dopóki nie wróci Małgosia? Albo naprawdę przyjeżdż do nas. – Anna kucnęła przy nim. – Myślałam, że ten dzień spędzimy razem.

– Chociaż raz w życiu posłuchaj ojca. – Pociągnął ją pieszczotliwie za włosy. – Spotkamy się pojutrze, bo jutrzejszy dzień spędzam z Iwoną. Dziś też mnie odwiedzi i pewnie zaraz tu będzie. A poza tym i z Małgosią chcę porozmawiać sam na sam. Zamierzam coś jej zaproponować.

– I ja będę w tym przeszkadzała, tak?

– Troszeczkę – zaśmiał się. – Nie nalegaj dłużej, córeczko, bo nie ustąpię.

– Ależ ty jesteś uparty.

– Tak samo jak ty. Po kimś w końcu masz tę cechę.

Przekomarzali się chwilę, aż z apteki wrócił Patryk z siateczką pełną leków. Zsunął z ramion skórzaną kurtkę i wykladał opakowania na stół. Było tego tak dużo, że Anna tylko jęknęła.

– Zaraz ci wyjaśnię, co kiedy masz brać – mówił tymczasem Patryk, segregując pudełka.

– Aniu, możesz przynieść wody, bo niektóre leki trzeba zażywać teraz.

– Dajcie spokój. – Bendorf przewrócił oczami. – Nie jestem inwalidą. Sam potrafię wziąć wodę i tabletki.

– Wiem, ale tym razem cię przypilnuję, teściu – zażartował Patryk. – Już wcześniej powinienem to zrobić, bo z tobą gorzej jak z dzieckiem. Potem wszystko ci dokładnie opiszę, ale teraz uważaj. Te będziesz brał rano na czczo...

Bendorf wysłuchał cierpliwie instrukcji, choć nie były mu potrzebne. Wiedział, czuł, że już nic mu niepotrzebne, bo osiągnął cel. Miał ją. Swoją Muszelkę, która teraz patrzyła na niego

oczami jego Anuli. Były tak samo błękitne i tak samo czułe. I dłonie miała jak tamta, delikatne smukłe place, które zaciskała teraz na jego ręce, siedząc na oparciu fotela. Nie mógł się powstrzymać, aby nie zrobić jeszcze czegoś, o czym marzył dawno temu. Przyciągnął córkę do siebie i jak małą dziewczynkę posadził sobie na kolanach. Jenny też tak lubił trzymać. A teraz wreszcie mógł wziąć na kolana drugą córkę. Choć przez chwilę, zanim Anna zerwała się przestraszona.

– Tato, nie wolno ci się przedzwigać, jeszcze sobie zaszkodzisz. – W jej głosie wyczuł wyrzut.

Coś zakłuło go w sercu. Już nie mógł sobie pozwolić na więcej słabości. Nie miał czasu. Musiał zmyć z siebie szpital, ogolić się i przebrać w garnitur, nim przyjdzie Iwona. Dlatego zaczął zerkać na zegarek i mimo zdecydowanych protestów odprawił wszystkich do domu. Zobaczą się w sobotę na zawodach. Do soboty została cała wieczność i potem też nastąpi wieczność. Zanim poszedł pod prysznic, wyjął kartkę i zaczął pisać. Ledwo ukończył pierwsze zdanie, wyrwane z głębi serca, miał wrażenie, że czuje... zapach kwiatów.

Rozejrzał się po pokoju. Na stole stały w wazonie róże, które córka przyniosła dziś do szpitala, ale to nie one tak pachniały. Pociągnął mocniej nosem. Tak, to był ten zapach. Z niczym nie mógł go pomylić. Zapamięta go do śmierci. Słodka, upajająca i ciężka od wspomnień woń bzów. Takich o gęstych, liliowych kiściach, które Anula trzymała przed sobą, gdy ujrzał ją pierwszy raz.

Nagle znów ogarnęło go wręcz mistyczne wrażenie. Rozległy się dźwięki muzyki. W domu nic nie było włączone, a on słyszał Mozarta. Dwudziestą piątą symfonię, ulubioną Anuli. A potem na ułamek sekundy dziwny chłód musnął jego usta, jak pocałunek. Przyłożył palce do swoich warg, aby zatrzymać tę iluzję, której właśnie ulegał.

Odłożył długopis, zamknął oczy i znowu ją zobaczył, jak tańczyła w białej sukience na połoninach. Promienna, jaśniejsza niż słońce i delikatna jak mgła. Wiatr podrywał jej długie włosy i niósł słowa, których mu nie szczędziła: „kocham cię”. Słyszał je tak wyraźnie, jakby była tuż-tuż obok niego. W tym pokoju, gdzie wciąż pachniały bzy i rozbrzmiewała muzyka.

– Kocham cię – odpowiedział swemu złudzeniu. Nie mógł określić, jak długo trwał ten jego metafizyczny stan. Godzinę, dwie czy może tylko minutę. Drgnął na dźwięk dzwonka do drzwi. Przyszła Iwona. Skończy pisać jutro.

\*

Są takie dni, które chce się pamiętać przez całe życie, i takie, które nie pozwolą o sobie zapomnieć. Dla Anny dzień zawodów był właśnie takim granicznym. Przedzielił jej życie na wcześniej i potem. W to sobotnie przedpołudnie trwało jeszcze „teraz”. Majka od rana była kłębkim nerwów. Nieprzerwanie wisiała na telefonie, konwersując z Andrzejem o jakichś kątach najazdu na przeszkody, co Anna wyławiała jednym uchem. Potem ledwo wcisnęła w siebie śniadanie między ubieraniem się a kolejnym telefonem do dziadka, bo znów miała jakieś istotne pytanie. Nawet Marcinowi nie poświęciła za wiele uwagi, gdy zjawił się na Warmińskiej, tuż przed jej wyjściem, prosto z podróży, opalony na brąz, z gitarą i ciężkim plecakiem przerzuconym przez ramię. W wytartych dżinsach i wojskowej kurtce pełnej naszywek bardziej przypominał Annie obieżyświata, a nie prawie lekarza weterynarii.

– Dzień dobry – przywitał się najpierw oficjalnie ze wszystkimi i mniej oficjalnie ze swoją dziewczyną. – Hej, moja ty śliczna. – Wyraźnie stęskniony przyciągnął Majkę do siebie i pocałował, a ona rozjaśniła się na ułamek sekundy, witając go.

– Hmm, hmm. – Patryk chrząknął w przedpokoju, patrząc na objętą parkę. – Cześć, Marcin, już myślałem, że nie przyjedziesz, bo miałeś być wczoraj.

– Nie było takiej opcji, żebym nie przyjechał, panie doktorze – odparł ze śmiechem. – Tylko samolot miał potworne opóźnienie, a potem zwiął mi autobus do Olsztyna i jechałem stopem, żeby zdążyć na ważny dzień mojej księżniczki.

– Nie stójmy w korytarzu, chodź, Marcin, zrobię ci śniadanie, bo pewnie jesteś głodny po podróży i, jak widzę, zmęczony. Może chcesz się odświeżyć albo przespać? – zaproponowała Anna, ale Majka odmówiła.

– Mamuś, nie ma czasu, naprawdę muszę już lecieć, żeby rozgrzać Jenny. Dziadek też będzie wcześniej – wyjaśniała, sznurując pospiesznie buty. – Marcin, ale jak jesteś głodny, to możesz zostać. Zjesz, odpoczniesz i przyjedziesz z rodzicami.

– W życiu, jadę z tobą. Mam jakieś kanapki. Pięknie wyglądasz. – Odsunął Maję na długość ramion i patrzył na nią w zachwycie. – Nie spinaj się aż tak, ślicznotko. Zobaczysz, że dasz sobie radę, bo jesteś najlepsza – zapewnił i jeszcze raz pocałował zestresowaną dziewczynę.

Zdażył jeszcze przykucnąć przy Adasiu, nim Maja, złapawszy przygotowany oficjalny strój do jazdy, czarny fraczek i białe bryczesy, wypchnęła biedaka przed sobą. Anna cofnęła się do kuchni. Chciała przygotować uroczysty obiad, na którym wszyscy mieli się spotkać po zawodach. Patryk krzątał się obok niej, szykując kawę.

– Wiesz, całkiem fajny ten jej Marcin – stwierdził bez cienia niechęci, z jaką wcześniej traktował chłopaka córki. – Widać, że naprawdę ją kocha.

– Tak, masz rację.

– Jednak nie bardziej niż ja kocham ciebie. Mógłbym tu stać cały dzień i opowiadać, kim dla mnie jesteś i ile znaczysz. – Odstawił filiżanki i odwrócił Annę do siebie.

– Patryk... – Nie chciała, nie mogła tego słuchać. Nie dziś, nie teraz, póki jeszcze jako tako się trzyma.

– Zaczekaj. – Zauważył jej obronną reakcję. – Ale jest jeszcze ktoś, kto kocha cię równie mocno jak ja. I chciałbym, abyś ten dzień, a właściwie popołudnie i wieczór, spędziła tylko z nim.

– Z kim?

– Ze swoim ojcem. Zamówiłem wam stół w restauracji. Może potem wybieriecie się do kina albo na spacer? Widziałem, jaka byłaś niepocieszona, że Andrzej nas odprawił, i wpadłem na ten pomysł. Dlatego zostaw to gotowanie i idź zrobić się na bóstwo, choć dla mnie nawet w tych dresach i tak jesteś bóstwem.

Zatkało ją. Dosłownie nie mogła wydobyć z siebie głosu, słysząc tę jego nieoczekiwaną propozycję. Kolejny raz zaskakiwał ją i fascynował zarazem tą swoją wrażliwością i empatią.

– Nie wiem, co powiedzieć – wydusiła.

– Nic. Zupełnie nic. – Wsunął rękę w jej włosy.

Znów poczuła się, jakby oblaży ją mrówki albo poraził prąd. Nie mogła się powstrzymać, aby nie przytulić policzka do jego dłoni, choć tysiąc razy obiecywała sobie, że nie da mu najmniejszego cienia złudnych nadziei.

– Zajmij się teraz sobą, a ja jakoś ogarnę ten obiad i Adasia. Za dwie godziny musimy być w stadninie.



## ROZDZIAŁ XXI

Niewielkie trybuny kortowskiej stadniny pękały w szwach. Ciasno było też przy barierkach wokół rozległego parkuru. Kto mógł, rozkładał się na trawie. Samochody i końskie przyczepy parkowały, gdzie się dało. Zawodniczki rozgrzewały konie przed startem. Był słoneczny, prawie bezwietrzny dzień i spod końskich kopyt unosiły się tumany kurzu. Grała głośna muzyka, głos z megafonu podawał kolejność startów i sposób liczenia punktów. Kilkanaście zawodniczek w różnym wieku ustawiło się po numery startowe. Maja była gdzieś w środku kolejki. Marcin jeszcze poprawiał coś przy siodle Jenny. Patryk drgnął, gdy podjechała karetka, którą sprowadzono na wszelki wypadek. Wszyscy siedzieli w najwyższym rzędzie – rodzice Patryka, Iwona, Patryk z Anną i Bendorf z wnukiem na kolanach obok córki, przyklejonej do jego ramienia.

– Andrzej, jesteś pewien, że Maja sobie poradzi? – dopytywał się niespokojnie Patryk.

– Poradzi – odrzekł zdecydowanie ojciec Anny. – Tylko nie biegnij od razu na plac, jeśli zsunie się z konia, bo to może się zdarzyć. Nauczyłem ją spadać.

– O Jezus Maria, co też pan mówi?! – Przestraszona Mira zamaszystym ruchem przytknęła rękę do piersi. – Przecież ona może się zabić!

– Mamo! – zachnął się Patryk.

– Mira, czyś ty rozum postradała? – Profesor Terliński też popatrzył karcącym wzrokiem na żonę. – Cóż ty za brednie opowiadasz? Jakie zabić? Doprawdy zdumiewasz mnie tym czarnowidztwem.

– Bo jestem cała w nerwach i jeszcze ta karetka. – Wskazała na biały ambulans. – Po co tu stoi, skoro to taki bezpieczny sport?

– Mira, mogłabyś już przestać krakać – rzuciła matka Anny, szarpiąc nerwowo paczkę papierosów.

– No chyba nie będziesz przy nas palić? – skrzywiła się profesorowa. – I nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak mnie atakujecie? Chyba mam prawo denerwować się o bezpieczeństwo wnuczki. Przecież te płoty na piachu są takie wysokie!

– To są przeszkody, droga pani – poprawił ją ojciec Anny. – A osoby o słabych nerwach prosimy o niezwłoczne opuszczenie trybun. Nie psujmy dziewczynie tego dnia. Długo na niego czekała. Patrzcie, macha do nas.

Rzeczywiście, Maja pomachała do nich ręką w białej rękawiczce, siedząc na grzbiecie Jenny. Marcin jeszcze raz sprawdził coś przy siodle i strzemionach. W końcu się zaczęło. Anna nie rozumiała wiele z podawanej punktacji i sposobu najazdu na niesymetrycznie ustawione przeszkody, ale ojciec tłumaczył jej pokrótce co i jak. Było to jednak tak emocjonujące widowisko, że niewiele należało rozumieć, wystarczyło patrzeć. A kiedy przyszła kolej na Maję, Anna nie mogła oderwać od niej oczu. Wyglądała przepięknie, doskonale zgrana z koniem. Pochylona nisko nad szyją Jenny, tworzyła z nią jedną linię. A gdy unosiła się nad przeszkodami, Patryk z emocji tak ścisnął rękę Anny, że ta nie czuła dopływu krwi do palców. Obie babcie wydawały jakieś okrzyki, profesor klaskał i śmiesznie podskakiwał na wąskim krzeselku, tylko Andrzej Bendorf zachowywał spokój.

– Dobrze sobie radzi – stwierdził nie bez dumy. – Już mogłaby osiąść mojego Smolucha. Ajjjj! – jęknął przeciągle, gdy Majka straciła poprzeczkę i straciła cenny czas. – Odejma jej za to punkty, ale i tak jest niezła. Pamiętaj, Anulka, jak mówiliśmy, że jedną z trzech

najpiękniejszych rzeczy na świecie jest koń w galopie? Spójrz na swoją córkę.

– Pamiętam i nie mogę się na nią napatrzeć. A jak ty się czujesz? Nie jesteś zmęczony? Może chcesz pić, to ci przyniosę. Mam wodę w samochodzie.

– Niczego mi nie trzeba i nigdy nie czułem się lepiej, moja kochana. – Pocałował ją w głowę.

Zawody trwały jeszcze jakiś czas. Ostatecznie Maja ich nie wygrała, zajęła drugie miejsce. Niby się cieszyła, odbierając na podium puchar po rundzie honorowej wokół parkuru, ale na jej twarzy widać było zawód. Nawet gratulacje i uściski od najbliższych jej nie rozchmurzyły.

– A tak chciałam wygrać – mruknęła smętnie.

– To dobrze, że jesteś ambitna. – Bendorf objął ją ramieniem. – Nieważne, które miejsce zajmiesz, liczy się walka, jaką podejmiesz, by osiągnąć cel. A dziś postarałaś się na sto procent. Zabrakło ci tylko czasu na więcej treningów.

– Święte słowa, Andrzeju, święte słowa – profesor dołączył się do gratulacji. – Byłaś doskonała, Majeczko, i koniecznie musimy uczcić twój sukces.

– Naprawdę myślicie, że nie dałam ciała? – spytała niepewnie.

– Kochanie – Anna pogładziła ją po policzku – wszyscy pękaliśmy z dumy. Nie słyszałaś naszych wrzasków? Niemal zdarłam sobie gardło.

– A ja mało nie połamałem mamie palców z emocji – dodał ze śmiechem Patryk.

– Ja tam swoje poobgryzałem. – Marcin wyciągnął przed siebie dłonie, rzeczywiście z poszarpanymi paznokciami. – Byłaś świetna, ale łydkę musisz jeszcze poprawić. I trochę miałaś za słaby docisk lewym kolanem przy najeździe. Popracujemy nad tym do następnych zawodów.

– Widzę, że mam godnego następcę. – Bendorf uniósł brwi z uznaniem. – Celne uwagi, młody człowieku. Brawo.

– Strasznie to wszystko zagmatwane. – Mira kręciła głową. – Docisk, najazd, łydka. Grunt, że jesteś w jednym kawałku – podsumowała, obejmując wnuczkę.

Tylko Iwona nie włączała się w te komentarze. Pogratulowała Mai sukcesu i stała obok jakaś wycofana. Czasem rzuciła niespokojne spojrzenia na byłego męża. Tak zachłannie paliła papierosa, że Annę to zaniepokoiło. Odeszła od ciasnego wianuszka osób skupionych wokół Mai i zbliżyła się do matki. Iwona miała zaczerwienione oczy, przecierała je chusteczką.

– Mamo, wszystko w porządku?

– Tak, tak – odpowiedziała pospiesznie i przydeptała niedopałek. – Ten pył podrażnił mi spojówki i trochę rozboleła mnie głowa. Powinam pójść do domu.

– Iwona, mniej więcej za kwadrans będziesz miała fachową pomoc nawet dwóch lekarzy przy Warmińskiej sześć. – Patryk też się do nich zbliżył, niosąc Adasia na barana. – Zapraszam cię do nas na obiad. Co prawda moje schabowe chowają się przy twoich, ale mam nadzieję, że da się je zjeść. A ty, kotku, zabieraj tamtego pana – wskazał w kierunku Bendorfa – na umówioną randkę.

– Patryk, a może ojciec powinien jednak odpocząć? – Anna miała wątpliwości. – Wiesz, po takim zawale musi na siebie uważać, a i te zawody jednak trochę go zmęczyły. I w dodatku tak duszno. Sama nie wiem, czy restauracja to dobry pomysł na dzisiaj. Może jedźmy wszyscy do domu, najwyżej jak tata będzie zmęczony, to się u nas położy.

– Patryk ma rację – Iwona poparła zięcia. – Potrzebujecie tego czasu tylko dla siebie. To dla Andrzeja ważne. Dużo ważniejsze niż zmęczenie. I myślę, że dla ciebie też.

\*

To było wyjątkowe, magiczne popołudnie. Siedzieli z ojcem w klimatycznej restauracji na starówce. Ludzi nie było tu dziś za dużo. Stoliki ustawiono niezbyt ciasno wokół pomalowanych na ciepłe kolory ścian. Stare obrazy, miękkie kanapy, meble z duszą, pachnące wiekowym drewnem, tworzyły niepowtarzalny nastrój. Miękkie światło lampki na stole i opowieści, które snuł ojciec, przeniosły Annę w przeszłość. Zapomniała na chwilę o tym, co jest i co wkrótce nastąpi. Poznawała życie ojca i historię rodziny, o której nic nie wiedziała. Poznawała jego. Oczy jej zwilgotniały, gdy ojciec opowiadał o jej biologicznej matce. Z jego każdego słowa biła przeogromna miłość. Anna słuchała o swojej nieznannej siostrze Jenny i ich życiu w Kanadzie. Poznała lata samotności ojca, człowieka tyle samo twardego, co wrażliwego, który w najtrudniejszych czasach na początku emigracji pracował jako drwal, nim dorobił się własnej firmy. Ten człowiek grał na skrzypcach i tak samo lubił czytać Kinga, jak wiersze Jasnorzewskiej, bo uwielbiała je Anula. A on uwielbiał wszystko to, co ona. Razem pokochali Bieszczady i tam byli najszczęśliwsi. Dlatego też wrócił po latach do tamtego miejsca do Niepamięci. Anna słuchała tych opowieści jak odurzona, bo dzięki nim poznawała także siebie.

Siedzieli nad dawno wystygłym jedzeniem od dobrych kilku godzin, a oboje mieli wrażenie, że minęła tylko chwila.

– Tato, a nasze nazwisko? – zadała nie wiadomo które pytanie. – „Bendorf” brzmi tak z niemiecka.

– Bo jest niemieckie. – Ojciec upił łyk wody. – Mój dziadek, a twój pradziadek, bogacz i wielki pan, Wilhelm von Bendorf, miał rozległy majątek ziemski pod Ostródą, trzydziestkę koni, kuźnię, własny młyn. Ale mój ojciec, a twój dziadek był już tylko zwykłym Ernestem Bendorfem.

– Dlaczego?

– Bo zakochał się w Polce, Krystynie Szarek, mojej mamie. Prostej, ubogiej dziewczynie, córce kowala. Zakochał się bardzo szczęśliwie, ale dla niemieckiego arystokraty taki związek był przecież mezaliansem. Nie dość, że służąca, bo mama sprzątała we dworze Wilhelma von Bendorfa, to jeszcze Polka. To było niemożliwe, ba – ojciec uniósł brwi – nawet nie do pomyślenia. Więc najpierw pradziadek usiłował przekonać syna ręcznie, aby zaniechał związku hańbiącego stary niemiecki ród.

– Ręcznie?

– Dał mu takie baty, że mój biedny ojciec przez tydzień tylko na brzuchu mógł spać. – Andrzej się zaśmiał. – Nie poskutkowało. Zakochani uciekli. Pan hrabia wyklął i wydziedziczył jedynego syna, ale... – wznosił wskazujący palec – nie zadenuncjował. Widocznie nie pozwalała mu na to duma albo strach. Jednak sam hrabia von Bendorf i tak marnie skończył.

– Czyli?

– Podobno najpierw ze zgrzyoty przehulał majątek, ale, jak słyszałem, zakopał resztki kosztowności przed Sowietami. W styczniu czterdziestego piątego roku, kiedy Niemcy wydali rozkaz ewakuacji, hrabia nie posłuchał. Pilnował dobytku, bo przecież ojcowizny nie zostawi. Zmienił zdanie, jak Sowieci weszli do Prus, bo łupili i grabili wszystko, co wpadło im w ręce. Gwałcili kobiety. Stare, młode, wszystkie. Bez litości, bo przecież nie mogło być litości dla Niemców. Wtedy dopiero mój dziadek się wystraszył. Załadował żonę i dwie córki na wóz i uciekał razem z innymi. W lesie spotkali pijanych Rosjan. A ci kazali ludziom zejść z wozów i puścili serię z automatów.

– Rozstrzelali ich???

– Takie były czasy. – Bendorf westchnął. – Niemiec, nawet cywil, był dla zwycięskiej armii śmiertelnym wrogiem, którego należało zabić. Tak nakazał ich wódz Stalin. Mieli brać

odwet na faszystach, to i brali. Mścili się za to, co wcześniej zrobili tamci. I powiem ci, córeczko, że tak naprawdę to ci żołnierze, co nosili mundury od Hugo Bossa, niczym się nie różnili od tych zawszonych żołdatów w walonkach. Odróżniał ich tylko ubiór i język. Bestialstwo było to samo. Co to za wojsko, które strzela do bezbronnych starców, dzieci, a nawet ciężarnych kobiet? Mój ojciec dowiedział się o wszystkim dopiero po wielu latach od jednej z sąsiadek, której udało się uciec.

– Straszne. – Anna popadła w zadumę. Kilka razy, jeszcze za reporterskich czasów, sama robiła audycje o krwawych losach Mazurów i Warmiaków, ale przez myśl jej nie przeszło, że to także dzieje jej rodziny. – A moi dziadkowie, twoi rodzice?

– Oj, to długa opowieść. – Ojciec nabrał głębiej powietrza. Anna się zreflektowała.

– Tato, przepraszam, zapomniałam, że nie powinienes się tak męczyć. – Poglądziła go po dłoni. – Ale to taka pasjonująca historia, że nie mogę się powstrzymać. I tak się cieszę, że jesteśmy tu razem.

– Powiem ci tylko tyle o twoich dziadkach, że długo, bardzo długo musieli walczyć o tę swoją zabronioną miłość. Uciekli z rodzinnych stron i przez wiele lat żyli bez ślubu, w ukryciu, prawie w konspiracji. Groziła im śmierć, bo przecież związek z Polką hańbił niemiecką rasę. Jednak miłość była silniejsza niż strach. Ojciec nawet wystarał się o jakieś lewe papiery dla siebie. Dopiero po wojnie mogli wziąć ślub, co też nie było takie proste. Najpierw urodziła się moja siostra Tereska, ale zmarła na gruźlicę, jak miała osiem lat, a później pojawiłem się ja. Było to już w Toruniu, gdzie ostatecznie zamieszkaliśmy. Jak dostałem się na germanistykę, moi rodzice wyemigrowali do Niemiec, bo w Polsce tułali się po wynajętych kątach, klepiąc straszłą biedę. Miałem do nich przyjechać po studiach, ale poznałem twoją mamę i wsiąknęłam po uszy.

– A dziadkowie żyją jeszcze?

– Już nie. Ojciec zmarł w marcu siedemdziesiątego szóstego roku, a mama miesiąc po nim. Długo się nie nażyli w tym Reichu. No dobrze. – Zabębnił palcami o blat. – Ja się już nagadałem, teraz kolej na ciebie. Tylko najpierw zamówimy deser. – Skinął ręką na kelnera.

Po chwili na stoliku pojawiło się tiramisu. Anna przełknęła kilka łyżeczek, aby ukryć zakłopotanie, pod badawczym wzrokiem ojca. Nic nie mówił, tylko patrzył.

– Przecież czytałeś moje listy – odezwała się w końcu. – Prawie wszystko o mnie wiesz. A z nowych spraw, to na przykład nie mam już pracy. – Usiłowała mówić niby obojętnie i lekko, ale ojciec tylko zacmokał.

– Nie o pracę mi chodzi. – Pokręcił głową. – Coś bardzo cię gryzie i bardzo się martwię. Wyrzuc to z siebie. Poczujesz ulgę.

– Nie poczuje – zaprzeczyła głucho. Opuściła głowę na piersi i nerwowo skubała dół obrusa pod stołem.

– Kiedyś mi się zwierzałaś, jak byłem jeszcze Forestem. Nic nie stoi na przeszkodzie, abyś zrobiła to i teraz. Jestem wciąż ten sam, Muszelko. To, co mi powiesz, wpadnie jak w głęboką studnię – zapewniał ją głosem dodającym odwagi. Bardzo jej potrzebowała, tak samo jak pragnęła wyrzucić z siebie wszystko.

– Chodzi o Patryka, mam rację?

Kiwnęła głową.

– Muszę... – zaczęła z bijącym sercem – powiedzieć mu coś, co go załamie, zrani, potwornie zrani. Na co nie zasłużył. Bo zrobiłam... straszłą rzecz...

Wiedziona impulsem, powierzyła mu swoją tajemnicę. Jednak zamiast oczekiwanej ulgi ogarnęło ją jeszcze większe zażenowanie, gdy dostrzegła zmianę na jego twarzy. Spowaźniał, ściągając brwi, a pionowa zmarszczka między nimi pogłębiła się nagle.

– Popęniłam największy błąd swojego życia i teraz za to zapłacę. Skrzywdzę człowieka,

którego kocham i który mnie kocha, tak jak skrzywdziłam naszego przyjaciela. A wcześniej skrzywdziłam ciebie.

– Nikt nie jest nieomylny i każdy popełnia błędy. Ja też mam ich sporo na koncie. I też skrzywdziłam ciebie, czego bardzo żałuję i za co gorąco cię przepraszam.

– Tato, nie trzeba. Było, minęło i nie wracajmy do tego.

– Zaczekaj, kochanie. – Ojciec uniósł dłoń. – Ale ty nie skrzywdzisz nikogo więcej, jeśli zachowasz tę sprawę dla siebie.

– Nie rozumiem.

– Po prostu nie mów nic Patrykowi.

– Mam żyć w kłamstwie? Oszukiwać go? Przeczyć czemuś, w co całe życie wierzyłam? Do czego ty mnie namawiasz? – Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Do wybrania mniejszego zła – wyjaśnił spokojnie. – Prawda bez wątpienia jest cnotą, ale czasem dla dobra kogoś, kogo kochamy, warto mu tej prawdy oszczędzić. A ty będziesz musiała z tym żyć. Sama. Taki rodzaj poświęcenia w imię miłości. To wystarczy.

– Nie wystarczy – zaprzeczyła. – Nie mogę na siebie patrzeć, brzydzę się sobą, czuję się, jakbym była w... więzieniu. Moje sumienie jest moim więzieniem. – Powrócił ponury nastrój, przed którym na chwilę uciekła.

– Nikt nie jest idealny, córeczko. – Ojciec pogładził ją po dłoni. – Ani ty, ani ja. Powtórzę raz jeszcze: ja też krzywdziłem tych, których kochałem i którzy kochali mnie. Na przykład Iwonę. Wiem, że złamałem jej życie, bo odrzuciłem jej miłość. Tak jak ty możesz złamać życie Patrykowi, jeśli odrzucisz jego miłość tylko z tego powodu, że popełniłaś błąd.

– Tato, ja go zdradziłam. To nie błąd. To koniec wszystkiego.

– Zrobisz, jak uważasz, ale zastanów się, czy warto obarczać innych swoją winą. Może i przyniesie ci to ulgę, ale co poczuje twój mąż? Też ulgę czy zupełnie coś innego? Może z czasem ci wybaczy, bo miłość potrafi wybaczyć wszystko, ale ból, pamięć o tym, co się stało, zostanie. A czy ty, nawet jeśli ostatecznie od niego odejdziesz, bo wybierzesz prawdę, będziesz potem szczęśliwa? Będziesz potrafiła żyć bez człowieka, którego tak kochasz? Wprawdzie jest jeszcze ten Witek, ale od niego Patryk raczej niczego się nie dowie. Tak sędzę, bo gość wygląda mi na porządnego faceta.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się. – Nie powiedziałam ci, że to Witek.

Bendorf chrząknął zakłopotany.

– Widziałem was kilka razy w ogrodzie, jak przychodziłem na Dajtki. Chciałem choć z daleka na ciebie popatrzeć. A wy byliście w dość dużej... zażyłości. Dlatego pomyślałem, że to on.

– A więc to byłeś tyyyy... – Anna przeciągnęła to słowo. – Kilka razy miałam wrażenie, że ktoś za mną chodzi.

– Ten typ tak ma. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Za twoją mamą chodziłem przez miesiąc i swoje wychodziłem. Córeczko, do niczego cię nie namawiam, sama podejmij decyzję w swoim sumieniu.

– Już nie mam sumienia. – Przygryzła wargi i znów opuściła głowę.

– Masz, ale dopóki nie wybaczysz sama sobie, nie poczujesz się lepiej. To co, spacer czy kino? – zapytał znienacka.

Poszli na spacer. Prosto przed siebie. Znow wróciła magia tych chwil, za którymi tęskniła jako dziecko. Zartowali, śmiali się w zapadającym zmierzchu. Ojciec opowiadał zabawne historyjki, jak uczył się jeździć konno, jak płatał psikusy w szkole. Anna mówiła to samo o sobie. Szli aleją Piłsudskiego. Z daleka migotały barwne światelka wesołego miasteczka. Akurat do niego dochodzili. I nawet się nie zorientowała, kiedy ojciec wziął ją za rękę i już byli

w środku.

– Tato, co ty robisz? – spytała zaintrygowana, gdy kupił w kasie bilety.

– Spełniam obietnicę, którą kiedyś ci złożyłem. – Cmoknął ją w czoło.

– Jaką obietnicę?

– Jak byłaś mniej więcej w wieku Adasia, wybraliśmy się razem na spacer. Przyjechało wesołe miasteczko, a ty aż podskakiwałaś w wózku, tak rwałaś się do karuzeli, bo były tam różowe koniki. W kółko powtarzałaś: „tata tam i tata tam”. Bałem się, że jesteś jeszcze za mała na karuzelę, dlatego obiecałem ci, że pokręcimy się za rok. Płakałaś wtedy wniebogłosy. Dopiero różowy wiatraczek trochę cię pocieszył.

– Niczego nie pamiętam.

– Wcale się nie dziwię. To co? Na karuzelę, moja mała! Różowy konik czeka.

Z początku się wzbraniała, ale nie minęła chwila, kiedy sama nie wierząc, że to robi, już siedziała na różowym koniku najmniejszej karuzeli. Na czarnym koniu obok niej jechał ojciec. Nie zważali na pełne politowania spojrzenia innych ludzi, liczył się tylko ten dzień nadrabiania strat. Potem z watą cukrową na patykach i pluszowym misiem pod pachą, którego wygrał dla niej ojciec na strzelnicy, poszli w stronę Jarot. Wciąż rozmawiali i śmiali się do łez. Było już zupełnie ciemno, gdy zmęczeni, ale szczęśliwi dotarli do jego mieszkania. Dopiero w pełnym świetle Anna zobaczyła, jaki ojciec jest wyczerpany.

– Tatusiu, przepraszam, że tak cię wymęczyłam, musisz koniecznie odpocząć – mówiła przejęta, pomagając mu zdjąć marynarkę i prowadząc go pod rękę do pokoju.

– Zrobię panu kolację, panie Andrzeju – zaproponowała Małgosia. Ona też promieniała i nawet zmieniła czarną sukienkę, z którą dotąd się nie rozstawała, na zieloną.

– Zaczekajcie, dziewczynki, tylko umyję ręce. – Ojciec wyciągnął przed siebie poklejone watą palce i zniknął w łazience.

– Jestem taka szczęśliwa, że mogę tu być. – Małgosia przytuliła się do Anny. – Bliżej Amelki. Dziś znowu ją widziałam. Spotkałyśmy się z Helen w parku. To niesamowita kobieta. Wierzę, że prędzej czy później wszystko będzie dobrze. Musi być. A jak tam było na zawodach, bo ty też jesteś taka radosna, jak dawno nie byłaś?

– Długo nie zapomnę dzisiejszego dnia – odparła i z ulgą opadła na fotel. Ona też miała w nogach ten spacer. – A na zawodach też super. Maja zajęła drugie miejsce. Gosia, proszę zaopiekuj się moim tatą, bo chyba jednak przesadziliśmy z atrakcjami. Jest zmęczony.

– Jestem szczęśliwy, a nie zmęczony, Muszelko. – Ojciec wszedł do pokoju.

– Tato, podam ci teraz leki. – Anna zerwała się z miejsca.

– Sam potrafię je wziąć. – Ojciec położył dłonie na jej ramionach. – Patryk zostawił mi instrukcję jak dla dziecka.

– Ja panu podam. – Małgosia pobiegła do kuchni.

– To może Bandytę wyprowadzę? – zaproponowała Anna i pogłaskała psa, który łąsił się do jej nóg.

– Już z nim byłam! – odrzyknęła z kuchni Małgosia.

– Odwiozę cię do domu, córeczko, bo zrobiło się późno. Wracaj do dzieci i pomyśl o tym, co ci powiedziałem.

– Dobrze, ale nigdzie mnie nie odwiedzisz, tylko wrócę taksówką. Wiesz, że teraz musisz na siebie szczególnie uważać. Jesteś trochę blady. – Przesunęła ręką po jego policzku. – Tato, a co byś powiedział, gdybyśmy pojechali gdzieś razem? Nad morze albo w góry, żebyś się wzmocnił po tym szpitalu. Ja też nie miałam w tym roku prawdziwego urlopu, a bardzo mi się przyda. Chyba że wolisz do jakiegoś uzdrowiska? Podobno w Ciechocinku jest teraz całkiem fajnie. Albo gdzieś dalej, na przykład do Druskiennik. Zorientuję się, czy są jakieś ciekawe

oferty, i coś dla nas wybiorę. – Snuła wizję wspólnego wyjazdu, a ojciec zamawiał dla niej taksówkę.

– Będzie za pięć minut – zakomunikował, odkładając telefon. – Co mówiłaś? Że jestem błądy?

– Musisz być bardzo zmęczony, skoro tylko tyle usłyszałeś. – Anna się roześmiała. – Kładź się prędko do łóżka.

Przy pożegnaniu, gdy pod blok przy Kanta podjechała taksówka, ojciec przyciągnął Annę do siebie i mocno uściskał.

– Dziękuję, Muszelko – szepnął z ustami przy jej głowie.

– To ja ci dziękuję, tato. To był cudowny dzień. Spotkamy się jutro u nas na obiedzie. Jest niedziela i znów będziemy razem. Ty, ja, dzieci, może Patryk. Może wybierzemy się do wesołego miasteczka. Adaś miałby frajdę. No i my przy okazji też. Teraz będziemy mieć dużo czasu dla siebie. – Odchyliła się i podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Uśmiechał się do niej tak ciepło, czule, że pod powiekami poczuła łzy.

– Będziemy. Całą wieczność. – Głos mu zadrżał. – Przytul się do mnie jeszcze raz, córeczko.

Długo trzymał Annę w ramionach, w końcu pocałował ją w czoło i pożegnał przed drzwiami, wciskając jej pod pachę pluszowego misia. Anna zatrzymała się przy taksówce i spojrzała w górę na trzecie piętro. Ojciec stał w oknie i patrzył na nią. Przesłała mu na dłoni pocałunek. Złapał go i przyłożył do serca. Potem odesłał jej swój.

## ROZDZIAŁ XXII

Na drugi dzień raniem rozpełtała się burza. Huczały grzmoty, błyskawice rozrywały niebo i przebudziły Adasia. Zanosił się płaczem tak, że oboje nie mogli go uspokoić. Dopiero w ich dużym łóżku przysnął wreszcie, leżąc pomiędzy rodzicami. Anna machinalnie spojrzała na zegarek, zasypiając. Było trochę przed szóstą. Przebudziła się po ósmej. Adaś budował z klocków dom na podłodze, a Patryk czytał coś w fotelu.

– Cześć, wyspałaś się? – zawołał, słysząc, że się poruszyła. Odłożył kolorowy magazyn, wszedł do sypialni i usiadł na brzegu łóżka. Był już ubrany, a nawet staranie ogolony. – Wiesz, że rozmawiałaś przez sen z ojcem? To musiał być dla ciebie bardzo ważny dzień, skoro Andrzej nawet ci się przyśnił.

– Bo i był. Dziękuję, że mnie namówiłeś. – Spojrzała na męża z wdzięcznością. Chciała wykonać jakiś cieplejszy gest, ale nie mogła przełamać w sobie wewnętrzny oporu. – Tak, rzeczywiście mi się śnił. – Zaczęła sobie przypominać niedawny sen, który trochę jej się plątał z rzeczywistością.

Siedzieli w restauracji. Była w niebieskiej sukience, ojciec w ciemnym garniturze. A potem była ta karuzela, dokładnie taka, jak wyglądała naprawdę. Zaraz... Próbowała zebrać myśli. Tak, pamiętam, ojciec przyszedł do sypialni, był w tym samym ubraniu co w restauracji i coś do mnie mówił, tylko co? Widziała wyraźnie pogodną twarz taty i jego uśmiech, którym ją pożegnał, i półdługie, falujące włosy, opadające na biały kołnierzyk koszuli, jednak nie mogła sobie przypomnieć słów.

– Mówił coś do mnie – odezwała się do Patryka – ale nie pamiętam, co. Dziwne.

– To tylko sen, nie warto się nad nim zastanawiać – odpowiedział uspokajająco. – Dzwoniłem pół godziny temu do Gośki, żeby podała Andrzejowi poranne leki, bo trzeba pilnować tego uparciucha, gorzej jak dziecka. – Wychylił się czujnie w stronę salonu, gdzie Adaś miętosił misia z lunaparku. – Andrzej jeszcze śpi, bo położył się dopiero nad ranem. Gośka mówiła, że przez całą noc coś pisał.

Za oknem znów zagrzmiało i lunął rześysty deszcz.

– Szkoda że pada. – Anna stanęła przy oknie. – Dzisiaj raczej nici ze spaceru.

– A może po obiedzie wybierzemy się na basen z Adasiem? – zaproponował Patryk, stając obok niej. Odsunęła się o krok. Adaś przecisnął się między ich nogami. – Nasz synuś potrzebuje więcej ruchu, bo straszna kluska z niego się robi. – Wziął malca na ręce. – Idziemy popływać, Adasiu?

– Ta. – Chłopiec kiwnął główką.

– Pójdziecie sami, bo ja mam te dni – wyjaśniła na pozór obojętnie Anna, ale tym razem błogosławiła swoje dni. Czowała niewyobrażalną ulgę, że jej epizod z Witkiem nie będzie miał dalszych konsekwencji, prócz tych, które i tak wkrótce nastąpią. – Może Maja z wami pójdzie. Skoczę po swój samochód, bo zostawiłam go przy Wysokiej Bramie. Kupię jakiś torcik po drodze, a potem przygotuję obiad. Zaprosimy ojca i Małgoškę, jak będzie chciała, a wy jedźcie potem na basen.

Wzięła szybki prysznic i po śniadaniu, ledwo przestało mocno padać, natychmiast wyszła z domu. Właściwie uciekła. Od starań Patryka i radości Mai, która, jeszcze na wpół śpiąc, przeżywała swój wczorajszy dzień. Gdyby tylko wiedzieli, gdyby wiedzieli, co ich niedługo czeka, gdy w końcu zdobędę się na to, by wziąć odpowiedzialność za swój czyn. Jest już przecież



czas „po zawodach”, pomyślała, zamykając za sobą drzwi. Tak się śpieszyła, że nie zabrała ani komórki, ani parasolki. Trochę zmokła, nim dotarła na starówkę do samochodu. W katedrze były dzwony na mszę o jedenastej. I nawet tego nie planując, Anna poszła w ich stronę. Rzadko chodziła do kościoła. Właściwie prawie wcale, ale teraz wyraźnie czuła taką potrzebę. Pragnęła podziękować za zdrowie ojca i za to, że choć jeden błąd udało jej się naprawić. Usiadła w ostatniej ławce, w tłumie ludzi i pograżyła się w ciszy. Głowę oparła na splecionych dłoniach. Inni wstawali, klękali, siadali, mówili pacierz, a Anna wciąż trwała w jednej pozie, zastygłszy w wewnętrznej kontemplacji. Jednak prócz przeschnięcia włosów nie zyskała nic więcej. Ciężar, który tkwił w jej duszy, pozostał. Wyszła z kościoła grubo przed wszystkimi.

Gdy jakiś czas później szła po schodach z bakaliowym tortem w jednej ręce i siatką zakupów w drugiej, uderzyła ją dziwna cisza. Z mieszkania nie dolatywał najmniejszy dźwięk. Nie słyszała szczebiotu synka ani łoskotu rozrzucanych przez niego klocków, donośnego głosu Patryka, śmiechu Majki. Absolutnie niczego. Chrobot zamka, gdy naciskała klamkę, był jedynym dźwiękiem. Towarzyszyło mu skrzypienie desek pod nogami, gdy krok za krokiem przeszła do salonu. A potem znów nastąpiła cisza dzwoniąca w uszach, wypełniająca nie tylko pomieszczenie, ale też wszystkich siedzących przy stole.

Patryk, Maja, mama, teściowie i Adaś między nimi oraz Małgosia, w czarnej sukience. Wszyscy siedzieli, nikt się nie ruszył, gdy Anna stanęła w progu. Znieruchomieli jak posągi i tylko na nią patrzyli. Patrzyli tak natarczywie, że torcik wysunął jej się z ręki, a jabłka z siatki potoczyły po podłodze. Musiała oprzeć się o ścianę. Dlaczego przyszli tu wszyscy? Czemu nie mówią? Dlaczego Patryk tak dziwnie wygląda? Wstaje, idzie do niej, a oczy ma takie... smutne. Dlaczego tak mocno ją obejmuje, a ona drży jak osika w jego ramionach półżywa ze strachu?

– Aniu... – Struchlała, usłyszawszy brzmienie głosu Patryka, gdy mąż wypowiedział jej imię. – Dziś rano twój tata... umarł.

Cisza. Słyszała tylko ciszę, a później portret ojca zawirował na ścianie i zapadła w ciemność.

Z ciemności, która trzymała ją w potrzasku, zaczęły się wyłaniać chaotyczne obrazy. Przesuwały się prędko jak w kalejdoskopie. Stolik w restauracji, różowy konik na karuzeli, ojciec w wytartym kapeluszu, w Bieszczadach, galopuje na Smoluchu. A już po chwili stał w oknie i przesyłał jej pocałunek. A teraz zobaczyła go, jak z psem przy nodze czeka przed radiem. Jest mróz, a on tam stoi. Rozciera zmarznięte dłonie i patrzy w okna. Spaceruje pod blokiem matki. Potem zbiera lekarstwa na chodniku i leży nieprzytomny na podłodze w hotelu w Mikołajkach.

Nagle pojawił się w sypialni. Usiadł obok niej i coś mówił, ale nie mogła zrozumieć ani jednego słowa. Słyszała nad sobą jakieś szepty, tylko dlaczego zrobiło się tak ciemno? Dlaczego nie może otworzyć oczu? Powieki ma takie ciężkie, bardzo ciężkie, ołowiane, a w głowie jej szumi. Wesole miasteczko. Mieliśmy pójść do wesołego miasteczka; zobaczyła pod powiekami ostatnią scenę i otworzyła oczy. Leżała w sypialni na łóżku, a wokoło siedzieli mama, Patryk i Małgosia. Był półmrok.

– Jak się czujesz, kochanie? – Patryk położył rękę na jej czole. – Zemdlałaś. Zrobiłem ci zastrzyk i trochę spałaś. Jest już wieczór. Możesz mieć zawroty głowy.

Umarł, mój tata, umarł. Do Anny docierała przerażająca prawda.

– To ja... ja go zabiłam – wyszeptała pobladłymi wargami.

– Nie mów tak, córeczko. – Mama przytuliła ją do siebie. – On wiedział, że odchodzi. Wtedy, jak byłem u niego w szpitalu, powiedział, że umarli widzą jaśniej. Dlatego kazał mi się wszystkim zająć. Pogrzebem, bo pragnął spocząć przy Annie, i notariuszem. Byliśmy w piątek w kancelarii. Ojciec spisał testament. Nie pozwolił nic ci powiedzieć, bo chciał cię chronić

do końca. – Iwona przygryzła wargi.

– Jak... – Anna połykała łzy. – Jak umarł, o której? Miał zawał?

– We śnie – szepnęła Małgosia. – Rano. Nie wiem, o której. Położył się przed szóstą, bo całą noc pisał. Zapukałam do pokoju o dziesiątej, żeby podać leki, i już nie żył.

– Ten sen. – Anna nieprzytomnym wzrokiem patrzyła na zegar. – Pamiętam, dochodziła wtedy szósta. Umarł o szóstej. Przyszedł się ze mną pożegnać.

– Zostawił ci list. – Małgosia położyła na łóżku białą kopertę.

Anna wpatrywała się w kopertę jak zahipnotyzowana. Nie mogła wykonać najmniejszego ruchu, zwinięta w embrion na łóżku. Pozostali wyszli po cichu. Patryk włączył jeszcze lampkę na stoliku. W końcu Anna wyciągnęła rękę i otworzyła kopertę.

*Córeczko moja,*

*jeśli czytasz ten list, to znaczy, że ja już jestem po drugiej stronie gwiazd. Prawdopodobnie nie wystarczy mi słów, by opisać, czym był dla mnie wieczór, który spędziliśmy razem. Wszystkie będą zbyt miałkie. Dlatego sobie daruję.*

*Córeczko, o nic się nie oskarżaj i niczego nie wyrzucaj sobie, że coś zaniedbałaś lub zrobiłaś za późno. Nie było za późno. Odchodzę spełniony i szczęśliwy. Idę do Twojej mamy, mojej największej miłości. Bo miłość, córeczko, silniejsza jest niż śmierć. Dane mi było takiej miłości doświadczyć. Nie umarła razem z Twoją mamą, ale wciąż była przy mnie. Słyszałem ją w szumie wiatru, oddechu gór, szelestach nocy, zapachu kwiatów. Myślę, że ty też trzymasz taką miłość w dłoniach. Trzeba o nią dbać, walczyć do ostatka i chronić ją jak najcenniejszy skarb. Nie wolno jej odrzucać, nawet jeśli po drodze zdarzył się zakręt. Czym byłoby zdobywanie szczytów bez mozolnej wspinaczki na górę? Nie w szczytce nasz cel, ale w drodze, którą trzeba pokonać, by go osiągnąć. Czasem bywa wyboista, usiana kamieniami i naszymi błędami, ale warto ją przejść, by poznać najgłębszy smak miłości. Bo tak samo jak śmierć jest częścią życia, tak poświęcenie jest częścią miłości. A miłość to najpiękniejszy cud świata.*

*Skoro już jestem przy życiowych pomyłkach. Jest czas winy, czas kary i czas naprawiania błędów. Popelnilem ich bez liku, ale tym, którym mogę, chcę zadośćuczynić. Dlatego mieszkanie na Jarotach przekazuję Małgosi, bo kupiłem je od niej podstępem. Tobie, córeczko, zostawiam pieniądze. To duża suma, proszę, korzystaj z nich, Muszelko. Spełnij swoje marzenia, a wtedy uczynisz mnie jeszcze szczęśliwszym. A ja będę patrzył na Ciebie gdzieś spomiędzy gwiazd, razem z mamą, i cieszył się wraz z Tobą. Może usłyszysz mnie w szumie wiatru, jak ja słyszałem ją? Albo siądę sobie na jakimś latawcu i pomacham Ci z góry. Pamiętasz ten, który puszczaście w Bieszczadach, z napisem MAPA? Doprowadził mnie do Ciebie, niech i Was doprowadzi do celu. Do miłości spełnionej, silniejszej niż śmierć, trwalszej niż wszelkie przeciwności losu. Wiesz zresztą, że my, Bendorfowie, mamy taką miłość zakodowaną w genach.*

*Na koniec mam prośbę. Jeśli możesz, zaopiekuj się Bandytą. To grzeczny pies i nie sprawi Ci kłopotu. Jeszcze jedno. Tym razem potraktuj to jako polecenie od ojca i nie uznaję sprzeciwu. Żadnych łez, Anno.*

*Bądź szczęśliwa, Córeczko, tak, jak mnie uczyniłaś szczęśliwym.*

*Kocham Cię. Tata.*

*PS. Wybacz, że nie zdążyliśmy pójść drugi raz na karuzelę. A Mozarta trochę fałszowałaś. Powinno być: paaaam, paaaam paapamm i dopiero parapapapapam. To dwudziesta piąta symfonia, ulubiona Twojej mamy.*

Anna nie płakała. Oczy miała suche, ale w środku tonęła w powodzi łez.

## ROZDZIAŁ XXIII

Wyciszona tabletkami, przetrwała uroczystość na cmentarzu w Toruniu. Skromną, w towarzystwie najbliższych. Cały swój wysiłek skupiła na tym, by nie uronić łzy. Bo tak chciał ojciec. I nie uroniła. Ani gdy zapaliła znicz na grobie swoich rodziców, gdzie na drewnianym krzyżu napis głosił: „Anna i Andrzej Bendorfowie, złączeni miłością silniejszą niż śmierć”. Ani na stypie, ani gdy Iwona pokazała jej poniemiecką willę, w której kiedyś we troje mieszkali na Bydgoskim Przedmieściu. U notariusza też się trzymała, gdy ten ogłosił ostatnią wolę ojca. Nawet sama uspokajała Małgosię, która rozkleiła się, słysząc o zapisie dla siebie. Oprócz mieszkania ojciec zostawił też Małgosi trochę pieniędzy, aby i ona mogła kiedyś osiągnąć swój cel. Anna panowała nad sobą nawet wtedy, gdy porządkowała rzeczy osobiste ojca. Ubrania, książki, jakieś drobiazgi. I jego stary kowbojski kapelusz. Niczego, absolutnie niczego nie była w stanie wyrzucić. Zapakowała wszystko do kartonów, tak jak kiedyś zapakowała swoje listy, które do niego pisała, i zabrała na Warmińską. Nawet starego dżipa ojca zatrzymała. Sama nim jeździła, bo w ten sposób zyskiwała namiastkę jego istnienia. W każdej szczelinie, w każdym zagięciu materiału pozostał zapach taty. Każda rzecz nosiła odciski jego palców. Dla niej było to bezcenne. Nie płakała nawet wtedy, gdy kolejny raz przeglądała niespodziankę, którą ojciec jej zostawił – zawartość pamiątkowej skrzyni z Niepamięci.

Tego popołudnia też to robiła. Byli w domu sami, ona i Patryk. Siedzieli na podłodze w salonie, pochyleni nad kartonem. Obok nich ułożył się Bandyta. O jego życie też drżeli przez kilka dni, bo pies chciał odejść razem ze swoim panem. Marcin podłączał zwierzęciu kolejne kroplówki, robił zastrzyki, wciskał w pysk odżywcze papki, gdy biedak przestał jeść i pić, tylko leżał z zamkniętymi oczami przy balkonie w mieszkaniu na Jarotach. Anna pamiętała swój strach i rozpaczliwe słowa, które powtarzała jak zaklęcie: „Ten pies musi żyć”. Jej najcenniejsza pamiątka po ojcu. A jeszcze niedawno chciała przepędzić psa ze swojej drogi. Nawet nie przypuszczała, że już niedługo będzie przy nim leżeć, tulić jego łeb i szeptać do ucha prośby, by z nią został. Bandyta potrzebował trzech dni, aby poskutkowały wszystkie zabiegi, tak ofiarnie wykonywane przez Marcina dyżurującego przy nim dzień i noc. Potem Bandyta wstał, otrząsnął się i zmienił dom na kamienicę przy Warmińskiej. Annie niewielki kamyk spadł z serca, choć i tak wciąż przygniatały je tony ciężkich głazów.

Patryk gładził psa, a Anna wyjmowała pamiątki ojca. Ostrożnie, jak najcenniejsze relikwie, wydobywała je z pudełka. A jednak niczego nie zniszczył, nie potrafił się rozstać z przeszłością, myślała ze wzruszeniem. Listy, które ojciec do niej pisał, a które już czytała tyle razy. Wszystkie zaczynały się tak samo: „Kochana Córeczko”. Lalki, które kupował dla niej na kolejne urodziny, i sukieneczki, skrzypce jej mamy i na końcu stary album ze zdjęciami. Otworzyła pierwszą kartkę. Na czarno-białej fotografii stali jej rodzice – młodzi, zakochani, szczęśliwi. W tle bieszczadzka panorama. Ojciec obejmował mamę od tyłu, osłaniał ją ramionami jak parawanem. A ona trzymała złożone ręce na brzuchu i opierała głowę o pierś męża. A więc tak wyglądałaś, moja mamó; Anna wodziła palcem po twarzy młodzietki, niewysokiej dziewczyny o melancholijnym uśmiechu, delikatnych rysach. Jej falujące włosy rozwiewał wiatr, gdy tak stała w jasnej sukience. Anna miała wrażenie, że patrzy na siebie, tylko mama była sporo niższa, wysokiemu Andrzejowi sięgała ledwo do ramienia. Zdjęć było więcej, ale do tego jednego Anna miała największy sentyment. Bo na nim po raz pierwszy w życiu zobaczyła swoją matkę. Na innych fotografiach była i ona sama, ale już tylko z ojcem. Siedziała

w śmiesznej czapeczce w wózek, a ojciec kuczał obok, zdjęcie zrobiono gdzieś nad rzeką. I uśmiechał się tak samo jak wtedy, gdy się zegnali na Jarotach.

– Niedługo minie miesiąc, jak go... nie ma – odezwała się ni do siebie, ni do Patryka. I choć bardzo się starała, tym razem nie potrafiła powstrzymać łez. Zamrużyła, by nie mogły popłynąć. – Nawet nie zdążyłam mu powiedzieć, że go... Kocham.

– Myślę, że on to wiedział. – Patryk pocałował ją w skroń.

– Jak to dobrze, że zdążył chociaż przeczytać moje listy. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że mu je dałeś. Tak samo jak za tamten ostatni wieczór z tatą

Patryk milczał. Anna mówiła, dalej wpatrzona w portret ojca.

– Gdybym tylko mogła cofnąć czas – wypełnił ją bezbrzeżny żal – choć o jeden dzień, o jedną moją decyzję, gdy stał na mrozie, w deszczu, a ja udawałam, że go nie widzę, głucha i ślepa na jego wyjaśnienia i przeprosiny. Dlaczego, dlaczego tak późno zrozumiałam, jaka byłam wobec niego bezwzględna, skoncentrowana tylko na własnych uczuciach, na swojej złości, nienawiści?

– Bo tak już, niestety, jest, że doceniamy to, co tracimy. Przekonałem się o tym sam, kiedy prawie straciłem ciebie.

Wstał, przeszedł kilka kroków po pokoju i ponownie usiadł przy Annie. Był tak blisko, że czuła jego oddech na twarzy.

– Obiecałem sobie, że nie będę naciskał, ale to jest silniejsze ode mnie. – Ujął jej twarz w dłonie. – I choć wiem, że przeżywasz trudne chwile i rozpaczasz, to mimo wszystko poproszę jeszcze raz. Wróć do mnie. Tak naprawdę. Bez ciebie jestem niepełny, czegoś mi brakuje. To ty czynisz mnie lepszym. Jesteś tym, co najpiękniejsze w moim życiu, i niczego tak nie pragnę, jak tego, żebyś pomimo tego, co było, dała mi ostatnią szansę. Nie zmarnuję jej. Dla ciebie jestem gotów na wszystko. Jak chcesz, to przepłynę ocean, przeniosę góry w inne miejsce, tylko wróć – mówił, gładząc ją po twarzy, włosach, ramionach, dłoniach. W oczach miał tak wiele nadziei i tyle błagania w głosie, że zupełnie bezwiednie przyprowadził Annę o jeszcze większe tortury.

Nie mogę, nie mogę, bo cię zdradziłam. Bo nie zasługuję na twoją miłość. Nie potrafiłam pojąć jej siły, tak jak nie potrafię posłuchać rady ojca. Nie umiem niczego przed tobą zataić, tak jak nie mogę cię zranić słowami, dlatego odczytaj to, co chcę ci powiedzieć, z moich myśli, twarzy, spojrzeń. Mam to wszystko głęboko wryte, tylko mi się przypatrzyć, rozbrzmiewało jej rozpaczliwe wołanie, ale usta wciąż milczały.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał z łękiem.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i Patryk zerwał się, żeby otworzyć. Po chwili do pokoju weszła Małgosia. Bandyta zaczął się łąsić do jej nóg, ale nawet nie zwróciła na niego uwagi. Usiadła z podkulonymi kolanami na podłodze przy Annie. Zrezygnowana, przybita, pasowała do nich obojga swoją posępnością podkreśloną czarną sukienką.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale nie miałam do kogo pójść – zaczęła głuchym głosem. – Witek wczoraj odebrał paszporty. Wiem od Helen, że na dniach jedzie do Warszawy po wizy i raczej je dostanie. To już koniec. Pozamiatane. Straciłam swoją córeczkę. – Gośka objęła się rękami i siedziała na podłodze skulona w czarną kulkę. – Co mam teraz zrobić? – załkała z czołem niemal przyciśniętym do dywanu.

– Zostawię was same. Pogadajcie sobie – odezwał się z progu Patryk. – Odbiorę Adasia od rodziców. Chodź, Bandi, idziesz ze mną. – Gwizdnął na psa.

Pojechał najpierw po syna, a potem do przyjaciela. Nie chciał wracać na Warmińską, bo nie dość, że czuł się zdolowany przez Gośkę, to coraz wyraźniej zaczynało do niego docierać, że chyba on też przegrywa najtrudniejszą walkę, jaką kiedykolwiek toczył. O kobietę, którą sam utracił przez własne demony. Dlaczego nic nie mówiła? Wyglądała, jakby się czegoś bała. Ciebie

się bała, kretynie, złorzeczył sam sobie. Twoich urojeń, kompleksów, tego przerośniętego samczego szowinizmu, którym ją dręczyłeś. Joanna miała rację, od takiego typu jak ja trzeba wiać. Ojciec również miał rację, zrozumiałem wszystko za późno i obudziłem się z ręką w nocniku. U mnie też już chyba pozamiatane. I to na moje własne życzenie.

Przez całą drogę na Dajtki katował się oskarżeniami. Był ponury prawie tak samo jak Witek, gdy oglądali razem jakiś nieważny mecz w telewizji.

– Urosłeś, chłopaku. – Witek pogładził Adasia po główce. – Znalazłem twój niebieski samochodzik. Biegnij, tam stoi. – Wskazał ręką w róg salonu. Chłopczyk zeskoczył z kolan wujka i podreptał do autka.

– Twoja mała też urosła. – Patryk ujął stópkę dziewczynki. Amelka siedziała naprzeciwko nich, przypięta do leżaczka, zaśliniona do bródki. Z zapalem gryzła gumową kaczuszkę. – Ząbki jej idą, Adaś też tak się ślinił. Z bioderkami wszystko w porządku?

– W porządku – odrzekł Witek i wytarł buzię córeczki śliniaczkiem. – Bo zaraz połkniesz tę kaczuszkę, Ameluś – zażartował i zakwakał jak kaczka, a dziewczynka roześmiała się głośno.

– I z oczkami, i z brzuszkiem, fizycznie nic naszej Amelce nie dolega. – Do salonu weszła Helen z filiżankami kawy i ciastem na tacy. – Tylko matki jej brak. To jedyny deficyt.

– Mamo, dziękujemy za kawę, ale jeśli pozwolisz, to nie będziemy teraz omawiać moich spraw – zwrócił się do niej oschle Witek.

– To nie są tylko twoje sprawy, tak na marginesie – odparła. – Pobawię się z dziećmi na górze. Może ty, Patryk, zdołasz przemówić mojemu synowi do rozumu, żeby skończył z tą niepojętą zaciętością. Pójdiesz ze mną, Adasiu? – Wyciągnęła rękę w stronę chłopczyka.

– Pieś ciem. – Adaś przytknął nosk do przeszklonych drzwi tarasu. Wychodziły na ogród, w którym teraz węszył Bandyta.

– Piesek musi zostać w ogródku, synku – wyjaśnił Patryk, kucnąwszy przy dziecku. – Idź z panią, a tatuś porozmawia z wujkiem i pojedziemy do domku. Wtedy pobawisz się z Bandytą.

– Ciem jus. – Malec zaczął tupać nóżkami, buzię wygiął w podkówkę.

– Nie można mieć od razu wszystkiego, co się chce, Adasiu. Biegnij do Amelki. – Patryk pociągnął za rączkę opierającego się synka i oddał Helen.

Zostali sami. Początkowo obaj rozmawiali o obojętnych sprawach. Trochę o pracy, doktoracie, kończącym się urlopie Patryka, jakichś plotkach ze szpitala. W końcu Patryk zapytał wprost:

– Stary, co ty odwalasz z tym wyjazdem?

– Nic nie odwalam, po prostu emigruję. – Witek wzruszył ramionami. – Jak dziesiątki polskich lekarzy. Mam taką możliwość i tyle. Tu nie mogę się rozwinąć. Czuję, że tutaj doszedłem do ściany jako chirurg, a tam będę mieć większe możliwości w klinice matki. Zresztą sam wiesz, że już dawno mi to proponowała. A oferta profesora Cahllagara, u którego byłem na stażu, wciąż jest otwarta. Potrzebuje chirurgów. Myślę też o Amelce, w Stanach będzie miała łatwiejszy start, rozumiesz, lepsze szkoły, uczelnie i takie tam. A poza tym Boston to nie nasz prowincjonalny Olsztyn, gdzie...

– I myślisz, że nabiorę się na te twoje głodne kawałki? – Patryk przerwał mu pytaniem. – Jeszcze parę miesięcy temu w ogóle nie brałeś tego pod uwagę.

– Bo życie, kolego, może się zmienić w ciągu jednego dnia. – Witek klepnął się dłońmi w uda. – A co dopiero w parę miesięcy.

– Ty zwyczajnie dajesz nogę. – Patryk zaśmiał się gorzko.

– A nawet jeśli, to co? – Po raz pierwszy od spotkania Witek spojrzał mu prosto w oczy. Na chwilę. Potem znów zaczął się wpatrywać w telewizor. – Życie mi się rozpieprzyło, to chyba mam prawo poskładać je na nowo? Choćby w Bostonie. Byle dalej od... – Nie dokończył.

– Od Goški – dopowiedział Patryk. – Zrobisz, jak zechcesz, ale zastanów się jeszcze. Powiem ci szczerze, że naprawdę szkoda mi tej dziewczyny. I tak dostała ostro w dupę od życia, a jak jeszcze zabierzesz jej małą, to załamie się do reszty.

– Nikogo jej nie zabieram. Sama ją zostawiła. – Witek cmoknął zniecierpliwiony.

– Ale teraz żałuje. Ty nigdy niczego w życiu nie żałowałeś? Bo ja tak. Przyszła do nas i aż żal na nią patrzeć, taka jest zdołowana. Może jeszcze to przemyśl? Poza tym takiego kumpla jak ty długo nie znajdę. Nie szkoda ci zostawiać takiego gościa jak ja? Witek, przecież znamy się od studiów. Pamiętasz, jak imprezowaliśmy w Gdańsku po egzaminach? A i tu też czasem zdarzyło nam się niezle zabalować. I pracuje nam się razem nie najgorzej. Sam wiesz, że z nikim tak nie lubię operować jak z tobą. Zresztą, z kim tam będziesz mecze oglądać, rowerem śmigać po lasach, wyciskać na siłce, nie szkoda ci tego?

– Już przemyślałem i zdania nie zmienię. – Witek trochę nerwowo odstawił z głośnym brzękiem filiżankę na spodeczek. Jasne, że żałował wielu rzeczy, które zrobił w życiu. Zwłaszcza ta ostatnia nie dawała mu o sobie zapomnieć. Doskwierała mu tak, że teraz wił się jak robak na haczyku, gdy tak siedział w towarzystwie najbliższego przyjaciela, nadludzkim wysiłkiem starając się zachować pozory. – Matka wraca wcześniej, a ja jadę gdzieś tak za miesiąc. Tylko dopnę parę spraw. Dom muszę wystawić na sprzedaż, wypowiedzenie w robocie złożyć i takie tam. A kumpla też sobie znajdziesz. W końcu nie ma ludzi niezastąpionych. A co u was? – spytał dla jeszcze większych pozorów. – Jak Anka się trzyma? Sorry, że nie przyjechałem na pogrzeb, ale sam wiesz, jak to jest z niemowlakiem w domu.

– Wiem – przyznał Patryk. – Anka marnie. Bardzo to przeżywa. A u nas, no cóż... – Uniósł brwi i westchnął ciężko. – Chyba jednak dupa. Czuję, że to koniec gry.

– Co za patałachy, widziałeś to?! – zawołał gwałtownie Witek, nagle zainteresowany jakimś faulem na boisku.

W tym samym czasie, gdy Patryk z Witkiem siedzieli przed telewizorem, Anna zaszyła się w boksie Jenny. Przyjechała do stadniny zaraz po odwiezieniu Małgosi do domu. Zupełnie nie mogła pocieszyć przyjaciółki. Nie umiała znaleźć żadnych słów, by natchnąć ją siłą. Sama jej potrzebowała, by przetrwać. Gładziła siwe boki klaczy, wdychała zapach sierści, patrzyła w migdałowe oczy Jenny i ze zdwojoną siłą uderzał w nią żal za wszystkim, co już minęło. Minęło tak prędko, że niczym nie zdążyła się nacieszyć. Ledwo palcami musnęła szczęście, gdy uleciało jej z rąk. Odwrócona tyłem, nie zauważyła, że od dłuższej chwili stoi za nią Maja, już przebrana po treningu.

– Jesteś wciąż smutna, mamó. – Położyła rękę na plecach Anny. – Mnie też brakuje dziadka Andrzeja. Może to cię choć trochę pocieszy, że nie jesteś sama.

– Nie umiem wybaczać – odrzekła w oderwaniu od stwierdzenia dziewczyny.

– Ja też nie potrafię – wyznała równie poważnie Maja. Nie musiała dodawać nic więcej; Anna wiedziała, kogo tamta ma na myśli. Chodziło o Justynę, jej matkę, o której, odkąd Maja z nimi mieszkała, wspomniała zaledwie kilka razy. A potem nic. Zupełnie tak jakby w ogóle nie istniała w jej życiu. – Jedyne, co mogę, to zapomnieć. Ty też jak będziesz chciała, to zapomnisz o tym, czego nie chcesz pamiętać, choć nie jest to łatwe. – Oparła głowę na ramieniu Anny. – Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Powiedz, ale tak naprawdę szczerze, wróciłaś do domu tylko ze względu na nas? Na Adasia i na mnie? Nie do taty. Nie jestem dzieckiem, widzę, że cały czas śpicie osobno. Mamó, co będzie z wami?

Jak trudne są odpowiedzi na najprostsze pytania, uświadomiła sobie w tym momencie Anna. I jedyna odpowiedź, jaka przyszła jej do głowy i była absolutnie szczerą, to:

– Nie wiem, Maju, naprawdę nie wiem.

– Tata bardzo się zmienił.

– Tak, widzę, tylko że we mnie też coś nieodwracalnie się zmieniło – wyznała cicho.

Zaraz jednak wróciła do normalnego tonu. – Jedźmy już do domu, bo zaraz trzeba szykować kolację.

– Będę troszkę później, bo obiecałam jeszcze wpaść do Marcina. – Maja wskazała ręką w stronę nieodległej od stadniny polikliniki weterynaryjnej, w której chłopak odbywał studenckie praktyki. – Niedawno zaczął dyżur. Posiedzę z nim trochę.

– Dobrze, tylko nie wracaj zbyt późno. – Anna zrobiła krok ku wyjściu, ale Maja ją zatrzymała.

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że niezależnie od tego, co się stanie, między nami nic się nie zmieni. Za długo na ciebie czekałam, mammo.

– Dziękuję ci za te słowa. – Anna mocno uścisnęła Majkę. Tak mocno, jak i ją przytulił ojciec na pożegnanie.



## ROZDZIAŁ XXIV

Przez kilka kolejnych dni Anna była niespokojna. Wszystko leciało jej z rąk i wszystko ją irytowało. Najbardziej drażniły ją starania Patryka. Nie mogła dłużej znieść jego nieustających zabiegów o nią, zapewnień, jak bardzo ją kocha, cierpliwości, z jaką znosił jej wycofanie. Musiała to jak najprędzej zakończyć, zanim oboje zwariują. On z powodu zawiedzionych nadziei, ona z udreki. Dlatego coraz wyraźniej narastało w niej przekonanie, że chyba powinna wyjechać. Sama, choć na chwilę. Tylko dokąd, zastanawiała się Anna. Gdzie jest takie miejsce, abym zapomniała o tym, czego nie chcę pamiętać, myślała, snując się z kąta w kąt po mieszkaniu przy Warmińskiej. Już wiem, dokąd pojedę; nagle doznała olśnienia. I była gotowa jechać tam choćby jutro, byle tylko wyrwać się z potrzasku. Pozostało jej zorganizować opiekę nad Adasiem, bo Patryk wrócił już do pracy po urlopie.

– Jedź, skoro musisz – powiedział profesor, kiedy poprosiła o pomoc. Pojechała do teściów odebrać synka, bo Patryk był na dyżurze. – Wszystkim się zajmujemy.

– Dziękuję. – Anna upiła łyk gorzkiej kawy.

Nieczęsto przychodziła do rodziców Patryka na Prusa i za każdym razem czuła się u nich nieswojo. Zwłaszcza w obecności teściowej. Teraz też, siedząca sztywno przy stole Mira całą swoją postawą wyrażała dezaprobatę.

– Rozumiem, Anno, że jesteś jeszcze w głębokiej żałobie, ale czy doprawdy ta nagła eskapada w czymkolwiek może ci pomóc? Chyba że chodzi o coś innego. – Profesorowa założyła nogę na nogę i wbiła w synową przenikliwe spojrzenie, ściągając usta.

– Tak, o coś innego – przyznała, wytrzymując świdrujący wzrok Miry. Odniosła wrażenie, że oczy matki Patryka niczym rentgen prześwietlają najgłębsze zakamarki jej duszy. – Ale pozwól, że na razie powody tej eskapady zachowam dla siebie. Pojutrze wyjadę gdzieś na tydzień, nie dłużej.

– Odwagi, córuchna. – Profesor poklepał ją po dłoni. – We wszystkim życzę ci odwagi. A o dom się nie martw, poradzimy sobie. W końcu mamy tylko was i dużo wolnego czasu.

Dwa dni po tej rozmowie Anna była już w drodze. Jechała tam, gdzie spadają gwiazdy, gdzie rodzą się i umierają marzenia. Do Niepamięci. Pchała ją jakaś niewidzialna siła, jakby to miejsce miało być skutecznym panaceum na jej wszystkie wątpliwości. Liczyła, że wróci silniejsza, aby móc zrobić to, co zrobić musiała. Uczepiła się rozpaczliwej myśli, że to właśnie tam zdobędzie jakąś wewnętrzną moc, by wydostać się z matni, w którą sama siebie wpędziła. Działała spontanicznie, bez planu, nawet nikomu nie powiedziała, dokąd jedzie. Była wdzięczna Patrykowi, że jej nie zatrzymywał. Ze stoickim spokojem, pogodzony z losem, przyjął jej decyzję. Tylko oczy miał jeszcze smutniejsze. Nic nie mówił, kiedy rankiem pakowała do torby ostatnie drobiazgi. Dopiero gdy wkładał jej rzeczy do dzipa, odezwał się tak przygnębnym głosem, że Anna jeszcze bardziej skurczyła się w sobie.

– Uciekasz ode mnie. Przegrałem, prawda? – Stał na chodniku przed domem i patrzył na nią żałośnie, jakby już nigdy nie miała wrócić albo przynajmniej nie do niego.

Nie ty, to ja przegrałam nasze życie. Uciekam nie od ciebie, tylko od własnej porażki, słabości, która z każdym dniem dławi mnie coraz bardziej, myślała, pozornie skupiona na ustawianiu lusterek w aucie.

– Powiedz chociaż, dokąd jedziesz – zapytał, łapiąc za rękę Annę, jakby jednak wbrew wszystkiemu próbował ją jeszcze zatrzymać.

Nie odpowiedziała. To miała być tylko jej podróż, od początku do końca. Jej całkowite szaleństwo. Bąknęła coś nieskładnie, że wróci za kilka dni, i odjechała. W najdłuższą drogę, w którą kiedykolwiek wyruszyła, i najmniej chodziło tu o odległość. Musiała dokonać rozrachunku sama ze sobą, zaszyta w bieszczadzkiej głuszy. Ucieknie choć na chwilę od przyszłości, by zastanowić się nad przeszłością. Tymczasem ta dopadła Annę, nim wyjechała z Olsztyna. Tankowała samochód na stacji benzynowej przy wylotówce na Warszawę, gdy przy kasie spotkała Witka.

– Cześć – odezwali się prawie jednocześnie, oboje tak samo zmieszani.

Witek też chyba jechał gdzieś dalej, bo był ubrany w ciemny garnitur i cienki trenecz. Miał gładko przyczesane włosy i starannie wygoloną twarz, gdyż nie ulegał powszechnej męskiej modzie na kilkudniowy zarost na policzkach. Pachniał dobrą wodą i mógłby wyglądać na pewnego siebie, gdyby nie nerwowe drgania mięśni na policzkach i widoczne skrępowanie w zachowaniu. Zapłacił za paliwo, kupił kawę i czekoladowy batonik, a potem, odchrząknawszy, powiedział:

– Słyszałem o twoim ojcu. Współczuję.

– Dziękuję. – Anna schyliła głowę, niby zajęta wyjmowaniem pieniędzy. – Przepraszam, ale będę już jechać, bo... – Nie bardzo wiedziała, co dalej powiedzieć. Cofnęła się do wyjścia, ale Witek wziął ją za ramię.

– Bo nie chcesz mnie widzieć – dokończył z ironicznym uśmiechem, nachylając się do jej ucha. – I będziemy teraz siebie unikać, spuszczać głowy, udawać, że prawie się nie znamy. Tak to sobie wyobrażasz? Po tylu latach przyjaźni? Kiedyś przecież byliśmy sobie bliscy.

– Mogę tylko jeszcze raz cię przeprosić – Anna poczerwieniała – za tamto.

– Chodź, pogadamy. – Wskazał okrągły stolik przy stoisku z gazetami. – Chcesz kawę?

Kiwnęła głową.

Witek wziął z dystrybutora espresso dla siebie, a dla niej czarną z mleczkiem. Anna usiadła na wysokim krzeselku, zwrócona twarzą do okna, Witek zajął sąsiedni taboret. Anna wsypała do papierowego kubka porcję cukru i długo mieszała kawę. Prawie w ciszy, nie licząc rozmów innych klientów. Oboje przedłużali tę ciszę, jakby nie mieli sobie już nic do powiedzenia. W końcu się odezwał. Już bez tego skrępowania, co przy powitaniu.

– Posłuchaj Anka, to nie jest tak, że mam żal tylko od ciebie. Największy czuję do siebie. I nie mogę patrzeć na własną gębę. Mam trzydzieści pięć lat, wykształcenie, jakąś tam pozycję, a dałem się sprowokować jak nieopierzony małolat.

– Witek...

– Pozwól mi dokończyć – przerwał jej – bo prawdopodobnie więcej się na to nie zdobędę. I chyba nawet nie będzie już ku temu okazji. Nie jestem święty i przygodne numerki bez zobowiązań czasem mi się zdarzają. Jednak teraz niczego tak nie żałuję, jak tego, że cię nie powstrzymałem. A wiesz, dlaczego tego nie zrobiłem? – Spojrzał na nią znacząco. – Bo wtedy to mi się podobało. Jak jasna cholera. A teraz rzygać mi się chce, kiedy patrzę na siebie. Jesteś żoną mojego najlepszego kumpla, który mi ufa, a ja go tak załatwiłem. – Skrzywił się z odrazą. – Wtedy na jedną chwilę o tym zapomniałem. Właściwie to chciałem zapomnieć, bo liczyły się tylko moje doznania. Patras powinien obić mi mordę mocniej, niż ty to zrobiłaś wtedy w szpitalu. – Witek zacisnął mocno powieki. – Ja, na jego miejscu, gdybym się dowiedział, to chyba bym zabił. I ciebie, i mnie.

– Przestań. – Anna ukryła twarz w dłoniach. – Błagam, przestań, bo to już niczego nie zmieni. Stało się.

– Stało – potwierdził i zabębnił palcami po blacie przybrudzonego keczupem stolika. – Bo na to pozwoliłem i straciłem nie tylko kumpla, ale i szacunek do siebie. Gdybyśmy się

kochali, to może łatwiej byłoby to usprawiedliwić, ale ani ty mnie nie kochasz, ani ja ciebie. Skrzywdziliśmy porządnego faceta, jak ostatnie gnoje.

– I co teraz będzie? – zapytała cicho.

– Jak zapewne już wiesz, lecę z małą do Stanów. Właśnie jadę do ambasady po wizy. I raczej je dostanę. Potrzebują tam lekarzy.

– A Gośka?

– Co Gośka? – powtórzył pytanie. – Masz na myśli to, że też wylądowaliśmy w łóżku? Wtedy była inna sytuacja. Oboje byliśmy wolni i oboje tego chcieliśmy. A że przy okazji zjawiała się Amelka, to już wypadek przy pracy. Choć teraz nie wyobrażam sobie życia bez tego mojego cukiereczka. – Twarz mu się rozjaśniła.

– Nie to miałam na myśli. – Anna zamachała ręką. – Jeśli wywieziesz Amelkę, Gośka tego nie przeżyje. Widocznie potrzebowała więcej czasu niż ty, by dojrzeć do dziecka, ale dojrzała. Przecież sam widziałeś, wtedy, kiedy do ciebie przyszliśmy, jaka była szczęśliwa. Amelka też od razu wyczuła matkę. Sama jestem świadkiem. Helen nie mogła jej uspokoić, a ledwo Gośka wzięła ją na ręce, od razu przestała płakać. Nie rozdzielaj ich tylko z tego powodu, że ja tak podle posłużyłam się tobą. Pomyśl o swojej córeczce. Ona naprawdę potrzebuje matki. A Gośka będzie najlepszą matką na świecie, tylko jej na to pozwól.

– Ty naprawdę myślisz, że jestem aż taki bezduszny? – Spojrzał na nią zaskoczony. W jego oczach odmalowało się niedowierzanie. – Że będę pogrywał własnym dzieckiem, które kocham jak nikogo na świecie, żeby pokazać, kto tu rządzi? Przecież wiem, że moja matka w tajemnicy wozi małą do Gośki, ale nie protestuję, bo rozumiem tak samo jak i ty, że moja córka potrzebuje matki.

– To dlaczego chcesz wyjechać?

– Pojmij to wreszcie – cmoknął zniecierpliwiony – że nie wyjeżdżam ani z powodu Gośki, ani nawet z twojego. – Wyjeżdżam z powodu Patrasa, bo nie jestem w stanie udawać przed nim, że nic się nie stało. Ostatnio, jak był u mnie, to nie wiedziałem, gdzie mam podziąć oczy. Dlatego wolę się usunąć, aby zachować choć pozory jakiegoś szacunku do siebie. Weisnąłem mu kit, że tam zrobię większą karierę niż w Polsce, zwłaszcza że matka przetała mi szlaki w swojej klinice. Chyba to kupił. Widać mam wprawę w zatajaniu niewygodnej prawdy. Dla dobra pacjenta też czasem kłamię.

– Kłamiesz?

– Ścisłej, pomijam pewne sprawy milczeniem. Są dwie szkoły. Ja wolę tę, która mówi, że jeżeli pacjent nie jest gotów przyjąć prawdy albo odbierze mu ona resztkę nadziei, to zwyczajnie należy mu tego oszczędzić. Cała filozofia. Sobie i Patrykowi też wolę oszczędzić wzajemnego widoku, żeby kiedyś przy wódce za dużo nie chlapanąć dziobem.

– Ale co z Goską, Amelką? Witek, przecież tu chodzi o coś znacznie więcej.

– Nie wiem, zwyczajnie nie wiem. – Pokręcił głową zrezygnowany. – Muszę to sobie jakoś uporządkować. A tak szczerze, to chyba boję się zaufać Gośce. Nie mam pewności, na ile te jej nagłe uczucia do Amelki są trwałe. A co będzie, jeśli mała się do niej przywiąże, pokocha ją, a za rok, dwa Gośce znowu się odwidzi i ją zostawi, tak jak już raz zrobiła? Jest taka rozchwiana emocjonalnie. A ja nie pozwolę, żeby moja córka została drugi raz porzucona. Zresztą mówiąc o matce dla Amelki, nie miałem na myśli Gośki. Może znajdę sobie w Stanach jakąś dobrą, uczciwą dziewczynę i się z nią ożenię? Same mówiliście mi kiedyś, że jestem łakomym kąskiem. Jak to było. – Podniósł oczy ku sufitowi i coś sobie przypominał. – Aha, już wiem, niestary, niebiedny, z wyglądu też ujdzie, w dodatku lekarz, jednym słowem same plusy. A teraz wybac. – Dopił resztkę kawy z kubeczka i zerknął na zegarek. – Dziewiąta. Za trzy godziny chcę być w ambasadzie, dlatego będę już jechać. Ty też do Warszawy?

– Trochę dalej, ale przez Warszawę.

– Nie proponuję wspólnej podróży, bo się spieszę. No to cześć. – Kiwnął jej głową na pożegnanie, wsiadł do auta i odjechał.

Anna patrzyła za nim z żalem. Kiedyś byliśmy sobie bliscy, a teraz ledwo siebie tolerujemy, na zawsze złączeni wspólną tajemnicą. Ty uciekasz, ja uciekam, a wszystko przez ten fatalny błąd. Głupi, bezmyślny akt zemsty. Tak nam to poukładałam, pomyślała ze smutkiem i ruszyła w Bieszczady.

Było już ciemno, gdy po długiej i męczącej jeździe skręciła wreszcie w upragnioną drogę wiodącą do Niepamięci. Tam, gdzie kończył się asfalt, a dalej prowadziła tylko szutrówka przez las. Początek października przyniósł w Bieszczadach opady. Drogi rozmokły, ale dziup ojca radził sobie z błotem dużo lepiej niż przed rokiem volvo Patryka, gdy bładzili, szukając samotni Christofera Foresta. Teraz Anna już nie bładziła. Znała tę drogę na pamięć. Mogłaby tu trafić z zamkniętymi oczami. Mocne światła reflektorów oświetliły polanę przy drodze. Dostrzegła na niej ten sam uschnięty zwalony buk. Przystanęła i uchyliła okno. Wilgotny zapach lasu wdarł się do samochodu, a Annę ogarnęło jeszcze większe przygnębienie, gdy wspomniała tamten dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła w tym miejscu ojca. Wtedy jeszcze był dla niej kowbojem z Niepamięci; przyjechał po nich tutaj konno na Smoluchu, w tym samym kapeluszu, który zachowała, i czerwonej kraciastej koszuli. W pierwszym odruchu chciała wysiąść z samochodu i podejść do drzewa, ale zrobiło się ciemno, a ona była sama w środku lasu. Gdzieś w oddali histerycznie ujadł jakiś pies. Znów zaczął mocniej zacinać deszcz, a drzewa rozszumiały się od wiatru. Aby przegnać niepokój, podkręciła płytę w samochodzie. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez całą drogę katowała w kółko tylko jedną płytę, Kayah i Bregovicia, bo swoim bałkańskim, chwilami rzewnym brzmieniem idealnie oddawała jej nastrój.

*Od czasu do czasu jakbym słyszała nadal,*

*jak przechodzisz przez mój próg.*

*Miły.*

*Od czasu do czasu, choć wiem, że nie mam prawa*

*Bo nie jestem twoja już...*

Śpiewała razem z płytą ten fragment piosenki, ocierając oczy rękawem. Tak, ja już też nie jestem twoja, Patryk, choć jeszcze o tym nie wiesz. Mocniej chwyciła kierownicę, bo dziup podskoczył na jakimś wyboju.

Kołysząc się na boki, przejechała jeszcze ze dwa kilometry i zobaczyła przed sobą dom na wzgórzu, otoczony ścianą drzew, do którego pchała ją jakaś niewytłumaczalna potrzeba.

W jednej chwili zniknęło zmęczenie po przejechaniu ponad sześciuset kilometrów. I zgięte kolana bolały jakby mniej, i w krzyżu już tak nie drętwiało. Najważniejsze, że znowu tu jest. W miejscu, gdzie przed rokiem już pierwszego dnia poczuła się jak w domu. Bo przecież

była wtedy w domu. Bo to był dom jej ojca. Wzruszenie zacisnęło jej gardło, oczy zwilgotniały. Siedziała jak przyrośnięta do fotela i chłonęła widok przed sobą.

W ciemności rozjaśnionej reflektorami dżipa dom zaczynał nabierać kształtów. Wydał się Annie nieco inny niż rok temu. Okna były ciemne, tylko w tym kuchennym paliło się światło, przebijane niebieską poświatą z telewizora. Anna już chwyciła za klamkę, aby wysiąść, ale zza rogu wybiegł wielki czarny pies, ujadając wściekle. Na ganek wyszła tęga, przysadzista kobieta w kurtce narzuconej na ramiona. W rękę miała grubą drąg.

– Do budy, Azor! – ryknęła grubym głosem. – Kto tam jest?! – zawołała w stronę auta, ale nie zeszła z ganku. Anna otworzyła okno i wychyliła głowę.

– Dobry wieczór! – przywitała się równie głośno, bo dzieliła je odległość dobrych kilku metrów, a pies wciąż ujadł. – Szukam kwatery! Niech pani zabierze psa!

Kobieta z drągiem złapała zwierzaka za kark i pociągnęła do budy. Dopiero gdy przypięła grubą łańcuch do obroży, Anna odważyła się wyjść z samochodu, ubłoconego teraz aż po szyby. Zatrzęsła się z zimna i obawy, bo ani kobieta, ani jej pies nie wzbudzali sympatii.

– Jeszcze raz, dobry wieczór. – Wyciągnęła rękę do nieznajomej. Ta, patrząc na nią podejrzliwie, oddała uścisk. Dłoń miała szorstką i twardą. – Jestem Anna Terlińska i chciałabym wynająć u pani kwaterę na kilka dni.

– Bigosowa – przedstawiła się równie mało subtelnie, jak wyglądała. – Pani wejdzie, bo zimno tak stać.

Weszły do sionki, ale gospodyni nie zapraszała dalej. Na oko mogła mieć około sześćdziesięciu lat. Grubą twarz z obwisłą skórą na policzkach przecinały zmarszczki. Te wokół wąskich ust nadawały jej wyraz zaciętości. Lekko wylupiaсте szare oczy patrzyły nieufnie.

– Przyjechała pani Bóg raczy wiedzieć skąd – zaczęła Bigosowa. – Nie wiem, kto pani jest, i mam panią wpuścić do domu? A może pani to ktoś niebezpieczny?

– Proszę się nie obawiać. – Anna starała się nadać swojemu głosowi miłe brzmienie. – Wiem, że powinnam jakoś panią uprzedzić, ale przyjechałam tu pod wpływem chwili, z daleka, i jestem zmęczona podróżą. Bardzo proszę, niech mnie pani przygarnie choć na kilka dni. Nie potrzebuję wygod i nie będę sprawiać kłopotu. Dobrze zapłacę.

– No nie wiem. – Pani Bigos wyraźnie miękła. – Gdyby był mój stary, to co innego, ale pojechał do kuzyna pod Kraków i będzie za tydzień. A ile może pani dać?

– A ile pan chce?

– Da pani dwie stówy za dobę, to się dogadamy. – Kobieta rozciągnęła wąskie usta w uśmiechu, który wskazywał, że powinna pilnie wybrać się do dentysty.

– Dobrze, niech będzie.

– Kwaterować będzie pani w domku dla gości. Wygód tam nie ma, ale kuchenka, kibełek i prysznic są. Obcych do domu nie wpuszczam. Na długo pani zostanie?

– Na pięć, sześć dni.

– A stołować się też będzie pani u mnie? Bo to za dodatkową opłatą.

– Dobrze.

– To jakiś dokument pani pokaże i pieniądze biorę z góry, bo potem z tymi turystami to różnie bywa.

Minął dobry kwadrans, nim Anna, po dopełnieniu formalności, zaopatrzona w pościel i rozpałkę do kominka, mogła wreszcie zaszyć się w małym domku. Tyle samo zaciekawiona, co przejęta, weszła do środka. Nigdy tu nie była, znała go tylko z opisu Gośki. Rozejrzała się po niewielkim zimnym i zawilgoconym wnętrzu, całym w drewnie. Stara wersalka przy ścianie wymalowanej w niedźwiedzie i wilki. Mały stolik przy oknie, a przy nim dwa krzesła. Drewniana podłoga bez żadnych dywaników, a nad nią niski, belkowany sufit. W rogu pokoiku stał kominek

obłożony kamieniami, z poczerniałą od sadzy szybą. We wnęce przy wejściu znajdowała się kuchenka, a obok drzwi do łazienki. Razem gorzej niż surowo, ale dla Anny był to raj. Miejsce naznaczone obecnością jej ojca. Drżały jej ręce z emocji, gdy usiłowała rozpalić w kominku. Nigdy tego nie robiła, ale po kilku próbach i dmuchaniach w palenisko ogień zapłonął i w domku zrobiło się przytulnie. I nie wiedziała, czy spowodowało to ciepło z kominka, czy łagodna poświata ścieląca się od płomieni po jej twarzy, czy też zapach palonego drewna, a może coś zupełnie innego, ale poczuła się wyciszona. Było jej tutaj dobrze. Zasnęła otulona kocem i spała równie dobrze i mocno aż po świt.

## ROZDZIAŁ XXV

Następny poranek był słoneczny i wyjątkowo piękny. Po wczorajszym deszczu nie pozostało śladu. Niebo zachwycalo błękitem, słońce złociło pierwsze liście buczyny. Szumiały drzewa, śpiewały ptaki, gdzieś skrzypiała poluzowana deska rozkołysana wiatrem, ale Annie wyraźnie czegoś brakowało w tych odgłosach. Zatrzęsła się z zimna, bo ogień w kominku wygasł i w domku znów panowały wilgoć oraz chłód. Naciągnęła na czarny polar grubą kurtkę i z kubkiem herbaty wyszła na ganek. Dopiero teraz dostrzegła, że duży dom, w którym przed rokiem mieszkali, ma dostawioną z boku sporą, choć niewykończoną przybudówkę. Mogła pomieścić ze dwa pokoje. Poza tym wszystko wyglądało prawie tak samo, jak to zapamiętała. Ta sama stajnia obok domu, stara szopa, a przed nią porąbane sterty drewna, kury drepzące po trawiastym podwórku i ogrodzona łąka za domem, gdzie wtedy pasły się konie. Prawie jak dawniej, pomyślała z nostalgią, wsparta o drewnianą ścianę domku. A jednak coś było nie tak. Konie, nie słyszę koni, uzmysłowiła sobie.

Zostawiła kubek na ganku, rzuciła okiem na uwiązane psa i poszła do stajni. Wszystkie boksy stały puste, jakby od dawna nie trzymano tu koni. Nawet zapach już wywietrzał. Nie ma koni mojego taty; Anna była przybita tym odkryciem. Jechała tu także po to, by choć zobaczyć Smolucha, ulubieńca ojca, a spotkało ją rozczarowanie.

– Wcześniej pani wstaje – usłyszała za sobą głos gospodyni.  
– Gdzie są konie? – zapytała, wodząc dłonią po zardzewiałym skoblu od boku Smolucha.  
– Interes nie idzie, to trzeba było sprzedać – wyjaśniła jak gdyby nigdy nic Bigosowa, przepasana przybrudzonym fartuchem w poprzeczne paski.

– A ten czarny? Smoluch?  
– A tego wziął znajomy z Lutowisk, ale narzeka, bo to wredne bydło. Pięć tysięcy nam za niego dał i w brodę sobie teraz pluje. Turystów zrzuca i podobno gryzie, ale co my tam o koniach po próżnicy język będziemy strzępić. – Kobieta machnęła ręką. – Śniadanie gotowe. Dobrze pani z oczu patrzy, to zapraszam do mnie. Będzie nam cieplej, bo już napaliłam. – Podreptała kaczkowatym krokiem do wyjścia, człapiąc w za dużych męskich butach z przydeptanymi piętami.

– Dziękuję.

Ledwo Anna weszła do domu, poczuła, jak coś w niej pękło. Wszystkie wspomnienia chwil spędzonych tutaj piekły ją do żywego. Miała wrażenie, że w każdym kącie domu rozbrzmiewa muzyka Mozarta. Tam tata grał na skrzypcach – spojrzała na kominek. Siedziałam w tym fotelu. A tam, spojrzała w stronę sypialni, kochaliśmy się z Patrykiem co noc. Tam składał jej rocznicowe życzenia. „Nie żałujesz, że za mnie wyszłaś?” Przypomniała sobie tamto pytanie. To ty będziesz żałować, że się ze mną ożeniłeś; przymknęła na chwilę oczy i znów je otworzyła. A tam stała skrzynia z pamiątkami. Przepraszam, tato, nie dam rady, dłużej nie dam rady tego wytrzymać, bo za dużo, za dużo się wydarzyło. Najpierw zaszlochala, a potem wybuchnęła histerycznym płaczem. Tłumiony wcześniej, teraz dał ujście wszystkim jej emocjom i rozrywał od środka. Jakby tylko po to tutaj przyjechała, by przeżyć swoistego rodzaju katharsis.

– Co pani??? – Zdumiona gospodyni najpierw stała jak wryta, a potem podeszła do Anny, ujęła ją pod rękę i posadziła na krześle. – Ja może stara i głupia jestem, ale ty, dziecko, nie przyjechałaś tu przypadkiem.

– Ten dom – wykrztusiła przez łzy – należał do mojego ojca. Minął dopiero miesiąc, jak

umarł.

– To czego żeś nie gadała od razu, tylko o kwaterach mi tu głowę zawracałaś. – Bigosowa machnęła ścierką w powietrzu. Wcześniej wycierała nią mokrą od łez twarz Anny. – Tyś córka Wilka?

Skinęła głową.

– Twardy chłop był z niego i patrz, jak szybko rozstał się z tym światem. – Bigosowa pokiwała głową. – Sześćdziesiątki chyba nie jeszcze nie miał?

– Nie. Przepraszam, że tak się rozkleiłam, ale...

– Nie przepraszaj. Dobra to córka, która tak płacze po ojcu. A teraz jedz, dziecko, bo wystygnie.

Taka sama ze mnie dobra córka, jak dobra żona i przyjaciółka. A skrucną ponieważś mogę sobie najwyżej tylek podetrzeć, pomyślała z goryczą. Upłynęło trochę czasu, nim jako tako ochłonęła i zachęcana przez gospodynię zabrała się do śniadania. Jadła równie niemrawo, jak się czuła. Smarowała masłem domowy chleb pieczony na zakwasie. Rozgrzebywała w talerzu jajecnicę na boczku i pachnące pomidory, bez apetytu na cokolwiek. Bardziej niż śniadania potrzebowała ukojenia.

– Jedz, dziecko – zachęcała ją Bigosowa. Jeszcze wczoraj szorstka w obyciu kobieta, teraz wydała się Annie nawet sympatyczna. – Chudzinka z ciebie.

– Jak pani na imię?

– Zośka. Zośka Bigosowa jestem. To po mężu, a z domu Poręba. Ja zresztą też z tych stron. Ze Strzebowisk. Na stare lata człowiek zgłupiał i ranczo sobie kupił, ale dzieci namówiły, a teraz, człowieku, płacz i zaciskaj zęby. – Grzmotnęła pięścią w stół. Anna podskoczyła.

– Nie idzie państwu? Przecież tutaj jest tak pięknie.

– A jak ma iść, kiedy do nas nawet trafić ciężko, jak kto nie zna drogi, a ludzie teraz takie wygodne się porobili – zaczęła na wydechu. – Luksusu chcą, szpa, basenów i czego tam jeszcze. Te bogate to do lepszych hoteli jadą, a studenci groszem nie śmierdzą. A tych, co to ciszy szukają i zapłacić mogą, jak na lekarstwo. Na rachunki ledwo nam zostaje, a gdzie zysk? Toż my kredyt wzięli, na przybudówkę, bo pensjonat planowali zbudować, ale bank nielitościwy. Płacić każe, a skąd brać, kiedy nie ma z czego? Kolderka za krótka. Z jednego końca pociągniesz, a z drugiego nogi gołe. – Pani Zofia pochyliła się w stronę Anny.

– Dlatego sprzedaliście konie?

– Trochę nam te konie kredyt spłaciły, ale i tak źle. Bo pieniędzy nie ma. Teraz żałuję, że dałam się staremu namówić. Oszczędności życia i swoją gospodarkę człowiek tu utopił, a na starość i tak goły zostanie. Pięknie tu, prawda, ale samym pięknem człowiek nie wyżyje. Trzeba było cicho siedzieć na swoich zagonach, a nie o biznesie myśleć. A teraz musimy się gryźć, czym dziury łątać. O, twój ojciec – kobieta wskazała palcem na Annę – to bogacz był. Mało kogo przyjmował, konie dla fantazji trzymał, a od ludzi stronił. Dlatego my go tu Wilkiem nazywali. Bo jak tak czasem popatrzył na człowieka spode łba, to aż strach brał. Zawsze samotnik był z niego. Tylko z moim starym jako tako pogadał. Bo mój stary też koniarz, ale jak mu przed dwoma laty w krzyżu strzeliło, to więcej po szpitalach się wycierał, niż przy koniach chodził. Ale jak mu Wilk powiedział, że swoje ranczo sprzedaje i drogo nie chce, to się zapalił jak młodzik jakiś. Interes, interes życia zrobimy, tak mi przez miesiąc głowę truł – przedrzeźniała skrzekliwie. – Sam bogaczem chciał zostać, dzieciom trochę pomoc planował, bo wszystkie w świecie dorabiają, a ja, głupia baba, posłuchałam. A teraz coś mi się widzi, że jak tak dalej pójdzie, to o kiju stąd wyjdziemy. – Sapnęła głośno i umilkła. – Widzisz, dziecko, nie tylko u ciebie zgryzota taka. – Poklepała Annę po dłoni. – Każdy swój krzyż musi nosić.

– Tak, to prawda. Dziękuję za śniadanie. Było bardzo smaczne, będę się zbierać. – Anna



wstała od stołu.

– Gdyby smakowało, tobyś wszystko zjadła, a tak to jeszcze kury się po tobie najedzą. – Gospodyni wskazała ledwo napoczętą jajecznicę. – A przyjdź na obiad, to grzybowej zgotuję, bo po tych deszczach w lasach zatrząsienie grzybów. Dobrze choć to. Lubisz grzybową? Taką z kartofelkami, na gęstej śmietanie, z kielbaską? – pytała i gładziła Annę po plecach.

– Tak, ale dziś zjem gdzieś w okolicy. Pójdę w góry.

– Jak chcesz, tylko pogoda się psuje. – Wskazała za okno. Od południa nadciągały ciężkie ołowiane chmury, a dopiero co było błękitne niebo. – Tak to u nas jest z tą pogodą w Bieszczadach.

– Nie szkodzi. Mam odpowiednie ubranie. – Anna zatrzymała się przed drzwiami. – Pani Zosiu, powie mi pani, gdzie jest teraz Smoluch? Chciałabym go odwiedzić.

– A powiem, czemu miałabym nie powiedzieć? – Oderwała kawałek gazety i ołówkiem zanotowała adres. Anna wsunęła karteczkę do kieszeni. – A może ty, dziecko, jednak do mnie się przeniesiesz? – zaproponowała nieoczekiwanie. – Tam w tym domku zimno, a i mnie markotno samej. Jak stary wyjechał, to nie ma do kogo gęby otworzyć, a ja to lubię sobie pogadać.

– To miłe z pani strony, pani Zosiu, ale wolałabym zostać w małym domku. Jest mi tam bardzo dobrze i ciepło. Najwyżej wezmę z szopy więcej drewna, bo te, co miałam, to już się prawie wypaliły.

– A bierz, ile ci trzeba. Tylko wygarniaj te ze środka, to suchsze będą.

– Pójdę już, nie będę pani przeszkadzać. Spróbuję zadzwonić do dzieci, jak złapię sygnał.

– To masz i dzieci?

– Dwoje. Syna i córkę. – Anna się uśmiechnęła.

– To pewnie i męża też masz, bo ładna kobieta z ciebie. A dobry chociaż? – spytała zaciekawiona. – Bo mój to też nie najgorszy, tylko wypić lubi, jak każdy chłop.

– Dobry... najlepszy na świecie. Przepraszam – szepnęła i czym prędzej wybiegła z domu, aby znów nie rozplakać się z żalu.

A ten narastał i narastał z każdym krokiem, gdy Anna wyruszyła w swoją sentymentalną podróż. Chodziła dawnymi ścieżkami i miała wrażenie, że było to ledwo wczoraj. Zaczęła od miejsc nieodległych, ale najbardziej obecnych w jej wspomnieniach. Od wzgórza, gdzie przed rokiem puszczali z Patrykiem latawca i patrzyli w gwiazdy. Potem ruszyła na polanę z uschniętym drzewem. Położyła się na lekko wilgotnym pniu, jakby chciała wchłonąć z niego resztkę jego dawnej mocy. Może właśnie ty jesteś drzewem zapomnienia, którego tak szukam, pomyślała, obejmując bezlistny szkielet.

Teś przed odjazdem życzył mi odwagi, tylko skąd mam ją wziąć, skoro wciąż umykam jak tchórz przed prawdą, zastanawiała się, jadąc dżipem do Lutowisk, gdzie teraz był Smoluch. A może... Zaświtała jej w głowie myśl tak niedorzeczna, że z początku ją odrzuciła, ale tylko na chwilę, nim tamto pytanie powróciło. A może to właśnie jest odwaga – wziąć tylko na siebie zło, które się wyrządziło? Przeżywać swój błąd w samotności, do końca życia, aby ochronić tych, których się kocha? Nie wolno potępiać za prawdę, nawet najtrudniejszą, Anna ponownie wspomniała słowa profesora. Lecz co zrobić, gdy prawda sama w sobie może się okazać zabójczą trucizną? Nie dla mnie, ale dla tego, którego kocham i który kocha mnie? Nawet jeśli kiedyś czas zagoi rany, to przecież blizny i tak pozostaną. Może rzeczywiście zatajając ją, ochronię nie siebie, bo to, co zrobiłam i tak zostanie we mnie na zawsze, ale naszą miłość? Może to właśnie jest poświęcenie, o którym pisałeś, tato? Albo twoje ubezpieczenie, odpowiedziała sama sobie. Stawiała pytania przeciwko pytaniom i wciąż nie wiedziała, jak powinna postąpić.

Zatrzymała się przed sklepem w Lutowiskach, aby zapytać, jak dotrzeć pod wskazany przez Bigosową adres. Skręciła w wąską drogę w prawo i po chwili była na miejscu.

Obejście na końcu wsi było brzydkie i zaniedbane. Stary, drewniany, niewielki dom ze spadzistym dachem i szarymi ścianami, małe podwórko z oborą i stajnią, walające się wszędzie rupiecie, a obok łąka. Trochę niepewnie, jak intruz, Anna wysiadła z dżipa i zapukała w odrapane drzwi chałupy. Nikt nie odpowiedział. Rozejrzała się na boki, czy nie wybiegnie skądś jakiś pies, których widziała kilka, gdy jechała przez wieś. Ale tu nie było żadnego. Obeszła dom z prawej strony, nawołując:

– Dzień dobry! Jest tu ktoś?!

Znowu nic. Już chciała wracać, ale coś ją ciągnęło w stronę pagórkowatej łąki. Wysokie słońce zachęcająco oświetlało soczystą trawę. A na niej zobaczyła czarnego konia za wysokim ogrodzeniem z poprzecznych drutów. Poznała go od razu, to był Smoluch. Stał w oddali, odwrócony zadem, przy stercie łajna, w które ktoś wbił widły. Nawet z takiej odległości dostrzegła, że Smoluch ma spętane sznurem przednie nogi. Koń podskakiwał nieporadnie, chcąc się uwolnić z pęt. Potrząsał głową, rżał i wierzgał tylnymi nogami. Annie ścisnęło się serce na ten widok. Podeszła bliżej.

– Koniku. – Wyciągnęła do niego rękę, ale Smoluch odskoczył na tyle, na ile pozwalały mu ciasne pęta. Dopiero z bliskiej odległości Anna zobaczyła, że na szyi miał...

– O Jezu! – Wstrząśnięta przyłożyła rękę do ust. – Kto ci to zrobił?

Nawet na czarnej sierści widziała podbiegłe krwią pręgi od uderzeń. Kilka świeżych i kilka zabliznionych. Czym prędzej przelazła przez druty i nie wiedząc, co zrobić, zaczęła delikatnie gładzić poranione miejsca. Smoluch rżał nerwowo, mięśnie pod jego skórą drgały.

– Koniku, pamiętasz mnie – mówiła drżącym głosem. – Mój tata na tobie jeździł. Nie zostawię cię tu. Nie wiem, co zrobię, ale cię nie zostawię. Nie bój się, spokojnie, Smoluszkule...

Kucnęła przy przednich kopytach, by zdjąć gruby sznur, ale samymi palcami nie dała rady poluzować ciasnego węzła. Już chciała wrócić do samochodu po nóż, który widziała w schowku, ale od strony domu biegł ku niej starszy mężczyzna w gumiakach.

– A ona tu czego na moim polu szuka?! – wrzasnął rozwścieczony. Chyba był pijany.

Wtedy w Annę wstąpił diabeł. W jednej chwili znalazła się po drugiej stronie ogrodzenia, złapała widły wbite w pryzmę nawozu, zebrała w sobie całą odwagę i nastawiła je na sztorc. Mężczyzna zatrzymał się zbaraniały.

– To twój koń!? – krzyknęła groźnie, choć bała się potwornie.

– Mój, a jej co do tego?! – odparł, patrząc na nią spode łba.

– I ty go tak biłeś?! – Specjalnie mówiła na ty, by pokazać tym lekceważenie.

– A jeśli ja, to co ją to obchodzi?! – Nieznajomy mężczyzna około sześćdziesiątki, zarośnięty i brudny, ujął się pod boki. – Mój koń i moja sprawa! A ona niech się zabiera z mojego pola i widłami nie straszy, bo psy spuszczę i na policję zadzwonię!

– Nie zdążysz! – Anna wyjęła komórkę z kieszeni. – Właśnie zadzwoniłam do Inspekcji Weterynaryjnej i na policję – lgała jak z nut. – Już tu jadą. Zrobiłam zdjęcia na dowód, jak traktujesz konia. Za znęcanie się nad zwierzętami pójdziesz siedzieć! Postaram się, żebyś dostał to, na co zasłużyłeś! Jestem ze Związku Obrońców Koni i tropimy takich jak ty! – Cholera, nie wiem, czy jest w ogóle taki związek, pomyślała mimochodem, ale facet nie wyglądał na zbyt lotnego, więc na pewno też nie wiedział. – Doniesiono nam, że pastwisz się nad koniem, dlatego tu przyjechałam! W samochodzie mam dokumenty!

I wyglądało na to, że się nie pomyliła. Mężczyzna stracił cały rezon. Zsunął brudną czapkę na czubek głowy, podrapał się w potylicę i obejrzał za siebie.

– No po co te nerwy – próbował łagodzić sytuację pijackim bełkotem. – To diabeł, nie koń. Czasem człowieka taki wkurw chwyci, że obije bestię tak dla moresu, ale żeby zaraz znęcanie?

– Kupię go od ciebie!

Myślał z wysiłkiem przez chwilę, nim odkrzyknął:

– Dziesięć tysięcy da i niech go od razu zabiera!

– Dam pięć, bo to i tak za dużo jak dla ciebie, ale szkoda mi konia. I sam go przyprowadzisz do Niepamięci. Za... – Anna spojrzała na zegarek; dochodziła dwunasta – ...cztery godziny. Tylko niech cię ręka boska broni, żebyś próbował go siodłać, bo ma świeże rany!

– Babo głupia! – ryknął facet. – Toż to dziesięć kilometrów stąd! Z kamasza mam iść?!

– Jak chcesz! Albo spacer, albo kratki! I jeszcze grzywnę dołożą ci w sądzie! Wiem, bo na niejednej takiej sprawie byłam! A jak nie zapłacisz, to na rentę, czy co tam masz, wsiądzie ci komornik!

Znów się podrapał w głowę.

– Dobra, już dobra. – Machnął ręką zrezygnowany. – Niech już tak będzie, tylko niech odwoła tych inspektorów.

Dopiero teraz Anna z powrotem wbiła widły w nawóz i zamarkowała rozmowę przez telefon. W samochodzie puściły jej emocje. Pod kurtką spocila się jak mysz, w nogach miała watę. Kupiła konia i co dalej? Szaleństwo, kompletne szaleństwo, płakała i śmiała się jednocześnie. Nic, jakoś to będzie. Na razie Smoluch pomieszka u Bigosów. W końcu pani Zofia będzie miała na jakiś czas stałego lokatora. A ja mam pieniądze, aby płacić za marzenia, tłumaczyła sobie. Choć tak drobne. Będę jej płacić, a potem zabiorę Smolucha do Olsztyna. Maja już może na nim jeździć, przecież tata powiedział, że sobie z nim poradzi. I po raz pierwszy w życiu pomyślała nieśmiało, że ojciec byłby z niej dumny, gdyby ją teraz widział.

Dlatego bez wahania wypłaciła pieniądze z banku i wróciła do Niepamięci, by przekonać Bigosową. Ta, po wstępnej odmowie, ostatecznie uległa argumentom finansowym. Nawet powiedziała, że wystara się u sąsiada o karmę dla konia, a i u nich ze starych zapasów też coś się znajdzie. Dała się też wciągnąć w mistyfikację o Związku Obrońców Koni. Dość, że tego samego popołudnia, po dokonaniu opłat i złożeniu podpisów na umowie, Anna została formalną właścicielką Smolucha.

Ten, wypuszczony na znajome pastwisko i uwolniony z pęt, galopował w kółko z rozwianą grzywą. Piękny, dostoyny, prawie taki, jak go Anna zapamiętała, gdy nosił na grzbiecie jej ojca. Tyle, chociaż tyle, udało jej się na razie osiągnąć. A gdzie reszta?

## ROZDZIAŁ XXVI

Był sobotni wieczór. Czwarty dzień pobytu Anny w Niepamięci. Napaliła w kominku i wyciągnęła bolące stopy w stronę ognia. Otarła je do krwi, wspinając się w niewygodnych butach na Połoninę Wetlińską. Szła po śliskich kamieniach i stromiznach, z trudem łapiąc oddech. „Czym byłoby zdobywanie szczytów bez mozolnej wspinaczki na górę”, popatrzyła na list od ojca. Zabrała go ze sobą i czytała co noc. Zupełnie tak, jakby to on do niej mówił. Masz rację, tato, masz rację; dotykała palcami każdej literki. Dla takiego celu warto się potrudzić. Ona też trudziła się dzisiaj rano, nim zasapana i spocona weszła na szczyt. Zmęczenie poszło w niepamięć, gdy zobaczyła widok z Połoniny Wetlińskiej. Ten sam, na tle którego pozowali do wspólnego zdjęcia jej rodzice. Ona też miała podobną fotografię sprzed roku. Stała przytulona do Patryka, który trzymał Adasia w nosidelku. To Maja pstryknęła im tę fotkę i dziesiątki innych, gdy przemierzali wtedy Przełęcz Orłowicza aż na Smerek.

Dziś przebyła tę drogę sama. Za towarzystwo, prócz paru studentów, miała własne myśli. Anna odwróciła głowę w stronę okna. Na niebie rozbłysły miliony gwiazd. Odłożyła list, posmarowała bolące nogi maścią i ubrała się ciepło. Podziękowała za kolację u pani Bigosowej, zajrzała jeszcze do Smolucha, który gryzł siano w stajni, i z kocem pod pachą poszła na „swoje” wzgórze. Leżała pod kopułą granatowego nieba, zapatrzona w gwiazdy. Na niebie jaśniał Wielki Wóz.

„Którą gwiazdę wybierasz?” – zapytał Patryk.

„Tę środkową, przy dyszlu” – odpowiedziała.

„Nazywa się Mizar. Jest twoja”.

A potem był pocałunek, Anna znów wspomniała tamten dzień sprzed roku, gdy Patryk ofiarował jej gwiazdę. Przyłożyła palce do warg. Ostatnio całowaliśmy się wtedy, przy pomniku Kopernika, gdy Maja zapinała kłódkę na Moście Zakochanych. Boże, jak to było dawno, u schyłku zimy. Nasz ostatni raz. Gdybym wtedy wiedziała, gdybym wiedziała to, co wiem teraz! Annę ogarnęły bezsilność, przygnębienie, żal, wszystkie te emocje, przed którymi tu uciekła. Zmrużyła oko i wyciągnęła kciuk w stronę Mizara. Przykryła nim swoją gwiazdę. Widzisz, gwiazdko, myślała, wciąż leżąc z wyciągniętą w górę ręką, jestem tu, na ziemi, i potrafię cię dotknąć, a ty tam, wysoko, prawie nieśmiertelna, a nie umiesz spełniać marzeń.

Nagle otaczającą ciemność przecięły migający gdzieś w oddali ruchomy punkcik. Ktoś szedł z latarką od strony domu. Pewnie Bigosowa; Anna usiadła na kocu. Nie, ta osoba była za wysoka na panią Zofię, za szczupła. Wytężyła wzrok; szedł, a właściwie teraz już biegł ku niej mężczyzna. Tylko jeden człowiek tak biega. Tylko jeden tak trzyma ręce, tak unosi nogi i sprężyste odbija się od ziemi. Tylko Patryk.

– Co ty tu robisz? – zapytała zdumiona. – Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Tylko tu mogłaś przyjechać – odpowiedział i klęknął naprzeciw niej. Nieco dyszał, zmęczony biegiem, a może i przytkany tym, co chciał powiedzieć. Słabe światło latarki rozjaśniło mu twarz. Mimo mroku Anna dostrzegła w jego oczach wyraźny smutek.

– Aniu... – zaczął mówić. Głos miał taki sam jak twarz, pełen przygnębienia. – Powiem od razu, bez wstępów i powitań, póki jeszcze dam radę coś powiedzieć. Po to tu przyjechałem. Widzę, jak bardzo się ze mną męczysz, i nie mogę dłużej na to patrzeć. Wszystko przemyślałem i... – potarł palcami kąciki oczu u nasady nosa – ...jeśli jest w twoim życiu ktoś albo chcesz, żeby był taki ktoś, z kim będziesz szczęśliwsza niż ze mną, to ja się usunę. Całą winę w sądzie wezmę

na siebie, bo przeze mnie to wszystko. Wiem, że przegrałem. To nie to, że się poddałem, ale chcę cię od siebie uwolnić. Dlatego jeśli chcesz rozwodu, to ja już się z tym pogodziłem – zakończył z oczami wbitymi w kraciasty koc. Malowała się w nich rezygnacja człowieka, który pokornie przyjmuje swój los.

Wtedy, w ułamku sekundy, Anna podjęła decyzję. Jakby zyskała nadzwyczajną siłę, która przewyciężyła wszelkie jej dotychczasowe wątpliwości. Z początku siedziała nieruchomo, a potem przytuliła się do męża.

– Nie ma i nigdy nie będzie nikogo w moim życiu prócz ciebie – szepnęła.

– Czy to znaczy, że... że... – jąkał się oszołomiony.

– Że cię kocham i chcę się z tobą kochać, do utraty tchu, zanim nadejdzie świt.

W małym, spartańskim domku przy kominku noc długo nie wpuszczała dnia. Zanim w końcu nadszedł, oni, wtuleni w siebie, zasypiali tylko na chwilę, by potem znów oddawać się miłości. Celebrowali każdą jej minutę. Cieszyli się nią jak długo wyczekiwaną nagrodą za wszystko, co musieli przejść. Powoli, niespiesznie, poza pierwszym razem, gdy nie zdążyli dopaść do łóżka, tylko zdarli z siebie ubrania przy drzwiach i przy drzwiach wypełnili się sobą, ogarnięci wzajemnym pożądaniem. Było już jasno, leżeli spleceni ze sobą w pachnącym wypalonym drewnem pokoiku. Patryk muskał skórę Anny, dotykiem, który uwielbiała i za którym tęskniła przez tyle miesięcy.

– Wiesz, teraz tak myślę – zaczął z przerwą na pocałunek – że to, co nam się zdarzyło, widocznie musiało się zdarzyć. Gdyby nie to, prawdopodobnie nigdy nie zastanowiłbym się nad sobą. Joanna poleciła mi dobrą terapeutkę w Warszawie. Będę tam jeździć, choćby miało to trwać lata. Ale skoro pokonaliśmy taki kryzys, to chyba możemy być tylko silniejsi. Teraz nic nie jest w stanie nam zagrozić. Jak myślisz, kotku? Przecież w końcu się odnaleźliśmy.

– Tak, w końcu się odnaleźliśmy – odpowiedziała z głową na jego ramieniu.

Nawet jeśli świadomość mojego czynu nigdy się nie zatrze i zawsze będzie moją bliźną na sumieniu, to wołę znosić wszystko sama. Ty nie musisz cierpieć za mój błąd, dopowiedziała w duchu.

– A teraz myślę, że czas nakarmić konia i chyba zamówić u naszej gospodyni śniadanie dla ciebie.

– Jakiego konia? – Patryk uniósł się na łokciu. – Chyba nie przywiozłaś tu Jenny? Ale przy twojej fantazji wszystko możliwe – dodał ze śmiechem.

– Jenny nie przywiozłam, ale kupiłam jej towarzysza, Smolucha. Stoi w stajni. – Opowiedziała mu, co się stało. O koniu, a także o pani Bigosowej, która przyciśnięta kłopotami z podupadającym interesem zgodziła się na jakiś czas przetrzymać Smolucha. – Trzeba go jakoś przetransportować do Olsztyna. Zresztą my też już powinniśmy wracać do domu. Do naszych dzieci. A jak się urwałeś z pracy? Nie masz już przecież urlopu.

– Małe czary-mary w grafiku i do wtorku mam labę. Naprawdę nie bałaś się wyskoczyć na tego gościa z widłami? – Patrzył na nią z niedowierzaniem i podziwem.

– Bałam się jak diabli, ale co miałam robić? Mógłbyś obejrzeć rany Smolucha? Weterynarz miał przyjść wczoraj, ale jakaś krowa się cielila i nie zdążył. Próbowałam nawet dzwonić do Marcina, żeby mi podpowiedział, czym to smarować, ale przez cały dzień były problemy z zasięgiem.

– Jasne, o ile znam się na koniach. Z pewnością Marcin jest lepszym specjalistą od takich obrażeń niż ja. Ale najpierw zobaczę twoje. – Odrzucił kołdrę i obejrzał pościerane stopy Anny.

– Nieźle się urządziłaś. No cóż, przyjdzie mi nosić cię na rękach przez parę dni. – Pocałował jej duży palec u nogi.

– A już myślałam, że przez całe życie będę miała taki luksus. – Udała zawiedzioną.

– Mówisz i masz. – Znów ją pocałował. – Ale najpierw opatrunki.

Po śniadaniu w towarzystwie jeszcze bardziej rozgadanej pani Bigosowej, bo co dwóch słuchaczy, to nie jeden, wybrali się na spacer. Wcześniej, przy nieodłącznym trajkocie gospodyni, Patryk wtarł w rany Smolucha maść z nagietka, co pani Zofia pochwaliła, gdyż, jak powiedziała, „mój stary też leczył konie nagietkiem”. Niewiele brakowało, a złakniona towarzystwa kobieta poszłaby z nimi na połoniny. Jedynie wizja dodatkowego zarobku za obiad, który u niej zamówili, odwiodła ją od tego pomysłu. Obtarte nogi tak dokuczały Annie, że choć bardzo chciała wejść na Caryńską, skończyła swój marsz na polanie z uschniętym bukiem. Patryk przez połowę drogi, tak jak obiecał, niósł ją na plecach.

– Pamiętasz, jak czekaliśmy tu przed rokiem na Andrzeja? – zapytał, gdy usiedli na chwilę.

– Jak mogłabym zapomnieć – odpowiedziała przytulona do niego. – Jeżeli można kochać jakieś miejsce, to ja kocham właśnie to. Przyjedziemy tu razem za rok.

– Tak, tak – rzucił machinalnie, ale myślał chyba o czymś innym. Tarł w skupieniu czoło, przygryzał wargę, marszczył brwi, wyraźnie coś rozważając. Potem wstał, przeszedł kilka kroków przez polanę, cisnął przed siebie szyszkę, po czym odwrócił się gwałtownie do Anny.

– Kochanie, mam szalony pomysł – zakomunikował z błyskiem w oczach. – Skoro mamy dwa konie i wielkiego psa, to kupmy im dom!

– Nie rozumiem.

– Spróbujmy odkupić od tych ludzi Niepamięć – ciągnął rozgorączkowany, kucnąwszy przy Annie. – Sama powiedziałaś, że interes im nie idzie, więc może nie wezmą tak drogo, a ty przecież masz spadek po ojcu. Może właśnie dostałaś te pieniądze po to, by tak je wykorzystać?

– Zwariowałaś? – Aż zadrzała po własnym pytaniu. Tylko nie wiedziała, czy z chłodu, czy z emocji, które zaczęły ją ogarniać.

– Może i zwariowałem – przyznał rozemocjonowany jak Anna. – Ale czuję, że to będzie najlepsza decyzja w naszym życiu. Zamieszkajmy tu – poprosił, ściskając jej ręce.

– Mamy się przenieść z Olsztyna ponad sześćset kilometrów dalej? Zostawić Maję samą albo oderwać ją od Marcina? A twoi rodzice będą spędzali starość samotnie? Bez nas? A Gośka? I co z twoją pracą? Poza tym nie mamy pojęcia o życiu na wsi, o prowadzeniu gospodarstwa. W dodatku nie wiemy, czy jest tu jakieś przedszkole i dobra szkoła dla Adasia. Nie, to naprawdę szaleństwo. – Przez jej usta przemawiał zdrowy rozsądek, ale sama już pragnęła pędzić do pani Bigosowej i zaproponować, że oni kupią to gospodarstwo.

– Jeśli chodzi o Maję – odparł Patryk – to dawno już przestałem się łudzić, że mam wpływ na jej życie. Zrobi, co będzie chciała. Ja mogę najwyżej sugerować to czy owo, a ona i tak postawi na swoim. To twarda sztuka. Zresztą może studiować gdzieś bliżej albo robić cokolwiek innego, byle tylko była szczęśliwa. A za moich rodziców ani za Goškę życia nie przeżyjemy. Witek dostał już wizy. Złożył wypowiedzenie w szpitalu i jak słyszałem, wyjeżdża gdzieś za dwa tygodnie. A jeśli chodzi o moją pracę, to najmniejsze zmartwienie. Mogę być tu zwykłym wiejskim lekarzem, obojętne, albo tylko mężem bogatej żony, byleś ty była szczęśliwa. A jak ty będziesz, to i ja też. To jak? Chirurgiczna decyzja, wchodzimy w to?

– Ty mówisz serio??? – Anna przełknęła ślinę. Gardło miała wyschnięte. – Chciałbyś? Byłbyś gotów aż tak wszystko zmienić? Mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. – Przyłożył rękę do piersi. – Jak tu jechałem, to byłem przekonany, że wszystko już za nami, a okazało się, że wszystko dopiero przed nami. Zacznijmy nowe życie, w nowym miejscu, tak ważnym dla ciebie. I dla mnie już też. Nie teraz, ale na przykład jak Maja zda maturę, oczywiście, o ile ci ludzie zgodzą się nam to sprzedać. Adaś miałby tu jak w raj. A szkoła na pewno jest w pobliżu. Przecież w okolicy mieszkają dzieci. Przedszkole też gdzieś

musi być. Tylko nie wiem – Patryk się zasepił – co z twoją pracą? Co mogłabyś tu robić?

– Ja? – Anna też przyłożyła rękę do piersi. Serce tłukło się w niej jak szalone. – Chyba już wiem, co mogłabym tu robić.

– A co? – spytał zaciekawiony.

– Chciałabym pisać.

– Pisać?

– Książki. I nawet już mam pomysł na jedną. Właściwie to prawie ją napisałam. Potem skasowałam, ale wszystko pamiętam. Później ci o tym opowiem. – Próbowała opanować rozedrgane emocje, które wprost się z niej wylewały. – Skoro naprawdę uważasz, że moglibyśmy spróbować to kupić, to trzeba by pogadać z tą właścicielką – mówiła i tak wirowało jej w głowie, jakby była pijana.

– To wracajmy do pani Bigosowej. Wskakuj. – Patryk pochylił plecy, z czego Anna skwapliwie skorzystała. – Podejmiemy dyskretnie od ogrodu, by prześlizgnąć się do małego domu i odpowiednio pokrzepić przed najważniejszymi w życiu negocjacjami. Taki szybki seksik to najlepszy dopalacz.

– Zdaje mi się, że od wczoraj niczego innego nie robimy. – Anna pocałowała męża w ucho.

– A co będziemy sobie żałować.

Niedziela, pierwsza od dawna dobra niedziela. Anna dziękowała za nią w duchu losowi. I choć nie zatarła w niej świadomości tamtych złych, to przyćmiła ich bolesne wspomnienia.

## ROZDZIAŁ XXVII

Z Niepamięci wyjechali w poniedziałek rano, do ostatniej godziny prowadzili negocjacje z panią Bigosową. Te nie przebiegały niestety pomyślnie. Anna była gotowa oddać za posiadłość ojca wszystkie pieniądze, jakimi dysponowała. Nawet to, co dla niej zgromadziła przez wiele lat matka. Patryk, który wziął na siebie rozmowy, działał metodycznie. Najpierw wyliczył konieczne w gospodarstwie inwestycje i kwoty, jakie pochłoną. Wspomnił o rentowności gospodarstw turystycznych w Bieszczadach, gdzie konkurencja zabierała spodziewane zyski. Sypał cenami nieruchomości w okolicy, wykazując, że ostatnio spadały. Wyliczył rosnące stopy procentowe w bankach. Wabił kupnem za gotówkę, więc prawie od ręki, a na koniec zabił ćwieka Bigosowej, mówiąc, że mają na oku coś innego, a Niepamięć postanowili kupić wyłącznie z sentymentu.

– Jednak skoro pani nie chce, to nie nalegam – zakończył i wstał od stołu, gdzie gospodyni podała im ostatnie śniadanie.

– Zaraz, chwileczkę. – Bigosowa pociągnęła go za rękaw. Usiadł ponownie. – To tak ostatecznie ile państwo by dali?

Patryk wymienił sumę, która stanowiła połowę spadku Anny. Ona zaś zaciskała palce pod stołem, aby tylko nie było za mało, ale jeszcze wstrzymywała się z podwyższeniem kwoty. Pani Zofia niby się skrzywiła, ale zdradziły ją chytre oczka, które aż się zaśmiały, co oboje dostrzegli.

– Dużo państwo nie dają – podsumowała niby obojętnie.

– Niestety, więcej nie możemy – odrzekł zdecydowanie Patryk. – Czasy są teraz ciężkie, a i tak to, co oferujemy, to więcej, niż państwo zapłacili, a więc krzywdy żadnej nie ma.

– A kto tu mówi o krzywdzie? – zaperzyła się Bigosowa. – Tylko pomyśleć trzeba. Ze starym muszę pogadać.

– Proszę się w spokoju zastanowić – ciągnął – przedyskutować sprawę z mężem i dać nam znać. Byle nie za późno, bo jak już pani mówiłem, mamy na oku równie atrakcyjną nieruchomość na Mazurach.

– Pogadam, pogadam, a państwo to już teraz jadą? Może zaczekacie do jutra, aż mój stary wróci?

– Nie możemy – włączyła się Anna. – Tęsknimy do dzieci, a jutro mąż musi być w pracy. Pani Zosiu, proszę dbać o Smolucha. Postaram się go zabrać gdzieś tak za miesiąc, ale do tego czasu niech u pani zostanie.

– Nie bój się, dziecko, o niego. – Kobieta pogładziła ją po plecach. – Krzywda mu się tu nijaka nie stanie. Ale jak powiem mojemu, jak załatwiłaś starego Kolasę, to chyba nie uwierzy! – Zaśmiała się grubym głosem. – Widać, żeś córka Wilka. On też miał bzika na punkcie koni. A jak na nich jeździł... – Wzniosła oczy ku sufitowi, pełna zachwyty na pucułowanej twarzy.

Ja też będę kiedyś na tobie jeździć. Anna przed wyjazdem pogładziła czarnego konia. Pogalopujemy przez te łąki i pagórki, tak jak galopowałaś z moim tatą. Bo wrócimy tu, koniku, zobaczysz, zaklinała dobre myśli, by przerodziły się w pomyślnie rozwiązanie. Wrócimy do miejsca spełnionych marzeń. Tu, gdzie moi rodzice byli najszczęśliwsi. I my też będziemy. Bo to będzie nasze miejsce. Ta wiara nie opuszczała jej przez całą drogę do Warszawy, gdzie zatrzymali się na odpoczynek u Iwony. Patryk, po krótkim powitaniu z teściową, pojechał na spotkanie z nową terapeutką. Zostały we dwie w wynajętym mieszkaniu przy Grójeckiej. Iwona była osowiała.



– Jak ty się trzymasz, mamo? – zapytała z troską Anna, nie jak córka, lecz jak kobieta, rozumiejąca niespełnioną miłość drugiej kobiety. Iwona pojęła jej intencje.

– Wiesz – upiła łyk kawy – chyba dopiero teraz, po jego śmierci, poczułam się wolna.

– Dziwnie to brzmi.

– Nie umiem tego dokładnie określić, ale wyzwołam się z tych wszystkich nadziei, które przez tyle lat sama w sobie naiwnie podtrzymywałam. Od początku wierzyłam w niemożliwe. Wyobrażałam sobie coś, czego nigdy nie miałam i mieć nie mogłam. Andrzej należał tylko do twojej matki. Ten napis, który kazał wyryć na tabliczce, „połączeni miłością silniejszą niż śmierć”, może jest zbyt sentymentalny i patetyczny, ale jakże prawdziwy w ich przypadku.

– Jaka ona była? – Anna zadała to samo pytanie co wiosną, gdy chciała się czegoś dowiedzieć o swojej matce.

– Ojciec ci nie mówił? – Iwona odpowiedziała pytaniem.

– Mówił – przyznała. – Ale chciałabym to też usłyszeć od ciebie. To w końcu twoja siostra.

Iwona zamyśliła się na chwilę. Obracała w palcach sznur długich perełek na szyi, zapatrzona gdzieś przed siebie. Anna przyglądała się matce z uwagą. Jednak nie dostrzegała na jej twarzy tej zaciętości, którą widziała wcześniej, gdy wracały wspomnienia.

– Gdybym mogła jednym słowem określić moją siostrę – zaczęła Iwona – to najbardziej pasuje do niej słowo „łagodna”. Właśnie taka była. Dla każdego. Nawet dla mnie, choć ja byłam dla niej paskudna. Im bardziej jej dokuczałam, tym ona była łagodniejsza. Nie potrafiła się gniewać, obrażać, tylko kochać. Ale ja nie chciałam tego widzieć. – Uśmiechnęła się smutno.

– Nie szkoda ci teraz?

– A co to teraz zmieni? – Matka wzruszyła ramionami. – Nic dziwnego, że Andrzej stracił dla niej głowę. A ja sama siebie skazałam na samotność, walcząc o miłość, której on nie mógł mi dać. To było jak choroba, z której dopiero teraz chyba udało mi się wyleczyć. Po ponad trzydziestu latach.

– Mówią, że w życiu na nic nie jest za późno.

– Może i tak, bo jeszcze przed śmiercią Andrzeja oświadczył mi się Stefan.

– A ty?

– Nie wiem, muszę się zastanowić, ale trochę zmęczyła mnie samotność. Chyba już czas, aby zmienić ten stan. Wiesz, córeczko – objęła Annę ramieniem – jeszcze niedawno bałam się, że podzielisz mój los, ale wystarczy na ciebie spojrzeć, aby zobaczyć, że jednak wam się udało. Już nie myślisz o rozwodzie?

– Nie, teraz już nie.

– Bardzo się z tego cieszę. – Iwona otworzyła na oścież okno. – Zaraz powinna zjawić się u mnie Małgosia. Miała przenocować, bo ma coś do załatwienia jutro w Warszawie.

Małgosia wydała się Annie pogodniejsza, niż kiedy widziała ją przed kilkoma dniami. Miała delikatny makijaż, ładnie ułożone włosy ufarbowała na brązowo, a zamiast czarnej sukienki nosiła długą spódnicę z ażurowym jasnym swetrem, a do tego bursztyń zawieszony na szyi. Wyglądała prawie tak, jak dawniej, gdyby mimo wszystkich pozornych zmian nie odcisnęło się na niej piętno doświadczeń. Małgosia zjadła obiad, a ponieważ Patryk jeszcze nie wracał, wybrały się we dwie na krótki spacer. Kiedy tak szły przed siebie Grójecką, pogrążone w rozmowie, w pewnym momencie Małgosia wzięła Annę pod rękę.

– To, co zrobił dla mnie twój ojciec, jest nie do uwierzenia. To tak jakbym wygrała los na loterii. Nie zmarnuję tej szansy. Dlatego nie będę już więcej rozpaczać, bo i tak za długo to trwało. Chcę wrócić do życia, aby mieć siłę walczyć o to, co straciłam. Poszukam jakiejś pracy, a juro pójdę do ambasady i dowiem się, jakie w przyszłości mam szanse na wizę do Stanów.

Helen tak mi poradziła. Wczoraj poleciała do Bostonu.

– To dobra kobieta i bardzo ci sprzyja.

– Najlepsza, jaką spotkałam. Jest dla mnie jak matka. Powiedziała, żebym nie traciła nadziei, bo może wszystko się uda. Jak myślisz, Anka, uda się?

– Uda, wszystko się uda, bo już dość tego złego, co nam się przytrafiło – odparła z przekonaniem Anna. – Pamiętasz, powiedziałaś mi zimą, że z okruszków nie da się ulepić kromki. I miałaś rację. Dlatego nie będziemy niczego lepić z okruszków, tylko upieczemy nowy chleb, na nowe życie. Ty i ja. Każda swój.

Zmierzchało już, gdy jechali siódemką w stronę Olsztyna. Pierwszy Patryk swoim volvo, a za nim Anna. Wyjechali z Warszawy później, niż początkowo planowali, bo Patryk załatwiał jeszcze jakieś sprawy. Ciężkie pomarańczowe słońce opadało za horyzont. Anna, pomimo że była zmęczona i musiała się skupić na ruchliwej trasie, nie mogła oczu nacieszyć mijanymi pejzażami, pełnymi łagodnych pagórków, lasów i ścielących się nad nimi wieczornych mgieł. A nawet gdyby lał rześisty deszcz albo nadciągnęła burza z piorunami, to dla niej i tak świeciło słońce. Najtrwalsze, bo wewnętrzne. Wracala z długiej podróży ku nowemu życiu. I z całej siły wierzyła, że będzie to dobre życie. Za Olsztynkiem Patryk zasygnalizował kierunkowskazem zjazd na pobocze. Zatrzymał się w zatoczce na przystanku i wyskoczył z samochodu z komórką w dłoni.

– Musiałem ci od razu pokazać, bo sam jeszcze w to nie wierzę. – Cieszył się jak dziecko. Podsunął jej przed oczy wyświetlacz z wiadomością. Jedno krótkie zdanie, które dopełniło jej radości.

„Jak Państwo dają tyle ile mówili to my się zgadzamy”.

Anna nie zdążyła jeszcze ochłonąć, gdy Patryk zaskoczył ją ponownie.

– Kotku – powiedział, wyjmując z kieszeni kurtki pudełeczko – może to mało romantyczne miejsce, ale skoro mamy zacząć nowe życie, to trzeba do niego dobrego symbolu. Jeśli chcesz, to mogę grzebać w tych krowich plackach, ale pewnie zajęłoby mi to sporo czasu, więc kupiłem nam nowe obrączki. Dlatego straciłem tyle czasu w Warszawie.

Były inne niż te stare. Zwykle, proste, z żółtego złota. Patryk włożył mniejszą na palec Anny i pocałował ją w rękę. Większą nasunął na swoją starą obrączkę, bo jak powiedział, każda będzie mu przypominać o czymś ważnym.

Teraz chcieli jak najprędzej powiadomić bliskich, że latem przeprowadzają się w Bieszczady.

Na wieść o przeprowadzce Majka najpierw oniemiała, a po chwili zaczęła pisać z radości. Teść przyklasnął pomysłowi, a Mira z brzękiem upuściła widelec i śmiertelnie pobladła. Siedzieli wszyscy przy późnej kolacji w mieszkaniu przy Warmińskiej: Patryk z Anną, teściowie i Maja z Marcinem. Tylko Adaś już spał.

– Boże Przenajświętszy! – Matka Patryka załamała ręce. – A cóż to za nowe brewerie?! – spytała, patrząc z przerażeniem najpierw na syna, a potem na synową. – Synku, przecież nie możesz wyjechać tak daleko!

– Nie tylko mogę, ale i chcę. – Patryk nie przejął się ani protestem matki, ani jej dramatycznym wystąpieniem.

– Pawle, zrób coś! – Mira szukała wsparcia u męża. – Co będzie z nami?

– Ani myślę niczego robić. – Zadowolony profesor zacierał dłonie. – I powiem więcej, bardzo mi się podoba ten pomysł. Nie rozumiem twoich obiekcji, moja droga. Niby co ma być z nami? – Popatrzył na żonę. – Może wreszcie sobie przypomnisz, że prócz syna masz jeszcze męża. Czekałem na to prawie czterdzieści lat.

– To pewnie twój pomysł, Anno. Po to była ta cała eskapada w Bieszczady – syknęła

profesorowa i demonstracyjnie pomaszerowała do łazienki.

No tak, ona jest jak przyływ i odpływ oceanu, pomyślała Anna, spoglądając za teściową. Wywożę jej syna, więc teraz nastąpi trwały odpływ jej sympatii do mnie. Pal sześc, zupełnie zignorowała zachowanie Miry.

– O rany, jak się cieszę! – raz po raz powtarzała pełna entuzjazmu Maja. – Mamo, naprawdę kupiłaś Smolucha? Marcin, zobaczysz, jaki to piękny koń. Spędzimy w Niepamięci całe przyszłe wakacje. I wszystkie następne. Bo to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Dużo piękniejsze niż Włochy – mówiła z takim przejęciem, że Anna szczypała się w rękę pod stołem, czy to sen, czy jawa. Jeśli sen, to nie chciała się z niego nigdy obudzić.

– Tak jest, szefie – zgodził się posłusznie Marcin. – Jak postanowisz, tak będzie.

– Ooo, widzę, że moja córka wzięła cię pod pantofel – zauważył Patryk. – Nie wiem tylko, co z tobą będzie, jak Maja wyjedzie z nami.

– Pod pantofel sam się wcisnąłem i jest mi całkiem wygodnie – odrzekł chłopak, cmokając w policzek Maję. – I jestem gotów pojechać wszędzie za moim dowódcą, nawet w Himalaje, jeśli taka jej wola. Majka, zabierzesz mnie?

– Jak będziesz grzeczny. – W odpowiedzi pokazała mu język.

– I to jest właściwe podejście do sprawy. – Profesor klasnął w dłonie. – Pójdę, zobaczę, co z babcią, bo długo jej nie ma.

– A właśnie. – Anna pstryknęła palcami. – Maju, skoro rozmawiamy o przeprowadzce, to myślałaś już o studiach dla siebie? Może gdzieś bliżej nas? Nie wiem, Lublin, Kraków, Katowice. Jesteś taka zdolna, że dostaniesz się wszędzie, gdzie zechcesz. Może jakaś filologia na Jagiellonce albo prawo? A może byś wołała kierunek artystyczny. Tylko nie wiem, czy w Krakowie jest odpowiednia uczelnia – podsuwała, bo chciała mieć Maję jak najbliżej.

– Z ust mi to wyjęłaś – włączył się Patryk. – Córca, co ty w ogóle zamierzasz studiować? Oczywiście nie chcę naciskać, ale czy nie rozważałaś medycyny? Albo stomatologii? Wiesz, byłabyś trzecim pokoleniem lekarzy w rodzinie, a to już coś. We wszystkim ci z dziadkiem pomożemy.

– Rany! – jęknęła dziewczyna. – Ja jeszcze nawet o studniówce nie myślę, a co dopiero o studiach. Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Chodź, Marcin, wyprowadzimy Bandytę, nim rodzice wybiorą mi studia, uczelnię, miasto i umeblują całe życie.

To był wyjątkowy wieczór, prawie tak wyjątkowy jak ten, który Anna spędziła ze swoim ojcem. Tylko w powiększonym gronie. Wieczór opowieści i snucia planów. Przy pożegnaniu ojciec Patryka wziął Annę na bok.

– Widzisz, córuchna, mówiłem ci, że życie jest nieprzewidywalne. A co dopiero miłość.

## ROZDZIAŁ XXVIII

*Niepamięć, 10 lipca 2014*

Anna napisała tę datę na końcu swojej najnowszej powieści. Od czasu gdy przeprowadzili się do Niepamięci, czyli od pięciu lat, wydała cztery książki. Każda była lepsza od poprzedniej. Ale to do pierwszej miała największy sentyment, chociaż nie odniosła spektakularnego sukcesu. Może nawet i przemknęła niezauważona, lecz dla Anny była najważniejsza, bo zawarła w niej część własnej duszy, opisując siebie i swoją trudną drogę do szczęśliwej miłości. Napisała całość od nowa, inaczej niż przed laty, gdy zwierzała się komputerowi, by poczuć ulgę. Teraz unikała zawitych zdań i kwiecistego stylu. Pisała tak, jak czuła, po prostu z głębi serca. Zatyłowała ją: *Jeśli się odnajdziemy*. Przecież sama tego szukała. I znalazła. Nie tylko miłość, pokonując przeciwności losu, ale i nową drogę w życiu. Dlatego zadedykowała tę powieść swojemu ojcu. Przez pamięć o nim wydawała swoje książki pod panińskim nazwiskiem. W kolejnych też opisywała miłość, ale wplecioną w prawdziwe losy Warmiaków i Mazurów, swoich nieznanych wcześniej przodków. Nawet jedna z jej powieści została przetłumaczona na niemiecki. Umberto Eco powiedział, że kto czyta książki, żyje podwójnie, Anna dodała do tego własną myśl, że ten, kto pisze książki, żyje na nowo. Tak jak ona.

Pisała w małym domku. To była jej samotnia, cudowne miejsce, w którym ukryta przed światem oddawała się swojej pasji. Miejsce naznaczone obecnością jej ojca. Nawet jego portret wisiał właśnie tutaj. Tu zgromadziła wszystkie pamiątki po Andrzeju Bendorfie i te, które on sam gromadził dla niej. Patryk zrobił specjalną skrzynię, aby nie niszczały w kartonach. Na wierzchu leżały skrzypce mamy. Anna jeszcze nie nauczyła się na nich grać, ale wierzyła, że kiedyś to nastąpi. Zaś kapelusz ojca wisiał przy wejściu. Tak jakby w każdej chwili miał włożyć go na głowę i dosiąść konia. Wszystko razem sprawiało, iż Anna czasem czuła, że ojciec jest przy niej. A list od niego, jej najważniejszy drogowskaz, leżał schowany w szufladzie biurka. Teraz też go wyjęła. Nie musiała nawet czytać, znała na pamięć każdy przecinek, każdą literę, ale lubiła trzymać tę kartkę w rękach.

Boże, pięć lat, jak to szybko minęło i ile się w tym czasie zdarzyło! Anna odłożyła list i uniosła ręce, przeciągając się na krześle. Za oknem długie sznury prania łopotwały na wietrze jak żagle. Tak samo jak rąbek firanki powiewający w dużym domu. Teraz ich dom był już wykończony. W przybudówce wygospodarowali trzy pokoiki i małą łazienkę. Jeden należał do Mai. W drugim Patryk urządził swój gabinet, a trzeci służył gościom.

Najczęściej z Warszawy wpadała Iwona ze Stefanem, bo po rocznym wahaniu zdecydowała się za niego wyjść. Anna cieszyła się, że matka w końcu ułożyła sobie życie. Czasem do Niepamięci przyjeżdżali teściowie. Już po pierwszej wizycie Mira oświadczyła, że chciałyby tu zamieszkać na stałe, bo olsztyński wilgotny klimat podobno bardzo szkodzi jej na stawy, nasilając reumatyzm. Anna uśmiechnęła się na samo wspomnienie zdziwionej miny Patryka, gdy usłyszał ową propozycję. Na szczęście nim oboje zdolali powiedzieć, co o tym sądzą, zareagował profesor Terliński i w grzecznych, ale stanowczych słowach zastopował migracyjne zapędy małżonki. I coraz częściej zamiast w Bieszczady pan Paweł zaczął wozić żonę po świecie. Z początku po Europie, a potem trochę dalej. Annie, podobnie jak Patrykowi, wyjątkowo to odpowiadało. Bo choć przepadała za swoim teściem, to jej stosunki z Mirą nie

uległy ociepleniu. Owszem, teściowa kurtuazyjnie chwaliła nie tylko nowy dom, okolicę, ale nawet książki Anny, jednak pod przykrywką komplementów huczał ocean nieszczerości. Mira nie potrafiła ukryć swojego żalu, że jakaś kobieta aż tak odseparowała ją od syna.

Anna otworzyła na oścież okienko w domku i wpuściła do środka letni słoneczny poranek, a z nim wpadło:

– Maaaaaamooooo, a Jędrlek powiedział, że jestem głuuuuuupiaaaaa!!!

Z dużego domu wybiegła blondyneczka z kręconymi włoskami do ramion, boso i w piżamce. A za nią prawie identyczny chłopczyk. Tylko włoski miał proste jak druciki, z odgniecionymi wicherkami. Bliźnięta, Lenka i Andrzejek, urodziły się dziewięć miesięcy po tamtej niedzieli, kiedy Anna i Patryk w końcu się odnaleźli. Nieokielznane diabelki, które kochali nad życie, potrafiły dać im nieźle w kość. Anna wyszła na podwórze i przytuliła do siebie dwa małe skarby, miękkie i ciepłutkie prosto ze snu.

– A wy znowu się klóćcie – westchnęła. – O co znowu poszło? Jędrus, dlaczego powiedziałeś, że Lenka jest głupia?

– Mamusiu, bo ona mnie scypnęła, o tu – pokazał niewidoczny ślad na rączce – i zabląła moją latalkę, a będziemy się bawić z Adasiem w Indian. A ona nie może, bo dziewczyny nie mogą się bawić w Indian. – Oboje tak samo seplenili, co spędzało Annie sen z powiek. Nie pomagały żadne logopedyczne ćwiczenia. Bliźniaki nie mogły nauczyć się poprawnej wymowy.

– A właśnie, że bawią! – Lenka tupnęła nóżką. – Ja też chce być Indianką!

– Indianką, córeczko – odruchowo poprawiła Anna i ucałowała dziewczynkę. – Coś wymyślimy, żebyście mogli bawić się razem.

– Ale my nie chcemy z nią! – zaperzył się chłopczyk. – Bo Adaś będzie skalpelował Zuzie i nabijał na pal!

– Mamusiu, oni chcą zamoldować moją laaaaleeee!!! – rozkrzyczała się Lenka.

– Spokój, maluchy! – Z domu wyszedł Patryk. Też boso, w samych dżinsach i koszulce spranej tak, że z czarnego koloru został słaby odcień szarości. – Ile razy tatuś wam mówił, że nie wolno przeszkadzać, jak mamusia pracuje? Co to za wrzaski? A poza tym nikt nikogo nie będzie skalpował, mordował ani nabijał na pal. Skąd wy macie w ogóle takie pomysły, co? – zapytał pochylony nad dziećmi.

– Od Adasia – odparły bliźnięta wyjątkowo zgodnie.

– Będę musiał z nim porozmawiać. A jak jeszcze raz usłyszę, że tak brzydko do siebie mówicie, to za karę do końca tygodnia nie opowiem wam żadnej bajki – zagroził i zmarszczył brwi, choć z trudem powstrzymywał czający się na ustach uśmiech, gdy rogata parka pospuszczała główki. Oboje wiedzieli, że bliźnięta zaraz pokłócą się znowu. O dziwo, klóciły się tylko w domu, bo w przedszkolu, gdzie od roku chodziły, jedno stało murem za drugim.

– Mamusiu, zobacz, co te dzieciaki zrobiły z moim psem. – Z domu wyszedł Adaś, a za nim Bandyta, ustrojony jak choinka. Na szyi miał zawieszony krawat Patryka, jego stetoskop i latarkę Andrzejkę. Pachniał męskimi perfumami i był nieporadnie owinięty białym papierem toaletowym.

– Moja latalka! – zawołał Jędrus, a pozostali spojrzeli na Lenkę.

– Bo on idzie do placu jak tatuś – wyjaśniła rezolutnie dziewczynka. – I musi mieć latalkę, żeby widzieć galdło i bzuch, i ucho, i lobić stemple. – Wyciągnęła z kieszonki piżamki pieczętkę Patryka, której ten nie mógł znaleźć od wczoraj.

– Lenka – Patryk kucnął przy córeczce – ile razy mówiłem, że nie wolno ruszać moich rzeczy?

– Tysiąc – przyznała z poważną minką.

– I co? – zapytał niby srogo, ale Anna widziała, że topił się jak wosk pod wpływem

niebieskich oczek córeczki i jej dołeczków na policzkach.

– Jesce wcolaj pamiętałam, ale dziś zapomniałam. – Mała przyłożyła pulchne, opalone na brąz rączki do okrągłej buzi. Wyglądała przy tym tak rozkosznie, że aby zachować choć pozory rodzicielskiego autorytetu, Patryk wstał i zaczął zapędzać dzieciaki do domu.

– Jędrus, powyjmuj samochodziki z zamrażarki, bo już się wystarczająco zahibernowały. Lenka, pozbieraj kredki, bo są nawet w moich butach. A potem proszę się umyć, ubrać i szykować do śniadania. – Zaklaskał w dłonie.

– Ja chcę naleśniki s selem! – zawołał Jędrus.

– A ja czekoladowe kulki! – przekrzykiwała go siostra.

– A ja omleta! – włączył się Adaś.

– To nie restauracja. – Patryk uciął kulinarne życzenia dzieci. – Wszyscy dostaniecie jajecznicę i ma być zjedzona bez szemrania. No już, zmykać, a przy śniadaniu poćwiczmy techniki doskonalenia waszej pamięci. – Skierował bliźnięta ku drzwiom. – Adaś, zdejmij z Bandyty ten służbowy strój i przypilnuj maluchów. Zaraz do was przyjdę. Potem wypuścimy konie na pastwisko.

– Tatusiu, a pojeździmy dziś na Smoluchu? – zapytał najmłodszy w rodzinie entuzjasta jeździectwa. Bo oprócz Mai konno jeździli też Patryk i Anna, tak jak kiedyś sobie obiecała.

– Na Smolucha, Adasiu, musisz jeszcze parę lat poczekać. Dostaniesz mniejszego konika, ale najpierw wytłumacz mi ten pomysł ze skalpowaniem lalek. Podobno coś o tym wiesz.

– Ja nic nie wiem – zapewnił gorliwie. – Maluchy znowu coś nakłamały.

– Wyjaśnimy przy śniadaniu, które z was ma taką fantazję. – Anna przytuliła starszego synka, który teraz sięgał jej prawie do ramienia. – Biegnij do bliźniaków i przypomnij im, że dziś święto latawca.

– Latawiec! Zupełnie zapomniałem! – zawołał i pognał do domu, a za nim nieodłączny Bandyta, teraz już stary, ślepy na jedno oko i bez kilku zębów, które trzeba było usunąć, ale wciąż skory do zabaw.

– Skończyłaś pisać, kotku? Pracowałaś chyba od czwartej rano. – Gdy zostali sami na ganku, Patryk przyciągnął Annę do siebie.

– Skończyłam, potem dam ci przeczytać. – Pocałowała go w czubek nosa.

To Patryk był jej pierwszym czytelnikiem, krytykiem, recenzentem i konsultantem. Czasem do późnej nocy omawiali sprawy, o których pisała, i obojgu sprawiało to prawdziwą przyjemność.

– Już nie mogę się doczekać. Powiedz tylko, że nie uśmierciłaś Krysi – odrzekł z niepokojem.

– Nic ci nie powiem – zaśmiała się Anna. – Sam przeczytasz. Wypuszczę konie na pastwisko, odpiszę na parę mejli i do was przyjdę.

– Dziś nasza siódma rocznica. – Patryk mocniej objął żonę i kołysał delikatnie w ramionach. – Nie żałujesz, że za mnie wyszłaś?

– Powinam powiedzieć podobnie jak w dniu ślubu. – Musnęła palcami pierwsze pasma siwizny na jego skroniach. – Zadaj mi to pytanie za trzy lata.

– Wtedy było za dziesięć. A tak poważnie?

– Nie żałuję. A ty? Nie żałujesz, że się ze mną ożeniłeś?

– A mógłbym żałować powietrza, którym oddycham? – przekomarzał się z nią, gdy tak stali wciąż objęci na ganku. – No więc w tym uroczystym dniu chciałbym ci życzyć... – Nie dokończył, bo z domu znów dobiegły odgłosy sprzeczki dzieciaków.

– Leeeenkaaa! Oddaaaaajjjj mi toooo!!! – wołał Jędrus.

– Toooo moooojeeee!!! – protestowała dziewczynka.

– Jędrzek, wylałeś mleko! – usłyszeli głos Adasia. – Sprzątaj!

– Potem złożę ci życzenia. – Patryk odwrócił się na pięcie. – Tylko najpierw ogarnę te diabła. Boże, daj mi do nich cierpliwość! – Wzniósł oczy ku niebu. – Po kim one takie uparte?

Po nas, odpowiedziała w myślach Anna, patrząc, jak zniknął w drzwiach domu. Upór Patryka objawiał się w jego pracy nad sobą. Patryk jeszcze przez rok jeździł do Warszawy na terapię. Po dwóch latach obronił doktorat. Nie dlatego, że zależało mu na karierze naukowej, ale by doprowadzić rozpoczęte sprawy do końca. Pracował w ośrodku zdrowia w Lutowiskach i w szpitalu w Ustrzykach, a czasem przyjmował pacjentów w domu. I w domu był najszczęśliwszy, w ich zwariowanej codzienności, między dziećmi, końmi, naturą i nigdy nieogarniętym bałaganem. Bez sielanki, bo i oni też się kłócili. Zazwyczaj o drobiazgi, które czasem urastały do rangi problemu. Ot, zwyczajne życie z jego problemami, radościami i zmęczeniem, którego Anna jednak nie zamieniłaby na żadne inne. Patryk jeszcze nie znalazł takiego przyjaciela jak Witek. Miał kilku kolegów, z którymi sporadycznie się spotykał, ale to nie było to samo co z Witkiem. Czasem obaj rozmawiali przez Skype'a, o tym, jak komu się wiedzie. Po każdej z tych rozmów Patryk na krótko przygasał.

A upór Anny polegał na konsekwencji. Nigdy nie powiedziała i nigdy nie powie mężowi o zdradzie. Nie dlatego, by chronić siebie, ale z miłości do niego. Wiedziała jednak, że tamta sprawa zawsze będzie w niej tkwiła. Może jej motywacja była asekurancją, może nawet tchórzostwem, ale tak zdecydowała. Dla dobra ich miłości.

Ze stajni doleciało rzenie koni, w powietrzu unosił się zapach świeżego siana. To Patryk z Adasiem zajmowali się zwierzętami, choć przychodził też do pomocy chłopak sąsiadów. A w stajni oprócz Smolucha i Jenny mieszkała jeszcze czwórka koni. Starych, za niewielkie pieniądze wykupionych z rzeźni. Maja z Marcinem co jakiś czas podrzucali takiego nieboraka, aby dożył w Niepamięci resztę swoich dni. Organizowali nawet w internecie zbiórkę pieniędzy, by ratować oddawane z cyrków, szkółek jeździeckich czy gospodarstw zwierzęta. I trafiały tu jak do przytuliska. Patryk na początku trochę się zżymał, bo jak mówił, nie ma czasu być etatowym stajennym, ale potem sam pytał, kiedy przywiozą następnego pensjonariusza.

Marcin, jako weterynarz, wpadał do Niepamięci częściej niż Majka, by doglądać koni. Jednak dziś mieli przyjechać oboje, o czym wiedziała tylko Anna, bo podobno szykowali niespodziankę. Ich związek również zaliczył tąpnięcie, ale teraz wyglądało na to, że z pierwszej młodszej miłości stał się czymś więcej. Marcin dobiegał przecież trzydziestki, a Majka po wakacjach miała zacząć ostatni rok psychologii w Krakowie, dokąd przenieśli się po pierwszym roku italianistyki w Warszawie. „Praca tłumacza mnie nie kręci”, zakomunikowała rodzinie, bez żalu rzucając pierwsze studia. Był to powód oficjalny, bo nieoficjalnie Maję, ku zaskoczeniu wszystkich, bardziej pochłonęło warszawskie życie studenckie niż sama nauka. Szybko zyskała tam nowe towarzystwo, nie do przesiadywania w bibliotekach, lecz do poznawania najmodniejszych pubów.

Do Warszawy przenieśli się sama, bo Marcin swoją pierwszą pracę po studiach podjął w Olsztynie. Maja, wbrew protestom Patryka, nie chciała nawet słyszeć, że zamieszka u Iwony. Wybrała akademik, aby, jak to określała, „bardziej integrować się z ludźmi”. Co więcej, wymusiła zgodę na wynajęcie kancelarii adwokackiej olsztyńskiego mieszkania, które zaraz po maturze Patryk na nią przepisał, i zaczęła samodzielne życie w stolicy. Zachłysnęła się nim tak bardzo, że właśnie wtedy zachwiało się jej związkiem z Marcinem. Rzuciła go i wplątała w nieistotny, jak się później okazało, romans z kolegą z roku. Zarówno Patryk, jak i Anna bardzo przeżywali te nieoczekiwane szaleństwa córki. Jednak na każdą próbę rozmowy Maja reagowała tak samo: „Jestem dorosła”. Nie pozostało im nic innego, jak tylko obserwować, co będzie dalej. Czy Marcin z kimś się wtedy związał, czy też przeczekał, tego nikt nie wiedział. Dość że po

niespełna roku wrócili do siebie. Maja dostała się na Jagiellonkę, a Marcin znalazł pracę w Krakowie i wynajęli tam razem mieszkanie.

Ciekawe, co też oni kombinują, że mam nic nikomu nie mówić, zastanawiała się Anna, przeganiając konie na łąkę. Zasunęła na miejsce drewnianą żerdź ogrodzenia i poszła odpisać na mejle od czytelników.

W czasach, gdy świat opanowała moda na slitfocie i selfie, a ludzie dzielili się na tych na fejsbuku i jego przeciwników, Anna należała do tych pierwszych. Włączyła komputer i aż zapiszczała, gdy zobaczyła na profilu wiadomość i zdjęcie od Małgosi. Anna, podobnie jak Patryk, też nie znalazła takiej drugiej przyjaciółki jak Gośka. Najczęściej zaglądała do niej pani Bigosowa, żeby pomagać przy dzieciach i w domu. Z czasem stała się prawie członkiem ich rodziny, a dzieciaki zaczęły ją nazywać babcią Zosią. Tak jak Patrykowi brakowało Witka, tak Annie Małgosi. Dlatego z tęsknotą przyglądała się teraz fotografii i podpisowi pod nią: „Dawid nadchodzi. Brzezin wariuje. Jeszcze tylko trzy tygodnie, uuufff...”.

Na zdjęciu stali w drabinę, jedno za drugim, odchyleni każde w inną stronę. Pierwsza Amelka, cała w różowych falbankach, z długimi włoskami jaśniutkami jak len. Podobni z Witkiem jak dwie krople wody. Za nią Gośka z odsłoniętym wielkim brzuchem, z wymalowanym na nim różowym słoneczkiem, a na końcu Witek. Cała trójka wystawiła języki i trzymała kciuki uniesione do góry.

Małgosia sprzedała mieszkanie i poleciała do Stanów prawie rok po wyjeździe Witka. To Helen wystarała się dla niej o spotkania z artystyczną Polonią, aby Gośka nie miała problemów z uzyskaniem wizy. Wcześniej sama zachęcała ją do malowania, tłumacząc, że zdobędzie tym wiarygodny powód dla urzędników imigracyjnych. Matka Witka wynajęła też na siebie małe mieszkanie dla Gośki w Bostonie, niedaleko od nich. Witek nawet nie chciał słyszeć, że Gośka miałaby zamieszkać razem z nimi.

Był zły na matkę, że sprowadziła ją wbrew jego woli. Z początku Małgosia mogła tylko odwiedzać Amelkę. Potem, kiedy Witek zwalniał kolejne nianie, bo z żadnej nie był zadowolony, opiekunką Amelki została Małgosia. I to też dzięki Helen, która niezmordowanie kładła synowi do głowy oczywistą prawdę, że dziecko musi mieć matkę. W końcu uległ. Zastrzegł jednak, aby Gośka ani słowem nie wspomniała, że jest mamą Amelki, dopóki on sam nie wyrazi na to zgody. Małgosia przyjęła ten warunek bez sprzeciwu. I tak była najszczęśliwsza na świecie, że mogła zajmować się swoją prawie dwuletnią córeczką, co robiła z pełnym oddaniem. Witek w tym czasie wikłał się w różne przelotne związki, ale obserwował Małgosię. A kiedy nabrał przekonania, że jej miłość do Amelki nie jest krótkotrwałym kaprysem, tylko głębokim i szczerym uczuciem matki, a mała też przyłgnęła do niej, zdecydował, że nie ma co zwlekać. Tak więc przed trzecimi urodzinami córeczki w najprostszych słowach powiedział jej, kim jest Małgosia.

Anna pamiętała pełen wzruszenia głos przyjaciółki, opowiadającej, jak Amelka po raz pierwszy nazwała ją „mamą”. W Polsce była noc, kiedy z Bostonu zatelefonowała Małgosia z tą wiadomością. Przeprowadziła się do Witka i wkrótce potem zostali parą. Nie wzięli ślubu, ale wyglądali na szczęśliwych.

Anna nie mogła oderwać oczu od zdjęcia. Małgosia była teraz w wersji blond, z włosami sięgającymi do ramion. Mimo upływu pięciu lat zdecydowanie odmłodziła. Tak samo jak Witek. Jednak od dnia wyjazdu ani razu nie przyleciał do Polski mimo namów Patryka. Z roku na rok przekładał termin odwiedzin, wykręcając się pracą. Zwłaszcza nową specjalizacją, którą robił z chirurgii onkologicznej. To odsunięcie się na stałe od przyjaciela było dowodem lojalności Witka. I wybór, którego on też dokonał. Tak jak Anna.

– *Co u Ciebie, pani Terlińska?* – napisała na czacie Małgosia. – *Podeślij mi swoją nową*



*książeczkę, bo usycham z ciekawości. Krysia żyje?*

*– Dowiesz się, jak przeczytasz, grubasie – odpisała. – Tylko najpierw obiecałam Patrykowi dać do przeczytania. Co Ty nie śpisz po nocy? U Was to pewnie gdzieś czwarta rano?*

*– Dochodzi piąta. A ja wstałam trzeci raz do łazienki, tak mnie ciśnie na pęcherz mały Brzeziński. Już ma cztery kilo, a pewnie jeszcze trochę urośnie. Witek pęka z dumy, że takiego syna zmajstrował. I pomyślałam, że o tej porze też będziesz przed kompem. Podoba Ci się nasza fotka?*

*– Cudna. Pięknie wyglądacie.*

*– Szkoda, że mnie nie widzisz, jak rano wstaję z łóżka. Nie wiem, jak Brzezin może na mnie patrzeć. To Mela narysowała słoneczko. Nie uważasz, że śliczne? W ogóle bardzo lubi rysować. To chyba po mnie. Tylko że w domu cały czas nawija po angielsku. Czasem nie wszystko rozumiem, co mówi tym swoim slangiem. Witek nawet wymyślił jakieś nagrody, żeby tylko gadała po polsku, ale tak nam wlaźła na głowy, że ciężko to idzie. Wczoraj pierwszy raz w życiu miałam ochotę klapsa jej przyłożyć, tak zaczęła histeryzować w markecie, bo „daddy” nie chciał jej kupić pięćdziesiątej Barbie. Rzuciła się na ziemię i waliła nogami jak wściekła.*

*– Skąd ja to znam. Nasze dzieciaki też czasem próbują coś wymusić w sklepie. Zwłaszcza Lenka pokazuje, co potrafi, ale się nie dajemy. I co, kupił?*

*– Skąd! Wziął złoścnicę pod pachę i zaniósł do samochodu. Tak się darła, że aż ludzie się oglądali. Dostała szlaban na oglądanie ulubionego programu w telewizji i do wieczora królowna była obrażona. A w nocy i tak przysłała do naszego łóżka, poprzytulać się do mamusi i tatusia, hi, hi, hi. Ja się tu rozpisałam o nas, a Wy macie rocznicę ślubu. Pamiętam tamten dzień, jak dziś. Kurczę, to już siedem lat! Wszystkiego najlepszego od całej naszej trójki, a właściwie to czwórki, bo Dawidek też się już liczy. W taki dzień pewnie macie dużo gości w domu?*

*– Tylko Maja z Marcinem przyjadą, bo mama ze Stefanem opalają się w Hiszpanii. Od ślubu spędzają tam przecież trzecie wakacje! A teściowie zwiedzają Chiny. Wiesz, nowa pasja.*

*– No tak, przed rokiem byli w Indiach. Tym to dobrze. A ja leżę i puchnę. Szczęście, że Witek ma czarodziejskie paluszki i masażyk stóp mam taki codziennie, że masakra. Jak ja go kocham! Oczywiście nie tylko ze względu na masaż. Nie myślałam, że potrafię być tak szczęśliwa. A teraz zmykam pod kołderkę. Zdążę jeszcze trochę przy nim poleżeć, zanim wstanie do pracy. Caluski. Od nas i od Helen, najlepszej teściowej pod słońcem! Od niedawna ma nowego chłopaka. Młodszy od niej o dziesięć lat, ale jak sama mówi, nic tak nie odmładza kobiety jak młodszy kochanek. Ufam jej na słowo, ale sprawdzać nie zamierzam, bo mój Wituś jest the best! Pod każdym względem!*

W południe nad Niepamięcią wzmógł się wiatr. Idealny do puszczenia latawca. To był ich niepisany rytuał w prawie każdą rocznicę ślubu. Prócz tej drugiej, gdy stali na rozdrożu. Potem zrobiło się z tego święto latawca. Tego samego, z napisem MAPA, który puszczała, gdy przyjechali pierwszy raz do Niepamięci. Tylko teraz miał dopisane jeszcze dwie literki: L i A. Już nie tworzyły żadnego napisu. Po prostu były symbolem ich powiększonej rodziny.

Słońce zalało podwórko przed domem. Patryk wyjął z pokrowca latawiec. Dzieciaki jak zwykle kłóciły się, kto w tym roku będzie go trzymał. Anna próbowała uspokoić całą trójkę, gdy po kilku dźwiękach klaksonu na drodze zobaczyli starą toyotę. Teraz jeździła nią Maja.

*– Maja! Maja! Maja przyjechała! – Cała trójka dzieci, przekrzykując się nawzajem, pognęła witać siostrę. Oblepili ją ciasno, ledwo wysiadła z samochodu, i podskakiwali jak piłeczki.*

*– Cześć, moje potworki. – Maja łaskotała każdego po kolei, a potem wpadła w otwarte ramiona Anny. – Mamuś, ale się za wami stęskniłam!*

– My za tobą też, skarbie. – Anna wycalowała ją w oba policzki. – Kto to słyszał, żeby od dwóch miesięcy nie pokazywać się w domu! Sesja sesją, ale mogłaś wpaść choć na weekend.

– Majka – Patryk patrzył na córkę tyle samo podejrzliwie co z przestraszeniem – chyba mi nie powiesz, że przyjechałaś tu sama z Krakowa? To taka długa i niebezpieczna trasa. Jak Marcin mógł cię puścić? Głowę mu urwę, jak tylko się pojawi. Masz prawo jazdy dopiero od trzech lat i cztery słuczki na koncie.

– Człowiek wraca do domu po sesji, zmęczony, zadowolony, liczy, że go pochwalą, bo zdał koncertowo, nakarmią, bo głodny, a tu na dzień dobry dostaje kazanie od tatusia. – Z początku mówiła poważnie, ale zaczęła się śmiać. – No dobra, Marcin, wylaż, bo tata na zawał zejdzie! – zawołała w stronę samochodu. Z bagażnika przez tylną klapę wygramolił się Marcin. Otrząpął z kurzu ubranie i podał maluchom torby z prezentami.

– To dla was, małe urwisy – ogłosił. Nastąpiła kolejna seria okrzyków i powitań, a potem dzieciarnia rzuciła się na podarunki. – Liczę, że przynajmniej na razie ocaliłem głowę, panie doktorze. Dzień dobry. – Przywitał się podaniem ręki z Patrykiem i uściskał Annę.

– Jak mogliście tak wkręcić tatę? – Anna szturchnęła Maję w bok.

– Osiwieję przez was do reszty, dowcipnisie. – Patryk dopiero teraz przytulił córkę.

– Przepraszam, tato, ale to z radości. Dziś przecież wyjątkowy dzień. Wasza rocznica i święto latawca. A my też mamy dla was małą niespodziankę, ale najpierw jeść! Mieliliśmy stanąć w McDonalddie, ale Marcin powiedział, że tak smacznego rosółu jak twój, mam, to nigdzie nie dają. Masz?

– Mam, mam. Przecież wiedziałam że przyjedziecie.

– I nic mi powiedziałaś? – Patryk odwrócił się do żony.

– Wtedy nie byłoby niespodzianki.

Na środku pokoju z kominkiem w dużym domu stanął długi stół. Właściwie ten jedyny mebel był tutaj nowy. Reszta pozostała niezmienną. Pokój wyglądał prawie tak samo jak wtedy, gdy Anna zobaczyła go pierwszy raz. Miał swój klimat, który chciała zatrzymać. Nawet bujany fotel wciąż stał w tym samym miejscu przy kominku. Ale stół musiał być wygodny, by pomieścić całą ich rodzinę, pogrążoną teraz w rozmowie.

– Na długo zostajecie? – zapytał Patryk, gdy objedzeni rosółem i kotletami kończyli deser.

– Niestety, tylko trzy dni – odpowiedział Marcin, dokładając sobie ciasta.

– Dlaczego tak krótko? – zmartwiła się Anna. – Przecież są wakacje. Myślałam, że zostanieie tutaj. Chyba że macie jakieś inne plany.

– Marcin nie ma urlopu, a za trzy dni musimy odebrać z lotniska jego siostrę. Marysia przylatuje do Polski na miesiąc – wyjaśniła Majka.

– No to przywieźcie ją do nas – zaproponował Patryk. – Co za problem? Ile ona ma lat? Chyba z piętnaście, jak mnie pamięć nie myli. Postaramy się, żeby miała tu co robić. Ty, córca, też powinnaś zostać, skoro Marcin i tak pracuje.

– Dziękuję za zaproszenie, ale to niemożliwe. – Chłopak pokręcił głową. – Maryśce ostro odwaliło. To znaczy chciałem powiedzieć, że wpadła w złe towarzystwo i są z nią duże problemy. Właściwie to robi, co chce, nikogo nie słucha, dlatego rodzice wysyłają ją na obóz dla trudnej młodzieży niedaleko Koszalina i mamy ją odwiedzić.

– Gdzie ja będę wychowawcą – dopowiedziała Majka. – Załatwiłam sobie tam pracę na wakacje. Wiecie, sprawdzę się w praktyce, zanim zostanę tym psychologiem. Ciekawe, jak dam sobie radę z tą trudną młodzieżą.

– Ja też chce być twarda młodzieży i pojechać z Mają! – zawołała Lenka, zajęta dotąd książeczką, którą dostała.

– Ja pojedę z Mają, bo to ja jestem tłudna młodzie, bo jestem stalsy od ciebie! – zareagował momentalnie Jędrus.

– Ale tylko o tsy minuty, a to się nie licy! – odparła stanowczo dziewczynka.

– A właśnie ze licy, bo pielwsi wysłem z bzucha! – oświadczył jej brat.

– O Boże! – jęknął Adaś cierpiętniczym tonem i z rezygnacją położył głowę na rękach, opartych na stole. – Daj mi do nich cierpliwość.

Wyglądało to tak komicznie, że zamiast upomnieć awanturującą się „trudną młodzież”, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Później, kiedy bliźniaki, jako tako pogodzone, układały z Adasiem puzzle na podłodze, Patryk zapytał:

– Mówiliście coś o niespodziance czy się przesłyszałem?

Zarumieniona Maja spojrzała na Marcina. Ten objął ją przejęty, chrząknął dwa razy, a potem, pocałowawszy dziewczynę, powiedział uroczystym tonem:

– Mój dowódca zgodził się wyjść za mnie. I jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, to chcemy wziąć ślub w Boże Narodzenie.

– Tu, w Niepamięci. Taki wyjątkowy, na koniach – dodała Maja, błyskając zaręczynowym pierścieniem.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Nawet dzieciaki przestały się klócić, tylko siedziały z pootwieranymi buziami, gapiąc się na siostrę i jej narzeczonego. No to rzeczywiście niespodzianka, pomyślała Anna. I kiedy patrzyła w zakochane oczy córki, wiedziała, że raczej nie mogło być innego finału, pomimo tamtego tąpnięcia. Patryk też chyba to wiedział, bo po pierwszym szoku z rozmachem grzmotnął w plecy przyszłego zięcia, aż ten się skulił.

– Noooo, naaaareszcie. – W jego głosie zabrzmiała ulga i radość. – Już myślałem, że nigdy się nie zdecydujecie.

– Obiecałem panu kiedyś, panie doktorze, że z niczym nie będziemy się spieszyć i że będę dbał o Maję bardziej niż o siebie.

– I teraz mogę powiedzieć, że mnie nie zawiodłeś i dotrzymałeś słowa. Witaj w rodzinie. I nie mów już do mnie „panie doktorze”. Wystarczy Patryk.

– Bądźcie szczęśliwi. – Anna ucałowała najpierw Majkę, a potem Marcina. – A teraz chodźmy już puszczać latawca, póki dobrze wieje. Później znów będziemy świętować, bo mamy co.

Poszli z latawcem na wzgórze za domem. Wcześniej Patryk dopisał na nim jeszcze jedną literkę, M. I znów nastąpiły spory, kto w tym roku będzie trzymał sznurek. Dzieciaki przekrzykiwały się nawzajem, bo każde chciało to robić. Kiedy udręczony jękami Patryk powiedział, że zrobi to „najmłodszy w rodzinie”, po czym oddał latawiec Marcinowi, maluchy znieruchomiały. Marcin szepnął coś do ucha Mai, a ta tylko pokiwała głową. Powiedzieli, żeby na nich zaczekać, i pobiegli w stronę domu. Trwało to jakiś czas, zanim wrócili. Ścisłej, przygalopowali. Majka na Jenny, a Marcin na Smoluchu.

– Nie wiem, czy z siodła się uda, bo nigdy nie próbowałem – odezwał się chłopak, biorąc sznurek od Patryka.

– Zrobimy próbę przed ślubem. Jazda! – Majka szturchnęła boki konia i pomknęła przed siebie, a za nią Marcin.

Latawiec z początku sunął po ziemi. Po chwili uniósł się nieco wyżej, a gdy Marcin przyspieszył, przechodząc z galopu w cwał, szybował już wysoko. Furkotał na niebie, ciągnąc za sobą długi, bibułkowy ogon. Dzieciarnia biegała jak szalona, wrzeszcząc z radości wniebogłoso, bo takiej zabawy jeszcze nie widzieli. Zwłaszcza że jeźdźcy też wydawali jakies dzikie okrzyki, ścigając się po łące.

Anna odsunęła się dalej, aby mieć lepszy widok. I miała wrażenie, że w szumie wiatru

słyszysz nie tylko śmiech najbliższych, ale i czyjś coraz wyraźniejszy głos. Niósł słowa, które znała na pamięć, a które teraz odbijały się echem od gór i lasu.

*Bo miłość, córeczko, jest silniejsza niż śmierć. Dane mi było takiej miłości doświadczyć. Nie umarła razem z Twoją mamą, ale wciąż była przy mnie. Słyszałem ją w szumie wiatru, oddechu gór, szelestach nocy, zapachu kwiatów. Myślę, że ty też trzymasz taką miłość w dłoniach. Trzeba o nią dbać, walczyć do ostatka i chronić ją jak najcenniejszy skarb. Nie wolno jej odrzucać, nawet jeśli po drodze zdarzy się zakręt. Czym byłoby zdobywanie szczytów bez mozolnej wspinaczki na górę? Nie w szczycie nasz cel, ale w drodze, którą trzeba pokonać, by go osiągnąć. Czasem bywa wyboista, usiana kamieniami, naszymi błędami, ale warto ją przejść, by poznać najgłębszy smak miłości. Bo tak samo jak śmierć jest częścią życia, tak poświęcenie jest częścią miłości. A miłość to najpiękniejszy cud świata.*

Anna odwróciła się i przez moment, jedno króciutkie mgnienie, wydało jej się, że ojciec, w swoim kowbojskim kapeluszu, stoi wśród drzew i patrzy na nią tak, jak patrzył kiedyś.

– Wiem, że tu jesteś... – szepnęła. – Dziękuję ci, tato. Za wszystko.

## PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności kieruję słowa podziękowań do Wydawcy. Kredyt zaufania, który dostałam od pań Anny Derengowskiej i Elżbiety Kwiatkowskiej, był potężny jak na początkującą autorkę. Z całego serca za wszystko dziękuję. Moje powiastki nie miałyby takiego kształtu, gdyby nie mrówcza praca redakcyjna Ewy Witan. Nie ma w tym krzty przesady. To mistrzyni swojego fachu i miałam wielkie szczęście, że trafiłam pod jej opiekę. Słowa uznania kieruję też do Marty Kaszuby za pełne zaangażowanie, by jak najlepiej wypromować te powieści.

Szczerze wyrazy wdzięczności należą się też pani psycholog Agacie Wilskiej, której sugestie były bezcenne, gdy przeprowadzałam moich bohaterów przez kryzysy, przed którymi stanęli. Podczas naszych rozmów uświadomiłam sobie, że czasem niemożliwe staje się jednak możliwe, a pewne tajemnice lepiej niekiedy zachować dla siebie. Dziękuję, pani Agato.

Jestem też bardzo wdzięczna blogerkom za recenzję „Kotków”. Nie wymienię wszystkich z imienia i nazwiska, bo nie chcę nikogo pominąć, więc pozwolę sobie na ogólne stwierdzenie; dziewczyny, robicie kawał dobrej roboty.

Jednak najgoręcej dziękuję wszystkim Czytelnikom, którzy z dziesiątków tysięcy książek na rynku wybrali właśnie moje. Dziękuję Wam, Kochani, za te wszystkie ciepłe słowa, jakie otrzymałam. Ze wzruszeniem czytam Wasze wpisy na Facebooku. Nawet nie wiecie, ile to dla mnie znaczy. Z pokorą przyjmuję też opinie krytyczne, bo z każdej czegoś się uczę. A ponadto dużo lepsze dla książki są dziesiątki negatywnych opinii niż cisza.

Na koniec pozwolę sobie w tym miejscu na słowo od autora. Czytelnicy często zadają mi pytanie, czy to, co napisałam w swoich książkach, jest prawdą, czy fikcją? I jednym, i drugim. W jakimś sensie jestem Anną. Zwłaszcza w części trzeciej znalazły się pewne fakty autobiograficzne. Przede wszystkim podobnie jak moja bohaterka, tak i ja znalazłam nową drogę w życiu, którą obie chcemy podążać – pisanie.

